



TOMASZ
MRÓZ

**PRZYPADKOWY
ZABÓJCA**

część 3

TOMASZ MRÓZ

PRZYPADKOWY ZABÓJCA

Saga

Przypadkowy zabójca

Zdjęcie na okładce: Shutterstock
Copyright ©2016, 2024 Tomasz Mróz i SAGA Egmont

Wszystkie prawa zastrzeżone

ISBN: 9788727161587

1. Wydanie w formie e-booka

Format: EPUB 3.0

Ta książka jest chroniona prawem autorskim. Kopiowanie do celów innych niż do użytku własnego jest dozwolone wyłącznie za zgodą Wydawcy oraz autora.

www.sagaegmont.com

Saga jest częścią Grupy Egmont. Egmont to największa duńska grupa medialna, należąca do Fundacji Egmont, która każdego roku wspiera dzieci z trudnych środowisk kwotą prawie 13,4 miliona euro.

Po więcej darmowych ebooków i audiobooków kliknij [TUTAJ](#)

Spis treści

Karta redakcyjna

Propozycja

Wilhelm I Zdobywca

Zaliczka

Pomoc dla wywiadu

Gdzie ta taksówka?

Genialny program

Historia z Bartem

Policjanci z Dagenham

Paryskie przygody

Policjanci z Dagenham, których nie było

Pilnuję cie

Ostrzeżenie od ducha

Koszmar nie chce zniknąć

Never say never

Kto cię przysłał?

Świadectwo Elisabeth Stoner

Czułny Wojśław

Niezasłużona nagroda

Doskonałość poprzez kontrolę i autoryzację

Kim jest Wojśław?

Doskonałość poprzez bieganie po schodach

„Mamy sprawa do mały komendant”

Wezwanie na Downing Street

Nie boję się – ciebie nie ma

Co znaleziono w spalonym domu

Nauka

Chłopcy o złotych sercach

U premiera

Mgliste wspomnienie

Bronson

Planowanie

Wycieczka do Oxford

Co się kryje w zieloności

Nieposłuszny morderca

Napalony i inne atrakcje

Seans filmowy

Pościg

Sprawy się komplikują

Czat z zabójcą

Kryminalne centrum rozrywki

Lord traci grunt pod nogami

Wódka jest dobra na wszystko

Wejście „na listonosza”

Poszukiwania w fabryce

Iadą po ciebie

Miły poranek, gorsza reszta dnia

Big water

Bo my szukamy złych duchów

Och, Helen

Oblawa

Nie było żadnego PX-a

Polityka oraz jej fatalne skutki dla zdrowia i życia

Wyrazy współczucia z powodu pańskiej śmierci

Słodki, pluszowy John

Panie komisarzu, jak to w końcu jest z tym premierem?

Cisza

Ofcyna wydawnicza RW2010 proponuje

Przypisy

Propozycja

Nad Tamizą snuły się szarolepkie opary, kilka mostów dalej drzemał Big Ben odliczający w swej kamiennej senności kolejne minuty istnienia świata, a w pałacu Buckingham pochrapywała królowa angielska w koronkowej koszuli nocnej utkanej z najlepszych jedwabi. Jednakże tutaj miasto straciło swój splendor; kilkudziesięcioletnie kamieniczki z brunatnej cegły i rząd samochodów niższego segmentu cenowego jasno mówiły, że to biedna okolica, a odrapany napis na zszarzałym pleksi – The Bull's Pub – wtapiał się łagodnie w otoczenie, nie psując efektu bylejakości tutejszego świata.

Puby w Anglii, jak wiadomo, są zamykane o dwudziestej trzeciej, ale tu goście mogli zostać, jak długo chcieli. Nie wszyscy, rzecz jasna, ale ci zaufani, którzy nieraz korzystali z małego pokoiku na górze, żeby odespać stres minionego dnia albo siedząc całą noc z jakimiś typami spod ciemnej gwiazdy, szeptali o rzeczach przeznaczonych tylko dla zaufanych uszu. Dziś barman snuł się za kontuarem, powoli przegrywając z sennością i przeklinając swój barmani los; za szybą szarzał świt. Na sali siedział zaledwie jeden człowiek i gdyby nie ten intruz, już dawno można by przekręcić klucz w zamku, położyć się na zapleczu, a późnym rankiem skasować od grubego właściciela pubu podwójną wypłatę za nocną zmianę. Ale niestety tej nocy trzeba było na swoje osiemdziesiąt pięć funtów uczciwie zapracować, więc trwał na posterunku, choć najchętniej by upierdliwego nocnego marka wywalił na zbity pysk. Ten siedział nad szklanką piwa, ze wzrokiem wlepionym w migającą za szybą lampę jarzeniową, dłonią wykonywał powolne ruchy, kręcąc zestawem z solniczką i pieprzniczką. Lampa migiała, dając nerwowy, stroboskopowy efekt, ręka krążyła, nie dając spokoju

pojemniczkom z solą i pieprzem, nieruchome oczy wpatrywały się w drgającą światłem szybę, w tle – oparty o kontuar barman, a dalej londyński świt. Człowiek, który siedział za stołem i wydawał się taki spokojny, czekał na kogoś. Wnikliwy obserwator ludzkich zachowań mógłby wychwycić oznaki zdenerwowania i niepewności na jego twarzy.

– Ty, nie wkurwia cię ta migająca latarnia? – zagadnął nagle po polsku znudzonego barmana.

– *What?* – Tamten jakby się obudził i wlepił nieprzytomne spojrzenie w gościa. Był już w innym świecie, skąd został brutalnie wyrwany.

– Latarnia! Nie wkurwia? No bo miga.

Barman nic nie rozumiał. Język polski był dla niego jak bigos: poszatkowany, nieznan i niejadalny. Pytający mruknął jakby przepraszająco i odwrócił się; najwyraźniej nie trafił na rodaka.

Po kilku minutach drzwi z dumnym napisem *The Bull's Pub* otworzyły się i do lokalu wszedł elegancki młody mężczyzna. Barman nerwowym krokiem wychynął zza kontuaru, by poinformować, w jakich godzinach się tu przychodzi, ale siedzący facet machnął przyzywająco ręką. Widać było, że właśnie na niego czekał; elegancki przybysz skierował się do stolika, rzucając przez ramię zamówienie na piwo. Barman westchnął ciężko i wyciągnął szklanekę z suszarki.

Mężczyźni przywitali się z rezerwą.

„Znowu jakieś szemrane interesy Polaczków. Diabli ich nadali. Nie mogą siedzieć gdzieś tam na wschodzie w swoich lepiankach i pić wódkę z Ruskimi?” – po głowie człowieka za kontuarem pałętały się leniwie nacjonalistyczne myśli, tym gniewniejsze, im bardziej sobie uświadamiał, że zamiast smacznie spać, musi ich obsługiwać. I to tylko dlatego, że ci dwaj mają jakieś tajemnicze sprawy do obgadania i są zaufanymi właściciela baru. Podszedł szybkim krokiem do stolika i postawił szklanekę z takim impetem, że aż piana chlupnęła na blat.

– Przepraszam – mruknął z nieudolnie udawaną skruchą i bardzo niestarannie przetaił stół szmatą. Tamci przerwali rozmowę, ale

rozlane piwo wcale nie zaprzętnęło ich uwagi. Czuł, że chcą tylko, aby szybko odszedł.

- Nie mogliśmy się spotkać gdzie indziej? Tutaj rzucamy się w oczy, jedyni klienci, podejrzana okolica... - zaczął po chwili elegancki przybysz. Mówił po polsku.

- To bezpieczne miejsce. Bardzo bezpieczne - odparł jego towarzysz.
- Bardzo je lubię.

- Poprosiłem o spotkanie, bo został pan polecony przez... przez kogoś zaufanego, jako dobry i dyskretny fachowiec. A my potrzebujemy właśnie dobrych, dyskretnych i... - elegant zawiesił na chwilę głos - Polaków, ludzi mówiących i zachowujących się jak rodowity Polak.

- Zgadza się, jestem dobrym i dyskretnym w robocie Polakiem, mam dobre referencje od kilku majstrów. Sam nawet kierowałem grupą kafelkarzy...

- Proszę pana, nie chodzi o kafelki, pan przecież wie... - Zapadła chwila ciszy. - Dobrze, może troszkę więcej otwartości. Chodzi o usunięcie kogoś z życia publicznego, mhm, w ogóle usunięcie z życia... Są ludzie, którzy dadzą za to niezłe pieniądze, naprawdę niezłe pieniądze.

- Tak z ciekawości zapytam: kto miałby zostać usunięty z życia publicznego? Są jakieś powody?

- O tak, powodów jest bez liku. Ale nie sądzę, żeby pan był tym zainteresowany. To dość znana osoba w niektórych kręgach... - Młody mężczyzna poszperał chwilę w kieszeni marynarki, po czym wyciągnął zdjęcie i położył przed rozmówcą.

Ten zrobił zdziwioną minę i westchnął:

- O!

Przybysz zadowolony z efektu schował fotografię.

- Szukamy Polaka, bo wydarzenia mają się rozegrać w Polsce. Cel pojedzie tam w swoich sprawach i nie powinien już wrócić. A trop prowadzący do sprawcy musi być maksymalnie zawikłany.

– Mhm... Interesujące rzeczy pan pokazujesz i opowiadasz. A tak przy okazji, nie wiesz pan, ile taka wycieczka do Polski kosztuje? Dawno nie byłem.

Młody człowiek wyciągnął jakiś karteluszek i położył na stole. Drugi mężczyzna przyglądał się jej chwilę krytycznie.

– No to chyba jakaś oferta *last minute*. Taniocha! – skomentował z wyraźną dezaprobatą. Pogrzebał w kieszeni, wyciągnął ołówek i dopisał coś na podanej kartce. Po czym gwałtownie zerwał się i wyszedł w szarość poranka.

Przybysz pozostał nad niedopitym piwem ze zdziwioną miną, po chwili chwycił karteczkę – do istniejących cyfr zostały dopisane następne i mail kontaktowy. Podrapał się z zakłopotaniem w głowę. Następnie wstał, szurając krzesłem o podłogę, i pospiesznym krokiem ruszył do drzwi wyjściowych.

– Halo! Proszę zapłacić za piwo!

Wszelkie wyobrażenia barmana o obcokrajowcach właśnie się spełniały. Nie dają spać, szemrzą między sobą w dziwnym języku i uciekają bez płacenia. Polak odwrócił się, uśmiechnął przepraszająco i szybkim ruchem wyciągnął z kieszeni banknot. Jednocześnie wypadły mu pomięta chusteczka i zdjęcie; mężczyzna podniósł je i wepchnął na powrót. Podał barmanowi dziesięć funtów i zanim barman zdołał wyliczyć jakąkolwiek resztę – do czego zabierał się bardzo powoli i niechętnie – wyszedł.

Pozostawszy sam, barman podumał chwilę, potem chuchnął na banknot i schował go do kieszeni. Nie są może tacy źli ci obcokrajowcy, skoro dają dziesięć funtów za małe piwo. No i to zdjęcie... Ono go najbardziej zaskoczyło. Bo to dziwne, żeby emigrant nosił przy sobie podobiznę premiera. Osobiście premiera nie lubił – tacy jak on wpuszczają tałatajstwo z całego świata do Zjednoczonego Królestwa, a potem prawdziwi Anglicy muszą tyrać w pocie czoła na nędzne mieszkanie, kiepski samochód, tanie wczasy w Hiszpanii i frytki z rybą. Gdyby zniknął, gdyby jego miejsce zajął ktoś, kto rozumie, że

otwieranie się na czarnuchów, Arabów i innych to samobójstwo, wówczas... No właśnie. Nie wiedział, co by było, ale na pewno byłoby lepiej.

Wytań stół do sucha, zgasił światło i poszedł na zaplecze. Może złapie jeszcze dwie godzinki snu.

- I co? Przyjął? - Starszy mężczyzna w eleganckiej marynarce w delikatny kraciany deseń przyoblekł twarz jedynie w delikatny cień oczekiwania, jak przystało na angielskiego dżentelmena.

- Przyjął wiadomość i zaproponował cenę.

Wymieniona przez młodego człowieka suma nie zrobiła żadnego wrażenia na arystokracie.

- To i tak tanio, Gregosh. Kiedyś brałem Chińczyków. Ci byli jeszcze tańsi, ale dziś mało który nie jest agentem. A poza tym nasz cel to nie byle kto. Zgadzam się. Możesz przesłać wiadomość.

Gregosh, jak go nazwał Anglik, nie mogąc wymówić trudnego imienia w oryginale, wyjął z opakowania nieużywany telefon, wyłamał nową kartę SIM i szybko aktywował aparat. Przesłał wiadomość: „Potwierdzam”. Po chwili zastanowienia znowu wyciągnął aparat i napisał kolejną wiadomość: „Proszę o spotkanie”, po sekundzie aparat zabuczał w odpowiedzi. „Mail Delivery System, nie ma takiego adresu”.

- Adres kontaktowy został skasowany natychmiast po pierwszej wiadomości.

- To świetnie. Znaczy, że jest bardzo zainteresowany. - Siwy jegomość się rozpromienił.

Telefon i karta, używane przed chwilą, właśnie były niszczone, kiedy w kieszeni Gregosha coś zabuczało. Mężczyzna wyciągnął aparat.

- O! Wiadomość! Dwudziesty szósty maja, godzina szesnasta czterdzieści siedem, Subway, Victoria Station. Skąd on zna mój prywatny numer?!

- Sądzę, że to taka mała manifestacja siły, pokazał, kto tu rządzi. Dajmy mu tę satysfakcję! Jeżeli jest tak dobry w innych zadaniach, to zaczynam się bać o życie pana C. - Anglik pokiwał głową z uznaniem i pocieszająco poklepał młodego człowieka po ramieniu. - No ale te amerykańizmy! My mamy starą, dobrą *tube*, a nie żadne *subway*¹.

- Pewnie chodzi o restaurację.

- Ach, ta buda z kanapkami, ładna mi restauracja! No dobra, ustalmy, co masz mu przekazać...

Wilhelm I Zdobywca

Komisarz Liver miał dość. Dość wszystkiego i na zawsze. Miał dość swojego szefa idioty, który każdego dnia sukcesywnie redukował ilość używanych szarych komórek i wydawał się z tego powodu bardzo szczęśliwy. Miał dość konstabla Shakera, wzorowego funkcjonariusza, jeszcze bardziej wzorowego męża i ojca trójki dzieci, które codziennie przy porannej owsiance całował w czołka na dzień dobry, a odprowadziwszy do szkoły, błogosławił znakiem krzyża. Shaker utrzymywał wzorowy współczynnik masy ciała i na wszelkie pytania udzielał wzorowych odpowiedzi, w których zawierał dużą porcję wiedzy, doświadczenie wielu pokoleń wzorowych konstabli. Kontakt z nim to była ciągła lekcja pokory w obliczu doskonałości.

Ale komisarz najbardziej miał dosyć samego siebie. Nie mógł pojąć, jak i kiedy doprowadził się do stanu, w którym człowiekowi obojętniejsze było wszystko. Ładny czy brzydki, gruby czy chudy, mędrzec czy debil – wszystko było bez znaczenia. Pięćdziesiątka na karku przekreślała wiele problemów, planów i marzeń, pozostawiając w głowie bezmiar zaoranej ziemi, która bez utalentowanego ogrodnika jałowuje. A on nigdy nie miał pociągu do zieleniny. Wolał szary bruk miasta. I wyglądało to teraz tak, jakby rzeczywiście brukował sobie głowę i stawał się chodzącym betonem, dobrze zabezpieczonym przed chłodem jesieni życia. Od kilku lat dojrzewało w nim poczucie straconego czasu, gdzie bilans zysków i strat wskazywał wyraźnie wynik ujemny. Nie tak zły, aby palnąć sobie bez zastanowienia w łeb, jednak na tyle przygnębiający, że Liver chętnie by się z kimś zamienił na życia. Najchętniej z jakimś dobrze zapowiadającym się, przystojnym i muskularnym młodzieńcem z bogatej rodziny.

Siedział od godziny w swoim plastikowym boksie w policyjnym biurze, równie plastikowym, i zastanawiał się, co dalej i dlaczego tak kiepsko.

- Panie komisarzu. - W drzwiach stanął Shaker we wzorowej postawie, idealnie dopasowanej do łączącej ich więzi służbowej i delikatnej smużki sympatii, która tym bardziej staje się zauważalna i cenna, im bardziej parszywieje świat wokół. Postawa Shakera wydawała się idealnie dopasowana również do kształtu framugi drzwi, specjalnie zaprojektowanych przez uznane biuro architektoniczne, dla wszystkich plastikowych boksów w plastikowych komisariatach Wielkiej Brytanii, w ramach wielkiego projektu „Let’s make it better!”. Szkoda tylko, że człowieka w środku nie da się przeprojektować na jakąś plastikową wersję z wtyczką USB do upgradowania.

- Panie komisarzu, ma pan gościa. Mhm... Z ministerstwa, chyba z ministerstwa... - Shaker splonął się i szybko wycofał, czując, jak bardzo nieprofesjonalnie zapowiedział czekającego interesanta. Po chwili przez designerski otwór drzwiowy wszedł szczupły mężczyzna w garniturze i z teczką w dłoni.

- Dzień dobry - przywitał się dość cichym, choć wyraźnie brzmiącym głosem.

- Dzień dobry, czym mogę służyć?

- Smith. Z Security Service². Mam do pana sprawę.

- Liver. Boże święty, MI5 u mnie! Myślicie, że biorę udział w spisku przeciw królowej? Za gruby jestem na spiskowca.

Smith otaksował wzrokiem zwalistą postać komisarza. Twarz agenta nie zmieniła ani o jotę swojego wyrazu. Być może pomyślał, że komisarz istotnie jest za gruby na złoczyńcę albo że nie takich spasionych spiskowców już oglądał. Jednak z zewnątrz nic nie było widać. Manekin plus bezmimiczna maska. Twarz i postawa typu Smith.

- Spokój, Liver. Chcemy współpracować. My chronimy królową i naród przed bombą atomową i terrorystami, a ty grzejesz wygodnie dupę w plastikowym pudełku. - Smith rozejrzał się po boksie

komisarza, wyginając usta w wyrazie niesmaku. – I zastanawiasz się, czy lepsza jest kawa z automatu, czy z nielegalnego ekspresu schowanego pod blatem. – Wskazał na biurko Livera.

Komisarz zadumał się. Skąd oni to wiedzą? Rzeczywiście, czasem wbrew przepisom pożarowym sam sobie parzył kawę, gdy już nie mógł znieść lury lejącej się z metalowej szafy do plastikowego kubka, który po użyciu był poddawany recyklingowi i przerabiany na granulację do piankowania w przemyśle mleczarskim. No tak. Ostatecznie Smith jest ze służby wywiadowczej.

– A na czym ma polegać ta współpraca? Proszę, pan siada, Smith. Może małą nielegalną kawkę? – Nie z takimi typami jak Smith sobie w życiu radził. Wiedział, że teraz trzeba grzecznie.

– Nie! Ale legalną nie pogardzę.

Smith usiadł. Liver wyszedł na korytarz. Po chwili dwa kubki parowały wesoło na blacie.

– Żeby była jasność, na wstępie naszej miłej pogawędki powiem, że o waszych machlojkach przy obowiązkowych egzaminach sprawnościowych też wiemy, podobnie jak o wynoszeniu papieru toaletowego oraz mydła z policyjnej toalety. To robi fatalne wrażenie.

– Cieszę się, że poświęćcie mi tyle uwagi. Jestem doprawdy wzruszony troską tajnych służb. Jak tylko lyknie pan tej pysznej legalnej kawy, jestem pewien, że przynajmniej jedno przewinienie pójdzie w niepamięć. A co do mydła i papieru, zabieram tylko tyle, ile zużyłbym w pracy, ale nie zdążyłem, zawałony robotą. Doprawdy człowiek tak się zapomina w trudzie służby, że nawet do toalety przestaje chadzać... – Liver rozpedzał się w krasomówczych popisach.

Smith poruszył się niecierpliwie na krześle i chrząknął. Czuł, że jego wstęp nie zrobił na policjancie żadnego wrażenia.

– A w kwestii ćwiczeń i sprawności fizycznej...

– Dobra, Liver, jesteś górą. Jak zwykle w gębie mocny. Może przejdziemy do rzeczy?

Obaj panowie zaśmiali się przyjaźnie. Tak naprawdę znali się od lat i ich pozaregulaminowa zażyłość przynosiła niekiedy duże korzyści w rozpracowaniu ważnych spraw kryminalnych. A dla nich skutkowałą premią półroczną i uściskiem dłoni przełożonego.

– Słuchaj, Liver, zaraz ci coś opowiem, ale z góry uprzedzam, że ta opowieść może wyglądać z początku na jakieś bajdurzenie. Dlatego proszę, nie przerywaj, póki nie dojdę do meritum.

– Jak długo może trwać ten początek?

Smith zadumał się, wachając parującą kawę opakowaną w przyszły granulaty do piankowania.

– Hm, bardzo długo. Wiesz co? Wpisuję na listę twoich przewinień jeszcze jedno...

– Jakie?

– Że pozwoliłeś mi się zbliżyć do tej cieczy. W moich oczach jesteś skończony!

Liver zapewnił gościa, że w swoich też się czuje skończony. Niby wszystko w żartach, ale wiedział, że następnym razem nie może już podać agentowi tej brunatnej brei w kubkach à la granulaty.

– No dobra. Zaczniemy od czasów rzymskich... – Smith rozpoczął gawędę, nie zważając na przerażoną minę Livera.

Historia wyglądała następująco. Plemiona celtyckie, walczące z najazdem rzymskim na terenie Brytanii, zostały zepchnięte w kierunku Walii, Kornwalii, Irlandii i Szkocji; nigdy nie zostały pokonane, a wraz z odejściem Rzymian nastąpił powrót ich władzy nad całą wyspą. Trwało to jednakże bardzo krótko, gdyż jeszcze w piątym wieku wdarły się na te tereny plemiona anglosaskie, spychając Celtów. Zajęły tutejszy obszar, dzieląc go na kilka państweczek.

– Był to system zwany heptarchią. Na pewno o tym słyszałeś...

Liver poruszył się nerwowo na krześle; jego mina wyrażała bardzo niski stopień przekonania, że kiedykolwiek słyszał o heptarchii. Następnie wstał, uchylił drzwi boksu i krzyknął:

– Shaker! Co to jest heptarchia?

– Jest to koalicja utworzonych przez plemiona anglosaskie patrymonialnych państweczek z wczesnego okresu podboju Brytanii. Jedno z nich pełniło rolę hegemonu, a jego władca nosił miano bretwalda.

Liver odwrócił się zadowolony. Mrugnął do Smitha i powiedział:

– Ma się rozumieć, że słyszałem o heptarchii.

Smith pokiwał głową z uznaniem i ciągnął dalej:

– Po kilku wiekach krystalizacji tej organizacji państwowej nastąpiła inwazja Normanów, którzy stworzyli początkowo suwerenny obszar Danelaw. Ostatecznie tron i władzę przejął w tysiąc sześćdziesiątym szóstym Wilhelm Pierwszy Zdobywca, rozpoczynając panowanie dynastii Normanów. – Smith uśmiechnął się złośliwie i stwierdził: – Założę się, że słyszałeś o Danelaw.

Liver pobębnił chwilę palcami po stole, po czym wlepił w swojego gościa spojrzenie tak piorunujące, że ten powinien zginąć na miejscu.

– Nie, ale wiem, kogo zapytać, jeżeli będzie mi to potrzebne, panie Smith.

– Panowanie Normanów kończy się w tysiąc sto trzydziestym piątym. Rozpoczyna się okres Plantagenetów i te wszystkie przepychanki opisane w *Robin Hoodzie*. O Plantagenetach pewnie już...

– Tak! O Plantagenetach wiem wszystko. Do rzeczy!

– Prosiłem cię, żebyś mi nie przerywał.

Liver zmiął z furią jakąś zabłąkaną na biurku kartkę, ale po sekundzie się opanował, rzucił ją do kosza i burknął:

– Zamieniam się w słuch, panie historyk.

Smith uśmiechnął się.

– I na tym koniec wstępu, tu się zaczyna nasza opowieść...

Liver zrobił zdziwioną minę, ale nie pisał ani słowa. Smith pociągnął łyk kawy, wykrzywił usta, dając jasno do zrozumienia, że nie

jest pewny reakcji własnego żołądka na takie obrzydlistwo, i wznowił swoją opowieść:

– Dynastia Normanów to przeszłość, tak jak Plantageneci, Tudorowie i Beatlesi. Jednak, jak wiesz, historia kształtuje umysły i napędza wyobraźnię. Dlatego wiele wydarzeń ma swój ciąg dalszy, nawet teraz po wielu wiekach.

– Muszę to zapisać złotymi zgłoskami nad wejściem do komisariatu. Będę miał motywy przewodni do końca życia.

Smith nie zareagował na ironiczne uwagi kolegi, pokiwał w zadumie głową i kontynuował:

– Kilka lat temu pojawił się ruch nawiązujący do tych czasów. Odrodzenie Brytanii. Założyciel twierdzi, że jest w linii prostej potomkiem Wilhelma Zdobywcy.

– O! A ma na to jakieś papiery, zaświadczenie z porodówki albo badania DNA? Co to za postać?

– Lord Wiliamson. Ostatni z szacownego rodu Wiliamsonów. Postać znana tu i ówdzie, niegdyś prowadził normalne życie, zasiadał w Izbie Lordów, bywał na koktajlach u królowej...

– Tak, normalne życie prostego człowieka... – sarknął Liver. – Też tak kiedyś funkcjonowałem. Jakże mi brak tych codziennych pogawędek z księciem Karolem.

– Ale dla Wiliamsonów to było normalne. Do czasu. Jakieś dziesięć lat temu lord wycofał się z życia publicznego, aby pojawić się w innej odsłonie, jako potomek królewskiej linii niesprawiedliwie zignorowanej przez historię.

– Jakież to okrutne! Aż serce boli. Być tylko lordem zamiast królem. To musi być straszne!

Smith znowu zignorował komentarz Livera, choć lekkie zwięźlenie źrenic wskazywało, że kolejnej kpiny nie przepuści tak spokojnie.

– Tak naprawdę dla Wiliamsona to nie jest wielki problem. Facet ma dobrze poukładane pod kopułą i wygląda, że realizuje konkretny plan. Przeszłość pełni w nim swoją rolę. W chwili obecnej Odrodzenie

Brytanii ma trzy filary. Pierwszy historyczny, z Normanami, Wilhelmem Zdobywcą i czystością rycerskich cnót rodem z dwunastego wieku. Drugi to nacjonaści i kibole. Wiesz, wielkie flagi na meczach ligowych, wybijanie szyb w sklepikach Hindusów. A trzeci to Polacy...

- Kto?

- Polacy. To taki naród, mieszkają dwa tysiące kilometrów stąd i ciągle świszczą, gdy mówią.

- Przecież wiem, moi rodzice przyjechali tu z Polski. Nawet mówię trochę po polsku...

- No i właśnie dlatego tu jestem - przerwał mu Smith. - Musisz mi pomóc z tymi cholernymi Polakami, bo to jakaś nowość dla mnie.

Zaliczka

Grzegorz szedł wzdłuż Allington Street; w prześwicie pomiędzy kamienicami już z daleka dostrzegł fragment stacji kolejowej Victoria. Minął bar Duke of York i skierował się w stronę wejścia do stacji metra. Czerwono-niebieskie logo podziemnej kolei kołysało się lekko na wietrze. Z zakratowanych wywietrzników unosiły się kłębiaste opary, nadając widokowi lekko dickensowskiego charakteru. Brakowało jeszcze przechodniów w cylindrach lub pań w krynolinach i końskich zaprzęgów turkoczących po bruku. Obserwacja otoczenia nie zaprzętała jednak jego głowy; miał się za chwilę spotkać z płatnym zabójcą i ta myśl wypełniała jego umysł po brzegi.

Rany! Płatny zawodowiec, *professional killer*, a on będzie mu rozkazywał. Płaci, więc ma prawo wymagać. Lord wyraźnie powiedział, że trzeba go mieć pod kontrolą. Obiecał też, że przydzielili kogoś ze swojej gwardii, by patrzył na ręce wynajętemu zabójcy. Być może nawet ten ktoś gdzieś się tu kręcił, ale nieprzebrane tłumy stanowiły świetne tło dla wszystkich, którzy chcą się w nie wtopić.

Grzegorz uśmiechnął się pod nosem na wspomnienie gwardii lorda. Ze dwie setki barczystych, umięśnionych byczków w strojach rycerskich. Wszystko chłopaki z Polski, większość spod Białegostoku. Jeden prawie całą wieś tu ściągnął. Po ostrej selekcji i ciężkim treningu składają śluby czystości oraz posłuszeństwa swojemu lordowi. Od tego czasu są z nim na dobre i złe. Lord im płaci, wyposaża ich, ale wymaga posłuszeństwa i wierności na wzór jakiegoś króla z dawnych czasów, Wilhelma Odkrywcy, czy coś w tym stylu. Chłopaki mają niezły ubaw, ale każdy, kto nie traktuje tego poważnie, wylatuje z gwardii na zbity pysk. No i obowiązkowa nauka angielskiego ze średniowiecznych

inkunabułów. Grzegorz obserwował, jak z miesiąca na miesiąc powstaje grupa wojowników, zwarta i wierna swojemu panu. Jadąc po ruchomych schodach, zastanawiał się, czy to kaprys zdziwaczałego bogacza, czy może część jakiegoś chytrego planu. Bo nie wątpił, że jego zadanie, które właśnie realizował, było jak najbardziej serio. Powagę misji potwierdzała ciężąca na ramieniu torba, kryjąca setki tysięcy funtów.

Gdzieś tam w dole zabuczał sygnał zamykanych drzwi, a po chwili rozszedł się wiew pędzącego pociągu. Powietrze było przesycone zapachem smaru do zwrotnic, tablice świetlne informowały o kolejnych składach. Bar z kanapkami był pełen ludzi, którzy marzyli o długich bułach obłożonych szynką i serem. Grzegorz już miał wejść do środka, kiedy zza najbliższego słupa wyszedł znajomy człowiek, mijając go, skinął bardzo delikatnie, a następnie podążył żwawym krokiem najbliższym korytarzem. Grzegorz ruszył za nim. Mężczyzna szybko pokonywał zaułki dworca. W końcu znaleźli się przy wyjściu wschodnim; w obie strony płynął nieprzerwany strumień przechodniów. Człowiek zatrzymał się i mruknął:

– Tu nie ma kamer. Co masz dla mnie?

– Słuchaj Pet... – zaczął Grzegorz. Wiedział od swojego informatora, że morderca nazywa się Piotr, ale zawsze kazał mówić do siebie Pet. Tak przynajmniej przekazał im informator. Jednakże tamten wyraźnie się zdziwił, kiedy usłyszał swoje zangielszczone imię. – Daję ci połowę kasy i rozpiskę z planem wizyty starszego pana oraz opisem ochrony i stałych elementów takich wyjazdów. Masz dwa tygodnie na rozpracowanie sposobu, jak to zrobić. Jak się kontaktujemy?

– Masz tu spis maili na różnych portalach, z hasłami dostępu. Po lewej stronie moje, po prawej twoje. Wysyłasz wiadomość ze swojego adresu, odpowiedź przychodzi na następne wymienione konto. Twoja kolejna wiadomość idzie z następnego i tak dalej. Nigdy nie używamy tego samego maila dwa razy. No i komputery też za każdym razem mają być inne. Zrozumiano?

Grzegorz poczuł, że Pet chce dominować w ich układzie. Bierze kasę, mówi, co mają robić, a informacje przekazuje, kiedy chce.

– Jak zamierzasz się rozliczać z wykonywanego zadania? – Grzegorz pragnął w jakiś sposób zaznaczyć swoją rolę zleceniodawcy. – Jak będziesz raportował postęp prac?

– Gdy będę czegoś chciał, wyślę maila. Ty będziesz czegoś chciał, wysyłasz maila. A o postępie prac zaraportuje BBC, CNN i inne stacje świata. Nie sądzę, żeby przemilczały taki temat.

– Raczej nie, Pet...

– Słuchaj, co ty z tym Petem, nie pozwalaj sobie z nadto, okej?

Panowie rozstali się po chwili i każdego połknął rwący w różnych kierunkach strumień ludzi. Mężczyzna z torbą szybkim krokiem zmierzał ku stojącym nieopodal taksówkom. Był tak zadowolony z dopiero co zakończonej transakcji i tak zaaferowany dyndającym na ramieniu bogactwem, że nie dostrzegłby nawet nosorożca w szwajcarskim stroju ludowym, a co dopiero zwykłego przechodnia w ortalionowej kurtce i czapce z daszkiem, który nie spuszczał go z oka, pozostając zarazem dyskretnie wtopiony w otoczenie.

Pomoc dla wywiadu

– No dobra... – Smith pragnął jak najszybciej nadrobić braki wiedzy o Polsce. – Kiedy ludzie w Polsce przestali się ubierać w skóry i mieszkać w lepiankach? Przed Unią czy dopiero po wstąpieniu do niej?

– Jako że jestem oficjalnie Brytyjczykiem, to nie walnę cię bez słowa w zęby, ale nie radzę zadawać takich pytań rodowitym Polakom. Jesteś typowym gburem Jej Królewskiej Mości, wszystko za kanałem to dla ciebie dzicz.

– Spokojnie, wiem już coś niecoś o Polsce. To był tylko niesmaczny żart. Lord Wiliamson mówi, że Polacy to jedyny naród, który jeszcze rozumie szczytne idee rycerskie. Początkowo tworzył swoją organizację jedynie w oparciu o ruchy kibicowskie, ale bardzo się na tym sparzył. Podobno nazwał ich „rozwydrzoną hołotą”, no i już go nie wspierają. Potem przyplłynęła ta duża fala emigrantów z Polski, a wraz z nią sporo jednostek niezbyt grzecznych i niekoniecznie pragnących budować dobrobyt poprzez prace budowlane albo lakierowanie samochodów. On ich wyluskuje i proponuje coś na wzór średniowiecznego systemu wasalnego. Daje im opiekę, a oni są jego. Aż po grób.

– Innymi słowy, lord montuje gang. Jak znam takie organizacje, niepokorni łądują w Tamizie na wiecznej wycieczce z nurtem wody.

– Nie wiem, nie pytałem lorda o jego program turystyczny. Słuchaj, a jeśli chodzi o bitwę pod Grunwaldem...

Panowie długo nie dyskutowali o Polsce i jej wpływie na losy Wielkiej Brytanii. Smith miał bowiem inne, dużo bardziej konkretne sprawy do komisarza.

– Lordem Wiliamsonem zajmujemy się nie bez powodu. To nie tylko rutynowa inwigilacja różnych dziwnych środowisk. Otóż dostaliśmy

cynk ze sprawdzonego źródła, że oni szykują zamach. Kontakt twierdzi, że chodzi o premiera...

- O, to grubsza draka! Ale czyż za premierem nie chodzi cały czas czterech albo pięciu śniadych snajperów z Al-Kaidy? Wystarczy chwila nieuwagi ochrony i już po nim, tak? Więc chyba musicie mieć niezłe doświadczenie w ochronie szefa rządu...

- Tak, w znanych środowiskach kontrolujemy wszystko. Ale tu jesteśmy jak małpa we mgle. Stąd moja prośba. Chciałbym podesać ci kilka fotografii ludzi, którzy współpracują lub współpracowali z lordem. Zamierzamy go mocniej rozpracować. Chodzi o przejrzenie waszych dokumentów i analizę monitoringu miasta. Może ktoś rzuci wam się w oczy, może powiąiecie go z kimś innym. I te dwie postacie naprowadzą was na inne postacie albo fakty, lub kolejne powiązania. Mogę liczyć na waszą pomoc?

Liver jako wyższy rangą pracownik policji miał dostęp do bardzo wielu informacji z systemu monitoringu. Dzięki rozbudowanej sieci kamer i zastosowaniu programów rozpoznawania twarzy różnorodne służby państwowe mogły w ten czy inny sposób kontrolować około sześćdziesięciu procent przestrzeni publicznej Wielkiej Brytanii. W Londynie ten odsetek był dużo wyższy. Straż miejska, wszelkiego rodzaju patrole interwencyjne, policja - wszyscy korzystali z dobrodziejstw monitoringu, ale jak się okazuje, nie służby specjalne. Te, będąc przez wiele lat zdane na swoje metody, nie doceniły potęgi rozwoju popularnych technologii podglądania i analizy obywateli przez małe kamerki rozsiane po całym kraju.

Prośba Smitha nie ucieszyła Livera.

- Czyli umawiamy się tak: my ślęczymy dniami i nocami, oglądając milionowe tłumy na dworcach i ulicach, a jak nam coś wpadnie w oko, to dajemy cynk, nie zapominając o danych personalnych podejrzanych oraz ich obecnym miejscu pobytu. Pięknie to sobie wymyśliłeś!

- Cieszę się, że tobie też się ten pomysł podoba. Masz tak zdolnych ludzi, że na pewno świetnie sobie poradzicie. Z twoim szefem już

rozmawiałem, macie pozwolenie.

- O! Dziękuję! Miło, że ustalasz tak dużo rzeczy z moim szefem. To spore ułatwienie, od razu mogę się zająć właściwą robotą bez tracenia czasu na formalności i biurokrację. Jesteś nieoceniony.

Smith na widok nieszczęśliwej miny Livera pocieszył go, że naród będzie mu wdzięczny; może nawet wstawią do komisariatu lepszy automat do kawy, żeby złagodzić jego bóle egzystencjalne. Po tym stwierdzeniu zaczął się zbierać. Umówili się jeszcze na przesłanie zdjęć i systematyczne kontakty.

Po wyjściu Smitha Liver zapadł na dłuższą chwilę w ponurą zadumę, akompaniując sobie bębnieniem palców o blat plastikowego biurka. Po kilku minutach ocknął się i już miał otworzyć usta, żeby wrzasnąć: „Shakeeeeer, do mnie”, ale się opanował, wstał i grzecznie podszedł do konstabla, przekazując mu wspaniałe nowiny o dodatkowej robocie.

Gdzie ta taksówka?

Domniemany Pet dojechał taksówką do podlondyńskiej miejscowości Dagenham. Zapłacił za ten kurs kwotę, która jeszcze wczoraj wydałaby mu się pewnie fortuną – dziś ciążyła mu na ramieniu torba z taką ilością pieniędzy, że suma niecałych trzydziestu funtów była dla niego ledwie zauważalną drobnostką. Rozkoszował się tym faktem, czując płynący przez głowę chaotyczny potok myśli, planów, nadziei i obaw związanych z uzyskanym bogactwem.

Wpadł jak bomba do małego pokoju, który uznawał za dom przez ostatnie trzy lata. Określanie czegoś tak ciasnego i obskurnego domem nie było najtrafniejsze, ale trzeba przyznać, że miał łóżko i łazienkę tylko dla siebie. I karaluchy po ścianach nie chodziły, jak u Łysego dwie przecznice dalej, a szczura widział tylko dwa razy, i to na korytarzu. Porwał spakowaną zawczasu torbę, klucz wepchnął ze zgrzytem do zamka, zamierzając zostawić go tu już na zawsze.

Wychodząc z pokoju, spotkał na korytarzu spieszącego gdzieś sąsiada, Hindusa Biswanatha. Pewnie szedł do pracy w pobliskim bistro, gdzie właściciel, stary Hindus, ściągał ziomków z Indii i zatrudniał za głodowe stawki. Ci po kilku tygodniach orientowali się, że wspanała pomoc to zwykły wyzysk naiwniaków z odległego kraju, ale umowy zostały tak spisane, że mogli jedynie odpracować swoje, każdego dnia w duchu przeklinając szefa i jego pierdoloną niby-dobrotliwość, a po roku lub dwóch szukać dalej szczęścia, już na lepszych zasadach. Biswanath był właśnie na etapie odkrywania, że jest w czarnej dupie, i humor miał kiepski; burknął coś na powitanie i popędził po schodach. Mężczyzna z drogocenną torbą ruszył minutę po nim.

Ulice tutaj, w odróżnieniu od centrum metropolii, nie były zbyt zatłoczone. Pojedynczy przechodnie, dość dużo samochodów, ale bez żadnych korków, skwer oblegany przez śniade kobiety obserwujące plac zabaw pełen równie śniadych dzieci, w których stronę co rusz płynęły słowa w nie angielskim języku. Morderca szybkim krokiem szedł wzdłuż ulicy, wzrokiem błędząc w poszukiwaniu taksówki. Mógł kazać poczekać tamtej, ale zdecydowanie wolał nie zostawiać w jednym miejscu więcej śladów, niż to konieczne. Taksówki brał dla bezpieczeństwa; nie ma w nich chuliganów, nie ma monitoringu, przynajmniej nie w każdej. Postanowił również nie dzwonić po kolejną, żeby nie ryzykować pozostawienia nagrania ze swoim głosem; na pewno się coś znajdzie po drodze.

Idąc wzdłuż ulicy, zauważył po przeciwnej stronie dość postawnego mężczyznę, w ortalionowej kurtce i czapce z daszkiem. Chyba widział go już wcześniej. Może tu mieszkał, dlatego zapadł mu w pamięć. Jego samego też zapewne kilka osób znało z widzenia. Tak sobie to na szybko wytłumaczył, ale pozostała dziwna wątpliwość, prawie pewność, że tamten nie jest stąd i jakoś za bardzo się w niego wpatruje. Przyspieszył i zniknął za najbliższym rogiem. Denerwował się, nie podobał mu się ten człowiek w czapce, dodatkowo bał się, że ktoś go napadnie i wyrwie mu torbę. Kurwa, gdzie te taksówki? Rozejrzał się nerwowo, potem zerknął za siebie. Wydawało mu się, że zza rogu wyszedł gość w ortalionie; trzeba go zgubić. Pognał chodnikiem, kogoś potracił w ramię, wyrzucił z siebie zdawkowe przeprosiny, ale już w pustą przestrzeń, bo nawet nie zwolnił kroku. Obrócił się na moment. Uff, chyba nie ma już tego typu. Naraz zauważył po drugiej stronie ulicy taksówkę; stała o jakieś sto pięćdziesiąt metrów od niego, ktoś z niej wysiadał. Musi ją zatrzymać. Wpadł na ulicę, rozległ się pisk hamowania. Biegł, nie zważając na nic. Przez opuszczone szyby samochodów darło się za nim dwóch kierowców. Jeden, który omal go nie przejechał, i drugi, który prawie wpadł na tego pierwszego.

Zignorował goniące go wrzaski, skupiając się tylko na taksówce. Był już bardzo blisko, machnął ręką na kierowcę, żeby poczekał.

Wtedy usłyszał za sobą wołanie:

– Proszę pana, proszę do mnie.

Szybkim krokiem zbliżał się do niego patrol, policjantka i policjant. Mężczyzna z torbą zmełł w ustach przekleństwo, odwrócił się w kierunku nadchodzących stróżów porządku; kątem oka widział odjeżdżającą taksówkę. Po drugiej stronie ulicy gość w czapce i kurtce kręcił się, udając, że ogląda witrynę sklepową.

– Pan pozwoli do mnie. – Mina policjanta była bardzo sroga. – Czy zdaje pan sobie sprawę, co pan zrobił?

– Tak, bardzo przepraszam, ten pośpiech... – Wiedział, że teraz nie może mieć spięcia z policją. Starał się z całych sił zachować spokój; rozciągnął twarz w wymuszonym uśmiechu.

Policjant, rozpoznawszy obcy akcent, pokiwał głową, tak jakby mówił: „Znowu ci obcokrajowcy”.

– Ma pan jakiś dokument przy sobie?

Zapytany pokiwał głową, zawahał się, przez sekundę decydował, czy ujawnić swoje personalia. W końcu sięgnął ręką do kieszeni kurtki i podał funkcjonariuszowi plastikowy prostokąt.

– Pijotr Kriz-sh-zo-wski – wydukał mundurowy. Wyciągnął mały notes, zapisał coś, następnie zwrócił mężczyźnie dokument.

– Gdzie pan mieszka? – spytała policjantka.

Podał im adres domu obok Łysego; najwyraźniej brzmiał przekonująco, bo funkcjonariusze się uspokoiли. Mężczyzna schował notes do kieszeni. Uśmiechnął się nieomal przepraszająco.

– Proszę na drugi raz uważać, prawie pan spowodował wypadek. Żadna sprawa nie jest warta życia.

Polak uśmiechnął się z ulgą. Podziękował. Rozejrzał się, podejrzany osobnik w czapce również zniknął. Ulicą nadjeżdżała czarna taksówka. Po chwili siedział w niej, zadowolony z obrotu sprawy.

- Dworzec Saint Pancras – podał cel podróży.

- Wieczorna randka pod Luwrem? – zażartował kierowca, wiedząc, że stamtąd odjeżdża pociąg Eurostar, którym w niecałe trzy godziny można się dostać tunelem do Belgii albo Francji.

Pasażer nie podchwycił jednak żartobliwego tonu i w milczeniu zapatrzył się w okno. Kierowca włączył zatem radio, obiecując sobie, że dorzuci pasażerowi kilka niepotrzebnych objazdów. U niego mruki płacą więcej.

Genialny program

Liver w niespełną godzinę po wyjściu Smitha otrzymał obiecane fotografie; przekazał je technicznemu, a ci wkleili zdjęcia do bazy danych. Po kilkunastu minutach już je przeglądał, sprawdzając, czy widoczni na nich osobnicy byli kiedyś notowani albo w jakikolwiek inny sposób zaistnieli w kartotece policyjnej. Nic. Program przeszukał wszystkie grzechy ze Zjednoczonego Królestwa i nie znalazł żadnej winy wskazanych osób. Również grzesznicy poszukiwani przez Interpol nie pasowali do podanych kandydatów.

Liver ciężko westchnął. Właśnie skończył łatwiejszą część roboty, pozostał im trud grzebania, niuchania i szperania w tłumie przelewającym się bez końca przez Londyn, a może i dalej. Westchnął jeszcze raz, po czym nabrał powietrza w płuca i wrzasnął tak, że plastikowy boks mało nie rozpadł się na kawałki:

– Shakeer, do mnie!

Koniec łagodnego traktowania. Konstable do roboty. Shaker pojawił się w drzwiach. Jego twarz pokrywał cień rezygnacji – wyraźny znak pogodzenia się z okrutnym losem. Liver streścił w pięciu słowach wynik swojej dotychczasowej pracy. W następnych trzech – losy Shakera na najbliższe godziny i dni. Po chwili znowu został sam, nastawił nielegalny ekspres i zamyślił się nad niesprawiedliwością świata. Jak to jest, że jedni siedzą w plastikowych boksach i parzą sobie kawkę, a inni muszą odwalać mrówczą, niewdzięczną pracę? W ostatecznym wniosku zważył to na grzechy przodków i konieczność ukarania Shakera za jego doskonałość. Tak wzmocniony na duchu włączył internet i wklepał w wyszukiwarce hasło „Odrodzenie Brytanii”. Lektura pasjonujących tekstów o niesprawiedliwości dziejowej w postaci odsunięcia przodków

lorda Wiliamsona od złości wciągnęła go na kilka godzin. Historia była opisana w sposób interesujący, a jednocześnie bardzo jednostronny. W skrócie wyglądało to tak: w Wielkiej Brytanii od wieków rządzi klika oszustów, a uczciwi obywatele nie mają nic do powiedzenia. W narodzie ginie duch. Niszczy się dobre cechy, promując zgniłe wzorce. Młodzież nie jest uczona prawdziwej historii, a światłe jednostki są sekowane i usuwane z życia publicznego.

– No, no – mruknął Liver. – Nieźle daje popalić nasz lordzik.

Był ciekaw, kiedy będzie coś o nim w roli potomka Wilhelma I Zdobywcy, ale strona internetowa pomijała ten fakt. Najwyraźniej było to przekazywane jako wyższy stopień wtajemniczenia; taka wzmianka w ogólnodostępnej informacji mogłaby niejednego odstraszyć, zamiast przyciągnąć. Wtem usłyszał za ścianą jakiś ruch.

– Panie komisarzu, coś mam! – krzyknął przez szybę boksu Shaker. – Znaleźliśmy człowieka. Nie! Dwóch ludzi!

– Co? Już? Nie musicie się tak spieszyć, Shaker. Myślę, że tajniaki na nic dzisiaj nie liczą – rzucił niby-naganę Liver, ale widać było po jego pucułowatej twarzy, jak bardzo jest zadowolony z Shakera, który po raz kolejny udowodnił swoją doskonałość i profesjonalizm. Okazało się, że mają kilka ujęć, które program rozpoznawania rysów twarzy przyporządkował do przedstawionych podobizn.

– O! Ten kręcił się cały dzień po Soho...

– Może jakiś erotoman-gawędziarz, chodzi po panienkach, tu zagadnie, tam popatrzy, a potem opowiada o swoich sukcesach kumplom, których największym osiągnięciem seksualnym była ruda Peggy po dyskoteci i pięciu piwach.

Shaker wytrzeszczył oczy na Livera ze zdumieniem, wręcz z przerażeniem.

– No co pan? Po co miałby to robić?

Liver westchnął i spojrzał pobłaźliwie na konstablą. Nie wiedział, jak wytłumaczyć idealnemu anglikańskiemu ojcu i mężowi, że czasem

trzeba gdzieś wyskoczyć z rudą Peggy i się z nią nie patyczkować. Ona i tak będzie zadowolona.

Przeszli do drugiego człowieka lorda.

- Mam go na kilku ujęciach w różnych punktach. Nic ciekawego. Ot, przechodzi gdzieś i znika. No, może jedno jest nietypowe. Niedaleko Chelsea Harbour.

- Czemu nietypowe?

- Był tam o piątej piętnaście rano.

- To nie jest zabronione. Poranne spacerowanie są nawet zdrowe, jeżeli tylko nie palił przy tym papierosów.

- Nie, raczej nic nie palił. - Shaker jak zwykle sztywniał przy żarcikach Livera. Jego odpowiedzią na żartobliwe uwagi był zazwyczaj pełen powagi i autorytetu ton.

Komisarz westchnął, ubolewając nad młodszym kolegą, i usiadł przed monitorem. Shaker ustawiał odtwarzanie nagranych scen. Oglądali dość nudne filmy pokazujące niezmienną scenerię i rzeszę ludzi spieszących w różne strony. W przypadku ujęć koło Chelsea Harbour ludzi było stanowczo mniej. Komisarz kazał odtwarzać nagranie na długo przed i na długo po przejściu człowieka, który nazywał się, wedle informacji od Smitha, Grzegorz Kawalec.

- Grzysz... - rzeźił Shaker, próbując powtórzyć za Liverem kosztowne dla Anglików imię.

Druga seria ujęć przedstawiała dworzec Victoria, dwa dni później. Tu twarz mężczyzny wyłaniała się z tłumów. Wyglądał jak pływak w bezkresie ludzkich postaci. Komisarz w duchu pogratulował informatykom wspaniałego narzędzia. On sam zapewne nigdy by nie skojarzył tego człowieka skrytego wśród innych ze zdjęciem od Smitha. W pewnym momencie Liver zatrzymał film.

- Shaker, quiz. Co to jest: noszone na ramieniu i znika bez śladu?

Zdumione spojrzenie konstabla spoczęło na pucułowatym obliczu Livera. Pytanie najwyraźniej go zaskoczyło. Przez chwilę myślał, potem jego wzrok padł na ekran. Walnął się dłonią czoło i zakrzyknął:

- Torba. Jasne! Torba zniknęła. Na jednym ujęciu ją ma, a na następnym już nie. Czyli...

- Czyli że nie ma już tej torby! Genialne!

- No to akurat jest oczywiste. Miał i nie ma, znaczy, że ją komuś dał.

- Albo gdzieś zostawił. Shaker, załatw mi plan dworca Victoria. Chciałbym zanalizować tę trasę i trochę pogłównkować. A co! Jak się bawić, to się bawić. W dodatku za pieniądze od podatników. Smith załatwił nam pozwolenie u Starego.

Po kilku minutach panowie pochylali się nad płachtą.

- Tu go widzieliśmy z torbą... i w tym samym miejscu, jak wracał bez torby sześć minut później.

- Tu nie ma żadnego innego przejścia, mógł jedynie wyjść z dworca...

- A tam jest następna kamera...

- Ale nie wyszedł, tylko...

- Torba wyszła. Nie sądzę, żeby sama. Torby same nie chodzą, przynajmniej normalne torby. Shaker, dawaj, oglądamy wszystkich idących z torbą w jedną lub drugą stronę.

Zasiedli do oglądania obrazu z obu kamer. Zadanie wydawało się dziecinnie proste: znaleźć człowieka wychodzącego z dworca bądź idącego w głąb dworca z torbą na ramieniu na niewielkiej przestrzeni sześciu minut, jakie dzieliły dwa nagrania przedstawiające współpracownika lorda. Liver liczył na to, że rzuci mu się w oczy ktoś z nagrań sprzed dwóch dni, koło Chelsea Harbour. Jednak z każdą sekundą odtwarzanego materiału miny im rzedły; tłum płynący przejściem nie miał końca, a osób z bagażem było mnóstwo. W ciągu sześciu minut Shaker naliczył sześćdziesięciu ośmiu ludzi wychodzących z torbami zbliżonymi wyglądem do tej poszukiwanej - żaden z nich nie skojarzył się policjantom z nikim innym. Mniej więcej tyle samo osób podążało z bagażem w drugą stronę. Po kilkukrotnym odtworzeniu nagrań z obu kamer obaj mieli wrażenie, że najęli się jako strażnicy mrowiska i próbują właśnie zliczyć swoich podopiecznych.

Oczy, choć natężali uwagę, rejestrowały coraz mniej szczegółów. Wszystko się zlewało w beładną masę głów, kurtek, płaszczy i walizek.

- No dobra. - Liver ocknął się w pewnym momencie. Wyraz twarzy miał dość ponury. - Czas do domu. Myślę, że ukochana ojczyzna nie zginie przez to jedno popołudnie.

Wstali, przeciągając się. Do Shakera zadzwoniła małżonka i musiał się tłumaczyć, że nie odebrał córki z lekcji pianina. Liver oczyma wyobraźni ujrzał biedną dziewczynkę, która od kilku godzin daremnie czeka na ojca, ćwicząc non stop gamy, a surowa niemiecka nauczycielka wystukuje rytm, przy każdym błędzie krzycząc na dziecko i bijąc je trzcinką po palcach.

W ciągu kilku minut komisariat opustoszał. Nieużywany automat do kawy buczał, a sfilmowany tłum londyńczyków z kamery na dworcu płynął i płynął.

Historia z Bartem

Dworzec St. Pancras przesuwiał się powoli za oknami ruszającego pociągu Eurostar. Elegancki steward odhaczył w dokumentach wejście Darka na pokład. Miał dużo szczęścia, że udało mu się kupić bilet na przejazd zaledwie dzień wcześniej. Cóż to jest sto osiemdziesiąt funtów za całkiem nowe życie? Teraz, kiedy powoli opadały emocje związane z przekazaniem pieniędzy i pospieszną ewakuacją, popadł w zadumę nad wydarzeniami, które diametralnie odmieniły jego losy.

Cztery miesiące temu był na dnie; po kilkunastu miesiącach pracy w różnych miejscach i w różnym charakterze został bezczelnie oszukany przez ostatniego pracodawcę. Harówka po trzynastu godzin na dobę, a na koniec boss znika wraz z wypłatą. Szef nie wyparował naprawdę, bo widział drania w jego podmiejskiej willi, i samochód stał pod biurem, ale tamten unikał jakiegokolwiek kontaktu, a jednocześnie straszył przez sekretarkę sądem i rozliczeniem rzeczywistych kosztów. Podobno były kradzieże, znikał sprzęt klientów i rzekomo ktoś widział, jak on go wynosił. Ostatecznie został z piętnastoma funtami w kieszeni, z czynszem do zapłacenia za ostatni miesiąc i przekleństwem na ustach. Idąc przez dzielnicę, wstąpił do knajpy na jedno, może dwa piwa. A co! Tyle jego, co wypije. Usiadł przy stoliku i utonął w ponurych rozmyślaniach. I znowu trzeba zaczynać od zera, angielski raj, psia jego mać. Po kilku minutach natknął się na czyjeś spojrzenie; człowiek siedzący kilka stolików dalej wpatrywał się w niego od jakiegoś czasu. Gdy spotkali się wzrokiem, mężczyzna podniósł się ze swojego miejsca i podszedł do jego stolika. Z każdym krokiem rosło ich obopólne zdziwienie. Byli bardzo do siebie podobni, dla obcych nieomalże jak

bliźniacy. Przybysz odezwał się po angielsku z wyraźnym polskim akcentem:

– Witam, można usiąść? Chyba mamy ze sobą coś wspólnego.

Obaj pochodzili z jednego kraju, co w tych okolicach nie dziwiło. Polaków było w Londynie bez liku. Chwilę pogadali. Był tak rozżalony i przybity swoją sytuacją, że bez żadnych oporów opowiedział nowemu koledze o kłopotach, oszustwach szefa, życiu z dnia na dzień. Smutna opowieść, pełna skarg i oskarżeń wobec wszystkich i wszystkiego. Oj, nie każdemu się tu udaje, nie każdemu starcza z angielskiej pensji na dom, dobry samochód i wakacje. Ale nie on pierwszy i nie ostatni. Trochę mu ulżyło, że mógł się wygadać. Na odchodnym nowy znajomy poklepał go po ramieniu, zdawkowo pocieszył, że może los się odwróci, a były szef zmańdrzeje i odda, co jest mu winien. Takie tam bajdurzenie. Pożegnali się miło i rozeszli. Niebawem powitała go szarość czynszowej klatki w lichej dzielnicy, gdzie można się przespać, tanio przeczekać złe czasy. Tu sami tacy jak on, wiecznie na dorobku. Kilka godzin później usłyszał głośne pukanie do drzwi. Chwila przerwy i znowu pukanie, dość natarczywe.

Za drzwiami stał szef, z rozbieganym wzrokiem, lekko drżącą szczęką.

– Panie Darku, panie Darku szanowny... – Rozglądał się nerwowo, zaciął, jakby się czegoś porządnie przestraszył. – Ja się pomyliłem, no, przepraszam. Oto pańskie pieniądze... Z premią za nadgodziny... I jeszcze stówkę dorzucę. To co? Jesteśmy kwita? Zadowolony?

– No tak, jasne, zadowolony – odpowiedział zdziwiony, stojąc w progu w samych slipkach i koszulce; wizyta byłego szefa wyrwała go z łóżka. Przeliczył wciskane drżącymi rękoma pieniądze. – Bardzo zadowolony – potwierdził po chwili z wesołą miną.

– I nie będzie się pan nikomu na mnie skarżyć? – upewniał się zdenerwowany szef.

– Nie, ja się przecież nikomu... – zaczął, ale nie dokończył. Stał mu przed oczyma człowiek, który kilka godzin temu pocieszał go,

twierdząc, że może nieuczciwy pracodawca zmieni swoje nastawienie.

– Do widzenia, panie Darku, powodzenia życzę. – Nerwowo zerkając na boki, boss oddalił się w stronę schodów. Darek odprowadził go zdumionym wzrokiem, wciąż stojąc w drzwiach. Po schodach szedł jego sąsiad z pokoju obok, Hindus Biswanath. Patrzył z zaciekawieniem na Darka; pewnie skubany słyszał całą rozmowę zaczajony za zakrętem schodów.

– Interesy, co? – zagaił.

– Mhm. – Darek nie miał ochoty na zwierzenia.

– Dla mnie mój szef jest jak rodzony ojciec, opiekuje się i troszczy, a nie kłóci jak ta złośliwa biała gęba. – Biswanath był jeszcze wtedy na etapie euforii z powodu pracy w bistro u starego Hindusa.

– Dobranoc – mruknął Darek.

– Dobranoc.

Dwa dni później spotkał „bliźniaka” z baru na ulicy. Czekał na ławce, karmiąc gołębie. Przywołał Darka ruchem ręki. Rzucił bułkę ptakom i patrzył z uśmiechem przez przeciwsloneczne lustrzanki, jak te przepychają się i dziobią po karkach w walce o jedzenie. W końcu się odezwał:

– Jak leci, kłopoty minęły?

– Tak, oddał kasę i jeszcze przeprosił.

– Równiacha! A dorzucił stówę za fatygę?

– Dorzucił.

– No, to ma farta. Za fatygę się płaci, co nie?

Darek nie odpowiedział. Nie był pewien, o co chodzi z tą fatygą. Kto się niby fatygował? Jego sobowtór dalej karmił gołębie. W końcu pokiwał głową w zadumie.

– Masz szczęście, że mnie spotkałeś, ja zresztą też. Nie masz teraz roboty, co nie? A ja mogę mieć dla ciebie propozycję. Przejdziemy się?

Poszli alejką. Sobowtór przedstawił się jako Bart, a jego propozycja tyczyła właśnie ich podobieństwa. W uzgodnionych dniach i godzinach

Darek miałyby przebywać w miejscu, które wskaże mu Bart, czasem z kimś porozmawia, ale tylko po uzgodnieniu tego z Bartem. I to wszystko. Robota raz na tydzień, czasem dwa razy w tygodniu. Może się zdarzyć, że Bart poprosi go o wyjazd za miasto, by – jak to skomentował tajemniczo – przeczekać kłopoty. W zamian dostanie jakieś cztery albo pięć tysięcy funtów na miesiąc. Darek próbował wyciągnąć od niego, o jakie kłopoty chodzi i po co ma to robić. Bart odpowiadał wymijająco; sprawy wyglądały na nielegalne. Wynikało z tego, że rola Darka to najwyraźniej alibi dla poczynań Barta. Ale z drugiej strony prawie nic nie ryzykował. Miał przebywać prywatnie w jakimś miejscu, dać się zobaczyć, a tłumaczeniem wszystkiego zajmie się Bart. Przynajmniej tak to przedstawiał nowy znajomy. Darek się wahał, nie był przekonany, w zasadzie odmówił. Kiedy się rozstawali, Bart stwierdził, że jeszcze się zgłosi, bo różnie bywa i czasem się zmienia zdanie. Tylko krowa nigdy nie zmienia zdania.

Minęło kilkanaście dni, pieniądze topniały w oczach; pojawiła się w międzyczasie jakaś dziewczyna, ale spostrzegła, że zadaje się z golcem i tyle ją widział; właściciel kamienicy znów stał się opryskliwy i zainteresowany losami należnego czynszu. Darek pocieszał się, że dobre czasy nigdy nie trwają wiecznie, ale te gorsze też w końcu mijają. Jednak wciąż nie mógł znaleźć pracy, stare kontakty już nie działały. Poza tym zmienił się od przyjazdu na Wyspy. Stracił entuzjazm, nie wierzył, że może coś tu zdziałać – był biedakiem w bogatym kraju i wiecznie kombinował, jak przetrwać. Nic dziwnego, że propozycja Barta coraz bardziej go kusila. Zapamiętał, że niewiele by musiał robić; pójdzie, gdzie tamten mu każe, i skasuje swoje cztery patyki. Cóż to za lewe machlojki, że potrzebuje mocnego alibi? Ale właściwie co go to obchodzi? Jak głosi stara maksyma: dają, to bierz. Każdego dnia tonął coraz głębiej w rozmyślaniach. O straconych szansach, o ciężkiej pracy, która wcale nie owocuje lepszym życiem, o przemijaniu i samotności. Nie wiadomo, czy Bart bacznie go obserwował i sondował nastrój, czy przypadkiem tak trafił – w każdym razie gdy znowu się zjawił, zastał

Darka chyba w najgorszym w życiu dołku. Wystarczyło kilka chwil i obaj panowie się dogadali. Bart kazał mu przyjść jutro pod podany adres wypisany na karteczce. I kazał mu się ostrzyć tak jak on.

Kiedy stanął się nazajutrz pod wskazanym adresem, drzwi otworzył mu Bart i szybko wciągnął do środka.

- Słuchaj, to był ostatni raz, kiedy widział nas ktoś razem. Masz klucze i wchodzi sam, gdy się tutaj umówimy, a wcześniej zawsze rozglądaj się i sprawdź, czy akurat nie idę. Od tej chwili jesteś tam, gdzie powinienem być ja, ale nigdy ze mną. Zrozumiano?

Kiwnął głową. Zrozumiał. Zaczęli przygotowania do pierwszego występu. Bart przekazał godzinę i miejsce, gdzie Darek powinien się jutro pojawić. Najtrudniejsze zadanie to zagadać do kogoś, kto kojarzy Barta, ale tak, żeby rozmówca się nie zorientował w podmiance. Ćwiczenia trwały wiele godzin. Darek wrócił do domu wykończony, ale w kieszeni siedział okrągły tysiąc jako zadatek.

Następnego dnia poszło gładko; spędził cały wieczór we wskazanym pubie. Wedle informacji z wczorajszego szkolenia jedną z osób pracujących w knajpie była dziewczyna o imieniu Sandy. Bart pokazał mu jej zdjęcie. Darek miał podejść do kelnerki i pozdrowić ją, a potem pod byle pretekstem oddać się, nie rozmawiać dłużej. Gdyby Sandy nie było, miał uderzyć do barmana i natarczywie się o nią dopytywać, a potem powiedzieć, że szukał jej Bart. Na tyle natarczywie, żeby barman go zapamiętał. Sandy miała akurat dzień wolny, więc Darek vel Bart ponarzekał trochę barmanowi, że jej nie zastał, i poszedł. Dwa dni później dostał kolejny tysiąc funtów i pochwałę; podobno kilku ludzi widziało Barta przedwczoraj w pubie.

Od tego dnia zaczęli stałą współpracę. Okazało się, że Bart stosował wiele metod zostawiania po sobie tropów. A to wypożyczenie stosu książek w bibliotece wraz z elektroniczną rejestracją karty czytelnika i marudzeniem bibliotekarce o tytuły, które powinny być dostępne, a to reklamacja wadliwego sprzętu AGD w supermarkecie wraz z awanturą o złą obsługę i podaniem danych kontaktowych. Wszystko pomyślane tak,

aby o konkretnej godzinie zostawić gdzieś ślad swojej bytności, wyraźne wspomnienie twarzy i osoby. Bart uczył również Darka, co robić, gdyby ktoś zaczął go wciągać w dłuższą rozmowę; znajomy niechybnie zorientowałby się w podmiance.

Tygodnie płynęły. Tysiąc funtów co tydzień to całkiem niezły sposób na poprawę humoru, ale wraz z pieniędzmi pojawiły się rosnące wątpliwości. W czym właściwie uczestniczył? Bart za kilka godzin fatygi lekką ręką płacił mu tysiąc funtów. Logika podpowiadała, że sam w tym czasie musiał zarabiać przynajmniej kilka razy tyle. Za jaką robotę dostaje się tyle pieniędzy? Jaka fucha wymaga alibi? Darek doszedł początkowo do wniosku, że prawdopodobnie współpracuje ze złodziejem. Solennie obiecał sobie, że pociągnie to kilka tygodni, a w międzyczasie znajdzie jakieś lepsze zajęcie. Najlepiej wyjedzie gdzieś daleko, zostawi ten syf za sobą. Ale dni mijały, ilość pracy była w porównaniu z poprzednią harówką minimalna, a pieniądze rzeczywiste. Ostatecznie nie robił nic złego. Chyba nie mógłby iść za to za kratki. O ile Bart go nie wsypie jako współnika...

Po następnych kilku tygodniach postanowił zerwać ten układ; nerwy zaczęły dawać o sobie znać. Nie mógł spać, ciągle się zastanawiał, w co się wpakował. Pieniądzy miał tyle, że spokojnie starczyłoby na skromny początek gdzieś indziej, a tutaj instynkt każdego dnia go ostrzegał, że uczestniczy w czymś okropnym, że prawdopodobnie to nie kradzież, ale coś znacznie gorszego. Raz przyszedł na spotkanie i Bart już był, sprawdzał broń. Chyba to była broń. Szybko ją schował, więc Darek nie miał pewności, ale złe przeczucie pozostało.

Kiedyś zgodnie z umową spędził wieczór w klubie karaoke, gdzie wpisał się na listę występujących, a następnego dnia dowiedział się z telewizji o śmierci wiceburmistrza Manchesteru, zastrzelonego przez snajpera. Darek się przeraził. Czyżby był przykrywką dla mordercy? Boże! Stwarzając dla niego alibi, stawał się współwinny! Bart może go wrobić, kiedy tylko zechce, a to nie jest warte nawet stu tysięcy funtów.

Postanowił uciec. W pierwszym porywie chciał pójść do Barta, rzucić mu w twarz oskarżenie i te jego krwawe pieniądze.

Akurat! Zdrowy rozsądek zarechotał. Chcesz oddać wszystko, co dostałeś, może jeszcze z lichwiarskimi odsetkami? A może sądzisz, że Bart, ten miły człowiek, nic ci nie zrobi, bo ceni uczciwość i otwartość? Zapytajmy wiceburmistrza Manchesteru i pewnie kilku innych.

Darek przypomniał sobie przestraszoną twarz swojego ostatniego niesolidnego szefa, jego trzęsące się ręce. Domyślił się, kto go tak nastraszył. Bart już wtedy zaplanował, że wykorzysta ich podobieństwo; dlatego zmusił tamtego typu, by zwrócił mu pieniądze. Chciał zyskać przychylność Darka.

Z odejściem postanowił poczekać na dogodny moment. Nic nie powie, a kiedy właściwy moment nadejdzie, wykona ostatnie zadanie jak zwykle i po prostu zniknie. Wyjedzie zaraz po spotkaniu, żeby dać sobie jak najwięcej czasu na zatarcie śladów. Tymczasem dowie się czegoś o swoim zleceniodawcy. Śledził go. Było to zadanie jednocześnie trudne i łatwe. Trudne, bo musiał się trzymać z dala od niego – ich podobieństwo było uderzające – a łatwe, bo mógł podczas jego nieobecności wejść do kamienicy, nie wzbudzając podejrzeń. Udało mu się ustalić, gdzie mieszka naprawdę, pod jakim imieniem i nazwiskiem występuje wobec swoich sąsiadów. Nic szczególnego, samotny człowiek w małym mieszkaniu.

Tamtego dnia uznał, że właśnie nadszedł dobry moment na rozstanie. Bart wspomniawszy coś o dłuższej przerwie w spotkaniach, więc mógłby się wycofać bez wzbudzania podejrzeń. Spóźnił się wtedy, co zdarzyło mu się po raz pierwszy. Był wściekły nie siebie, bo chciał, żeby tamten zaczął coś podejrzywać. Lepiej być punktualnym w takiej sytuacji. Bart czekał od dobrych dwudziestu minut, a to Darek miał być zawsze pierwszy, o ile nie umówili się inaczej. Pewnie tam siedzi i się wkurza. Podbiegł do drzwi – były lekko uchylone. Trochę go to zdziwiło, bo zwykle były zamknięte na zamek. Wszedł, zatrzęsnął za sobą drzwi. Cisza.

Zobaczył go leżącego we krwi. Strzały porwały mu klatkę piersiową, ale w głowę nie trafił żaden pocisk. Bart wlepił w niego nieruchome spojrzenie, pełne żalu, że spóźnił się na umówione spotkanie, wskutek czego to on zginął, a nie jego dobrze opłacany sobowtór. Darek stał przez chwilę jak rażony piorunem. To rzeczywiście mógł być on! Może główny cel Barta stanowiła właśnie taka sytuacja? Nie alibi, nie pojawianie się w innych miejscach, ale wystawiania sobowtóra na śmierć. Zawsze miał być wcześniej. I kazał mu się pokazywać w swoim imieniu coraz częściej, w różnych miejscach. Czemu wcześniej na to nie wpadł? Przecież tacy jak Bart giną marnie. Gdyby przyszedł o czasie, leżałby teraz na podłodze, wypatrując nieruchomym okiem kolejnego tysiąca za dobre udawanie pracodawcy.

W pierwszym odruchu poczuł się wolny, zniknęło męczącą uczucie, że jest czymś narzędziem, dziś dobrze opłacanym, ale jutro... Zaraz potem otrzeźwiła go myśl, że śmierć Barta wcale nie rozwiązuje jego problemów. Wręcz je potęguje. Wcześniej nikt ich nie kojarzył, ale teraz, kiedy ten człowiek nie żyje, widok Darka na ulicy może niejednego zastanowić. Co gorsza, zabójstwo to policja i śledztwo. Będą badać wszystkie ślady, będą się dopytywać, przeszukają dom. Rozejrzał się wokół.

„Boże, w mieszkaniu jest na pewno pełno moich odcisków palców!” – pomyślał. Miałby również motyw, żeby się go pozbyć. No i to pieprzone podobieństwo. Musi zerwać wszelkie łączące ich więzy, wszelki ślad ich kontaktów. Teraz to on może być poszukiwany zamiast Barta, on może być kojarzony z jego ciemnymi sprawkami. Przerażony chwycił obrus ze stołu i zaczął nim chaotycznie wycierać meble, chcąc zetrzeć swoje odciski palców. Trud wydawał się daremny, przedmiotów było za dużo. Po chwili nie pamiętał, czego dotykał, a czego nie. W panice miotał się po pokoju, łkając i przeklinając dzień, kiedy poznał Barta. Nieruchome ciało obserwowało beznamytnie te wysiłki, tak jakby mówiło: „płacz, to wymagam”. Darek rzucił się, by przeszukać zwłoki; brzydził się, nie chciał dotykać trupa, ale nie mógł dopuścić, by

zostało przy nim cokolwiek, co zdradziłoby jego tożsamość albo znajomość z Darkiem.

Martwy Bart miał w kieszeni telefon komórkowy, kilka funtów i klucze do mieszkania w kamienicy. Darek wziął to, po czym rozejrzał się wkoło dzikim wzrokiem. Musi usunąć swoje ślady, a nie da rady wszystkiego wytrzeć, posprzątać. Poza tym ktoś mógłby tu przyjść. A jak wróci morderca? Przypadł do okna i obserwował chodnik przed domem. Pożar. Tak, spali mieszkanie i zwłoki Barta. Przede wszystkim zwłoki.

Wypadł na ulicę, po chwili popędził z powrotem, spostrzegłszy, że całe ręce ma we krwi. Musi się umyć. Widział go ktoś? Nie mógł sobie przypomnieć, nie był pewien. Tym bardziej trzeba się spieszyć. Pobiegł po benzynę.

Po kwadransie wrócił z kanistrem, polał ciało benzyną, polał wszystko wokół, podpalił kałużę. Chwilę obserwował, jak płomień potężnieje i zajmuje coraz większą powierzchnię. Potem uciekł. Biegł w panice kilka minut, byle dalej od feralnego mieszkania. Niech się tam spali, niech go piekło pochłonie.

Siadł na ławce w parku i ukrywszy twarz w dłoniach, snuł rozmyślania. Godziny mijały; jakiś czas padał drobny deszczyk; dzieci bawiły się na pobliskim placu zabaw; Darek powoli się uspokajał.

Wieczorem poszedł do mieszkania Barta w kamienicy, musiał sprawdzić, czy nie ma tam czegoś, co mogłoby go obciążać. Ukłonił się grzecznie sąsiadce, która akurat schodziła z wyższego piętra. Starał się stać do niej tyłem, nie prowokować rozmowy. Chyba nie wzbudził podejrzeń. Mieszkanie było na szczęście skromnie wyposażone. Łóżko, szafa, biurko, telewizor. Szybko przejrzał każdy kątek, dotykając rzeczy tylko przez chusteczkę. Ale nic tam nie było – kilka ubrań, kubki, dwa talerze, miniaturowa replika rzeźby Wenus. Jedynie laptop schowany w szafie mógł zawierać jakieś informacje. Spakował go do torby. W szufladzie biurka znalazł kilka tysięcy funtów; już miał je wziąć, ale przypomniał sobie, jak Bart zarobił tę kasę. Machnął ręką, nie będzie

żyć z pieniędzy za morderstwa. Potem ponowił przegląd mieszkania; tym razem pukał w ściany, szukając potencjalnych skrytek. W toalecie były drzwiczki w ścianie – prawdopodobnie kryły pion wodny z dostępem do zaworów. Zajrzał tam, ale nic nie zauważył; na wszelki wypadek włożył rękę przez otwór i pomacał porowate ściany oraz wilgotne złącza rur wodociągowych. Ogarnęło go obrzydzenie, gdy wyczuł watę pajęczyn i lepki kożuch kurzu. Wtem natrafił na jakiś kształt. Pudełko, takie jak na buty. Leżało na występie muru, do wykrycia jedynie przez najbardziej zawziętych poszukiwaczy. Wyciągnął je. Wcale nie było zakurzone, najwyraźniej Bart wsadził je tam niedawno. Usiadł na kanapie i otworzył pudełko.

W środku było pełno papierów, wycinków prasowych, zdjęć, małych karteczek typu post-it. Rodzaj historii poczyniń. Znalazł dowód osobisty z podobizną Barta wystawiony na nazwisko Piotr Krzyżowski. Znalazł również kilka wycinków prasowych z doniesieniami o zabójstwach. Prawdopodobnie Bart, czy raczej Piotr, zbierał artykuły na swój temat. Orderów za to, co robił, nie dają, więc chociaż stare gazety będą świadczyć o pełnych przygód dniach młodości. Były też zdjęcia, bardzo wiele zdjęć, przedstawiających różnych ludzi, w większości sfotografowanych jakby z ukrycia, w trakcie zwykłych codziennych czynnościach, nierzadko uwiecznionych w ruchu albo podczas rozmowy z kimś na ulicy. Najwyraźniej każdy zamach został poprzedzony wywiadem i zbieraniem informacji. Profesjonalista. Żadnej broni w domu, żadnych krwawych śladów, ot, skromny człowiek, który tylko raz na kilka dni robi wypad na miasto. Darek trafił także na swoje zdjęcia, i to nie tylko z ostatniego okresu. Były też inne, z dawniejszych czasów; Bart musiał go przyuważać już wcześniej.

- A to perfidna... - mrucał pod nosem, oglądając siebie sprzed kilku miesięcy.

W pudełku leżały jeszcze srebrny krzyżyk z łańcuszkiem, kartka walentynkowa z podpisem „Pamiętaj mnie. Gosia” i wyrwana strona z notesu z adnotacją „24 maja the Bull’s Pub spotkanie 3.15 am”. Darek

zapatrzył się w krótką notatkę, wazył coś w myślach, zastanawiał się. W końcu wstał i gwałtownym ruchem wrzucił wszystko do torby. Wyszedł z mieszkania i zamknął starannie drzwi na klucz. Wracając do siebie, zahaczył o okolice feralnego domu; w czerni nocy ciężko było coś rozpoznać, ale dostrzegł ciemny ślad na murze przy oknie, a w powietrzu unosił się zapach spalenizny. Pożar został już ugaszony.

Policjanci z Dagenham

Następnego ranka Liver wkroczył do komisariatu, trzymając w dłoniach kubek kakao i wielką słodką bułkę. Niezawodny sposób na dobry początek dnia. Tak było i tym razem. Błogi, kretyński uśmiech rozlewał się po twarzy komisarza, oczy przesłaniała mgiełka porannej przyjemności, lekka jak wata cukrowa.

- Helo, hej, jak leci? – odpowiadał na pozdrowienia i inicjował „small talk” ze znajomymi, idąc przez biura londyńskiej policji.

W końcu dotarł do swojego plastikowego królestwa, Shaker już tam siedział i ze zmarszczonym czołem analizował obraz w komputerze.

- Dzień doberek, szanowny panie konstablu. Dziecko żyje czy zaczęło się u srogiej niemieckiej nauczycielki na śmierć?

Shaker podniósł zdumiony wzrok, nie rozumiejąc, o co chodzi. Po chwili uświadomił sobie, że komisarz prawdopodobnie mówi o jego córce.

- Nie, nie. Wszystko w porządku. Lucy bardzo lubi zajęcia u pani Schwarzenbrot, a ona na szczęście miała chwilę czasu i mogła nieco dłużej z nią poćwiczyć. Bardzo miła osoba.

Przez głowę komisarza znów przemknął obraz wrzeszczącej niemieckiej nauczycielki z trzcinką w dłoni. Jego ciało przeszył dreszcz podniecenia.

- A co z naszą torbą? Znalazła się? – przeszedł do spraw służbowych.

Shaker zafrasował się.

- No, właściwie nie. Szukam od dobrych trzech godzin jakiegoś punktu zaczepienia, ale ci wszyscy, którzy niosą torby, nie kojarzą się z niczym, ani mnie, ani naszemu super programowi. Mieliśmy dużo szczęścia z tym Grzegorzem Kawalcem, że nam się tu pojawił. Hm,

jeden mnie zaintrygował, człowiek wygląda jakby specjalnie zasłaniał twarz.

– Pokaż go.

Shaker otworzył zrzut ekranu. Zobaczyli w powiększeniu człowieka w zielonej kurtce i kapturze mocno ocieniającym twarz. Gdyby w ciemnościach twarzy jarzyły się dwa czerwone punkciki, dostałby z pewnością rolę w *Gwiezdnym Wojnach*.

– Niewiele tu widać. – Liver stanowczo spodziewał się czegoś więcej.

– Przesłałem zapytanie do wszystkich, czy nie było jakiegoś zdarzenia z udziałem człowieka w zielonej kurtce z kapturem i torbą na ramieniu. Nie spodziewam się niczego specjalnego, ale niech inni też ruszą mózgowicami.

Liver chrząknął, nie wiedząc, czy słowa Shakera odnoszą się do wszystkich innych, czy do tych innych, którzy piją sobie kakao i jedzą buły, czekając na możliwość zaraportowania wyników cudzej pracy. Na wszelki wypadek zrobił minę typu „autorytet moralny” i pełnym godności krokiem ruszył w kierunku swojego plastikowego pudła. W kieszeni druga bułka szeptała o nadchodzących rozkoszach podniebienia. Otworzył pocztę – Smith przesłał mu maila, którego treść zawierała się w jednym znaku zapytania. Ależ namolny! Ledwie wyszedł, a już chce wyników. Pewnie szef go pili, a tego szefa jego szef, a szefa szefa inny szef, a tego szefa wiceminister, wiceministra minister, ministra powinien pilic premier, ale ponieważ oszczędzają mu zmartwień, to nie jest o niczym powiadomiony; poziom wyżej jest królowa i ona pewnie też pili. Innymi słowy królowa bardzo naciska, żeby Shaker się pospieszył. Ale to i tak za wcześnie, wyniki nie rodzą się w godzinę. Już miał podnieść słuchawkę i podzielić się ze służbami specjalnymi swoimi poglądami na tego typu zaczepki, ale wtedy ktoś zapukał do drzwi, a głos Shakera zaanonsował:

– Komisarzu, jest interesujący meldunek.

Cholera, a może jednak Shaker dał radę?

Po chwili obaj siedzieli nad informacją od policji w Dagenham, że tamtejszy patrol pouczył wczoraj na ulicy człowieka z torbą na ramieniu i drugą w ręce, ubranego w zieloną kurtkę, czarne dżinsy i czarne buty. Osobnik ten omal nie spowodował wypadku, wybiegając na ulicę. Patrol zwrócił mu uwagę i spisał personalia. Piotr Krzyżowski, Polak, numer dowodu, adres w Polsce.

- Lee, włożył ktoś pod samochód i już halo, wąpnię... - Liver już zaczynał swoją tyradę, ale Shaker wklepał dane do bazy policyjnej. Po chwili oglądali zdjęcie i opis młodego człowieka wraz z jego dokonania. Udział w napadzie z bronią w rękę; nic mu nie udowodniono, na jego winę wskazywały jedynie poszlaki, w opinii sądu nieprzekonujące. Historia urywała się cztery lata temu. Od tamtej pory nie był w kontakcie z policją. Zaczęli porównywać zdjęcie z akt z zapisem kamery, ale drab w kapturze w niczym nie przypominał draba z bronią w rękę sprzed czterech lat.

- Hm, no tak - zmitygował się Liver - notowany. To zmienia trochę moje nastawienie. Ale gdyby miał poważne zlecenie, to na pewno by się nie dał tak głupio przyłapać przez zwykły patrol. Albo by powiedział, że nie ma dokumentów i podał byle jakie dane, przecież by go nie zamknęli.

- Ten patrol mógł go zaskoczyć. Ja też czasem głupieję, jak mnie ktoś zaskoczy - zastanawiał się konstabl.

- Shaker, wolicie cappuccino czy espresso?

- Eee...

- Rzeczywiście, głupiejecie przy szybkiej akcji. Nie nadajecie się na zabójcę. Trzeba poćwiczyć refleks. Proponuję cappuccino. - Liver udał się do źródła brejowatej cieczy w kubkach. Shaker właśnie miał powiedzieć, że woli espresso, ale maszyna już buczała, dolewając mlecznej pianki do zamówionych napojów.

- Tja, zadzwonimy do naszych kolegów z Dagenham, zburzymy im trochę ten prowincjonalny spokój grajdołka. - Liver wyszukiwał właśnie numer do policji w Dagenham. Wystukał. - Halo, komisarz Liver,

Londyński Departament Policji. Z konstabłem Backwindem proszę... A, to pan. Dostaliśmy od was informację o człowieku w zielonej kurtce. Zgadza się?... Panie Backwind, bądź pan tak dobry i otwórz bazę, ten typ tam jest, i powiedz nam, czy to był ten gość... Tak, czekam... Co? To on? Aha. Chyba się tam do was przejeździemy... Halo, co to za hałasy, halo, jesteś pan tam jeszcze?... Tak, słucham, co, a, pani Forewind, miło mi, Liver z Londyńskiego i tak dalej... A, też była pani na tym patrolu?... Aha, to nie on, ale pan Backwind... Aha, rozumiem, jest mężczyzną, aha, nie ma zmysłu obserwacji i nie rozpoznałby nawet... Proszę bez przesady, to się kwalifikuje już pod mobbing. Dlaczego sądzi pani, że to nie ten?... Kolor oczu inny... Hm, tym bardziej się tam przejeździemy. Do widzenia.

Liver odłożył słuchawkę, otarł pot z czoła i zamyślił się.

– Shaker, jesteście nieocenieni. W sfilmowanym tłumie Bogu ducha winnych przechodniów znajdujecie gościa bez twarzy, który posługuje się prawdopodobnie skradzionymi dokumentami kryminalisty i być może jest płatnym zabójcą dybiącym na życie naszego premiera. Z takimi wynikami pracy nigdy nie awansujecie, bo ja was od siebie nie puszcę.

Shaker pokraśniał na tę pochwałę, potem westchnął nad swoją mizerną dolą odwalacza czarnej roboty i wszechwiedzącego mózgu. Po kilkunastu minutach Liver pojawił się w płaszczu i kapeluszu.

– No, Shaker, przewietrzmy się w Dagenham. Smith załatwił nam pozwolenie u Starego na wszelkie działania w tej sprawie, więc na wycieczki radiowozem na sygnale też.

Po dłuższej chwili pędzili przez zatłoczone miasto. Liver podśpiewywał jakieś arie operowe i piosenki; Shaker rozpoznał *Traviatę*, *Carmen* przeplatane *Iron Man* Black Sabbath i *Hey Jude* Beatlesów. Samochód pędził, spychając innych uczestników ruchu na chodniki i boczne pasy; kilka razy o włos uniknęli kolizji. Shaker wpijał się zbiegającymi palcami w tapicerkę fotela, przed każdym zakrętem zamykając oczy. W głowie huczała mu kolejna pieśń intonowana przez

Livera. Rany, zdążył już zapomnieć, jak ten człowiek jeździ! Widząc tablicę z napisem Policja Dagenham, zaniósł modły dziękczynne za szczęśliwe ocalenie i pokłonił się w myślach twórcom kolei podmiejskiej, którą wróci. Za żadne skarby nie wsiądzie już do tej pędzącej trumny z migającym światłem na dachu.

– Która to Forewind, he?! – Liver wpadł do miejscowej komendy jak huragan. Domyślił się po tonie głosu kobiety i natychmiastowym zamilknięciu konstabla Backwinda w telefonie, że policjantka z Dagenham to niezła herod-baba, i postanowił się z nią rozprawić bez skrupułów już na wstępie.

Po chwili wyszła im na spotkanie szczupła blondynka, lat około trzydziestu, w dopasowanej spódnicy, sięgającej przepisowo za kolana. Ładnie zarysowane usta i niebieskie oczy emanowały pięknem i pełną niewinności urodą.

– Ee, mhm, no tak, Liver, bardzo mi przyjemnie. – Komisarz na sam widok koleżanki po fachu zmiękł jak ciepły wosk. Odruchowo podciągnął spodnie i przeczesał resztki włosów na głowie. – Miło spotkać tak urocze kwiecie w brytyjskiej policji. My w sprawie pana Krzyżowskiego.

– Pięknie pan to wymawia, komisarzu. Jestem pełna uznania, bo my nie radzimy sobie z tymi polskimi imionami i nazwiskami. A coraz ich więcej. – Pani Forewind dodała do uroczonego wyglądu kilka miłych słów i Liver już dałby się za nią pokroić, w imię braterskich więzów łączących funkcjonariuszy brytyjskiej policji, rzecz jasna. Shaker wzniosł oczy do nieba i westchnął. Stojący w drzwiach konstabl Backwind mrugnął do niego porozumiewawczo; najwyraźniej był już oswojony z wrażeniem, jakie wywierała na mężczyznach jego koleżanka.

– Przejdźmy do biura – zaproponowała urocza blondynka.

– Tak, tak, do biura, a jakże – podchwycił entuzjastycznie Liver i szarmancko przepuścił policjantkę przodem, a następnie prawie staranował Shakera, który ruszył tuż za nią.

Po kilkunastu minutach stali na ulicy, Liver trzymał notatki w ręku, a jego twarz wyrażała niewyobrażalną tęsknotę i żal. W końcu westchnął i powiedział do podwładnego:

– Shaker, walnijcie mnie w głowę. Ale tak od serca.

Konstabl zrobił zdziwioną minę, Liver – wyczekującą.

– No, w głowę, już!

Kto by pomyślał, że taki chuderlak ma tyle siły w pięści. Liver zatoczył się aż pod mur i wrzasnął:

– Jak mówię w głowę, to nie znaczy na chirurgię. Skąd wy macie tyle pary w łapach?

– A, trenowało się tu i ówdzie, nie zawsze byłem taki grzeczny.

– No cóż, dzięki. Cel osiągnięty, pani policjant to już tylko mgliste wspomnienie. Mam nadzieję, że posiadam jeszcze kilka zębów. Swoją drogą, powiedzcie mi, czy taki facet jak ja ma jeszcze szanse u kobiet?

Shaker odpowiedział, że tak, ale że to zależy od kobiety i jej gustu, od nastroju, pory dnia i kursu jena. Innymi słowy, Liver zrozumiał, że może się spodobać tylko jakiemuś wyposzczonemu seksualnie potworowi w kompletnych ciemnościach i po butelce wódki. Podziękował za szczerą opinię i obrażony ruszył na obchód okolicy.

Informacje zebrane w Dagenham układały się w następujący obraz: człowiek w zielonej kurtce, z torbą na ramieniu i drugą w ręce, wyglądającą jak mała walizka, bardzo się gdzieś spieszył i w pewnym momencie wbiegł na ulicę. Jeden samochód prawie go potrafił, a drugi zatrzymał się o włos od tylnego zderzaka pierwszego auta. Biegący człowiek był bardzo zaaferowany, bo ledwie zwrócił uwagę na zamieszanie, które wywołał. Policjanci go pouczyli, spisali nazwisko i na tym sprawa miała się skończyć. To była wersja pana Backwind, pani Forewind dodała kilka subiektywnych spostrzeżeń. Po pierwsze kolor oczu – w dokumentacji sprawy sprzed czterech lat napisano „brązowe”, a tamten miał niebieskie tęczęwki. Po drugie mężczyzna się spieszył i prawdopodobnie chciał złapać taksówkę, bo kiedy go zatrzymali, odprowadził wściekłym spojrzeniem właśnie przejeżdżający pojazd. A

po trzecie co chwilę zerkał w kierunku, skąd przyszedł, jakby obawiał się, że ktoś go goni.

Wszystkie spostrzeżenia seksownej policjantki były przyjmowane przez Livera z entuzjazmem godnym jakiegoś objawienia religijnego, dodatkowo rzucał pełne potępienia spojrzenia w stronę Backwinda, sugerujące, że ze swoimi męskimi, kiepsciutkimi obserwacjami jest niegodny przebywać w jednym pomieszczeniu z tą wspianiała wieszczką. Backwind wzdychał i powstrzymywał uśmiezek cisnący się na usta. Po chwili zrehabilitował się nieco, przekazując inną wiadomość. Konstabl wydedukował, że jeżeli dowód został skradziony, a sprawca jest bezwzględny draniem, to istnieje duże prawdopodobieństwo, że zabił właściciela dokumentu i gdzieś ukrył zwłoki albo je zmasakrował, tak aby nikt nie powiązał tych dwóch faktów. Policjanci wyciągnęli kilka spraw z ostatnich czasów, dotyczących znalezienia niezidentyfikowanych zwłok, oraz kilka zgłoszeń zaginięć osób. Jeżeli Liver sobie życzy, to mogą przekazać portret znajomym i krewnym zaginionych, może ktoś go rozpozna. Problem stanowiła twarz. Oboje funkcjonariusze zgodnie twierdzili, że była bardzo podobna do tej ze zdjęcia, i gdy patrzyli na plastikowy prostokąt, nie przyszło im do głowy, że to ktoś inny. Opis był po polsku, więc nic im nie mówił.

– Tak, Shaker. Mamy tu jakieś ciemne sprawy, niezależnie, czy to morderca, czy nie. – Gawędząc, doszli na miejsce spotkania policjantów z Darkiem. Ulica niczym szczególnym się nie wyróżniała. – Hm, szedł zaafowany, chciał szybko złapać taksówkę. Czemu nie zamówił jej telefonicznie? Może nie chciał. Sądzę, że wsiadł tu zaraz po spisaniu przez patrol. Trzeba by sprawdzić kursy z tej ulicy, i przyległych, kilka minut po spotkaniu – mrucał Liver do siebie, oglądając pobliskie kamienice. – Shaker, ubierzcie płaszcz, kraciastą czapeczkę i zapalcie fajkę, ja nie muszę ze sobą nic robić, odegramy kilka scen z Sherlockiem Holmesem i doktorem Watsonem.

Shaker zeszytywniał, jak zwykle przy żartach komisarza; potoczył wkoło czujnym wzrokiem, upewniając się, że nikt nie słyszał wygłupów Livera. Po chwili stwierdzili, że nic już tu nie dziają. Komisarz rozważał dwa warianty dalszego działania: jazdę do Londynu na wariata wyjąłym radiowozem z pieśnią na ustach bądź powrót na miejscową komendę i podziwianie ładnej pani, póki ich nie wyrzucą wieczorem. Shaker właśnie sprawdzał, gdzie jest najbliższy przystanek kolei podmiejskiej.

Paryskie przygody

Pociąg Eurostar z Londynu wjechał na dworzec Paris Gare du Nord w niecałe trzy godziny po wyjeździe. Darek westchnął, przypominając sobie dla porównania połączenie Łomża-Warszawa, i nie było to piękne wspomnienie.

Wymienił trochę pieniędzy na euro, pojechał metrem nad Sekwanę. Stał przy kamiennej balustradzie i zamyślił się. W oddali słynna wieża, trochę bliżej Luwr. Spełnia się właśnie jego marzenie, jest bogaty i wolny. Dziś spędzi miły wieczór w Paryżu, może kilka dni tu zabawi, a potem... Wyobraźnia podpowiadała mu fantastyczne wizje: palmy, szmer oceanu, piękne Mulatki. W każdym razie koniec z kafelkowaniem i mieszaniem wapna na budowach, koniec spania w zatęchłych czynszowych klitkach, koniec żarcia chińskich zupek. Potem przypomniał sobie swojego zleceniodawcę. Trzeba szybko pojechać gdzieś dalej, zatrzeć wszelkie ślady, nie mogą go znaleźć. Aż dostał ciarek na myśl, że mogliby go odszukać. Tacy nie mają litości. Biznes jest biznes – nie umie zabijać, nie powinien się pchać.

Wybrał elegancki hotel blisko Pól Elizejskich, apartament ambasadorski. Brzmiało nieźle. Pieniądze umieścił w sejfie i poszedł na miasto. Pierwsze, co trzeba zrobić, to utrzymać Grzegorza w przekonaniu, że sprawy idą dobrze.

Wsiadł w podziemną kolejkę i udał się w odległy rejon miasta. Tutaj wieża Eiffla była tylko cieniutkim przecinkiem widocznym w mglistej oddali pomiędzy dachami betonowych osiedli. Wychodząc na peron, doznał wrażenia, że znalazł się w Afryce. Biały człowiek był tu rzadkością. Ruszył główną ulicą dzielnicy; po kilkuset metrach trafił na kawiarenkę internetową i faks, takie punkty są oblegane przez

czarnoskórych i śniadych ludzi meldujących swoim rodzinom, że nadal żyją, myślą o nich i tęsknią w tym dzikim, nieludzkim kraju nad Sekwaną. Wysłał na umówiony mail wiadomość: „Pracuję. Wszystko OK”. Wyszedł uspokojony, zleceniodawca nic od niego nie chciał. Skierował się w stronę stacji metra, odprowadzany pełnym ciekawości wzrokiem czarnoskórych stojących przy najbliższym klombie. Widać było, że się bardzo nudzili i czekali na jakiegokolwiek atrakcje, ale nikt go na szczęście nie zaczepił.

Wrócił do centrum. Emocje powoli opadały, w głowie krystalizował się plan ucieczki. Dodatkowo identyfikował w historii ostatnich dni ślady, które ewentualnie mogłyby stanowić punkt zaczepienia dla kogoś, kto by go szukał. Lista robiła się niepokojąco długa; niepewność co do efektu pożaru i ciała Barta, trochę zbyt pospieszny wyjazd, spotkanie z policjantami i jego identyfikacja według trefnego dokumentu... Listę potencjalnych wpadek powiększał nawet ostatni mail do zleceniodawcy. Po co miałyby się meldować? Poza tym na podstawie informacji z sieci można namierzyć, skąd się łączył. Snując takie rozmyślenia, udał się do jednego z setek klubów nocnych, gdzie postanowił odreagować wszystkie stresy, oddając się przyziemnym przyjemnościom ciała.

Wrócił do swojego apartamentu późnym wieczorem mocno wstawiony, z przygodną panienką uwieszoną u szyi; jakimś cudem trafił kartą w szparę czytnika przy kłamce. Apartament ambasadorski powitał ich eleganckim wnętrzem. Para uwalila się w namiętnym uścisku na wielkie łóżce; był to początek i zarazem koniec miłosnych paryskich przygód, bo kilka sekund później Darek zasnął kamiennym, pijackim snem. W ten sposób tradycji stało się zadość – Polak zalał się w trupa, jak jego ojcowie, dziadowie i pradziadowie zwykli czynić w radosnych momentach życia. Panienska chwilę poleżała, czekając na jakiegokolwiek dalsze atrakcje, jednakże widząc, że akcja nie posuwa się do przodu ani o jotę, szturchnęła zmęczonego kochanka, domagając się czegoś w różnych językach. Na pewno dało się rozróżnić słowo *money*, co na

leżącym nie zrobiło żadnego wrażenia; trwał w ramionach Morfeusza, wydychając promile pełną piersią. W końcu zniecierpliwiona dama wzięła sprawy w swoje ręce i przeszukała Darkowi kieszenie marynarki. Znaleziona kwota całkowicie ją usatysfakcjonowała, pocałowała męczycznę i poszła długim hotelowym korytarzem, poprawiając starannie bardzo krótką spódniczkę. W końcu wieczór się jeszcze nie skończył i trzeba jakoś wyglądać.

Godziny mijały, wielka metropolia, pomimo że nigdy nie zasypia, jak to dumnie głoszą slogany w przewodnikach po paryskich atrakcjach, to jednak po trzeciej w nocy staje się lekko ociężała. Nad tysięcznymi kamienicami krążyły już gołębie, wypatrując pierwszych oznak świtu, z pobliskiej piekarni dochodził zapach świeżego ciasta. Lokator apartamentu ambasadorskiego spał jak zabity, dokładnie w takiej samej pozycji, w jakiej zostawiła go powabna paryżanka po zaspokojeniu żądań finansowych. Jednakże pijacki sen ma to do siebie, że zaczyna się kamienną nieświadomością, ale potem przeradza się w spektakl, gdzie widziane oczyma duszy senne zjawy mieszają się ze świeżymi wspomnieniami pijackiej orgii, obrazami domu rodzinnego i wizjami postaci, które się kiedyś spotkało. A wszystko w oprawie zawirowań oraz zniekształceń głosu i obrazu. Świetnie to wiedział Mickiewicz, pisząc *Dziady*. Najpierw była czern. Wszystko było czarne i jednolite, a pomimo to ruchome. Po czym to poznać? Nie wiadomo, ale ruch i przemieszczanie są wbudowane w taką czarną magmę. Mogłoby się wydawać, że to świst wiatru daje takie złudzenie, odgłos podmuchu o pusty oczodół czaszki albo o skalny gzyms wytarty setkami butów samobójców. Ale może to zupełnie coś innego. Potem z czerni wyłania się obraz. Tu był to zarys człowieka. Po chwili dało się rozpoznać Barta – poorana kulami klatka piersiowa, twarz cała, ale bardzo nienaturalna. No tak, spalona. Po chwili obraz się wyostrza i widać wyraźnie popalone członki, wszystko szerniałe. Zęby szczerzą się w niby-uśmiechu, usta szepczą skargę. Nie dość, że zabity, to jeszcze spalony. Jak tak można? Jak tak można?

Darek zerwał się z łóżka, jakby go katapultowali. Nieprzytomnie rozejrzał się wkoło, szukając spalonych zwłok. Cisza. Na ulicy jakiś ruch samochodowy, ale tu cisza. Chociaż nie, szmery, słychać drobny, delikatny ruch, jakby za drzwiami. Zerwał się przerażony, dopadł do drzwi. Chwilę siłował się z klamką, w końcu wypadł na korytarz. Zobaczył kelnera zmierzającego w lewo w stronę windy ze swoim wózkiem; Darek poczuł, że musi zobaczyć twarz tego kelnera. Nie wiedział dlaczego, ale postać ta wywołała w nim straszny niepokój. Niby to normalne w hotelu, korytarz, kelner... Ale on był przerażony. Postąpił kilka kroków, zataczając się. Alkohol mocno jeszcze buzował mu pod czaszką.

- *Monsieur!* - krzyknął za odchodzącym, tamten przyspieszył. Ani myślał się odwrócić. - *Monsieur!* - Prawie się przewrócił o własne nogi. Podparł się o ścianę. Kelner tymczasem zniknął za zakrętem. Darek dobiegł tam jakimś cudem, ale korytarz był pusty i milczący. Zdezorientowany odwrócił się i zauważył, że ktoś wychodzi z jego pokoju i oddala się szybkim krokiem. Rzucił się z powrotem. Nie. Nikogo nie ma. Wzrok chyba płał mu figle.

- Cholera, kto tu łązi? - jęknął bełkotliwie, powiódł mętnym spojrzeniem wkoło, następnie zamknął drzwi. Poszedł do łazienki, gdzie zwymiotował mieszankę francuskiej wody i stresu ostatnich dni. Napił się wody, znów zwałił się na łóżko. Przed oczyma miał oddalające się plecy człowieka w kelnerskim uniformie. Czemu chciał go zobaczyć? Kto tu był? Wszystko rozplýwało się w wyobraźni... Znowu sen zaczął go delikatnie wciągać i choć usiłował się bronić przez chwilę, to był w nim już po pachy, po szyję. Tamten nie był człowiekiem, tylko zjawą, strasznym duchem, który krąży wokół ludzi, ciągnąc ich do piekła. Bezmyślnie zły chochlik...

Znowu zasnął. Tym razem Bart już nie przyszedł; ostatecznie Darek go tylko spalił, a nie zabił, więc duch nie miał powodu nawiedzać go zbyt często. Teraz śniły mu się piękne tulipany na łące, i piękne góry, i

słońce, a wiatr delikatnie gwizdał swoją melodię w pustej czaszce ofiary mordercy.

Policjanci z Dagenham, których nie było

Shaker i Liver spotkali się następnego dnia w swoim biurze. Komisarz nie dopytywał się o to, jak konstabl dotarł do domu. Skoro jest w pracy, to jakoś dojechał. Jeśli ktoś nie chce wracać radiowozem z fachową obsługą głębokiego bas barytona, to niech się gniece w metrze i kupuje bilet za prywatne pieniądze. Shaker również nie był ciekawy, jak długo Liver tkwił wczoraj w Dagenham, podziwiając policyjną nimfę. Wystali zapytanie do korporacji taksówkarskich, czy nie było w danym przedziale czasowym kursu z wybranego w Dagenham kwadratu ulic. Liver dodatkowo zadzwonił do policji w Dagenham z przypomnieniem wczorajszych ustaleń, a mianowicie że rysopis Krzyżowskiego ma zostać przekazany osobom, które mogą znać zaginionych.

Shaker obserwował swojego pryncypała przez szybę z pleksiglasu; lubił takie pantomimy, lubił zgadywać, z kim i o czym komisarz rozmawia. Teraz wyraźnie widział emocje targające Liverem – początkowo jego twarz była spokojna i uśmiechnięta, przy wybieraniu numeru wypłynął na nią obłoczek oczekiwania i nadziei (a nuż natknie się na ładną panią i zamieni kilka miłych słów), po nawiązaniu połączenia – szary cień zawodu, kąciki ust opadły, następnie cała twarz stężała w napięciu, nerwowe pytania, złość i niedowierzenie, później tylko niedowierzenie, długa tyrada przez telefon, perlisty pot na czole. Po chwili Liver wyszedł z boksu, minął Shakera jak burza, wypadł na korytarz, echo poniosło trzask zamykanych drzwi. Wrócił po kilku minutach, wyraźnie spokojniejszy. Siadł koło Shakera.

– Shaker, gdzie myśmy wczoraj byli?

– Jak to gdzie? W Dagenham. Na posterunku policyjnym, a potem w mieście.

– I z kim tam rozmawialiśmy?

– Z konstabłem. Jakże mu tam...? Backwind. I z ładną panią Forewind.

– I wyście też tam byli i ich widzieliście? Co nam powiedzieli?

Shaker wbił przestraszone spojrzenie w szefa.

– Ale o co chodzi? Coś przeskrobaliśmy?

Liver bez słowa podał mu telefon, podyktował numer.

– Poproście ich do telefonu.

Konstabl usłyszał męski głos w słuchawce.

– Halo, mówi Shaker z Londyńskiego Departamentu Policji, proszę z panem Backwind...

Chwilę słuchał, a jego twarz przechodziła podobne metamorfozy jak oblicze komisarza przed kilkoma minutami. Następnie odłożył słuchawkę i spojrzał niepewnym wzrokiem na Livera.

– Nie ma tam takich funkcjonariuszy. I nigdy nie było. Ale jak...

– No właśnie. – Komisarz wszedł mu w słowo. – Jak? Przecież dostałem w gębę z jakiegoś powodu. Czy może pobiliście mnie bez powodu?

– Ale przecież pani Forewind... – westchnął konstabl.

– Nie ma żadnej pani Forewind, Shaker. Spójrzmy w bazę funkcjonariuszy.

Zbliżone alfabetycznie znaleźli tylko panie Formont i Forcrot, podobnie wyglądała sprawa z funkcjonariuszem Backwindem.

– Shaker, rozmawialiśmy z duchami, a duchy mają to do siebie, że lubią się pojawiać tym samym osobom w różnych okolicznościach i najchętniej wtedy, kiedy nikt się ich nie spodziewa – przemówił Liver grobowym głosem.

Obaj zaczęli się rozglądać zląknieni... W tym momencie wiatr trzasnął niedomkniętym oknem, świetlówka zamrugła, a kartki na

stole rozsypały się jak pod wpływem silnego podmuchu wiatru. Shaker przełknął nerwowo ślinę.

- I co teraz? - wyszeptał.

Przeciąg uciął, kartki spoczęły na swoich nowych miejscach. W plastikowym biurze zapadła nienaturalna cisza, tylko wentylator komputera lekko szumiał.

- No cóż... - Liver przerwał ten dziwny stan. - Stara zasada mówi: gdy nie wiesz, o co chodzi, a duch w tym macza palce, to lepiej zostaw duchowi sprawy ducha, a zajmij się swoimi. A gdy duch nie duchowym życiem chce się zająć, a twoim, daj mu rąbek, najlepiej baletnicy, ale w kaszę nie daj sobie dmuchać.

- Czyli co konkretnie? - Shaker chyba nie zrozumiał przesłania.

- Czyli robimy zakład Pascala, tyle że o duchach, a nie o Bogu. Działajmy tak, jakby duchy były, a jeżeli ich nie ma, to i tak nic nie tracimy.

- No dobra. A jak to ująć w raporcie? Według słów ducha pani Forewind... O nie, nie! Nie dam się wkręcić! Ja się namęcę, napiszę, nawymyślę, a pan będzie znowu umierać ze śmiechu w swoim boksie, że Shaker kolejny raz dał się nabrać. Nie ma głupich! Ma być człowiek, nazwisko, data urodzenia i tak dalej.

Liver wlepił kpiący wzrok w Shakera.

- Czy ja was kiedyś... - Ale w tej chwili przypomniał sobie przynajmniej z piętnaście sytuacji, kiedy wkręcił Shaker w różne sytuacje; zdaniem Livera bardzo śmieszne, zdaniem konstabla wcale.

Do biura wszedł Smith. Zamarli. Stał w progu, spostrzegł utkwione w siebie spojrzenia dwóch policjantów, zaciekawiony zaczął oglądać swój brzuch, szukając tego, co tak przykuwało uwagę funkcjonariuszy. Liver podszedł i obmacał go z każdej strony. Smith skamieniał z zaskoczenia.

- Co jest? - Po kilku sekundach odzyskał mowę. - Łapy przy sobie, Liver. Nie jesteśmy na lotnisku, a ja nie jestem ładną panią, którą chciałoby się przeszukiwać godzinami.

- Dobra jest. Ciało ma, musimy jeszcze sprawdzić, czy taki funkcjonariusz figuruje w bazie.

Już miał opowiedzieć Smithowi o przygodzie z nieistniejącymi policjantami, ale w ostatniej chwili ugryzł się w język. Jest profesjonalistą i nie zniszczy swego wizerunku, choćby się miał potem kwalifikować na leczenie psychiatryczne. Weszli ze Smithem do boksu. Shaker zameldował, że zgłoszono trzy kursy taksówek z interesującego ich rejonu. Firmy podały numery do kierowców i zaraz sprawdzi, czy któryś z nich wiózł poszukiwanego.

Liver streścił Smithowi wyniki ich poszukiwań. Przekazał rysopis, nazwisko i inne dostępne dane. Smith był jakiś nieswój, pewnie dostał burę od szefa, który – jak wiadomo – ma szefa, który ma szefa... I tak dalej. Innymi słowy, królowa go opieprzyła.

- Liver, obawiam się, że działamy za wolno. O wiele za wolno. – Smith najwyraźniej cytował swojego pryncypała i jego wzorem szukał kogoś, na kim mógłby się wyżyć. – Mój informator przekazał mi, że morderca działa na pełnych obrotach. Prawdopodobnie opuścił już Wielką Brytanię. Cały czas nie mam żadnych punktów odniesienia. Jeżeli ten człowiek jest już za granicą, to nie przechwycimy go ani na lotnisku, ani na promie, ani w pociągu. W Europie może jechać, jak chce i którądy chce, tam nie ma wody naokoło. Wtedy trzeba spróbować śledztwa w potencjalnym miejscu zamachu, a to już cienka sprawa.

Liver chciał mu powiedzieć, że to Smith działa za wolno, bo oni mkną z robotą jak lux torpeda, ale ostatecznie ugryzł się w język. Już drugi raz w ciągu kilku minut. Dumny ze swojego opanowania wysłuchał Smitha do końca, kiwając głową ze zrozumieniem. Tamten ciągle się użalał i marudził.

Wszedł Shaker, meldując, że jeden kurs pasuje do ich zapytania. Delikwent udał się na St. Pancras.

- Hm, a więc Eurostar, Francja, *mon cheri* – mruknął Smith. – Czas nagli, musimy wyjść z za biurka i zacząć działać w terenie. Liver,

załatwiłem nam wyjazd służbowy do Polski. Jako Polak z pochodzenia będziesz bardzo pomocny.

- Ale... - Liver nie miał ochoty wykorzystywać swoich zdolności w kraju przodków.

- Stary już podpisał zgodę, zostaliście oddelegowani do zadań o najwyższym priorytecie. Kraj i królowa będą z was dumni.

- Howgh - potwierdził Liver. - O ile nie zginę od kuli tego przyjemniaczka. Kto opłaca transport zwłok z zagranicy, kraj czy królowa?

- A to zależy, jaką polisę wykupisz przed wyjazdem. Najwyżej ambasada nada cię paczką poleconą, truposza każdy chce się pozbyć.

- No to mnie przekonałeś. Fantastyczna wizja.

Po kilku minutach został sam, zastanawiając się nad tym, jak królowa może być z niego dumna, skoro nawet nie wie o jego istnieniu. Sprawdził to kiedyś. Machał do niej podczas ślubu pary książęcej, a ona nie odmachała. Dumając tak o swoich najbliższych losach, włączył pocztę, by zrobić rutynowe kasowanie maili z całego dnia. Jeden przykuł jego uwagę - nie miał nadawcy. Nosił nagłówek „Re: Wizyta w Dagenham”. Oto jego treść: „Drogi Panie Liver. Przesłaliśmy rysopis omawianego człowieka do potencjalnych świadków lub znajomych osób zaginionych. Rozpoznano tę osobę jako poszukiwanego od kilku tygodni mężczyznę zamieszkałego przy Oxford Street 15. Sąsiadka, pani Mustain, widziała go po raz ostatni 14 maja bieżącego roku. Jeżeli chodzi o inne informacje, to skontaktowaliśmy się z panią Stoner w Ilford, Essex, Hampton Street, budynek 3. Sądzę, że może pomóc. Pozdrawiam, Forewind. PS Jest pan jednym ze wspanialszych i bardziej interesujących ludzi, z jakimi rozmawiałam na Ziemi. Nie mogę się już doczekać kolejnego spotkania”.

Liver opadł na oparcie fotela przerażony. Przeczytał wiadomość jeszcze raz, i jeszcze raz. Emocje zawiązały mu gardło w supełek. Co jest? Był przekonany, że więcej dziwnych wydarzeń nie będzie, a tu jakby kto worek rozwiązał. O co chodzi? Już miał się podzielić z

Shakerem wszelkimi wątpliwościami, ale... zostawił to na później. Shaker mógłby takiego szoku nie przeżyć, a był mu teraz bardzo potrzebny. Chwilowo pozostanie sam na sam z panią Forewind. A może z panem. Wzdrygnął się na myśl o ewentualnej przemianie seksownej blondynki w niedogolonego draba. Ale czy duchy mają płęć? Co powstanie ze związku ducha z człowiekiem? Przeczytał jeszcze raz. Mnóstwo informacji. Trzeba wszystko sprawdzić.

- Shaker! - przywołał podwładnego, który po sekundzie stanął w drzwiach. - Jedziemy do Dagenham, migiem!

Twarz konstabla zszarzała, ręce wpiły się mocno we framugę na samo wspomnienie ostatniej pogoni na sygnale ze śpiewem na ustach.

- To ja, ja... ja... jakoś sam dojadę, tak, tak, wezmę taksówkę i pojedę za panem. Mam tu coś jeszcze do zrobienia. Nie wyrwę się tak nagle...

- Zbierajcie się, obiecuję, że będę jechał wolno i cicho. Nie każesz mi chyba jechać do miasta duchów samemu, co?

Shaker drżącymi rękami zakładał kurtkę i co rusz zerkał na Livera, nie wiedząc, czy może mu ufać, ale ten wyglądał, jakby mówił poważnie. Bardzo poważnie.

Pilnuję cię

Oczy nie chciały się za nic otworzyć; on prze w jedną stronę, a powieki w drugą. A tych zmagani wcale nie ułatwia kołowrotek w głowie i jakaś taka dziwna pozycja żołądka, który ciśnie, jakby go ktoś wkręcił między żebra. Po kilkunastu próbach droga została przetarta, oczy patrzą. Czy widzą? Nie wiadomo, początkowo raczej nie. Ale po chwili jakiś obraz się ustala. W oknie faluje zasłona, wokół faluje ściana, stół lekko faluje... Nie! Stanowczo lepiej zamknąć oczy i przestać falować. Ale zamknięcie oczu niewiele zmienia, falowanie przenika wszędzie. W głowie lekko kołysze się mózg, objijając się o czaszkę jak łódka o pomost. O rany! Zwlókl się jakoś z łóżka i doczłapał do okna, które otworzył. Powiew powietrza zwiększył uczucie falowania, nogi same się poplątały. Dobrze, że we Francji okna mają balustradki, które przytrzymują pijanych przy mocniejszych przechyłach. Usiadł pod parapetem, wdychając gruchanie gołębi, szum samochodów. Znowu zasnął.

Po kilku godzinach obudził go jakiś hałas.

Czarnoskóra sprzątaczką stoi nad nim i o coś pyta. Pokazuje pokój i odkurzacz. On kręci głową. Żadnego sprzątanania. Kobieta wychodzi, oglądając się z politowaniem, a może z troską. Czas wstawać. Kącik pod parapetem gniecie coraz bardziej.

Całe szczęście falowanie odpłynęło.

– Pieprzone żabojady – jęknął. Powoli się podniósł.

Chłodna woda w łazience, można się polewać, można pić. Woda to życie. Uff!

Padł z powrotem na łóżko. Po co mu jakiś apartament ambasadorski? W jego obecnym stanie obora by wystarczyła. Powoli

zaczął sklejać wczorajsze skrawki swojego życia. Klub, wóda, tańce, wóda, jakaś panienka... Miał nadzieję, że to była panienka, miał również nadzieję, że bez HIV czy innego paskudztwa. Znowu wóda. Myśl o dziewczynie skierowała mu od razu rękę do wewnętrznej kieszeni marynarki. No tak. Lekkie zgrubienie na piersi zniknęło. Drogi ten Paryż. Bardzo drogi. W tym momencie zelektryzowała go straszna myśl. Zerwał się, podbiegł do szafki z sejfem. Klawiatura. Pik, pik, pik, pik. Chwała Bogu, torba nietknięta. Zatrzasnął drzwiczki. Uwalił się z powrotem na łóżko. Trudno. Jak się bawić, to się bawić, drobne koszty są wkalkulowane. Próbował dalej zbierać okruchy informacji z wczorajszego wieczoru, ale nic nie pamiętał. Pieprzone żabojady!

Po kilkunastu kolejnych minutach znowu wstał, trzeźwiał z każdą minutą, co nie było zbyt przyjemne. Głowa zaczęła boleć. Na stole coś leżało. Podszedł. Karteczka. Ktoś nagryzmolił kilka słów po polsku: „Pilnuję cię. Wszystko widzę, bądź ostrożny”. Darka oblał zimny pot. Rozejrzał się wkoło, po tym – wydawałoby się – bezpiecznym pokoju. Co to ma być? Jak przez mgłę zamajaczyły mu we wspomnieniach plecy kelnera i druga osoba wychodząca z jego pokoju. Przywidzenie? Chyba nie. Przecież ktoś to położył. Była jeszcze czarnoskóra sprzątaczką. Może jej ktoś to dał? Wypadł na korytarz w nadziei, że dziewczyna gdzieś tu sprząta i wyjaśni mu, skąd się wziął ten liścik. Ale nikogo nie było; zegar wskazywał czwartą po południu, sprzątaczkę już pewnie poszły do domu. Wrócił do pokoju, przeklinając swoją głupotę. Nie powinien tak się upijać, przecież w ciągu tych kilku godzin nieświadomości mógł wszystko stracić.

Postanowił się przewietrzyć; spacer wokół hotelu dobrze mu zrobi. Zamknął okno, zatrzasnął drzwi, zjechał windą do recepcji. Tam grzeczny portier przywitał go unizonym uśmiechem, choć Darek nie dałby sobie ręki uciąć, że nie kryła się w nim kpina z wczorajszego stanu gościa z ambadorskiego apartamentu. „A kpij sobie na zdrowie! Za karę będziesz siedział w tej portierni do emerytury, a ja mam swoją torbę i świetlaną przyszłość”. Szum ulicy, tłum ludzi, piekarnia,

bagietki. Czuł, że życie powoli wraca do jego ciała. Jest w Paryżu, ma kupę kasy. Jest wspaniale. Uśmiech wypłynął mu na twarz. Jakaś dziewczyna również uśmiechnęła się do niego.

I wtedy go zauważył. Stał po drugiej stronie ulicy w ortalionowej kurtce i czapeczce z daszkiem. Ten sam człowiek co w Londynie. Teraz był pewny, że jest śledzony i pomimo sprawnej akcji wyjazdu nie umknął prześladowcy. Cały dobry nastrój szlag trafił. Darek odwrócił się na pięcie i popędził do hotelu. Musi zniknąć, uciec stąd! Żadnych facetów w czapczkach. Przebiegł koło portiera. Pognął schodami. Miał nadzieję, że tamten nie wie, w którym pokoju Darek mieszka, i straci trochę czasu na poszukiwania, a on tymczasem porwie swoje pieniądze i zniknie. Wbiegł do pokoju. Otworzył sejf. Wypadł na korytarz z torbą w dłoni. Znaczący chciał wypaść, ale w drzwiach zderzył się ze swoim prześladowcą. Darek cofnął się i warknął po angielsku:

– Spadaj stąd. Jak się rozzłoszczę, to niewiele z ciebie zostanie.

Tamten spojrział na niego dość przyjaźnie i odpowiedział po polsku. W każdym razie nieomal po polsku.

– Wasz trud daremny, panie, jam z odsieczą, a nie z zamiarem wrogim przybył. Mój lord pozdrowienia i pomocną dłoń w twym zadaniu przesyła. Wytłumaczę ja to w spokojności komnaty.

Zamknął za sobą drzwi.

Darek z zaskoczenia nic nie odpowiedział. Usiadł na łóżku, tuląc do piersi swoją torbę, i czekał na bieg wydarzeń.

Ostrzeżenie od ducha

Pani Mustain z Dagenham mieszkała na Oxford Street 15 od trzydziestu lat i znała tu wszystkich. Chętnie spędzała czas, obserwując ruch uliczny, wchodzących i wychodzących sąsiadów. Równie chętnie nasłuchiwała przeróżnych odgłosów zza ścian, strzępków rozmów i klótni. Szczególnie lubiła awantury, smakowała je jak rodzyнки w ciastku swojej nudnej egzystencji. Podniesione głosy, emocje, przekleństwa były przyjemnym wspomnieniem wicherów minionego życia. Może i nie najszcześniejszego, ale przynajmniej ciekawego. Teraz, kiedy dzieci już dorosły, mąż umarł, a siostra cierpiąca na chorobę Alzheimera przestała być równorzędnym partnerem w rozmowie, obserwacja otoczenia stała się podstawową rozrywką podstarzałej, ale wciąż bystrej pani Mustain. Żałowała, że świat się tak bardzo zmienił, że ludzie się tak często przeprowadzają i tak dużo czasu spędzają w pracy. Kiedyś było inaczej, nie pędziło wszystko tak szybko, sąsiedzi tworzyli wspólnotę, znającą się dobrze, bacznie się obserwującą i komentującą każdy szczegół zachowania bliźniego. Dla bezpieczeństwa oczywiście też, ale nie ukrywajmy, przede wszystkim dla rozrywki. Dziś tylko tacy jak ona kultywują tę tradycję. Gdy się z kimś mieszka pod jednym dachem, trzeba o nim wiedzieć jak najwięcej. A zwłaszcza jeżeli sobie tego nie życzy. Dlatego im bardziej ktoś był tajemniczy, tym baczniej go obserwowała. Tak jak wytrawny tropiciel nie zawraca sobie głowy śladem, który widzi przed nosem, tak ona jedynie dla porządku rejestrowała rzeczy normalne i nietajemnicze. Wyjścia i powroty Winterów spod piątki, standardowe małżeństwo i dwójka dzieci, oboje przed czterdziestką, dochód około 45 000 funtów rocznie. Cieniutko. Pod jedyńką pan Gorden, jedyny stary znajomy, mieszkający tu niemal

tak długo jak ona. Wdowiec. Nie chroniło go to zupełnie przed ciekawskim okiem pani Mustain, która skrętnie odnotowywała jego późniejsze powroty z miejscowego klubu, po których ostentacyjnie otwierała okno na klatce schodowej, chcąc wywietrzyć alkoholowy zapaszek ciągnący się za pocziwym panem Gordenem. Przez chwilę nawet myślała o poślubieniu tego człowieka, ale wspomnienie czterdziestu lat jej małżeństwa i rzut oka na wyciąg z konta Gordena wraz z sumą comiesięcznej emerytury, który całkiem przypadkowo wpadł w jej ręce, skutecznie zniechęciły ją do tego pomysłu. Jednakże najwięcej uwagi poświęcała osobom, które wkładały dużo energii, by nie zwracać na siebie uwagi. Szczególnie chodziło o tę Harrison z czwórki, no i o tego Polaka. Pani Mustain niewiele wiedziała o Polakach, ale ogólne zarysy wiedzy, którą dysponowała, były wystarczające, żeby tego człowieka bacznie obserwować. Grzeczny, mówiący ładnie po angielsku, wiele czasu spędzający poza domem – to podstawowe wiadomości o panu Bartku, jak się przedstawiał. Jednakże ciekawość pani Mustain sięgała głębiej, dużo głębiej.

Shaker i Liver podjechali pod ceglana kamienicę okoloną lichym trawnikiem z dwoma krzaczkami. Shaker wyskoczył z samochodu, jakby chcąc czym prędzej opuścić ten przeklęty pojazd. Liver co prawda dotrzymał słowa, jechał wolno i cicho, jak na swoje możliwości rzecz jasna, ale i tak było to ponad wytrzymałość biednego konstabla.

Weszli do domu. Liver dostrzegł, że na pierwszym piętrze lekko poruszyła się firanka, za którą zamajaczył zarys ludzkiej postaci. Chyba już wiedział, gdzie mieszka pani Mustain i co jest jej ulubioną rozrywką. Po chwili dostali się do mieszkania Piotra Krzyżowskiego; klucze przekazał im właściciel kamienicy. Umowa najmu właśnie wygasła poprzez przekroczenie terminu zapłaty. Poprosili go, żeby tam jeszcze nie sprzątał, bo być może coś się przyda w dalszym śledztwie. Niezadowolony kamienicznik obiecał wstrzymać się kilka dni, wspominając coś o rekompensacie od policji za utracone korzyści. Liver

napomknął o możliwości kontroli skarbowej w sprawie podatków od umów najmu. I tak się dogadali.

Policjanci przeszukali cały lokal, ale nic nie zwróciło ich uwagi, może poza faktem, że mieszkanie sprawiało wrażenie nieużywanego – kilka mebli, kurz i to wszystko. Potem wspięli się piętro wyżej; drzwi otworzyła im kobieta około siedemdziesiątki. Wionęło od niej wodą o zapachu fiołków, fryzura wyglądała na świeżo ułożoną i polakierowaną, na stopach miała buty na obcasach, na stole parował imbryk z herbatą. Pani Mustain nie zmarnowała tych kilku minut od momentu, gdy się pojawili na dole; w oczach Livera błysnęło uznanie. Usiedli. Policjanci zgodnie stwierdzili, że herbata jest przednia, a gospodyni wygląda uroczo. W nagrodę mogli wnikać w tutejsze tajemnice, jak głęboko chcieli. Starsza pani od dawna nie miała tak wdzięcznego audytorium. Minuty mijały, a oni dowiadawali się coraz to nowych szczegółów z życia załka przy Oxford Street 15.

– A więc mówi pani, że to nie był pan Bartek. Skąd taki wniosek? – Liver używał imienia, którym się poszukiwany przedstawiał. Wyobrażał sobie, jaką atrakcją byłaby dla pani Mustain informacja, że to imię fikcyjne.

– Ach, proszę panów, pan Bartek zawsze witał mnie serdecznie i o zdrowie pytał. A ten, gbur jakiś, tylko dzień dobry, tyłkiem odwrócony. Choć z twarzy niby identyczny, tak przynajmniej myślę, bo kaptur miał i słabo widziałam. No i to ubranie... Pan Bartek chodził zwykle w marynarce, albo inaczej, ale zawsze elegancko, a ten w śmierdzącej kurtce...

– Śmierdzącej? Czym? Jaki kolor? – wszedł jej w słowo Shaker.

– Tak jakby benzyną i spalenizną, czy czymś takim. Ja to na zapachy wrażliwa jestem, jak kto wypije, to na kilometr czuję. Kurtka była zielona. A potem szuru-buru po całym mieszkaniu. Pan Bartek spokojnie telewizję oglądał albo na laptopie coś robił. Zawsze było tam cicho. A ten po całym domu myszkował, jak włamywacz jakiś. A może to

był włamywacz? Tylko to podobieństwo... – Pani Mustain nie miała pewności.

Liver już chciał zapytać, skąd wie, że tamten był spokojny, a ten w mieszkaniu czegoś szukał, ale w końcu dał spokój. Lepiej nie przerywać potoku informacji. Pani Mustain kontynuowała:

– Potem wyszedł, zamknął drzwi na trzy spusty i poleciał. Coś wziął z mieszkania, bo torbę dźwigał, a gdy wchodził, to jej nie miał.

– Ale klucz do drzwi miał? – upewnił się Shaker.

Starsza pani potwierdziła. To był ostatni raz, kiedy go widziała. Później tylko cisza. Nawet mysz nie zachrobotowała. Pani Mustain liczyła, że wkrótce ktoś się wprowadzi, bo nudno, kiedy wokół nic się nie dzieje. Na odchodnym Liver zadał jeszcze jedno pytanie, bardzo istotne:

– Kto się zgłosił do pani z policji z pytaniem o pana Bartka?

– A taka jedna, młoda. Mówiła, że szukają przestępcy, a tu jest zaginięcie. Przedstawiła się, że Forwing czy jakoś tak... Nie pamiętam. Ale jego od razu poznałam.

Shaker spojrzał wymownie na komisarza. Tamten, nie zdradzając podenerwowania faktem ingerencji nieistniejącej policjantki, podziękował pani Mustain za pomoc i dał jej swoją wizytówkę. Staruszka obiecała, że jak sobie coś przypomni, to zadzwoni. Wyszli.

– Szeffie, ale jak ta Forewind mogła...

– Tylko spokojnie, Shaker, tylko spokojnie. – Liver studził nerwy. – Baba patrzy na nas przez firanekę. Idźcie spokojnie. Każde podniecenie to nowa sensacja na tutejszym targu plotek.

Wsiedli do samochodu. Liver ruszył. Za zakrętem stanął, zapatrzył się w przestrzeń, nerwowo bębnił palcami o kierownicę. Shaker w milczeniu wpatrywał się w kolekę, szukając na jego twarzy wyjaśnienia otaczających ich tajemnic. Po dłuższej chwili milczenia komisarz westchnął.

– Jak to było z tym zakładem Pascala w odniesieniu do duchów? Że jak wtykają nos w nie swoje sprawy, to rąbek baletnicy i w kaszę...

Zresztą pal licho mądrości życiowe, a właściwie duchowe. Czy od tej szacownej damy dowiedzieliśmy się czegoś nowego, Shaker?

– Potwierdziła, że to nie ten, choć podobny...

– I było to zeznanie osoby z krwi i kości. Możemy to zaprotokołować.

– Tak. Dodatkowo wiemy, że śmierdział spalenizną i benzyną.

– Pomijając rzadki przypadek strażaków-mechaników, kto jeszcze śmierdzi benzyną i spalenizną?

– Podpalacz. Facet coś spalił, a potem myszkował po domu, szukając czegoś.

– Nie pieniędzy, bo te leżały sobie w szufladzie. Shaker, poproście tutejszych techników, ale takich prawdziwych, z ciałem, z pensją i dodatkiem za nadgodziny, żeby zebrali odciski palców i ewentualny materiał DNA. Jedziemy na komisariat, damy im klucze, bo jeszcze właściciel ureguluje wszystkie podatki i znajdzie nowego podnajemcę. Tak przy okazji, byliście już kiedyś w Ilford?

– Nie, nigdy.

– Trzeba to nadrobić. Ruszamy.

Po drodze powiedział konstablowi o mailu od nieistniejącej pani policjant i o tym, skąd czerpie natchnienie do ich dzisiejszego wyjazdu. O tym, że jej się podoba i być może jeszcze się spotkają, nie wspomniał, bo nadal był nieco obrażony na Shakera za wczorajszą szczerą opinię o jego poziomie atrakcyjności. Dodatkowo nie był pewien, jak naprawdę wygląda pani Forewind ani kim lub czym jest. Shaker dumiał nad usłyszanymi wiadomościami z kamienną twarzą. W końcu spytał:

– A z jakiego adresu wysłano tę wiadomość?

Liver nie sprawdził. Pole nadawcy w wiadomości było puste, ale informatyk pewnie by wygrzebał jakieś informacje z programu pocztowego. Pomyślał, że Shaker ma łeb na karku, przecież sieć internetowa to nie labirynt Minotaura. Tu wszystko ma swoje miejsce, a on, niby taki mądry, spanikował.

– Jak widać, nie tylko ja głupieję przy zaskakującej akcji. Zapraszam na trening szybkiej reakcji, podciągniemy się wspólnie. – Shaker mścił się za szyderstwa Livera.

Krajobrazy wschodniej Anglii przesuwają się za szybą wozu. Liver włączył radio, Simon i Garfunkel śpiewali *Mrs. Robinson*, po chwili cały samochód rozbrzmiewał zupełnie nową wersją tego przeboju, którą zaintonował swoim zwyczajem komisarz:

And here's to you, Mrs. Forewind

Jesus loves you more than you will know (Wo, wo, wo)

God bless you please, Mrs. Forewind

Heaven holds a place for those who pray

(Hey, hey, hey...hey, hey, hey)

We'd like to know a little bit about you for our files

We'd like to help you learn to help yourself

Look around you, all you see are sympathetic eyes

Stroll around the grounds until you feel at home...³

Przy kolejnym refrenie przyłączył się Shaker i wspólnie odśpiewali wezwanie do pani Forewind, żeby nie była taka smutna i zła. Pieśń działała niczym rytuał oczyszczający, w tyle pozostawało dziwne poczucie, że tkwią w ciemnych, wręcz szatańskich sprawkach. Oto jadą weseli, wykonując dobrą robotę, a pani Forewind jest miłym duszkiem wskazującym im ich błędy i zaniedbania. Przy trzecim refrenie zrobiło się już całkiem wesoło. Podczas solówki na gitarze Liver wybijał rytm na kierownicy. Nagle na przednią szybę coś wpadło – duży ptak zderzył się z pędzącym pojazdem. Mięso-mózgowa miazga, stróżki krwi, szponiaste nogi drgające w agonii. Liver nacisnął pedał hamulca, samochodem zarzuciło. Ciężarówka z tyłu wyminęła ich o włos przy akompaniamencie klaksonu. Zatrzymali się na poboczu, ledwo unikając kolizji z barierką. Liver opadł na siedzenie, otarł pot z czoła. Shaker z

przerażoną miną obserwował rozpląszonego ptaka leżącego przed nimi w pokoju wiecznym.

- Sokół - podsumował sytuację komisarz. - Wpadł nam sokół na szybę i już! Nieuważne te zwierzęta jak diabli, może zgubił szkła kontaktowe.

- Ale... - zaczął Shaker, spoglądając trwoźnie to na Livera, to na martwego ptaka.

- Tak! Wiem! Ale co mam powiedzieć? Że duch nas zbeształ? - Uniósł głowę i wrzasnął w kierunku sufitu kabiny samochodowej: - Halo! Obiecuję, że nie będę już więcej drażnić pani Forewind! Możemy jechać?

Odpowiedziała mu cisza, nie licząc oczywiście pędzących obok samochodów. Ciało ptaka zsunęło się z szyby i zatrzymało na masce. Krwawa plama na oknie mieniła się na tle angielskiego krajobrazu.

- To chyba znak, że możemy... - niepewnie wydukał Shaker.

- Trzeba usunąć ptaka, może byście... - zaczął Liver, ale zobaczywszy minę konstabla, sam wyszedł z kabiny. Chwycił zwierzę za nogi przez znaleziony na poboczu stary worek foliowy i wyrzucił za barierkę. Już miał wracać, ale ostatecznie przeskoczył przez płotek i ułożył ciało w bardziej godnej pozycji. Ostatecznie zwłokom zwierząt też się należy jakiś szacunek. Potem przeżegnał się, obrócił trzy razy przez lewe ramię i splunął. Wsiadł z powrotem do wozu. Na zmycie krwi zużył prawie cały zbiorniczek płynu do szyb. Po chwili jechali dalej, radio profilaktycznie wyłączyli.

Koszmar nie chce zniknąć

– Czyli że jak? Masz mi pomagać, tak? – upewniał się Darek, próbując swoim otępiałym od alkoholu umysłem zrozumieć coś z mętnych wywodów nowo poznanego człowieka.

– Jako żywo z pomocą wysłan jestem, byś swą uwagę na zadaniu jedynie skupić raczył – odparł Wojsław z Białowieży; tak się przynajmniej przedstawił. Następnie skłonił się z szacunkiem.

– Słuchaj, Wojsławie, Wojsławie z Białowieży – zaczął Darek, starając się mimo kaca sklecić składne zdania, w których łagodnie, acz stanowczo da przybyłemu do zrozumienia, że jest świrem, więc on ma pełne prawo wezwać policję dla własnej ochrony albo psychiatrę dla niego. O ile francuski psychiatra zrozumiałby choć słowo z gadaniny Wojsława. – Rozumiem, że twój lord przysłał cię, żebyś mi pomógł w zadaniu. A wiesz w ogóle, co to za zadanie?

– Ubić premiera w Polsce – odparł Wojsław, wpijając swe pocziwe szare oczy w Darka. – Wielkiegoś dzieła się podjął, fortel i kompania potrzebne ci będą na taką przygodę.

– Słuchaj, Wojsławie, Wojsławie z Białowieży... A właściwie dlaczego się tak głupio nazywasz? Nazwiska nie masz, kto cię nauczył tak gadać?

– Miano swe od ojcowizny wziąłem. Nazwisko posiadam, lecz nie używam, by z braćmi swemi jako równy być.

– Braćmi? To was tam więcej?

– W lordowej drużynie mieczów ze dwie setki, a z sioła i grodu dalsze dwie na zawołanie ruszą.

Darek wstał, udał się do łazienki i wstawił głowę pod zimny strumień; cały czas miał nadzieję, że po otrzeźwieniu z resztek alkoholowego upojenia Wojsław ze swoją archaiczną gadką zniknie.

Dlaczego musiał tyle wczoraj wypić? Czyżby delirium tremens? Dlaczego jest takim idiotą? Wyjął głowę spod wody, wytarł ręcznikiem, rzucił pełne nadziei spojrzenie przez otwarte drzwi na pokój. Niestety Wojśław siedział dalej, urojenie nie chciało zniknąć.

Usiadłszy znowu, postanowił zmienić ton na bardziej ugodowy.

- Słuchaj, Wojśław, a skąd ty właściwie wiesz, że tu jestem? Widziałem cię w Londynie, ale potem powinieneś mnie zgubić.

- Mam informacje od lorda, panie - odpowiedział Wojśław i ponownie skłonił głowę z szacunkiem, ale Darek uchwycił szybkie jak błyskawica spojrzenie na leżącą na łóżku torbę. Olśniło go. No jasne, torba, namierzają go. Czemu nie przepakował pieniędzy? Może nawet w banknotach został ukryty nadajnik. Nie sprawdził tego i teraz mają go jak na widelcu. Pewnie zorientowali się, że chce dać nogę, i wysłali tego niby pomocnika, żeby oka z niego nie spuszczał. Najchętniej dałby sam sobie w gębę za gapiostwo. Bart pewnie nigdy by się tak nie dał podejść.

- Słuchaj, Wojśław, bardzo się cieszę, że mi pomagasz, naprawdę bardzo... Usiądź, proszę, wygodnie na fotelu. Pogadamy, ustalimy zasady, poznamy się lepiej.

Wojśław posłusznie zajął miejsce na fotelu i uśmiechnął się przyjaźnie. Wtedy Darek chwycił torbę, skoczył do drzwi, wypadł na korytarz i popędził w stronę schodów. Biegł jak szalony, betonowa klatka schodowa rozbrzmiewała echem jego pospiesznych kroków, piętro za pięciem śmigaly drzwi ewakuacyjne. Garaż. Najlepiej będzie zwiać przez garaż w podziemiu. Wyskoczył przez drzwi z napisem „Parking”. Przebiegł dwa zakręty betonowego podziemia i... wpadł na pierś uśmiechniętego Wojśława.

- Zasad kooperacji nie omówilim, panie. Żywoć nerwowy może dla człeka frustracją być zakończon.

Chwycił Darka pod ramię jak sanitariusz w zakładzie psychiatrycznym i spokojnym miarowym krokiem powędrował na górę do apartamentu ambasadorskiego. Darek włókł się noga za nogą, taszczonego przez silnego opiekuna. Nie mógł pojąć, jak tamten zdążył

dotrzeć do podziemia przed nim. Fotel, na którym go posadził, musiałyby się chyba zapaść pod te kilka pięter, żeby tamten zdołał go wyprzedzić. Tak czy siak, akcja ta uświadomiła mu, że opieka uśmiechniętego Wojsława stanie się dla niego nie lada problemem.

Lord Wiliamson słuchał wiadomości w skupieniu. Grzegorz czytał już drugi raz maila od mordercy. Sam niewiele z tego rozumiał.

- Odwołajcie Wojsława, niszczy całą tajemnicę wokół zadania.

Lord zmarszczył brwi w niemiłym zaskoczeniu, wyciągnął telefon, nacisnął klawisz i warknął groźnie do słuchawki:

- Do mnie. Migiem!

Do eleganckiego gabinetu lorda wszedł po chwili rosły, umięśniony człowiek w koszuli przypominającej kolczugę, na głowie miał czapkę ze stalowym elementem na czubku, jakby namiastkę hełmu. Kwadratowa szczęka osłonięta była częściowo sumiastym wąsem. Mężczyzna przyklęknął przed lordem na jedno kolano.

- Panie. Wzywaleś.

- Witaj, Jaśko. Powstań, mój drogi. Kogo wysłałeś za potępionym?

Grzegorz uniósł brwi zaskoczony. Jak on powiedział? Potępionym? Cóż to za nowomowa?

- Za potępionym Mściwój podązał, panie, ale ten fortem iście szatańskim wywiódł onego w pole. Bez informacji jakiegokolwiek powrócił ci on do bazy, sromem okrywszy ród swój do siódmego pokolenia. Do prac lichych go skierowałem... Wybacz, panie, ale dopierom starania w tej materii zakończył i podówczas, gdy z wieścią oną biegałem, telefon twój rozbrzmiał.

Grzegorz niewiele zrozumiał z tej dziwnej angielszczyzny. Był w szoku, że ktoś, w dodatku jego krajan, może tak mówić. Jakim cudem...? Gdzie prosty chłopak ze wschodniej Polski nabył takiego słownictwa?

– Mhm – mruknął z niedowierzaniem lord Wiliamson. – Powiadasz, wywiódł Mściwoja w pole?

– Jako żywo. Na trakcie go pozostawiwszy, nie znalazł więcej ni śladu. I sromem się okrywszy...

– Już dobrze, już dobrze. Słyszeliśmy. Więc kim jest ów Wojsław? Posłaliście jeszcze kogoś?

Jaśko powiódł po mężczyznach zaskoczonym wzrokiem, z którego jasno wynioskowali, że Wojsław to nie jego człowiek. Jednakże Jaśko jeszcze o coś dopytał:

– Pewnym jesteście, panie, że Wojsław to był?

– Mówię przecie, Wojsław.

– Z Białowieży? – Jaśko wyglądał na wzburzonego.

Lord zmarszczył czoło, próbując zrozumieć słowo w języku, którego za nic w świecie nie umiał rozgryźć. Jaśko i Grzegorz próbowali tłumaczyć, ale daremnie. Nie dość, że wszystko tam świszczy, co rusz zmienia końcówki, to jeszcze takie dziwolągi. Proste połączenie angielskich słów „white” i „tower” dałoby „white tower”, a nie coś zupełnie innego.

– Nie wiem, czy z Białocośtam. I o co chodzi z tym Wojsławem?

– Wybacz, panie, ale muszę cię opuścić – bąknął muskularny rycerz i wypadł z pokoju.

Lord zastygł w zaskoczeniu i spojrzał na Grzegorza, równie zdziwionego.

– E, panowie Polacy, co jest?

Grzegorz nie wiedział. Lord zadumał się. Cała ta sytuacja wyraźnie go zdenerwowała. W końcu sapnął i wydał rozkaz:

– Odpisz temu człowiekowi, że nikogo za nim nie wysłaliśmy. Ufamy mu bezwarunkowo. Jeżeli chce naszej pomocy, chętnie jej udzielimy w zakresie, który nie zaszkodzi interesom Odrodzenia Brytanii. I nie zniszczy poufności zadania, rzecz jasna.

Grzegorz wpisał wiadomość. Spojrzał pytająco na lorda.

– Czyli ktoś wchodzi nam w paradę?

– Na to wygląda. Dodatkowo mam wiarygodne informacje, że służby już wiedzą o zamachu. Ktoś musiał donieść.

Lord spojrział przeciągle na Grzegorza, który uznał, że jest to wzrok oskarżycielski.

Never say never

Liver i Shaker z ulgą zobaczyli tablicę z napisem „Ilford”. Kolidują z sokołem niby nic nie zmieniała, ale Liver zamilkł, nie pozwalając sobie na żadne wesołkowate śpiewy mogące wkurzyć duchy, a Shaker odprowadzał podejrzliwym spojrzeniem każdego przelatującego ptaka.

Jako że wóz policyjny nie posiadał systemu nawigacji, musieli pytać o drogę. Dopiero trzeci z kolei przechodzień domyślił się, o którą ulicę im chodzi.

Dojechali. Wąska uliczka pomiędzy jednorodzinnymi bliźniakami, numer trzy. Liver podszedł do drzwi i zadzwonił. Wychynął muskularnie zbudowany młodzian z włosami ostrzyżonymi na króciutkiego jeża, w białej koszulce ze zdjęciem młodego człowieka, wychylonego do tyłu, z mikrofonem w ręce i otwierającego usta tak szeroko, jakby chciał zjeść patrzącego. Napis pod spodem głosił: „Justin Bieber – *Never Say Never*” i wraz z T-shirtem był prawdopodobnie pamiątką z koncertu młodocianej gwiazdy. Mógł być również mottem życiowym, uznał komisarz, przypominając sobie te tysiące beznadziejnych rzeczy, o których nigdy by nie pomyślał, że będzie zmuszony robić je w życiu.

- Dzień dobry, szukamy pani Stoner.
- Dzień dobry. Nigdy takiej nie widziałem.
- Ale pana koszulka mówi co innego.

Młodzian zrobił zdziwiona minę, spojrzął na swój brzuch, nie rozumiawszy dowcipu.

- Mówi pan „nigdy”, choć założę się, że niejedną Stoner pan w życiu spotkał. To popularne nazwisko. Długo pan tu mieszka?

- Od urodzenia. Kim jesteście? O co chodzi?

Pokazali legitymacje. Upewnili się, że to Hampton Street. Młody zaprzeczył.

– Hampton Road. W Ilford nie ma Hampton Street. – Młodzian z ulgą wycofał się do wnętrza.

Byli na niewłaściwej ulicy. Liver rozglądał się wokół, szukając jakiegoś punktu zaczepienia. W końcu po coś tu przyjechali.

– W Ilford nie ma Hampton Street, tylko Road. Hm, zostaliśmy wprowadzeni w błąd. Żart. Choć czy znaki z zaświatów mogą być żartem, robieniem sobie jaj? – Wkurzony Liver dawał upust swojemu zdenerwowaniu.

Podniósł głowę ku szarym chmurom kłębiącym się nad nimi i zaczął wygrażać temu komuś, kto wchodzi z butami i martwymi ptakami w jego życie.

– Czy to się godzi straszyć ludzi?! – wrzeszczał, machając rękoma ku niebiosom. – Czy prosty człowiek ma tu coś do powiedzenia, czy jest tylko pyłkiem z dupy Boga?!

W oknie pojawiła się twarz młodziana, z którym przed chwilą rozmawiali; na posesji obok ktoś wychynął z domu, patrząc, kto tak hałasuje; jakiś starszy pan wyszedł zza rogu następnego budynku. Shaker rozglądał się nerwowo, nie lubił zamieszania, jakie nieraz wywoływał Liver.

– Komisarzu, patrz na nas. Nie wzbudzajmy sensacji! – syknął.

– A niech piorun trzaśnie te wszystkie duchy i tajemnice. Jeżeli ktoś nas tu wodzi za nos, niechaj da znak! Niech wiem, że nie spaliłem państwowej benzyny na darmo!

Shaker ciągnął Livera do samochodu, sprawdzając, ile osób ogląda ten występ i czy zdołają ich zidentyfikować. Szare chmury kotłowały się coraz mocniej, wiatr i kropelki mżawki zaczęły siec po policzkach.

– No, duchy i inne zjawiska! Drzemka poobiednia czy jak?! Wyłączyć, a nie...! – ryczał Liver ciągnięty do samochodu. Piorun narysował łamaną kreskę na niebie, za chwilę grzmot przeszył ciszę. Mżawka się nasilała, przechodząc w deszcz, a potem w regularną ulewę.

– No i co, strachoduszki, może rzucicie jeszcze jakimś sokołem albo wróbelkiem! – darł się Liver, wypchany do wnętrza samochodu przez Shakera. Obserwatorzy tego niecodziennego występu wycofywali się do domów, chroniąc przed zmoknięciem.

Po chwili obaj policjanci siedzieli w środku auta; na zewnątrz szalała ulewa, strugi deszczu bębniły o dach i okna, powodując hałas, który od czasu do czasu zagłuszany był jeszcze większym hałasem potężnych piorunów. Silny deszcz ograniczał widoczność do kilka metrów; dodatkowo szyby w samochodzie zaparowały, odcinając ich prawie od świata. Czuli się jak w dusznej puszczy rzuconej na wodospad Niagara. Liver powoli się uspokajał, dyszał ciężko i co rusz spoglądał na Shakera, jakby on był czemuś winien. Ulewa o takim natężeniu nie powinna trwać zbyt długo. Wokół rwały brunatne potoki, kręcąc wiry wokół kratek burzowych, szyba przypominała wrzące mleko – biała z tysiącem bąbelków rozbijającej się o szkło wody. Jednakże monotonia tego widoku, miarowy szum i hałas grzmotów w połączeniu z bezpiecznym schronieniem wewnątrz samochodu spowodowały, że zapadli w swego rodzaju letarg.

Oczy, choć widziały, to jednak nie patrzyły, głowy oparły się o zagłówki. Wodny spektakl tak ich wciągnął, że po chwili siedzieli jak zaczarowani, widząc jedynie białą płytę rozbłyskującą uderzającą wodą. W pewnym momencie na tym tle pojawił się obraz. Czarny powóz, dość elegancki, ciągniony przez parę koni telepał się na wybojach błotnistej drogi. Za nim wędrowało kilka osób, próbując nadażyć za pojazdem, a jednocześnie nie wejść w głębokie, błotniste rozpadliny. Wszyscy byli ubrani w długie płaszcze rodem z dziewiętnastego wieku. To, że obrazek jest z przeszłości, podkreślał fakt, że nosili nieużywane dziś nakrycia głowy – czepce i cylindry. Wóz skręcił z głównej drogi pod górkę, konie mocniej naprężyły mięśnie, ciągnąc ciężki pojazd po stoku. Teraz dało się zauważyć, że wiezie trumnę, a spieszący za nim ludzie to kondukt pogrzebowy. Po chwili obraz pokazał scenę, jak grupka żałobników

patrzy smutno na obniżającą się na sznurach trumnę; dzwon kaplicy wybija swoją skargę na niesprawiedliwość życia, kropi lekki deszcz...

Jeszcze kropi, ale dla ulewy to tylko wspomnienie chwalebnej przeszłości sprzed kilku minut, kiedy świat na zewnątrz znalazł się jakby pod wodą. Smętnie skapywały ostatnie krople z liści, grzmoty poszły bałaganić gdzie indziej, tu już słońce suszyło łyzy na drzewach. Liver i Shaker wyglądali, jakby się budzili ze snu. Po chwili komisarz otworzył drzwi, świeże poburzone powietrze wdarło się do stęchlizny zaparowanego wnętrza samochodu.

– Uff! Ale super, nie ma jak łyk tlenu. Chyba zasnąłem. – Liver się przeciągał. Następnie wykonał serię skłonów. Shaker siedział jak zaczarowany. – Co jest? Sparaliżowało was? Już mi przeszły pretensje do duchów – głądził komisarz, który jak na pokazowego egocentryka przystało, każde działanie innego człowieka przypisywał swojemu wpływowi na niego. Shaker wyszedł z samochodu, ruchy miał dość dziwne, można by pomyśleć, że się nagle postarzał. Sprawiał wrażenie, jakby właśnie wrócił z tamtej strony. Wyblakły, niewidzący wzrok błądził po otoczeniu.

– Jeszcze dzwonią na żałobę... – powiedział cicho. – Jeszcze bębnią krople deszczu o drewno trumny, ale ona odeszła...

Liver zamarł w pół skłonu i obserwował swego towarzysza z zaskoczeniem.

– Zły duch wygrał, nasycił swój głód nieszczęścia. Biada nam, biada... – kontynuował konstabl.

– E, Shaker, co z tobą? – Liver chwycił go za ramiona. – Burza przeszła, słońce świeci!

– Co? A tak, tak... – Mężczyzna oprzytomniał. – Słońce rzeczywiście świeci. A ona?

– Jak ona?

– Przecież ona nie żyje, duch ją zwiódł... Straszna historia.

– Halo, Shaker, tu Ziemia, jak mnie słyszysz? Odbiór. Oprzytomnijcie. O czym wy mówicie? O tym czarnym powozie?

- To pan też...?

- Ja myślałem, że to tylko sen, jedzie powóz, pogrzeb, biją dzwony. Zmęczyłem się tym pomstowaniem na duchy i przysnąłem. A wy widzieliście coś więcej?

- Niby nie, ale czułem, że ktoś został bardzo skrzywdzony, zwiedziony przez złe siły. To była kobieta. Pani Stoner...?

- Może i Stoner... - Liver się zamyślił na chwilę. - Spadajmy stąd, nic tu po nas.

Ruszyli z Hampton Road szybko, chcąc zostawić daleko w tyle wspomnienie pogrzebu w deszczu i bicie smętnego dzwonu w małej cementarnej kapliczce. Obserwujący ich przez okno młodzian mruknął:

- Nigdy nie widziałem takich oryginałów. - A Justin Bieber dalej śpiewał na koszulce *Never Say Never*.

Wyjazd z Ilford przeciągnął się trochę; pokrzyżli po mieście, pytając o Hampton Street, ale przechodnie albo nie wiedzieli, gdzie się znajduje, albo wskazywali uliczkę, na której już byli. Ruch i kontakt z żywymi osobami zacierały powoli wspomnienie sokoła rozplaszczonego o szybę i konduktu pogrzebowego. Liver odważył się nawet coś zanucić pod nosem, a Shaker wzdychał smutno co jakiś czas. Próbując znaleźć ślad, dojechali w końcu do wyjazdu z miasta, ale nie główną drogą, lecz boczną, biegnącą zakosami wśród pól. Liver po lekturze mapy stwierdził, że tędy też dotrą do autostrady, a trochę wiejskich krajobrazów im nie zaszkodzi. Samochód przejechał kilkaset metrów za znakiem z napisem „Ilford”, kiedy Shaker wydał krzyk:

- Tam, tam! Poznaje pan?

Liver ostro zahamował i skulił się lękliwie w oczekiwaniu atrakcji typu spadające ptaki albo trumna w dylizansie. Ale nie o to chodziło. Shaker wskazywał na leżące po lewej stronie wzgórze. Od szosy aż na sam szczyt ciągnęła się błotnista droga znaczone wykrotami i kamieniami, która na wierzchołku gubiła się w zieloności trawy, dochodząc do widocznych zabudowań z szarych, omszałych kamieni. Z daleka widzieli małą wieżyczkę i mur - najprawdopodobniej był to

cmentarz, który widzieli dobrą godzinę temu. Liver pokiwał głową z uznaniem i zaparkował wóz.

- Sprawdźmy, gdzie nas licho przywiodło - zawołał, zatraskując drzwiami, po czym ruszył szybkim krokiem pod górkę. Shaker powlókł się za nim, mlaskając butami w błotnistej mazi żyznej angielskiej gleby.

Z tyłu został szum przejeżdżających drogą samochodów, owiewał ich wiatr, buty grzęzły w błocie. Daliby sobie rękę uciąć, że podmuchy przynoszą delikatny dźwięk dzwonu kaplicznego. Szare kamienie muru były coraz bliżej. W końcu doszli do bramy cmentarnej - rzędy desek połączonych metalową belką, tak starych i zmurszałych, że każda z nich mogłaby służyć jako eksponat w Królewskim Muzeum Archeologicznym. Bramę zamknięto na prosty skobelek, gdzie rolę klódki pełnił patyk. Weszli na teren za murem. Od razu wrócił obraz sprzed godziny, a może sprzed stu laty. Rozglądali się lękliwie wkoło. Mała, lekko przekrzywiona kaplica z wieżyczką, rzędy kamieni nagrobnych o różnym stopniu nachylenia nad podłożem, napisy w większości nieczytelne. Policjanci chwilę powąłesali się po starym cmentarzysku, próbując zidentyfikować nieboszczyków; szukali przede wszystkim nazwiska „Stoner”, ale nic nie znaleźli. Kamienie były bardzo zniszczone. Zniechęceni wyszli przed bramę. Shaker zamknął przybytek patykiem, Liver rozejrzał się ze wzniesienia po okolicy, trzymając kapelusz, żeby nie odleciał przy mocniejszym wietrze.

- Łąki, łąki i łąki - skomentował niezbyt urozmaicony krajobraz. - A do tego... łąki.

Naraz zobaczyli, że błotnistą drogą ktoś ku nim podąża.

- Shaker, nie zamykajcie jeszcze wierzei, ktoś idzie tu na przechadzkę.

Postać, choć poruszała nogami niezbyt szybko, to zbliżała się w zawrotnym jak na piechura tempie. Białe, długie włosy rozwiewał wiatr, szary płaszcz zamiatał podłoże, kij stukał w ścieżkę.

- Gandalf nadchodzi - mruknął Liver. Shaker, jak zwykle przy dowcipach komisarza, lekko się spłoszył. Wysoki, kościsty i w rzeczy

samej podobny do czarodzieja człowiek podszedł do nich.

– Niech będzie pochwalony... – usłyszeli tradycyjne pozdrowienie.

– A na wieki wieków. Dzień dobry – odpowiedzieli.

– Turyści? Chcą zwiedzać cmentarzyk? – zapytał mężczyzna, błędząc badawczym spojrzeniem po ich fizjonomiach. – Mogę oprowadzić.

Weszli z powrotem za mur. Przybysz wskazywał kijem płyty i komentował ze swadą:

– O, pani Edwardson, zabiła męża, dzieci, a potem się powiesiła... A tu lord Campanion, potomek wielkiego rodu krzyżowców, podobno czcił szatana i tak mu się w głowie pomieszało, że uznał, iż jest od niego potężniejszy. A diabeł nie lubi takich, he, he, samozwańców. Znalezione go bez głowy, rozerwanego na cztery równiutkie części. Nie wiem, jak go zidentyfikowali. A to, to... zaraz... zaraz... no tak, rodzina Walmortów. Kanibale. Nie wiadomo, czy naprawdę nimi byli, ale za czasów głodu w 1649 wyglądali podejrzanie krzepko i zdrowo. Na wszelki wypadek ich stracono. A to dziecię niewinne, nieboraczek, kruszynka. Tyle że zagryzł w wieku dziewięciu lat całą grupkę innych dzieci, których miał pilnować pod nieobecność rodziców, kiedy ci pracowali w polu. I wypił ich krew. Miał spust, nie powiem, ósemka bachorów, każde dziecko to trzy, może cztery litry, to daje razem... hm... nigdy nie byłem mocny z rachunków...

Policjanci szli za nim zauroczeni opowieściami, ale i bardzo przestraszeni. Gdzież oni trafili, u licha?

– Pro...proszę pana, kim pan jest? – Shaker w końcu ośmielił się zadać to pytanie, nie mogąc znieść ciśnienia, jakie wywierało na nim przebywanie z dziwnym przybyszem, serwującym swoje makabryczne opowieści, podkreślane zapadającym powoli zmrokiem.

– O! Czy to takie ważne? Mieszkam tu niedaleko, zobaczyłem was z domu, a ponieważ poniekąd opiekuję się tym skrawkiem ziemi, przybiegłem zobaczyć, co i jak. Nazywam się Falx.

Panowie również się przedstawili; Liver stwierdził w duchu, że muszą przejść do konkretów, zanim zapadnie noc i rodzina Walmortów

wychynie z dołka w poszukiwaniu przekąski, a zaczną niewątpliwie od najtłustszego kęsa.

- A pani Stoner, gdzie leży pani Stoner?

- Ho, ho, ho, moja ulubienica, Elisabeth Stoner. Fantastyczna historia! Znana w całej wiktoriańskiej Anglii, była na pierwszych stronach gazet. Wielu ludzi łamało sobie nad tym głowę przez lata. Była guwernantką w rodzinie Hamptonów, mieli tu folwark niedaleko, gdybyście poszli tą drogą za szosę, doszlibyście do ruin starego dworu. Stara, zapomniana Hampton Street, dziś błotnista, polna droga. Pozostało jedynie kilka budynków folwarcznych. Ale do rzeczy. Pani Stoner, miła i wykształcona osóбка, uczyła dzieci państwa Hamptonów. Była na poły domownikiem, dorastała pod ich opiekuńczymi skrzydłami. Prócz dzieciaków bawiła również pana Hamptona, który jako jurny i krzepki mężczyzna nie lubił monogamii i chciał trochę przeciw temu stylowi życia zaprotestować. Koniec końców pani Stoner zaczęła rosnać w pasie i mieć zachcianki jedzeniowe, a pan Hampton gorączkowo się zastanawiał, gdzie by ją wysłać oraz czemu nie ma takiego kraju, gdzie porzucone kochanki wraz z nieślubnymi dziećmi znikają wciągnięte przez diabelskie rozpadliny. Taka kara należy się im przecież za rozpustę. I co by było, gdyby się żona dowiedziała? Tak jakby się niczego nie domyślała, żyjąc z nimi pod jednym dachem. Całe Ilford by go miało na językach. Przy takim traktowaniu i w takim stanie ducha pani Stoner nie mogła się czuć dobrze. Mogła nawet chcieć zemsty, mordy, kary na zamożnym Hamptonie. Ale wszystko układało się tak, że już miała zaklepane miejsce na pensji dla samotnych matek w Glasgow z roczną rentą osiemdziesiąt gwinei. Życie nie umierać. Kilku świadków zeznało później, że pani Stoner była w coraz gorszym nastroju. Raz płakała i spędzała długie godziny na szlochach wpatrzona w bezkres naszych pięknych, choć działających depresyjnie łąk, kiedy indziej, pijąc podle trunki w podejrzanym towarzystwie, odgrażała się, że niejaki Hampton poniesie zasłużoną karę, jeśli nie za życia, to po śmierci. Nie muszę dodawać, jakie wrażenie robi pijana kobieta w ciąży.

Dlatego zamiast budzić współczucie i litość, zaczęła w coraz większym stopniu być wyszydzana. Ale kilka dni przed wydarzeniem pani Stoner wyraźnie się uspokoiła; widziano, jak rozmawiała z panem Hamptonem, a także kilkakrotnie z kimś obcym, kogo nikt tu nie znał. A jako że to mała miejscowość, plotki szybko się rozeszły. Sama Stoner zaś oświadczyła, kilkakrotnie nagabywana, że wszystko się ułożyło i jest już gotowa. Na co? Nie dopowiedziała. Powóz do Glasgow miał przyjechać następnego dnia. Pan Hampton znowu się uśmiechał, pani Stoner pakowała manatki. Wieczorem wyszła ze swojej kwatery, mówiąc, że idzie się pożegnać. Domyślano się, że poszła do dworu, choć ciężko sobie wyobrazić serdeczne pożegnanie w takiej sytuacji. Kilku ludzi potwierdziło później, że Stoner szła w kierunku dworu z owym obcym, z którym widziano ją wcześniej. Ale kilku innych upierało się, że szła sama. Ktoś miał omamy? Wyglądała na bardzo przejętą. Według tych, co widzieli dwoje ludzi, jej towarzysz szedł obok w milczeniu, z zaciętą miną. Co się dalej wydarzyło? Nie wiadomo. Pewnym jest, że znaleziono następnego dnia rano całą rodzinę Hamptonów zaszytętowaną i panią Stoner nieprzytomną, z nożem w ręku. Ależ się serdecznie żegnali!

- I co dalej? - Policjanci zastygli w oczekiwaniu.

- Cóż, wina wydawała się bezsporna. Zemsta, szal, depresja związana z niechcianą ciążą i zsyłką do Glasgow. Pani Stoner nie miała szans. Zresztą dziecko też, poroniła kilka dni później. Sąd skazał ją na śmierć, a pastor odmówił pochówku w święconej ziemi w Ilford. Pozostało to szacowne miejsce. Wyrok wykonano, choć pojawiło się mnóstwo wątpliwości. Jak drobna kobieta, osłabiona stanem błogosławionym, dałaby radę wyrwać rękę ze stawu broniącemu się panu Hamptonowi? Jak mogłaby ciąć nożem tak, że przecięła za jednym zamachem trzy żebra córce Hamptonów Judith? Radzę poćwiczyć na żebrach świni, bardzo trudne zadanie. Kim był ten człowiek, który podobno towarzyszył jej w godzinach wieczornych? No i wreszcie, kto i po co zrobił te napisy na ścianach?

- Napisy?

- Tak. Daty. Kilka dat, łącznie z datą morderstwa, od dawnych średniowiecznych czasów aż po czasy przyszłe sięgające dwudziestego trzeciego wieku. Jakby kronika.

- A ta Stoner nic nie powiedziała?

- Powiedziała, powiedziała, ale sąd dał wiarę jedynie faktom, a te były jednoznacznie przeciw niej. Jeżeli jesteście zainteresowani zeznaniami pani Stoner, publikowano je w bardzo wielu miejscach. Nawet wydano jako *Świadectwo Elisabeth Stoner*, bo przez jakiś czas historia Stoner i Hamptonów stanowiła silną pożywkę dla różnych świrów i nawiedzonych, a świadectwo zawiera kilka informacji jakoby z zaświatów. Ale ja też bym ją skazał. Z jednej strony zaszlachtowana rodzina i morderca, z drugiej tajemnice i niejasności. Sąd to nie prasa bulwarowa. I co, podobało się? - domagał się pochwał gawędziarz Falx.

- Mhm - potwierdzili Shaker i Liver.

Podeszli wszyscy do kamienia nagrobnego; w ostatnich minutach dnia dało się rozpoznać imię, nazwisko, daty i inskrypcję.

- Sto-ner, tysiąc osiemset dziewięćdziesiąt siedem. Pa-nie prze-bacz jej wa... Nie. Jej winy - odcyfrował napisy Shaker.

- Amen - dorzucił Falx i stuknął kijem. - Idziemy dalej? Po zmierzchu się tu lepiej opowiada. Robi się nastrojowo.

- Nie, nie. Dziękujemy. Musimy już jechać, bardzo nam było miło... - Liver bardzo chciał już iść.

- A szkoda, bo ja mam jeszcze kilka miłych historyjek. - Falx był wyraźnie zawiedziony. - Zapraszam jeszcze kiedyś, dłużej się te lata na pustkowiu.

Wyszli przez bramę, Shaker wetknął patyk w skobel, Falx mruknął coś na pożegnanie i zaczął schodzić. Tak jak szybko się zbliżał, tak teraz pędził w dół. Zmierzch otulał porośniętą trawą wzgórze, panowie pospieszili w dół do samochodu. Liver nerwowo obracał się co chwilę; był prawie pewien, że nad murem cmentarzyka pojawiła się jakaś głowa obserwująca ich z daleka; z kamiennej wieży kapliczki ozwał się dzwon.

- Szybciej, Shaker! - Liver gnał z górki, marząc o przytulnym wnętrzu samochodu, choćby i z martwym sokołem przed nosem. - Tempo!

Po chwili dotarli do szosy. Mijały ich samochody, w rowie wałały się puszki po coli i papierki po hamburgerach. Znowu byli u siebie.

- Ciekawe, skąd nas ten Falx wypatrzył? Przecież tu nie ma żadnych zabudowań - zastanawiał się Shaker.

- Lepiej nie wiedzieć, Shaker, lepiej nie wiedzieć! - Liver już zapuszczał silnik. Do autostrady było nie więcej jak trzy mile.

Kto cię przysłał?

Darek popatrzył z ukosa na Wojsława. Nikt go tu nie przysłał? Cóż to za historia? Albo oni kłamią, albo on. Ale po co lord i jego ludzie mieliby kłamać? Przecież w ich interesie leży powodzenie jego misji. Siedział przed komputerem w foyer hotelowym i patrzył tępo w ekran, zastanawiając się, co dalej. Cóż to za maskarada z tym średniowiecznym gościem? To się musi wyjaśnić!

– Idziemy na górę! – warknął, wchodząc szybkim krokiem do windy.

Wydawało mu się, że Wojsław dopiero wstawał z fotela, ale kiedy tylko odwrócił wzrok, zobaczył, iż ten stoi już w kabinie przed nim i naciska właściwy guzik. Jak śmignął tak szybko, jeden Bóg raczy wiedzieć. W pokoju usiedli naprzeciwko siebie w fotelach. Darek patrzył długo w szare oczy Wojsława, który bezproblemowo wytrzymał spojrzenie, uśmiechając się przyjaźnie.

– Kim ty, do jasnej cholery, jesteś? – zapytał w końcu zdenerwowany Darek.

– Wojsław, panie.

– To już mówiłeś. Może inaczej... Kto cię przysłał?

– Lord, panie.

– Nieprawda, oni cię nie znają. Nikogo za mną nie wysłali.

Wojsław uśmiechał się dalej, dekonspiracja nie zrobiła na nim żadnego wrażenia.

– Może to nie był lord – odezwał się w końcu. – Nie trza mi tego wiedzieć.

– Ale mnie to trza wiedzieć... Znaczy trzeba. Jak nie jesteś od lorda, to gadać też już tak nie musisz. Nikt nie uwierzy, że jesteś średniowiecznym rycerzem.

– Myślałem, że tak się dalej gada. Rzadko tu bywam... – zafrasował się Wojsław. – O przebaczenie proszę, w mowie się zmienię. Byłem tu i tam, rzeczywiście inaczej ludzie teraz mówią. Nauczę się... już się uczę.

– Jak to byłeś tu i tam? – zdumiał się Darek, który odniósł wcześniej wrażenie, że znajdował się pod stałą opieką Wojsława. A poza tym mówili o języku polskim, którym posługują się zasadniczo mieszkańcy Polski, a nie Francji, gdzie teraz przebywali.

– No, patrzę, chodzę. Rzadko tu bywam... – powtórzył informację o swoich nieczęstych odwiedzinach z wyraźnym smutkiem w głosie.

– Gdzie rzadko bywasz? – nie rozumiał Darek.

– No, tu... tu w Paryżu, i tak w ogóle tu. – Zakreślił ręką krąg, jakby chciał pokazać, że wszędzie rzadko bywa.

– A gdzie zwykle bywasz? – zaciekawiony Darek ciągnął temat. Uśmiech Wojsława zniknął jak zdmuchnięty.

– Nie trza... mhm... Nie trzeba ci wiedzieć, wierzaj, nie trzeba. No to do roboty, do roboty! Ubić człeka nie tak prosto, a sam się nie ubije! – Klepnął dłońmi w kolana i zerwał się z fotela, najwyraźniej chcąc zakończyć dywagacje na temat, gdzie normalnie przebywa.

Darek siedział nieporuszony; wpatrywał się w Wojsława i coraz mniej rozumiał. Kto to jest? Nikt go nie zna, rzadko tu bywa. Cokolwiek znaczy „tu”. Porusza się wszędzie jak torpeda. Nic z tego nie pojmował, ale znajomość z Wojsławem zaczynała go coraz bardziej denerwować. Postanowił zagrać w otwarte karty.

– Wojsławie, czy jak się tam nazywasz, ja nie zamierzam nikogo zabijać. Udawałem kogoś innego, bardzo do mnie podobnego, kto był mordercą. Ale ja nie zabijam ludzi, wziąłem pieniądze, zaliczkę, a teraz z nimi uciekam, żeby żyć gdzieś daleko i szczęśliwie z procentów na koncie. Włazłeś mi w drogę, trudno, podzielę się po połowie. Będzie tego mało, ale i tak wystarczy, żeby dobrze żyć. O żadnym zabijaniu nie ma mowy. Umowa stoi? *Fifty-fifty* i się zegnamy na zawsze.

Wojsław słuchał Darka ze szczerym uśmiechem. Kiwał głową ze zrozumieniem i troską, ba, można by nawet rzec: z entuzjazmem.

- To ja wiem, panie, ale my mamy ubić człeka. Premiera. Umiesz czy nie umiesz, zabijałeś czy nie zabijałeś. Nieważne. Zrobimy to!

- Ależ ja właśnie tłumaczę, że nikogo nie zabiję.

- Zabijesz – sapnął Wojsław.

- Nie zabiję.

- Nawet jak on ci matkę zabije?! – ryknął Wojsław potężnie, unosząc się nad swym siedzącym towarzyszem.

- Ależ dlaczego miałby... – wydukał przestraszony Darek. Wojsław porzucił dobrotliwą minę, twarz wykrzywił mu straszny grymas wściekłości. Trwał zaledwie sekundę, ale zapomnieć się go nie dało.

- Polityk to nie święty, matkę też by taki mógł zabić – łagodził efekt swojego wybuchu Wojsław. Oczy znów mu się śmiały, a twarz przybrała dobrotliwy wyraz. Ale atmosfera stała się napięta.

Świadectwo Elisabeth Stoner

Shaker był tak zaczytany w tekście wyświetlonym na ekranie, że nie usłyszał wchodzącego Livera. Ten nigdy nie przepuściłby takiej okazji. Zbliżył się na palcach do nieobecnego duchem podwładnego i tuż nad jego uchem zawył przeciągle:

– Uuaaaa!

Shaker obrócił się gwałtownie, przerażony wzrok błysnął złowrogo, ale jak na chodzącą doskonałość przystało, opanował się szybko.

– Nie przestraszył mnie pan wcale.

– Wasza mina mówiła co innego. – Liver chichotał.

– Nie przestraszył, co najwyżej rozbawił – wycedził Shaker, mrużąc ostrzegawczo oczy. – Ha, ha, ha, umieram ze śmiechu.

– No dobra, przepraszam. A co to jest? – Spojrzał na ekran komputera. – *Świadectwo Elisabeth Stoner*. Jednak was wzięło.

– Mhm, przejmująca historia – potwierdził Shaker.

Liver wyciągnął z teczki plik kartek i rzucił je na biurko.

– Mnie też, całą noc czytałem. I jakie jest wasze zdanie, Stoner to zrobiła czy nie? Mamy za sobą już tyle przesłuchań, bredni zaćpanych alfonsów, świadków okazujących się zabójcami i trefnych alibi, że powinniśmy wyczuwać takie numery.

– Na moje oko Stoner tego nie zrobiła, te wyznania są zbyt szczere.

– Ale zwalenie winy na wpływ ducha jakiegoś polskiego szlachcica to raczej nieciekawa linia obrony. Kto by w to uwierzył?

– Dlatego właśnie jej wierzę.

– Wierzycie jej, bo widzicie oczyma duszy drobną, zapłakaną blondyneczkę z rysującymi się pod sukienką krągłościami cięży,

widzicie niewiastę skrzywdzoną przez los, wyglądającą jakby muchy nie umiała zabić. Jej głos jak dzwoneczek mógłby wam nucić melodię do najszcześniejszych chwil w życiu, a ciepło falującej piersi mogłoby koić po burzach losu. Ale teraz wyobraźcie sobie, że ten paser, Gruby Manolo, wpadł z trefnym towarem i mówi, że duch sprzed setek lat go prowadzi i spycha na złą drogę. Wierzycie mu?

- A pan?

- To ja pierwszy spytałem!

- Oho, widzę, że nie tylko ja ulegam wpływowi drobnych blondyneczek z falującą piersią.

- Tak, tak... - Liver się zadumał. - Ale sądu nie przekonała... może miała brzydki tembr głosu albo sędzia był gejem. Poza tym to była głośna sprawa, sprawca musiał zostać znaleziony i ukarany. Nie mogli jej uniewinnić. No i nie znali jeszcze badań daktyloskopijnych i DNA...

- Nie mieli wykrywaczy kłamstw i profilerów psychologicznych...

- Tak czy siak, sędzia musiał być gejem, skoro ją skazał - dobitnie stwierdził Liver.

Następnie usiedli i podsumowali, co wiedzą o sprawie od samej pani Stoner. Na kilkanaście dni przed planowanym wyjazdem do Glasgow ktoś podszedł do niej, gdy wychodziła ze sklepu. Po kilku minutach rozmowy okazało się, że zna jej problemy i bardzo współczuje. Przedstawił się jako Jan. Potem spotkali się jeszcze kilka razy, niby przypadkiem, ale Elisabeth podejrzewała, że ją śledził. Z każdą rozmową Jan stawał się jej coraz bliższy, spacerowali po wzniesieniach wokół Ilford i dyskutowali o różnych sprawach. Okazało się, że jest Polakiem, co nie było łatwe do rozpoznania, gdyż doskonale mówił po angielsku. Uwagę zwracało jedynie to, że posługiwał się językiem bardzo archaicznym, jakby żywcem wziętym ze średniowiecza, co zresztą w ogóle jej nie przeszkadzało. W morzu nienawiści, pomówień i zjadliwych uwag odnośnie jej sytuacji i prowadzenia się kontakt z przyjaznym człowiekiem był jak balsam dla zbolalej duszy. Jan dawał do zrozumienia, że chciałby jej jakoś pomóc, a przynajmniej ulżyć w

ciężkiej sytuacji. Rozmowy poczęły schodzić na temat pana Hamptona. Jan był zdania, że zasłużył na karę, namawiał Elisabeth do odwołania wyjazdu i wysunięcia poważniejszych żądań wobec byłego kochanka. Można powiedzieć, że ich rozmowy miały dwa główne nurty, po pierwsze pocieszał ją i umacniał jej wiarę w siebie, a od pewnego momentu zaczął ją podburzać przeciw panu Hamptonowi. Pani Stoner przez te kilkanaście dni bardzo się zmieniła wewnętrznie; uświadomiła sobie, że to, co ją spotkało, nie jest końcem świata, że całe życie jeszcze przed nią, ale z drugiej strony zmienił się jej stosunek do pana Hamptona. O ile dotychczas traktowała go jako ofiarę ich związku, uwikłanego mężczyznę, dla którego warto wyjechać i zdjąć mu z barków ciężące brzemie, o tyle po kilku godzinach z Janem nie była już tego taka pewna. Stopniowo dochodziła do wniosku, że ofiarą była wyłącznie ona, a kochanek ją skrzywdził. Po każdym spotkaniu Jan zniknął, ale pojawiał się ponownie za kilka dni. Nikt nie wiedział, gdzie mieszka, co było tym dziwniejsze, że w tamtejszej małej i zamkniętej społeczności każdy gość stanowił nie lada atrakcję. Jednakże jego nikt nie znał. I albo ją obserwował, albo posiadał taką znajomość ludzkiej natury, bo zawsze pojawiał się w najwłaściwszym momencie, by umocnić Elisabeth zarówno w poczuciu doznanej krzywdy, jak i własnej siły. Stoner zeznała, że zaczęła o nim myśleć jak o jakimś duchu, który ma odmienić jej życie. Z każdym dniem utwierdzała się, że to opatrność zesłała jej opiekuna. Po dwóch tygodniach, tuż przed wyjazdem do Glasgow, podjęła decyzję. Nie pojedzie. Musi się ułożyć z Hamptonami, muszą jej zaoferować lepsze warunki i okazać choć odrobinę szacunku. W takim stanie ducha wyszła z domu. Po drodze spotkała Jana, który znowu pojawił się nie wiadomo skąd, ale jak zawsze w odpowiedniej chwili, i wsparł ją w powziętym zamiarze. Obiecał, że poczeka przed domem. Rozmowa z Hamptonem była udręką; do niedawna kochany i podziwiany człowiek wyśmiał ją i wyszydził jej brak rozsądku, bo kto rozsądny w „jej sytuacji” rezygnowałby z tak wspaniałej oferty pomocy. Zapowiedział, że na więcej liczyć nie może, a on już ma dość

sprawianych przez nią kłopotów. Wrzasnął coś jeszcze i wyszedł, trzaskając drzwiami; zostawił ją w sieni. Rozpacz i wściekłość zasnuły jej oczy krwawą mgłą, chwyciła coś, chyba świecznik, otworzyła kopniakiem drzwi i zobaczyła Hamptona podchodzącego do żony i córki. Pamięta tylko, że podbiegła i chciała go uderzyć. Prosto w tę pełną buty i pogardy gębę. Jakieś krzyki, Hampton odtrąca jej rękę, świecznik upada, ona, pchnięta, przewraca się na podłogę. Nagle żona i córka Hamptona zastygają w przerażeniu, Elisabeth nic już nie widzi, leży i szlocha. Słyszy nad sobą jakieś okrzyki, a potem łagodny głos Jana: „Już dobrze, już po wszystkim”. Rozgląda się wkoło. Cała rodzina zabita. Krwawa miazga, krew wszędzie, i pełne przerażenia zastygłe oczy. Najstraszniejsze – małej Judith, którą przecież znała i kochała od dziecka. Tyle pamięta. Nic więcej. Na jakiegokolwiek krwawe napisy na ścianach nie zwróciła uwagi i nie potrafi wyjaśnić, skąd się wzięły.

- To jak, Shaker? Dalej współczujemy?

- Ja tam współczuję.

- Mięczak. Wcale się nie dziwię, że jesteście żonaci i macie trzy córki. Najwyraźniej lubicie, gdy baby decydują o waszym losie.

- Mhm. To moja prywatna sprawa. Ale, ale! Nie dalej jak przedwczoraj ktoś się tu chciał strasznie spodobać pewnej szczupłej blondyneczce z niewinnym spojrzeniem... sokoła, he, he, he.

- I się podoba, Shaker, i się podoba. Ale podobać się, a dać sobą rządzić to dwie różne sprawy.

- Początkujący naiwniak – syknął Shaker, który był żonaty od ponad dwudziestu lat i dawno porzucił wszelkie teorie na rzecz survivalowej praktyki, w odróżnieniu od starych kawalerów, choćby i na stanowisku komisarza.

- Dobra, przejdźmy do krwawych napisów u Hamptonów. Co tam było? Daty?

- Daty.

Spojrzeni w wydruki komisarza.

- Hm, daty. Dawne, w miarę niedawne i przyszłe. O, ta będzie za tydzień – komentował konstabl.

- Za tydzień – potwierdził Liver i zapatrzył się w okno. – Za tydzień się coś stanie.

Czujny Wojsław

Bilet na autokar do Polski tkwił w kieszeni, pokój hotelowy opłacony, kanapki i oranżada kupione; zbierało się na deszcz, ale nie spadła jeszcze ani kropelka. Paryskie szare chmury dusiły i tak już duszne miasto. Darek spacerował w okolicach dworca autobusowego, z ponurą miną zastanawiając się nad życiem. Swoją czas dzielił na ten przed spotkaniem z Bartem i po. Okres „po” zmienił w jego życiu wszystko, łącznie z wiedzą, jak szybko może się przemieszczać człowiek. Patrząc na niewidzialne sprinty Wojsława, należało przyjąć, że jest to prędkość naddźwiękowa. Teraz jego ponaddźwiękowy towarzysz gdzieś zniknął, zostawiając Darka po raz pierwszy od kilkunastu godzin samego. Umówili się na kwadrans przed odjazdem autobusu. Rozejrzał się; potężna sylwetka Wojsława rzuciła się w oczy, więc powinien ją wypatrzyć bez trudu. Ale nigdzie go nie było.

Po chwili Darek wszedł na pobliski skwer, znalazł osłoniętą krzakami ławkę, usiadł na niej, wyciągnął z reklamówki kupioną w sklepiku na dworcu torbę i przepakował pieniądze. Jeśli go namierzają, to proszę bardzo, siedzi w paryskim koszu na śmieci, taka informacja może iść w świat. Przerzucając pliki banknotów, macał każdy, badając, czy nie ma tam jakiegoś zgrubienia, elektronicznej pluskwy nadającej sygnał lokacyjny. Nic nie wyczuł. Gdy skończył, odetchnął głęboko. Teraz mogą go pocałować. Na kwadrans przed odjazdem autobusu w kierunku Polski on będzie już podziwiał krajobrazy na południe od Paryża. Uśmiechnął się tryumfalnie i wstał z ławki. Wtedy zauważył, że szybkim krokiem podchodzi do niego patrol żandarmerii. Mijał ich wcześniej; omietli go wtedy obojętnym, choć badawczym spojrzeniem i poszli. W tej chwili zbliżali się znowu, jeden z dwóch funkcjonariuszy

trzymał w ręce kartkę, na którą spoglądał, a następnie unosił głowę, wpatrując się w Darka. Podeszli, zaszalutowali.

- *Bon jour. Monsieur Krzshi-show-skii?* - zapytał jeden, zacinając się przy wymawianiu nazwiska.

Zaskoczony Darek otworzył usta. Tamci wpatrywali się w kartkę, porównując jego twarz z wydrukiem. Portret? Czyj? Darek gorączkowo zastanawiał się nad odpowiedzią, której należało teraz udzielić. „Tak” albo „nie”. Policjant uśmiechnął się przyjaźnie i zagadał tym razem łamaną angielszczyzną.

- Dzień dobry. Pan Krzsho-fffsk-iii? - Zniekształcił jeszcze bardziej nazwisko Barta.

- Tak - odpowiedział z wahaniem po angielsku Darek, ale po ułamku sekundy dodał: - Znaczący nie. Nie Krzyżowski, nie.

- To tak czy nie? - Miłe uśmiechy zniknęły z twarzy żandarmów, znowu spojrzeli w karteczkę. Jeden z nich jakby machinalnie dotknął kabury pistoletu.

- Nie - odparł już pewnie Darek.

- Pański *pass* proszę.

Darek sięgnął do kieszeni. Modlił się, żeby nie wyciągnął przypadkiem dowodu Krzyżowskiego.

- Proszę ten *pass* - poganiał żandarm. Drugi cały czas studiował wydruk, łypiąc na Darka, który grzebał nerwowo po kieszeniach.

Już miał im wręczyć plastikowy kartonik, kiedy ten stojący dalej, przy krzakach, wydał przeciągłe westchnienie, zrobił dziwną minę i delikatnie osunął się na ziemię. Jego partner kątem oka zobaczył, co się dzieje z tyłu, machnął ręką, dając znak, żeby Darek poczekał, i podszedł do leżącego. Kucnął przy nim i oglądał gorączkowo swego partnera, doszukując się jakichś symptomów ataku serca bądź udaru. Cały czas mruczał coś pod nosem: Darek rozpoznał imię Pierre. Wtedy coś bezszelestnie przewróciło drugiego żandarma, po czym pociągnęło w zarośla. Darek widział szamoczące się nogi wystające z listowia. Po chwili zastygły. Podszedł trzy kroki, by sprawdzić, o co chodzi. Po kilku

sekundach z krzaków wychynął Wojsław, otrząsnął się z liści i resztek trawy, a zakrwawione dłonie wytarł w spodnie. Wyglądał tak, jakby przed chwilą robił coś w kuchni, ale zadzwonił telefon i musiał szybko odebrać.

- Nu, droga wolna. - Uśmiechnął się promiennie do Darka. - Nie będą więcej przeszkadzać.

Darek milczał zszokowany, wodził wzrokiem to po nieruchomych ciałach wystających z krzaków, to po muskularnej postaci Wojsława, który nie przestawał się cieszyć. Podszedł do żandarmów. Bez wątpienia byli martwi.

- Ty, ty... ty morderco! - syknął nagle. - Co oni ci zrobili? Kim ty jesteś?

- Wojsław, panie. A oni cię już szukają. Mają listy, widziałeś przecież. Wpadłbyś, gdyby nie ja. Ale nie zawiodłem. Jestem przy tobie.

- Kurwa! - zawył wściekły Darek. - Co: nie zawiodłem?! Co: gdyby nie ty?! Ja nic nie zrobiłem. Dałbym dowód, popatryliby i poszli dalej. Po co mnie wpierdalasz w taką kabałę?!

- Ale przecie nie zawiodłem... Przecie szukają... Listy... Widziałeś... Panie! - dukał zaskoczony Wojsław, któremu dobry humor minął.

- Ja nic nie zrobiłem. Nic. Rozumiesz? Jestem tylko podobny do mordercy, przypadkowo się z nim związałem. Przepadkowo, bez sensu, bez celu! I z tobą też. Mamy teraz dwa trupy. Znaczy ty masz dwa trupy. I do tego całą masę potencjalnych kłopotów, z którymi ja nie chcę mieć nic wspólnego.

- Ale oni chcą ciebie. Szukają. Mają informacje. Wszędzie szukają. Byłby koniec misji, gdyby nie ja - tłumaczył dalej zaskoczony Wojsław.

- Weź mi, kurwa, z żadną misją nie wyjeżdżaj! Nie pojedę do Polski, żeby kogokolwiek zabijać!

- Dobra, dobra. - Wojsław najwyraźniej miał dość pretensji pod swoim adresem i chciał zakończyć sprzeczkę. - Zaraz trupy znikną i będzie po kłopotcie.

Zarzucił sobie oba ciała na plecy i z takim obciążeniem zaczął się wspinać po drzewie. Stary dąb był rozłożysty i gęsto pokryty listowiem. Makabryczne trio zniknęło po kilku sekundach z oczu Darka, słyszał tylko szelest gałęzi nad sobą. Wkrótce Wojsław zsunął się na ziemię i zameldował:

- Siedzą ładnie, wysoko, nikt nie zauważy. Dla pewności przywiązałem ich do pnia linką, zawsze mam ze sobą ze dwa zwoje. Przed jesienią nie spadną, he, he, he. Chyba że będzie burza jak ta w tysiąc pięćset szesnastym, wtedy by spadli, tyle że razem z drzewem, he, he, he.

Darek wpatrywał się zmartwiałą w zadowoloną twarz Wojsława, zmrożony myślą, że wpakował się w sytuację bez wyjścia, że ktoś gdzieś podjął decyzję odnośnie jego życia, a jemu pozostaje teraz tylko realizowanie tego, co już się realizuje.

- To jak? Widzimy się kwadrans przed odjazdem?

Darek skinął głową. Wiedział, że będzie czekał przy autobusie, zrozumiał, że może zmieniać torby, mylić tropy i uciekać, czym chce. Jego droga i tak została już wytyczona. Deszcz zaczął kropić, duszny Paryż przygotowywał się do kąpieli.

Niezasłużona nagroda

Liver wpadł na halę lotniska, dysząc ciężko. Serce mało nie wyskoczyło zza żeber, w płucach świszczało i rzęziło. Był spóźniony o jakieś pół godziny. Klął jak szewc. Pieprzony autobus, zachciało mu się wycieczki, zamiast jak człowiek pojechać pod ziemią. Smith stał już pod okienkiem z numerem ich lotu. Na widok Livera zrobił minę, jakby właśnie połykał żabę, i popukał wymownie w zegarek.

- No co, no co?! Wpadłem w gigantyczny korek, a kierowca zapomniał przypiąć skrzydeł do autobusu.

- Dobrze, że mój nie zapomniał, dzięki temu ta pani wiedziała, że w końcu przyjdiesz, i nie zamknęła okienka. Zamelduj się szybko i lecimy.

Liver podszedł do pięknej śniadej stewardessy, nadał bagaż i potwierdził bilet.

- Ma pan szczęście, jedno miejsce w klasie biznes właśnie się zwolniło. I nie mamy na nie rezerwacji. Mogę je panu zaproponować, gratis od firmy.

Liver przyjął propozycję i uśmiechnął się promiennie. Smith, słysząc to, cały spurpurowiał; zacisnął pięści i podszedł do pani, która właśnie zamykała laptopa z serwisem rezerwacji.

- A ja? Mam pierwszeństwo, byłem tu już prawie godzinę temu. Dlaczego on poleci wygodniej, choć się spóźnił?

- Przykro mi, ale nie dysponujemy dodatkowymi miejscami w lepszej klasie. Pan miał dużo szczęścia. - Znów uśmiechnęła się do Livera, który odpowiedział uśmiechem i mrugnął okiem. Pani zaśmiała się i również puściła oczko do komisarza.

Smith stał jak sparaliżowany, a wściekłość zalewała go strumieniami. Mózg agenta generował tysiące pomysłów, jak się zemścić na tym chichoczącym dueciku za zniewagę brytyjskich służb wywiadowczych. Oczyma wyobraźni widział już ciemnoskórą piękność błagającą o zmiłowanie na płonącym stosie. Obok jęczy Liver nabijany na pal. Jego wnętrzości rozrywa nieheblowane drewno, a on wyje: „O, przyjacielu, weź mój wygodny fotel, ale zlituj się”. Ale on nie będzie miał litości...

- Nie gniewaj się, Smith, dam ci chwilę posiedzieć z wyprostowanymi nogami, a zresztą te trzy godzinki zlecą jak z bicia strzelił - pocieszał kolegę Liver, mimowolnie osiągając skutek odwrotny od zamierzonego. Myśl o zemście stała się chwilowo motywem przewodnim agenta Smitha.

- Tak, tak. Dziękuję, obejdzie się - mamrotał w odpowiedzi na uprzejmości.

Po kilkudziesięciu minutach samolot wzleciał ponad angielski krajobraz. Liver przysiadł się na chwilę do kolegi w klasie ekonomicznej, chcąc zatrzeć złe wrażenie wywołane przydzieleniem wygodniejszego przedziału. Przyniósł ze sobą szklaneczkę dobrej whisky dla podtrzymania humoru. Smith łykał wodę z plastikowego kubka. Cholera, szkło też jest tylko w klasie biznes.

- Ech, przygoda. Ciekawe, co nas tam czeka. Patrz, ludzie sobie latają, a tam gdzieś na dole jakiś psychol planuje... - rozgadał się Liver.

- Cisz! Zwariowałeś? To poufne informacje!

- Już dobra, milczę jak grób. - Liver położył palec na ustach. Łyknął alkoholu, wstał i udał się na przód samolotu. Po kilku krokach odwrócił się z uśmiechem. - Jakby co, no wiesz, jakbyś zdrętwiał, to zapraszam. Posiedzisz chwilę, rozprostujesz kości. Musimy się wspierać, co nie?

Smith bąknął coś w odpowiedzi, jakby podziękowanie, ale tak cicho, że nawet najbliższy sąsiad nie usłyszał. Liver ponownie uśmiechnął się zapraszająco i zniknął za kotarą zasłaniającą przejście do lepszego świata. Samolot buczał miarowo.

Smith mruknął ponownie, już dużo bardziej zrozumiale dla otoczenia:

- Pierdol się.

Doskonałość poprzez kontrolę i autoryzację

Komisarz Wątroba siedział przy biurku zamysłony, choć właściwie należałoby powiedzieć, że tylko siedział. O myśleniu w tradycyjnym tego słowa znaczeniu nie było mowy. Stan jego umysłu można by porównać do jałowej pustyni: hula wiatr i nic nie rośnie. Chwiejczak i Wróżka również siedzieli przy biurkach i wyglądali bardzo podobnie do swego pryncypała. Uchylone okno wpuszczało fale pierwszego tej wiosny ciepła, bzyczała mucha usiłująca sforsować szybę, tłukła łbem, zamiast przelecieć te kilka centymetrów dalej do otwartej przestrzeni.

- Ech - westchnął Wątroba, podkreślając tym swój brak zaangażowania w jakąkolwiek aktywność poza trwaniem biologicznym.
- Ciepło.

- Mhm, ciepło - podchwycili Wróżka i Chwiejczak.

- Ciepło - potwierdził dość głupowato Wątroba.

I znów nic się nie działo. Mucha waliła łbem w szybę, z pokoju przyjąć dochodziły odgłosy sprzeczki z podkładem hitów Radia Złote Przeboje, ulubionej rozgłośni dyżurnego, rumianego jegomościa, który zajmował się w życiu tym, co najmniej lubił: pracą z marudnymi i napastliwymi petentami. Ale jak to często bywa, przyporządkowanie do stanowisk odbywa się na zasadzie selekcji negatywnej oraz poprzez podkładanie świni; na dokładkę hierarchiczna organizacja policji uniemożliwiała jakikolwiek sprzeciw, dlatego dyżurny trwał na swoim posterunku latami, knując jedynie po cichu plany zemsty na wszystkim za wszystko.

- Ciepło i nudno – mruknął ponownie komisarz. – Jest super... – upajał się swoim stanem.

- Mhm, super – potwierdzili półgębkiem podwładni, lecz na tyle niewyraźnie, żeby móc się w każdej chwili wyprzeć tego entuzjazmu dla nieróbstwa w godzinach pracy.

- Suuuper! – Wątroba nie mógł się nacieszyć.

- Mhm – zgadzali się dalej Chwiejczak i Wróżka, cały czas nie mając pewności, czy to podpucha, czy chwila szczerości pulchnego szefa.

Nagle za drzwiami coś zaszurało, huknęło. Złote Przeboje oraz szmer sprzeczki zamilkły, zastąpione przez czyjś głos, który brzmiał tak, jakby czegoś bezwarunkowo żądał albo wydawał rozkazy. Na drugim planie słyhać było dyżurnego – wydawał się bardzo przestraszony. Policjanci spojrzeli po sobie pytająco; Wątroba powoli podniósł głowę, jak wilk węszący niebezpieczeństwo. Chwiejczak sięgnął po przerwany w połowie raport, Wróżka wstał od stołu, prawdopodobnie chcąc swoim zwyczajem zadekować się gdzieś na korytarzu, koło dystrybutora z wodą, i przeczekać niebezpieczeństwo. Wszystko za późno. Drzwi do ich pomieszczenia otworzyły się z hukiem i wpadło przez nie dwóch mężczyzn. Jeden wyraźnie przewodził: szczupły w ciemnym garniturze, uczesany z przedziałkiem. Jego lisia twarz stężała w wyrazie wściekłości i całkowitej dezaprobaty dla tego, co zobaczył. Zaraz za nim wszedł ubrany w przepisowy mundur nieznany Wątrobie funkcjonariusz, który – choć przybył razem z tamtym – wyraźnie starał się trzymać dystans, a jego twarz mówiła, że jest tutaj, bo musi.

- Bacność! – syknął chudy w garniturze, a mundurowy spojrzał porozumiewawczo na kolegów i dał znak ręką, żeby się podnieśli.

Wstali z szuraniem krzesel.

Chudy omiół ich wzrokiem i ryknął:

- Bacność powiedziałem, a nie, że macie udawać zdechłaków! Kto tu siedzi? – zwrócił się do towarzysza, który wyciągnął kartkę i przeczytał z niej:

- Posterunkowy Chwiejczak. - Chwiejczak wyprostowany jak struna huknął obcasami. - Aspirant Wrózkowski. - Wróżka lekko skinął głową. - Komisarz Wątroba, pełniący obowiązki komendanta. - Mundurowy wskazał na Wątrobę, który stał na baczność pierwszy raz od kilkunastu lat. Dłonie trzymał wzdłuż ciała, starał się wciągać brzuch, ale rezultat tych starań był mniej niż mizerny: ogromne brzuszysko sterczało pomiędzy połami płaszcza, nadając postaci komisarza dość komicznych proporcji. Dodatkowo rozkaz przyjęcia pozycji zasadniczej zaskoczył go w momencie, kiedy poprawiał skarpetkę, więc wcześniej ściągnął but. Biurko zasłaniało przybyszom nieregulaminowy brak obuwia na służbie, a Wątroba za nic by się nie przyznał, że coś jest nie w porządku. Jednak w wyniku tej różnicy poziomów cały czas musiał walczyć o zachowanie pionu, a wysiłek ten okupiony był rosnącym zdrętwieniem biodra i spoconym czołem.

- Taaa, to jest ta Wątroba - syknął człowiek o twarzy lisa. - Porażka - dodał. I do prezentowanego wyrazu wściekłości i dezaprobaty dorzucił obrzydzenie. Następnie zwrócił się do wszystkich: - Słuchajcie, funkcjonariusze. Tak zwani funkcjonariusze. Jestem agent PX, dwie litery, Pe, Iks. Kto się pomyli, ten pożałuje dnia, kiedy zapisał się do policji. To jest inspektor Chabowski z wojewódzkiej. Ma mnie wprowadzić w tutejsze porządki. Ale moim zdaniem to jest burdel i gnojowisko, do którego nikt mnie wprowadzać nie musi, bo sam gównowicie. Poza tym w burdel i gnojówkę się nie wchodzi, tylko toto sprzęta, wypierdala bez litości. Zrozumiano?!

- Tak jest! - odrzyknęło czterech ludzi z samego środka burdelu i gnojowiska.

- Bo tam, gdzie się ma dzieć coś ważnego, musi być ład i porządek, żeby było co pokazać. I wtedy państwo wysłała mnie, czyli... - Wskazał palcem na Wątrobę. - Czyli kogo? Jak się nazywam, Wątrobo?

- Peee ikss... - niepewnym głosem odpowiedział komisarz, czując, że powoli traci pion i byle podmuch wiatru może go przewrócić.

- Tak. Agent PX, Centralna Delegatura Urzędu Najwyższego Poziomu Ochrony Państwa, Dział Kontroli. Jaki mają stopień autoryzacji? - zwrócił się do Chabowskiego.

- Melduję, że nie mają autoryzacji.

- Nie mają autoryzacji... - Oczy PX-a zwięzły się do szparek. - To tak, jakby ich nie było. Niestety są. Ale ja sobie poradzę, już niejednego autoryzowałem, wyprowadziłem na ludzi, a jeszcze więcej... - Zawiesił głos, więc wyprostowani policjanci nie usłyszeli, co stało się z tą większością, która nie podołała autoryzacji u PX-a. Agent powiódł po zebranych spojrzeniem i oficjalnym tonem obwieścił: - Rozpaczam kontrolę tej komendy wraz z procesem autoryzacji najniższego stopnia. Każde naruszenie stanu obecnego i dokumentacji będzie karane zgodnie z kodeksem, każda decyzja musi być w procesie kontroli i autoryzacji zatwierdzona przez kontrolującego i autoryzującego, który ma prawo zatwierdzić lub odwołać wszystko. Ogłaszam odprawę za trzynaście minut i osiemnaście sekund w hallu komendy. Spoczni!

Niestety komenda „Spoczni” zabrzmiała o ułamek sekundy za późno, bo Wątroba od kilku minut walczący o przepisowy pion właśnie stracił go na dobre i runął w bok, przewracając krzesło. Gramolił się z podłogi kilkanaście sekund, szurając meblami i stękając. Wszyscy zauważyli zarówno brak jednego buta, jak i dużą dziurę w skarpecie.

- Ohyda - syknął PX i do dotychczasowego obrzydzenia dorzucił wstręt wyższego rzędu. Następnie wyszedł, trzaskając drzwiami.

Zapadła cisza. Wątroba usiadł na krześle, ocierając czoło. Chwiejczak i Wróżka byli pod takim wrażeniem, że jeszcze kilkanaście sekund stali na baczność. Chabowski westchnął.

- Nie zazdroszczę wam, panowie. PX to niezły numer, niejednemu złamał już karierę.

- Panie inspektorze, kto to jest? Po co tu przyjechał?

- Będziecie mieli wizytę ważnego polityka za kilka dni. Zgodnie z procedurą wszystkie instytucje bezpieczeństwa są sprawdzane i koordynowane przez organy centralne. PX was oficjalnie autoryzuje.

– A jak nie podaliśmy?

Chabowski wzruszył ramionami, następnie przesunął kantem dłoni po szyi, pokazując, co ich czeka.

– A komendant? Przecież on jest odpowiedzialny za wszystko. Co to za polityk?

– Komendant wziął urlop, dawno planowany, nieprzesuwalny, zatwierdzony przez samego komendanta wojewódzkiego. A przyjazd polityka to na razie tajemnica. Żadnych nazwisk.

Wątroba pamiętał ten dawno planowany, nieodwołalny urlop. Kilka dni temu Stary przyszedł do nich jak co tydzień, tradycyjnie wypytujac, czy wszystko w porządku i okay. Podczas pogawędki zadzwonił telefon w jego kieszeni, który odebrał. Wątroba usłyszał tylko: „Cześć Kazek” – komendant wojewódzki, kolega Starego ze szkoły, miał na imię Kazimierz – a potem jęki niedowierzania i przestachu dochodzące już z korytarza. Stary pół godziny później oświadczył im, że dostał nieoczekiwane polecenie wyjazdu służbowego i przekazał dowodzenie najstarszemu stopniem, czyli Wątrobie. Dodał, że nie powinno się nic nowego wydarzyć, i tyle go widzieli. A dziś ten PX... Do odprawy zostało sześć minut i dwanaście sekund. Ponurą ciszę przerwał Chabowski:

– No, głowa do góry. PX też człowiek, zawalcie go papierami, to się zatka na kilkanaście godzin. A za tydzień szyszka pojedzie i żadna autoryzacja nie będzie już potrzebna.

– Papierzy też nie zawsze w porządku... – zaczął Wróżka, ale Wątroba uciszył go nerwowym gestem.

– Dziękujemy, tak właśnie zrobimy. Czy pan będzie obecny podczas autoryzacji?

Chabowski uciekł wzrokiem do kąta za szafą. Chrząknął.

– Tak, tak, oczywiście będę. Rzecz jasna w ramach moich obowiązków w wojewódzkiej, ale na pewno znajdę chwilę czasu na koordynację... Zawsze możecie zadzwonić, nigdy nie odmówię rady i pomocy. W ramach swoich kompetencji i możliwości oczywiście. – Inspektor miał jasno sprecyzowaną wizję współpracy. Oni tu z PX-em,

on tam okazyjnie na telefonie, pomagając w konkretnie nakreślonych ramach kompetencyjnych. Przez kogo nakreślonych? Pewnie przez samego Chabowskiego.

- Rozumiem, jesteście bardzo zobowiązani - politycznie odpowiedział Wątroba, a Chabowski pomyślał, że ten grubas nie jest taki głupi, na jakiego wygląda, i może wyjdzie cało z tej kabały. - No, panowie, z PX-em gadam ja, a wy tylko na rozkaz. Na odprawę wchodzimy dokładnie o czasie, według wzrostu i od razu w szeregu. Zawołajcie tu Edka, też będzie uczestniczyć.

Dyżurny Edek trwał od kilkunastu minut na baczność, drżąc, że PX znów wkroczy i go skrzyczy. Dopiero wyraźny rozkaz Wątroby, wyrzeczany mu przez Wróżkę wprost do ucha, wyrwał go ze stanu osłupienia. Chabowski nie miał już wątpliwości, że Wątroba nie da zginąć sobie i swoim podwładnym. Do odprawy zostały dwie minuty i czterdzieści sekund. Ustawiali się i ćwiczyli poprawną postawę. Przy okazji okazało się, że ostatni raz stali przepisowo wyprostowani kilkanaście lat temu, a od tego czasu rozpuścili się jak dziadowskie bicze. Chabowski powiedział, że on już odprawę z PX-em odbył i wie wszystko, co trzeba, po czym rozpoczął proces wycofywania się z komendy.

- Osiem, siedem... - komisarz odliczał sekundy do wkroczenia na odprawę - ...dwa, jeden, już!

Weszli. PX już stał pod wielkim oknem, w rozkroku jak amerykański sierżant przed rekrutami w ich pierwszym dniu służby. Spozierał ponuro na wchodzący szereg. Udało się. Dotarli w miarę równym szyku przed oblicze PX-a. Stanęli i wyprężyli się w oczekiwaniu.

- Rozpoczynam odprawę kontrolno-autoryzacyjną. Kolejno odlicz!

- Raz, dwa, trzy, cztery... - Ostatni w szeregu był Edek, który przerażony bliskością strasznego agenta, nie mógł wydusić z siebie „pięć”. PX podszedł do niego, ich twarze nieomal się zetknęły.

- Odlicz, grubasie, bo inaczej będziesz tu pompki robił, a nie wierzę, że choć raz podźwigniesz ten kałdun.

- Pię-ęć - wyjął dyżurny.

PX wrócił na pozycję.

- Punkt pierwszy. Kto chce coś powiedzieć, ma wysunąć lewą nogę, lekko się zgarbić i przybrać wyczekującą minę. Punkt drugi...

W tym momencie Wróżka wysunął nogę, lekko się skrzywił i zgarbił. PX przerwał, spojrział wściekle na aspiranta.

- Powiedziałem, że mina ma być wyczekująca, a nie durna. Do tego mylą się wam nogi.

Wróżka podskoczył, wyciągając drugą nogę, a minę zmienił na jeszcze głupszą. PX zawrzał.

- Odbieram ci głos! Odbieram na zawsze. Wróć!

- Ale... - zaczął Wróżka, jednakże zgromiony spojrzeniem PX-a zamilkł. Pożałował, że nie posłuchał Wątroby i chciał coś powiedzieć nieproszony.

- Punkt drugi! - wrzasnął PX. - Na pewno zastanawiacie się, po co potrzebowałem tych kilkunastu minut do odprawy?

Prawdę mówiąc, nikt się nad tym nie zastanawiał; odpowiedzieć na pytanie też nie było komu, bo każdy oszczędzał swoją lewą nogę. Cisza.

- Sześć minut i jedenaście sekund lustrowałem stan faktyczny obiektu. Siedem minut i siedem sekund układałem hasło waszego nowego życia, które zamierzam tu wprowadzić. Brzmi ono: „Doskonałość poprzez autoryzację i kontrolę”. Dobrze, co nie? He, he, he.

Postacie w szeregu lekko się uśmiechnęły; nikt nie był pewien, czy przy uśmiechu mają wysuwać nogę, czy nie. Po chwili śmiech umilkł, twarz PX-a znów była wścieklą maską. Wątroba pomyślał, że dość dużo czasu zajęło mu wykoncypowanie tak banalnego hasła. Zaczął podejrzewać, iż mają do czynienia z ograniczonym umysłowo furiatem.

- Punkt trzeci. Ustalenie centrum kontrolno-autoryzacyjnego. Hmm... - PX zamyślił się, zerkając na wejście do ich pomieszczeń. Wątrobie ścierpła skóra na myśl, że ten człowiek będzie tkwił przez najbliższy tydzień w ich biurze, a oni, nawet siedząc, będą na baczność i

przed każdym odezwaniami będą musieli wysuwać lewą nogę i się garbić. Wtedy wpadł mu do głowy pomysł. Wysunął nogę i przybrał jak najbardziej uniżony wyraz twarzy. PX to zauważył, pozycja mu się spodobała, bo nie krzyknął ani nie odebrał Wątrobie głosu na zawsze, tylko skinął przyzwalająco głową.

- Panie agencie, melduję, że dla celów audytu wewnętrznego i kontroli został przygotowany pokój operacyjny.

Podwładni Wątroby wyglądali na zdumionych; pracując kilkanaście lat w tym budynku, nie mieli pojęcia o żadnym pokoju operacyjnym. Pewnie był ściśle tajny. Na twarzy PX zagościł delikatny uśmiech zadowolenia. Następnie ogłosił swoją decyzję:

- Ogłaszam rewizję pokoju operacyjnego. Wątroba, po klucz odmaszerować. Pozostali, spoczniej. Zachować pozycje, odprawa zostanie wznowiona za dwie minuty i osiemnaście sekund.

Chwiejczak wybałuszył oczy ze zdziwienia dla tej dokładności i sprawdził pozycję sekundnika na zegarku. Komisarz i PX pognali po schodach na górę.

- Pewnie da mu gabinet Starego, ma klucze. Sprytne. Jezu, byle dalej od tego idioty - stwierdził Wróżka. - Pomyśleć, że jeszcze osiemnaście minut i czternaście sekund temu było tu tak cicho i spokojnie.

Dwie minuty i osiemnaście sekund zleciały jak z bicia strzelił. Wątroba i PX zeszli na dół, komisarz mrugnął porozumiewawczo do kolegów. Najwidoczniej gabinet się spodobał, a jeżeli wziąć pod uwagę, że Stary miał w szufladzie niezłą kolekcję pisemek dla panów, PX na pewno będzie rzadko do nich schodził.

- Punkt czwarty. Przegląd poprawności dokumentacji. Za osiemnaście minut i zero sekund rozpoczynam tę operację, do tego czasu macie zgromadzić dokumentację wszystkich zatrzymań z ostatnich pięciu lat. I zanieść to do pokoju operacyjnego.

Chwiejczak był przerażony; sam pisał większość z tych protokołów i zawsze starał się to robić jak najobszerniej i najdokładniej. Teraz żałował, że wygenerował przez swoje zaangażowanie setki kilogramów

makulatury. Już chciał wysunąć nogę, ale Wątroba szturchnął go łokciem i lekko pokręcił głową. Minę miał zadowoloną. Chwiejczak zrozumiał: chwila noszenia, a spokój na godziny. PX przełożył kolejne czternaście punktów odprawy na bliżej niesprecyzowaną liczbę sekund i oddalił się na piętro, oczekując strumienia dokumentacji. Wszyscy odetchnęli. Wróżka chciał zagadać do komisarza, ale ten się nachmurzył i szybko go usadził:

- Cisza tu! Wy macie odebrany głos na zawsze i nawet dwie nogi nic nie pomogą. Był rozkaz, żeby nie gadać bez rozkazu. A teraz do roboty! Mamy piętnaście minut i osiemnaście sekund na zawalenie PX-a papierami.

Policjantów zamurowało. Wystarczyło kilkadziesiąt sekund z PX-em na osobności, a Wątroba już gadał jak tamten. To chyba zaraźliwe. Wszyscy poszli do archiwum, komisarz wyznaczył półki do przeniesienia. Sekundy mijały.

Kim jest Wojsław?

W wąskim przejściu pomiędzy fotelami autobusowymi barczysty Wojsław mieścił się nadspodziewanie łatwo. Darek odniósł wrażenie, że rycerz, idąc na swoje miejsce, jakby przenikał przez zagłówki i poręcze, tym samym sprawniej niż jego dużo mniejszy towarzysz dotarł na tył pojazdu.

– Tu? – Wskazał na dwa fotele w trzecim rzędzie od końca. – Na kole. Będzie kołysać.

Darek wsunął się na miejsce przy oknie, Wojsław opadł obok. Ludzi przybywało; plecaki, torby, choć tylko podręczne, zabierały dużo miejsca i zalegały już wszędzie. Jakiś ojciec rodziny, spocony, z twarzą purpurową z wysiłku, zajął ostatni rząd – pięć miejsc dla małżonki i trójki maluchów. Darek już słyszał „uszami duszy” te wrzaski i płacze przez kilkanaście godzin podróży. Autokar się wypełniał. Jedni wchodzili i spojrzeniem wyłuskiwali najlepsze z wolnych miejsc, inni przepychali się z powrotem, bo po zajęciu swojego fotela chcieli jeszcze zapalić albo pogadać z odprowadzającymi. Poszukujący krążyli, przeklinając wychodzących, bo zawadzali i wprowadzali ich w błąd, pozostawiając puste miejsca. Dzieci usadzone w ostatnim rzędzie pobiły się o to, kto gdzie będzie siedział, potem wylały oranżadę, a najmłodsze zaczęło jęczeć, że chce siku. Ojciec rodziny wrzeszczał w kierunku kierowcy, żeby otworzył tylne drzwi, bo maluch nie może czekać, domniemany szofer wstał, wzruszył ramionami, wyszedł z autobusu i zniknął za najbliższą kępą krzaków. Więcej nikt go nie zobaczył. Zdesperowany tatuś chwycił malucha pod pachę i na przemian klnąc oraz przepraszając, pchał się przez ciżbę. W połowie drogi zaklął szczególnie głośno.

– Zośka, Ernest się złał! Co robić? – wrzasnął do małżonki usiłującej spacyfikować pozostałą dwójkę pociech. Jakaś dziewczyna krzyknęła, że ona w sikach siedzieć nie będzie. Poszukujący miejsc zamarli na chwilę, kalkulując, jak i gdzie usiąść, by ominąć pechową kałużę. Zdenerwowany rodzic z już spokojną latoroślą rozpoczął wędrówkę z powrotem na tył autobusu.

Za kierownicą pojawił się po dłuższej chwili inny szofer, z wąsami, w koszulce z napisem Yacht Club 96. Był to chyba właściwy kierowca, bowiem zachowywał się dość swobodnie; zapalił papierosa, ignorując rozlepione w pojeździe zakazy. Wnętrze autobusu wypełniła dynamiczna muzyka dyskotekowa. Ludzie przyspieszyli poszukiwanie miejsc, sądząc, że pojazd zaraz ruszy; kłęby dymu papierosowego snuły się aż do tylnych rzędów. Darek pomyślał, że właśnie znalazł się w piekle. Autobus odjechał jednak dopiero po dziesięciu minutach; doświadczony kierowca wie, że pasażerowie muszą porzucić porządnie kurwami, a on poczekać na spóźnialskich. W końcu, otaksowawszy wnętrze fachowym spojrzeniem, ruszył, powoli przebijając się przez Paryż.

Darek patrzył ponuro w szybę, a w jego głowie kołowały jeszcze bardziej ponure myśli. Jedzie w towarzystwie jakiegoś koszmarnego, przerażającego Wojsława i wcale mu się to nie podoba. Plan, który wpadł mu do głowy, kiedy przeglądał notatki Barta, był niezwykle prosty i pozornie łatwy do wykonania. Weźmie pieniądze jako zaliczkę i zniknie. A tu wszystko diabli wzięli. Skąd się ten człowiek urwał? Czy to w ogóle człowiek? Mówi, że rzadko tu bywa, i nie chce wyznaczyć, skąd przybył; jest niesamowicie silny i szybki, a jednocześnie jakiś taki niemrawy, głupio uśmiechnięty. No i ten wybuch wściekłości! Darek nie zapomni go do końca życia. Czuł się trochę tak, jakby trafił w łapy debilowatego goryla, który jest ogólnie przyjaźnie nastawiony do świata, ale czasem komuś rozbije głowę kamieniem albo zrzuci z palmy dla zabawy.

- Aż tak głupi nie jestem - zamruczał Wojsław, patrząc spod zmrużonych powiek ponad fotelami.

- Słucham? - spytał Darek, wyrwany ze swoich rozważań.

- Zabijanie nie jest tylko dla zabawy - mruknął ponownie Wojsław.

Darka aż dreszcz przeszedł, bo zabrzmiało to jak riposta na jego myśli. Jezu, a jeżeli on potrafi odgadywać myśli?! Będzie wszystko o nim wiedzieć, zawsze krok do przodu. Darek postanowił trochę pogadać, zagłuszyć ten ponury potok płynący mu przez głowę. Autobus wydostał się już na autostradę i nawet trójka dzieciaków z tylnego rzędu zamilkła ukołysana rytmem jazdy.

- Wojsław, a co ty normalnie robisz, czym się zajmujesz?

- Eee, nic takiego. Nudzę się. Strasznie się nudzę.

- A jak wygląda miejsce, gdzie żyjesz?

- Ja raczej nie żyję... - Wojsław oczy miał półprzymknięte, jakby drzemał, ale odpowiadał składnie.

- Nie żyjesz? To co robisz?

- Trwam, zastanawiam się... Mówiłem, nuda i dłużyzna.

- Ale dlaczego zabijasz i chcesz zabijać dalej? Z nudów?

- Ależ to nie ja. Ja jedynie pomagam, realizuję twoje pomysły. Ludzie czasem wiedzą, czego chcą. Czasem wiedzą, czego nie chcą. Jednak zazwyczaj nie wiedzą, czego chcą. Podejmują się zadań, których nie zamierzają wykonać, fantazjują o czyjejs śmierci i bogactwie zyskanym w jej wyniku. Wtedy trzeba im pomóc, nakierować, wręcz zdecydować. Jednak to zawsze oni zabijają.

- Przecież już ci mówiłem, że ja chcę mieć tylko spokój. Nie zamierzam nikogo zabijać! - krzyknął Darek. Kilka osób spojrzało w ich stronę. Wojsław mruknął uspokajająco:

- Dobrze, już dobrze, bez emocji. Nie będziesz chciał, nie zabijesz. - Splótł ręce na piersiach, zamknął oczy.

Darek odwrócił się do okna.

Autobus gnał autostradą, zapadał zmierzch. Mdłe światelko lampek oświetlających przejście środkiem pojazdu odbijało się w szarości szyby. Wszędzie migwały reflektory pędzących samochodów, mijanych miejscowości, rzęsiście oświetlone rozjazdy. Wszyscy w autobusie drzemali, ale był to typowy sen podróżnika, gotowego w każdej chwili otworzyć oczy, by sprawdzić, gdzie jest i czy nie ukradziono mu bagażu. Darek zerknął na Wojsława i poczuł rosnącą niechęć. Dlaczego musiał trafić akurat na niego? Odpowiedź natychmiast się nasunęła. To on sam ściągnął go sobie na głowę, bo zamiast żyć i pracować jak uczciwy człowiek, zaczął się układać z mordercami i kombinować, jak się wzbogacić na cudzej krzywdzie. To on go przywołał swoimi podłymi uczynkami. A teraz... Ponownie spojrzął z ukosa na śpiącego Wojsława; w szarzyźnie nocnego autobusu wszystkie twarze były zamazane, niewyraźne. I teraz Darek nie dałby sobie ręki uciąć, czy była to twarz, jaką oglądał przez kilkanaście ostatnich godzin, czy zmieniła się na czas snu. Tak, była inna, wyglądała, jakby się postarzała, jakaś koszmarna maska, dziwna skóra, jakby popalona i zniszczona. Ale rysy znajome. Darek aż podskoczył. To był on sam. Stary, zmieniony, jakby nieżywy. Czas i robactwo już go trochę nadtoczyły, ale to on. A może Bart? I wtedy potwór otworzył oczy, uśmiechnął się dziko i wstał powoli. Darek z przerażeniem patrzył na postać, która miała jego twarz, ale jednocześnie wyglądała tak odpychająco, nieludzko, że to na pewno nie mógł być on. Wojsław podszedł do tylnego rzędu, gdzie spała głośna rodzinka. Jedynie zaangażowany ojciec czuwał, wpatrując się tępo w przestrzeń. Może cieszył się chwilą spokoju, kiedy nie trzeba uspokajać dzieci i dbać o ich potrzeby fizjologiczne, a może cierpiał na chorobę lokomocyjną i właśnie walczył z rewolucją w żołądku. Wojsław nachylił się nad trójką śpiących dzieci. Szczególnie uważnie przyglądał się najmłodszemu, Ernestkowi, który już przebrany, smacznie spał z pluszowym misiem w objęciach. Stwór pogłaskał małego po głowie i przytulił się do jego policzka. Darek przełknął nerwowo ślinę. Dlaczego nikt nie reaguje? Co z tym ojcem, nie widzi go? W końcu nie wytrzymał

nerwowo, wyskoczył ze swojego fotela, chwycił Wojsława za rękę i pociągnął.

– Zostaw go, ty gnido, ty potworze – sapał, próbując usadzić swego towarzysza na miejsce. Wojsław ani drgnął, odwrócił się tylko i uśmiechnął. Zareagował natomiast wybudzony nagle z letargu ojciec Ernestka.

– Panie, co pan! Czego pan chcesz od dziecka? – wrzasnął, ale nie na potwora, tylko na Darka. Matka dzieci również otworzyła oczy, kilka głów odwróciło się w ich stronę.

– Co jest? Nie dość, że pan siedzisz sam, gadasz do siebie, to jeszcze dzieci mi straszysz! Już, na miejsce! – warczał zdenerwowany ojciec rodziny. Ernest rozplakał się i przytulił złękniony do matki. Pozostałe dzieci zaczęły marudzić i pytać, co się stało. Darek mruknął cicho: „Przepraszam” i usiadł. Ludzie siedzący wokół spoglądali jeszcze przez chwilę na niego; wlepił wzrok w szybę migającą mijanymi światłami i gorączkowo zastanawiał się nad tym, co widział, a przede wszystkim nad tym, co usłyszał. Siedzi sam i gada do siebie?

Wojsław drzemał z założonymi na piersi rękami.

Doskonałość poprzez bieganie po schodach

Po zakończeniu odprawy i zaniesieniu kilkuset segregatorów do pokoju operacyjnego wszyscy opadli na swoje krzesła, dziękując Bogu za chwilę spokoju i wytchnienia. I rzeczywiście spokój trwał tylko chwilę. Po kilku minutach do pomieszczenia wszedł PX; niósł zwój papieru i głośnik. Wszyscy zerwali się na równe nogi, agent rozejrzał się wkoło i ruszył prosto na Chwiejczaka. Ten zbladł, przełknął nerwowo ślinę, ale PX nie odezwał się ani słowem, jedynie sięgnął ręką za plecy posterunkowego i wziął krzesło. Następnie podszedł do drzwi, włożył na krzesło i już po chwili wszyscy mogli podziwiać piękny, widoczny z każdego kąta pokoju napis: „Doskonałość poprzez autoryzację i kontrolę”. Potem przesunął krzesło w kierunku szafy i postawił na niej głośnik; po chwili zastanowienia przesunął go trochę w lewo, tak aby kabel sięgnął gniazdka. Wszyscy patrzyli w niemym zdziwieniu na te prace.

PX wyszedł, a niebawem w głośniku coś zachrobotło i usłyszeli lekko zniekształcony głos agenta: „Wątroba, do mnie”. Komisarz wstał, zamruczał pod nosem niecenzuralne słowo i wyszedł.

– A to nas usadził – jęknął Wróżka. Chwiejczak westchnął ponuro. Z głośnika ozwały się dźwięki pieśni patriotycznej w wykonaniu chóru Wojska Polskiego.

Podziwiali fachowo przygotowany slogan. PX kłamał, nie zastanawiał się nad nim siedem minut i siedem sekund przed odprawą, hasło przygotował i wydrukował już wcześniej. Wrócił Wątroba, westchnął i już miał usiąść, kiedy głośnik ponownie zachrobotał i głos PX-a warknął: „Wątroba, na górę”. Komisarz zastygł, jego twarz

przybrała wściekły wyraz, ale szybko się opanował i wyszedł, mieląc w ustach przekleństwa.

- Hm, wymyśliłem nowe hasło dla Wątroby - odezwał się Wróżka. - Doskonałość poprzez bieganie po schodach. Myślę, że mu się spodoba. Zaraz jak przyjdzie, to mu powiem.

- Sądzę, że powinien się pan powstrzymać, o ile chce pan kiedykolwiek awansować. - Chwiejczak nie podzielał entuzjazmu Wróżki.

Głośnik wypluł kolejną komendę: „Wróżkowski, do mnie”. Wróżka zbladł, najwyraźniej nie spodziewał się, że PX zacznie schodzić w swoich wezwaniach na niższe szczeble hierarchii.

- Widzę, że pan też się będzie doskonalić poprzez bieganie po schodach - grzecznie zauważył Chwiejczak. Wróżka nie wykazał entuzjazmu do hasła, które sam wymyślił. Znowu ozwały się patriotyczne tony wyśpiewywane przez najpiękniejsze głosy w polskiej armii.

Po chwili wrócili. Chwiejczak spojrział pytająco na Wątrobę, który machnął ręką.

- Eee, to jakiś koszmarne szczegółarz, a że data krzywo, pomyłka w adresie, popieprzone rubryki. Jak się tak będziemy z każdym drobiazgiem certolić, to...

Głośnik zawarczał: „Wątroba, do mnie”. Komisarz rozejrzał się gniewnie po pokoju, pogroził pięścią głośnikowi, ale wstał i wyszedł, trzaskając drzwiami. Może jednak lepiej by było, gdyby PX siedział z nimi.

Z głośnika potoczyła się pieśń Legionów, Chwiejczak stukął ołówkiem do rytmu. Nastrój patriotyczny pogłębiał się z sekundy na sekundę. Wątroba wrócił po dwóch minutach, usiadł ciężko na swoim krześle, zapatrzył się przed siebie. Czyżby wspomnienie bohaterskich oddziałów Piłsudskiego tak go zauroczyło? W pewnym momencie się zerwał.

- Wróżka, drzwi na klucz. Jakby co, to się zacięły. Nie otwierać, aż nie powiem, że wolno wpuszczać. Chwiejczak, trzymajcie krzesło.

Komisarz wdrapał się na krzesło i wyciągnął wtyczkę głośnika z kontaktu. Potem małym śrubokrętem, wyciągniętym z szuflady, odkręcił pokrywę głośnika. Chwilę oglądał wnętrze urządzenia, następnie urwał końcówkę małego, cieniutkiego przewodu ukrytego za płytką elektroniczną. Upewnił się, że kabel na pierwszy rzut oka wygląda na nieuszkodzony. Następnie przykręcił pokrywę. Klamka w drzwiach poruszyła się, z korytarza doleciał gniewny głos PX-a.

- Przepraszamy, panie agencie, ale chyba coś się zacięło w drzwiach. Proszę się odsunąć, będę wyważał. - Wróżka uspokajał wściekłego pracownika służb specjalnych, kontrolując jednocześnie postęp prac u komisarza. Ten już podłączył urządzenie do prądu, przyłożył ucho do głośnika, który lekko szumiał, ale marszowe hity zamilkły.

Wątroba i Chwiejczak usiedli na swoich miejscach, Wróżka przekręcił klucz w zamku i otworzył z rozmachem drzwi, jakby je wyważył. Spojrzał na korytarz, z nadzieją, że łupnął przyczajonego po drugiej stronie PX-a. Jednakże ten stał w bezpiecznej odległości. Natychmiast wkroczył do biura i zlustrował stan pomieszczenia. Wszystko było w idealnym porządku. Policjanci tkwili na swoich miejscach. Wróżka również usiadł. PX wyciągnął z kieszeni radiotelefon, dmuchnął w niego kilka razy, potem powiedział:

- Raz, raz, raz, trzy, osiem, Wątroba, do mnie, Wątroba, baczność.

Ustrojstwo milczało. PX ściągnął je i darł się do mikrofonu, trzymając głośnik przy uchu. Nie działał, akcja udała się znakomicie. W końcu PX z furią rzucił urządzenie na ziemię i wrzasnął:

- W tym bajzlu wszystko się psuje, nawet głośnik nie wytrzymał waszego towarzystwa! Ale są jeszcze telefony.

I wściekły pobiegł do siebie.

- Telefony - jęknął Wróżka. - Tym też można wzywać.

- Telefon jest często zajęty, musimy przecież utrzymywać kontakt z mieszkańcami miasta. Pojawia się mnóstwo spraw na linii obywatel-

policja – flegmatycznie objaśnił sytuację Wątroba. – Panowie, zakładamy *call center*, słuchawka cały czas przy uchu.

Po kilku bezskutecznych próbach wezwania PX schodził i za każdym razem stwierdzał z rosnącym zdziwieniem, że wszyscy funkcjonariusze rozmawiają przez telefon. Ze strzępów rozmów wynikało, że nie są to prywatne pogawędki, ale meldunki do przełożonego na delegacji, przyjmowanie zgłoszeń, wypytywanie świadków w prowadzonych sprawach. Za każdym razem szybko kończyli, by przepisowo się garbiąc i wysuwając lewą nogę, z przyglupią miną tłumaczyć się z wykonanego telefonu. Byli również gotowi natychmiast odpowiedzieć na każde pytanie z zakresu dostarczonej dokumentacji lub donieść brakujące papiery, ale dodzwonić się do nich nie dało. Liczba prób kontaktu ze strony PX-a spadała z godziny na godzinę; coraz rzadziej pikało ostrzeżenie, że ktoś się próbuje dodzwonić, coraz rzadziej wąż postać agenta pojawiała się w drzwiach. W końcu usłyszeli kroki na schodach i trzask drzwi wyjściowych z pokoju dyżurnego. Edek po minucie zajrzał do biura. Miał bardzo zadowoloną minę.

– PX opuścił komendę – zameldował tak radośnie, jakby właśnie Polak wylądował na Marsie.

Wszyscy odłożyli słuchawki, przez pokój przeszło westchnienie ulgi. Wątroba uśmiechnął się tryumfująco. Wróżka pokiwał głową i pokazał głośnikowi gest Kozakiewicza. Edek aż promieniał. W tym momencie zadzwonił telefon Wątroby; komisarz odebrał, uśmiech zniknął z jego twarzy jak zdmuchnięty, głos człowieka po drugiej stronie był tak donośny, że wszyscy usłyszeli: „Wątroba, na górę do mnie!”. PX wpadł z powrotem do pokoju dyżurnego z telefonem komórkowym w dłoni i skierował się na górę.

– Ja wam dam dzwonienie, ja wam dam meldunki do dowódców. Kontrola i autoryzacja to priorytet! – sapał wściekle, pędząc do gabinetu, a za nim podążał przestraszony Wątroba. Kilka minut słychać było wrzaski PX przeplatane odpowiedziami Wątroby. W końcu

komisarz wrócił i usiadł za biurkiem; wszyscy patrzyli z napięciem, wreszcie Wątroba się uśmiechnął.

- PX ogłosił odprawę dokumentacyjną dwa razy dziennie w gabinecie na piętrze. Nie będziemy latać co chwilę.

- Czyli... - Wróżka nie był pewien, czy to dobrze, czy źle.

- Czyli bitwa wygrana - zawyrokował komisarz. - Ale PX nie puści takiej zniewagi płazem, już ja to czuję.

„Mamy sprawa do mały komendant”

Liver i Smith wysiedli z taksówki przed gmachem miejscowej komendy. Po wielkiej niesprawiedliwości dziejowej w postaci różnicy klas w samolocie dokonała się chociaż namiastka planowanej przez Smitha zemsty. Usiadł na przednim siedzeniu samochodu, które było przesunięte maksymalnie do tyłu, i wrzucił walizkę na tylne siedzenie za kierowcę. Ogromny bagaż nie mieścił się na swojej połowie i co rusz kłuł plastikowymi nóżkami niemałego przecież Livera siedzącego obok i daremnie proszącego kolegę o przesunięcie fotela do przodu choć o pięć centymetrów. Kierowca ze zdumieniem obserwował, jak Smith szarpie się bezskutecznie z dźwigienką regulacji; już miał pomóc zagranicznemu gościowi, ale tamten odtrącił jego rękę i mrugnął porozumiewawczo. Liver musi odpokutować swojego farta.

Jechali przez polską prowincję, obserwując z ciekawością krajobrazy. Smith spodziewał się na polach koni, furmanek oraz zastępów żniwiarzy w siermięgach i z sierpami w dłoniach, dlatego na widok traktorów i ludzi kręcących się po mijanych miasteczkach w całkiem normalnych ubraniach był mocno zawiedziony. Jako mieszczuch nie mógł także wiedzieć, że żniwa nie zaczynają się w maju, więc o żadnych żeńcach nie mogło być teraz mowy. Dotarli do celu. Cena za przejazd taksówką była w porównaniu z brytyjskimi standardami bardzo niska. Panowie, stojąc pod budynkiem policji, ustalali, co powiedzą i jak wytłumaczą sprawę. W tym momencie zauważyli szczupłego mężczyznę, który wypadł przez główne wejście, omiótł okolicę wściekłym spojrzeniem, następnie zadzwonił gdzieś, pokrzyczał i wparował do komendy z powrotem.

- Oho, mają kontrolę - mruknął Smith. - Zresztą zgodnie z procedurą.

- Skąd wiesz, że to kontroler? - Liver nie krył zdziwienia.

- Przyjacielu, za długo pracuję w aparacie bezpieczeństwa, żeby nie wyczuwać takich gości na kilometr. Pewnie się drze o każdą pierdołę i każe sobie znosić tony papierów, a twoi koledzy po fachu są zbyt przerażeni, żeby go poprosić o pełnomocnictwa i zakres audytu.

- Wchodzimy?

- Wchodzimy. Jakby co, tłumaczysz. Jesteś przecież Polakiem.

Liver przytaknął, choć musiał przyznać w duchu, że nieco zapomniał język, w jakim rozmawiał z rodzicami. Miał nadzieję, że się trochę rozkręci w ciągu kilku najbliższych dni. Zaraz za drzwiami natknęli się na policjanta za kontuarem, przed którym stała kolejka złożona z trzech petentów. Policjant wypełniał formularz, pani w szarym prochowcu, pierwsza w kolejce, szybko coś mówiła bardzo gorączkowym tonem. Liver nic nie zrozumiał. Funkcjonariusz pisał i pomrukiwał, ni to uspokajająco, ni to ze złością na ten napastliwy ton. Pozostałe dwie osoby wierzciły się niespokojnie, co rusz spoglądając na protokół. Ich miny wyraźnie mówiły, jak bardzo są niezadowoleni z postępu pracy. Liver i Smith podeszli do kontuaru. Już mieli się odezwać, kiedy facet z końca ogonka wrzasnął:

- Do kolejki! Każdy się tu spieszy. Prawie każdy. - Zerknął wymownie na dyżurnego.

Ten podał petentce formularz do przeczytania oraz podpisania, po czym spojrział pytająco na przybyszów. Wielkie walizy sugerowały, że nie są interesantami.

- Szukamy komendant tu - wydukał Liver. - My z Wielka Brytania, policja.

Atak PX-a, wydawałoby się, wyczerpał zasób atrakcji dla tej komendy na kilka lat, a tu proszę, pojawiła się kolejna: Anglicy. Edek zastygł w zadziwieniu, następnie wyjąkał:

- Komendant nie tu. On tam, zastępca. - Wskazał drzwi biura, potem stwierdził, że słowa „zastępca” może być za trudne dla obcokrajowców, dlatego dodał wyjaśnienie: - Komendant *out*, teraz tu komisarz komendant, mały komendant... znaczy, nie mały, tylko na chwilę.

Zapadła cisza pełna konsternacji, polscy interesanci nic nie zrozumieli, angielscy goście jeszcze mniej. Edek poczerwieniał, czuł, że jego wyjaśnienia tylko zaciemniły sprawę. Wskazał drzwi biura i uśmiechnął się. To zrozumieli. Weszli. Wszyscy policjanci tkwili za biurkami, każdy z telefonem przy uchu, każdy gadał. Ale wchodząca para ucięła gwar rozmów. Po chwili podszedł do nich człowiek w płaszczu, gruby i łysy.

- Dzień dobry, komisarz Wątroba. Czego panowie tu szukają?

Liver mierzył wzrokiem swojego polskiego kolegę i nie mógł uwierzyć. Co za podobieństwo! Też komisarz, też dość otyły. Ciekawe, czy też ma w dupie procedury.

- Komisarz Liver, Policja Wielka Brytania. A to agent Smith, Security Service, Wielka Brytania też.

Znowu zaległa cisza, w której tykał zegar, a za ścianą Edek klócił się z kolejnym interesantem. W biurze królowały zaskoczenie i nieumiejętność zachowania się w zaistniałej sytuacji. W końcu Chwiejczak się zreflektował, że zabawa w gabinet figur woskowych trwa już za długo. Chrząknął, przysunął krzesła.

- Panowie siadają, *sit down please*. Może herbaty, *tea*?

Usiedli, Wątroba również otrząsnął się z zaskoczenia. Chwiejczak udał się po herbatę; przechodząc przez hall, z zadowoleniem stwierdził, że dochodzi piąta. Anglicy dostaną swój zwyczajowy *five o'clock*. „Niech wiedzą, że dbamy o gości, nie dostaną tej lury z automatu, choćbym miał złamać przepisy pożarowe” - pomyślał.

W tym czasie kiełkowały załączki konwersacji.

- Jestem komisarz Wątroba, pracuję tu, teraz nie ma komendanta, jestem jego zastępcą... - Zreflektował się, że to może za trudne słowo,

dlatego dodał: – Mały komendant, taki na chwilę.

Liver stwierdził, że musi koniecznie zapamiętać wyrażenie „mały komendant”, skoro tu wszyscy tak mówią. On by raczej powiedział „zastępca”, takiego słowa używali rodzice, ale cóż, język ewoluuje, rozwija się, a on dawno nie odwiedzał kraju przodków. W tym momencie Chwiejczak przyniósł herbatę; parujące szklanki bardziej by pasowały do zimowej aury niż do nieomal letniego popołudnia, ale grunt, że poczęstunek się znalazł. Kukułka wyskoczyła zza drzwiczek w zegarze.

– *Five o'clock* – powiedział posterunkowy; rozpierała go duma, że zdążył.

– *No, it's four pm* – odparł Smith, sprawdzając godzinę na swoim zegarku.

– *Five*. – Chwiejczak spojrział nerwowo na zegar.

– *Four* – nie ustępował Smith. Awantura wisiała w powietrzu.

Liver trącił kolegę w ramię.

– Tu jest inny czas, godzinę do przodu. Teraz jest piąta – wyjaśnił koledze. Smith zrobił minę, która jasno mówiła, że dla niego będzie czwarta, choćby zrobiło się już ciemno. Ale w końcu przytaknął kwaśno:

– *OK, five*.

– Kolega jest typowy Anglik, konserwatysta. Nie lubi inna godzina niż angielska. Sztynniak! – Liver postanowił nawiązać nić sympatii kosztem Smitha. Wszyscy się roześmieli, patrząc na agenta. Ten zaczerwienił się ze wstydu i złości.

– Co im powiedziałaś? Czemu rechoczą, gapiąc się na mnie? – zapytał w końcu.

– Powiedziałem, że jesteś Anglik i nie lubisz zmieniać czasu. – Liver nieco zmodyfikował swój opis kolegi agenta.

– I to jest takie śmieszne? Nie wierzę ci. Mają gadać po angielsku. Cały świat mówi po angielsku, a nie świszczy w dzikich językach –

warknął Smith.

– Możemy spróbować, panie Smith – odezwał się Chwiejczak po angielsku. – Ale proszę wybaczyć błędy, a czas możemy przestawić na angielski...

Podszedł do zegara i cofnął wskazówki. Kukułka wyjrzała zdziwiona tymi machlojkami w jej domku. Chwiejczak odwrócił się z uśmiechem. Smith podziękował. Atmosfera wyraźnie się ożywiła. Panowie pili herbatę i próbowali swobodnie konwersować.

– My przyjechali do tutaj, bo tutaj będzie ważna wizyta. – Liver nakreślił cel ich odwiedzin.

– Słyszeliśmy, nawet mamy kontrolę i autoryzację z tego powodu. – Wątroba wskazał slogan nad drzwiami.

– I tu przyjadą różne serwisy ochronne, *government security*, ważni kontrolery. Będzie piekło na ziemia.

– Już się zaczęło – potwierdził komisarz.

– A my potrzebujemy zrobić mała akcja razem, Smith, ja i ty. – Liver przeszedł szybko do właściwego tematu. Wątroba chrząknął niepewnie, bo zabrzmiało to jak zaproszenie do jakiegoś trójkąta. Wróżka parsknął śmiechem.

– O co konkretnie chodzi?

– To powiemy tylko na osobność, nie chcemy dużo świadki dla nasza akcja. – Liver ciągnął dwuznaczne w odbiorze teksty, Wróżka rżał już na całego.

– Hm, dobrze, ale możemy to załatwić tu, w komisariacie?

– Najpierw zaczniemy tu, a potem gdzieś razem pójdziemy, tylko Smith, ty i ja.

Wątroba oblał się rumieńcem, Wróżka drgał w paroksyzmach śmiechu. Dwóch Anglików piło herbatę i „macało” Wątrobę badawczym spojrzaniem. Rany, co tu jest grane?

– Panowie, a czy można zobaczyć wasze legitymacje, może jakieś pełnomocnictwa? Zrozumcie, nie znamy was, musimy wszystko

sprawdzać.

– O tak, mamy, co trzeba. – Liver i ponaglany przez niego Smith wyciągnęli legitymacje oraz odznaki. Następnie Smith pokazał dodatkowo dokument z wieloma podpisami i pieczęciami. Wspólnie odcyfrowali, że ma pełnomocnictwa do prowadzenia śledztwa i uzyskania pomocy od polskich organów ścigania. Jako kontakt do koordynacji jego działań został wyznaczony inspektor Chabowski z komendy wojewódzkiej.

– Znamy go, bardzo zdolny organizator – pochwalił Chabowskiego Wątroba. – Świetnie ustala zakresy odpowiedzialności.

– Czyli będzie dobra pomoc? – ucieszył się Liver.

– Tak, o ile go w ogóle spotkacie i wyrwiecie z natłoku obowiązków inspektora – zauważył komisarz.

I nagle zaświtała mu myśl, jak wykorzystać niespodziewaną wizytę.

– Koledzy, mówicie, że macie coś ważnego na naszym terenie do załatwienia, macie pieczęcie z Warszawy i z Londynu, tak?

– Tak – potwierdził Liver.

– I jest to sprawa związana z nadchodzącą wizytą ważnej osoby, tak?

– Tak.

– To zapraszam do kantorka, musimy ustalić, co i jak. Mamy kontrolę i autoryzację, bez ważnych powodów nie mogę wykonywać innych zadań... – Słowa komisarza brzmiały już z korytarza, którym prowadził gości na omówienie spraw ich trójkąta.

Wróżka popatrzył za nimi ponuro.

– Oho, czuję, że Wątroba wyczuł możliwość wyrwania się z objęć PX-a. Jezus, jeżeli oni go odwołają, ja będę musiał gadać z agentem. Będę zastępcą zastępcy. – Twarz aspiranta przyobkleła się w blade przerażenie. – Jezusie Nazareński.

– Coś pan wymyśli. Poza tym wierzę, że Wątroba nas nie opuści. Nie zrobi nam tego. – Ton Chwiejczaka wskazywał, że wcale nie był przekonany do tej opinii.

W tym momencie wpadł PX. Zobaczył walizki i szklanki po herbacie.

- Co to za głosy? Słyszałem dużo głosów. Kto tu jest? A wy nie znacie pozycji na baczność? Jeszcze nie dotarło do was, jak się wobec mnie należy zachowywać? Odprawa dokumentacyjna za piętnaście minut i osiem sekund. Gdzie Wątroba? Gadaj! - zwrócił się do Wróżki, który wlepił w PX-a przerażone spojrzenie, następnie napisał coś na kartce.

- Mam wieczny zakaz odzywiania się - przeczytał PX. - Odwołuję ten zakaz. Gdzie Wątroba?

Wróżka wysunął lewą nogę, lecz nim zdążył cokolwiek powiedzieć, w drzwiach pojawili się goście z komisarzem. Ten wyprężył się przed PX-em. Agent zmierzył wchodzących lodowatym spojrzeniem, po czym zbliżył się do komisarza i wyszczał:

- Goście? Imprezka może? Każde działanie pozakontrolne i pozaautoryzacyjne ma być meldowane. I to ja decyduję, czy można przyjmować gości i wychodzić z pokoju. Ja mam tu pierwsze i ostatnie słowo! Zrozumiał? A teraz niech panowie wezmą łaskawie dupy w troki i wypierdalają stąd, bo wyciągnę najsurowsze konsekwencje!

Wszyscy zamilkli, cisza aż wibrowała. Przerwał ją Smith.

- Agent Smith, zero, zero, osiem, trzynaście tysięcy pięćset dwadzieścia trzy, kod pe-dwa, poziom autoryzacji ce-ce-ce-plus. Pańskie dane, agencje PX? - zażądał po angielsku.

PX zmartwiał, zastygł tak, jakby go polali betonem, który natychmiast zasechł. Nawet gałki oczu znieruchomiały. Usta wyszeptaly:

- Agent Prosiecki, trzy, osiem, pięć, dwadzieścia tysięcy osiemdziesiąt sześć, kod zet-jeden, poziom autoryzacji a-a-minus.

PX wydukał ten ciąg literowo-liczbowy również po angielsku i skulił się, jakby go mieli za chwilę pobić. Wszyscy patrzyli zdziwieni na tę nagłą przemianę butnego kontrolera.

- Agencje Prosiecki, rozumiesz po angielsku? - kontynuował Smith. PX skinął głową. - Podalesz nieprawdziwe dane osobowe i prowadzisz

autoryzację bez odpowiedniego poziomu własnej autoryzacji. Wiesz, co za to grozi?

PX skulił się jeszcze bardziej, szczeka mu drgała, jakby miał się rozpląkać. Skinął głową. Wróżka nachylił się do Wątroby i szeptem spytał:

- A co on tak nagle się przestraszył? Tego angielskiego chuderlaka się boi?

Wątroba wzruszył ramionami. Nie wiedział. Liver objaśnił sprawę, na ile potrafił swoją polszczyzną:

- Te agenty to międzynarodowy grup, mają kody i kooperację, a młode muszą słuchać stare. Choćby i z zagranicą. Dobrze, że my jesteśmy wolne, co nie, Wątroba?

- Proszę ze mną, porozmawiamy na osobności. - Smith wziął PX-a na obgadanie warunków współpracy. Wszyscy patrzyli z napięciem za wychodzącymi.

- Kto by pomyślał, kilka kodów i oznaczeń, a PX, znaczy, Prosiecki leży i kwiczy. - Wróżka nie mógł wyjść z podziwu. - Dobry ten wasz Smith.

- Choć sztywniak - dorzucił Liver. Wszyscy się roześmiali. Już polubili tych gości, a jeżeli w wyniku interwencji Smitha PX da im choć trochę luzu, to będą ich nosić na rękach.

Wezwanie na Downing Street

Lord Williamson nie mógł zasnąć; kręcił się od jednego brzegu wielkiego łoża z baldachimem do drugiego. Za oknem szemrała cisza noc. On leżał i analizował swoją sytuację, utwierdzając się coraz mocniej w przekonaniu, że popełnił błąd. Dał się ponieść emocjom, a przecież w ciągu kilku lat rozwoju Odrodzenia Brytanii kierował się wyrachowanym osądem i chłodną kalkulacją. I zawsze mu się to opłacało. Jednakże zaufanie, którym obdarzył swoich polskich przyjaciół, i decyzja o zleceniu zabójstwa premiera po chłodniejszej analizie jawiły mu się teraz jako błędy. Po przemyśleniu wszystkich możliwych następstw swoich poczynań nie znajdował już uzasadnienia dla tak radykalnych posunięć. Po cóż mu uzbrojone prywatne oddziały, po co mu martwy premier i chaos w politycznym krajobrazie Wielkiej Brytanii?

Takie myśli krążyły po głowie człowieka, który jeszcze kilka lat temu był typowym angielskim arystokratą, korzystającym z majątku wypracowanego przez przodków i popisowo grającym przydzieloną rolę w skansenie monarchii. Po co mu jakieś zmiany? Nawet jeżeli osiągnie to, co zamierzał, będzie za stary, żeby wprowadzić swój plan w życie do końca. Wstał z łóżka, spojrział w lustro, skrzywił się i pomyślał, że kiedyś był łakomym kąskiem matrymonialnym na salonach Londynu. Ale teraz? Starszawy emeryt. Jedyne majątkiem mógłby skusić jakąś pannę. Zadumał się chwilę nad życiem i przemijaniem. Co robić? Nie wierzył już w swój plan, a jeżeli on sam w niego nie wierzył, to tak jakby go nie było. Ale machina poszła w ruch, przynajmniej częściowo. Ludzie się szkolą, morderca pracuje. Hm, może go odwołać? Lord nie chciał przyznać sam przed sobą, że się boi. Od kiedy dowiedział się, że

wysłannik do Polski ma kłopoty, a służby specjalne wiedzą o jego zamierzeniach, bał się jak diabli, bo z zabawy w zapomnianego króla przeskoczył do zabawy w ojca mafii. Trochę za późno zdał sobie sprawę z następstw. Co teraz? Ale najbardziej przestraszył się czego innego. Po pierwszej rozmowie dopadł Jaśka kilka godzin później i zaczął męczyć, dlaczego postać Wojsława z Białowieży tak go przeraziła.

- Jaśko, jesteś u mnie już kilka lat. Możemy chyba porozmawiać otwarcie. Dlaczego ta informacja tak cię przestraszyła?

- Panie, znasz mnie. Odwagą nie ustępuję nikomu, czy w polu, czy na zagubionej rubieży. Jednakowoż z czarną siłą nie mnie walczyć...

- Co masz na myśli? Cóż to za czarna siła?

- Wojsław z Białowieży to, panie, czart wcielony. Straszny za życia, okrutnik i bezwzględny dla wrogów i poddanych. Dawno żył, jakie osiemset lat temu. Przed śmiercią w polu bądź ze skrytobójczej ręki chroniły go diabelskie talizmany, ale do czasu... Na każdego przyjdzie kryśka, na każdego... Zemrzał w osiemdziesiątej wiosnie, zachorzał i w dwa dni ducha oddał, a ludziska, co przy tym byli, widzieli albo tylko tak gadali, że pięciu czartów go do piekła wlekło i utrzymać nie mogło, taki był silny, że nawet złym mocom dawał radę. I nie uwierzysz, panie, on im ubieżał. Jedyńą, co go miłowała, była Jagra ze wsi pod Białowieżą. Pogardził on nią za życia, bo z biedoty była, wołał z księżniczkami, jaśniepan jego mać. Ale każda od niego uciekła, a jak nie zbieżała, to więcej niż trzy roki nie mijały, jak ją martwą znajdowali. Straszny był i kapryśny. Ale gdy już się w tej złości zapomniał, to do tej Jagry szedł, a ona zawsze go wpuszczała i dobrego słowa nie szczędziła, miłowała go do końca... No więc on tym biesom uszedł, dusza jego znaczy, i u Jagry się schronił, jako zawsze czynił, ale one go zaraz wytropiły i wałą w te wrota, a wałą. W końcu Jagra wyszła i zapowiedziała, że zginie, a duszy Wojsława do piekła nie da. Radzą biesy i radzą, bo jej nie mogli tknąć za tę dobroć, janiółów się wypytują, co by go nie chcieli, bo gdzieś iść przecie musi. A ten okrutnik przez okienko spoziera i się śmieje. Wyszło na to, że ma na ziemi padole ostać i czekać na osąd. No i tak czeka, od

ośm setek років. A wcale się nie poprawia, coraz śmielszy się robi. Ponoć raz na kilkadziesiąt lat musi z kryjówki wyjść i nową krwią się nasycić, co by siłę mieć na dalsze czekanie. Jagra już dawno pomarła, ale kiedy on jej talizmany nosi, czarty się go nie imają. Nieszczęść już narobił co niemiara, ludzi do morderstwa wodzi, namawia. Strasznie być jego ofiarą, bo raz udaje, że pomaga w człecznych frustracjach, przyjacielem się mieni. A potem, kiedy się krwią i ludzkim cierpieniem nasyci, drwi ze swej ofiary, która nieraz w nim wielkie nadzieje kładła.

- Jaśko, przecież to legenda jakich wiele. Kiedyś było pełno okrutników, którzy zabijali i innych za nic mieli.

- Legenda nie legenda. Ja tam w Wojśława wierzę i chcę być od niego z dala. Ponoć Mickiewicz o nim pisał. O pradawnych duchach nękających ludzi. Ów utwór nosi tytuł *Dziady*.

- Jaśko, a jeżeli ten duch wplątał się w moje, mhm, w nasze sprawy? Jeżeli chce popsuć nam szyki?

- Sposobu na niego lepszego nie ma jak modlitwa i pokładanie ufności w Bogu. Wojśław ze słabym może robić, co chce. Niektórzy powiadają, że to jest szatan, jeno w drugiej postaci - dodał szeptem Jaśko.

- Dziękuję, pójdę już do siebie - powiedział lord i wyszedł zamyślony.

Jaśko patrzył dłuższą chwilę na drzwi. Pomyślał, że chyba za długo siedzi w tym zamczysku. Może pora wrócić do normalnego życia...

Noc już bladła i cofała się, kłaniając pierwszym przebłyskom słońca, kiedy lord zasnął płytkim, niedającym wypoczynku snem. Dwie godziny później przez otaczającą go mgłę sennego oparu poczęły dochodzić stuki. Mgiełka wszystko tłumila, ale stukanie było bardzo natarczywe. Rwało nitki sennego kokonu, dziobało jak zaostrzonym kijem w bok i po plecach, nie znikало w żadnej pozycji. W końcu lord Wiliamson ocknął się, wstał i zdenerwowany otworzył drzwi. Za progiem stał lokaj Gerry; to on pukał.

- Gerry, na Boga, musisz mieć ważny powód, żeby przez to walenie ryzykować utratę posiadłość u mnie!

Służący pochylił głowę z szacunkiem.

- Tak, dzwonił z Downing Street. Premier chciałby z panem porozmawiać. Jeszcze dziś.

Lord Wiliamson zamarł. Premier?

- Dziękuję, Gerry, dobrze, że mnie obudziłeś. Przynies kawy i aspirynę. Nie mogę się w takim stanie pokazać premierowi. Jeszcze pomyśli, że spotkał się z trupem.

Gerry uśmiechnął się lekko z żarciku chlebobdawcy, skłonił głowę i wycofał się, aby wykonać polecenia. Lord opadł ciężko na łóżko. Zadumał się ponuro. Są dwie możliwości. Albo premier wie i chce mieć radochę, że aresztują go w jego obecności albo... I to drugie „albo” przestraszyło lorda dużo bardziej niż pierwsze.

Nie boję się – ciebie nie ma

Autobus przedzierał się przez Niemcy, noc powoli przegrywała z dniem. Co prawda było jeszcze ciemno, ale hen, gdzieś tam, nad lasami i polami dawnej NRD, różowiały płomyki nadziei, która każdego dnia wstaje, by kilka godzin później umrzeć. Chociaż wtajemniczeni mówią, że wieczorami tylko się skrywa, unikając jadowitych kłów nocy, i czeka skulona za krzakiem, żeby od następnego ranka znów promienieć i błyszczeć. Po to przecież jest nadzieją. Chyba po to.

Darek nie myślał o nadziei; był smutny i zgaszony. Obok kołysał się barczysty Wojsław, który co jakiś czas otwierał oko i dopytywał się mrukliwie, gdzie są i jak długo jeszcze będą jechać. Darek nie mógł spać. Ledwo zamknął oczy, widział wyraźniej sceny z ostatnich dni, wraz z zamordowanymi policjantami, spalonym Bartem i lekko kpiącą twarzą Wojsława, doganiającego go z dziecinną łatwością przy próbach uciezki bądź zmylenia tropów. Stanowczo wolał mieć oczy otwarte; prześpi się, kiedy warunki będą lepsze. Jak się trochę uspokoï. Jak coś się zmieni. Ale raczej się na to nie zanoşıło. Postanowił poobserwować trochę Wojsława oraz przeprowadzić małą próbę. Oblicze śpiącego było, obiektywnie patrząc, dość ładne; grubo ciosane męskie rysy, czoło wysokie, nos z małym garbkim. Wojsław był przystojnym i postawnym mężczyzną. Darek zawsze chciał być wysokim, silnym i pewnym siebie facetem. Nieraz wyobrażał sobie, jak idzie przez swoją miejscowość, albo nie, lepiej jedzie kabrioletem, mocnymi dłońmi trzyma kierownicę, a wiatr czesze mu włosy. Prawdopodobnie wtedy miałby jakieś szanse u Małgoški. I chłopaki by go słuchali. Szanowali. A tak... Cichy, niepozorny, przeciętny i biedny. Spojrzał jeszcze raz na Wojsława. Skąd on się wziął, u licha? Ładny czy brzydki, nieważne, nikt

go nie chce. Jak wyniuchał, że może się przyczepić do Darka jak rzep do psiego ogona? Skąd o nim wiedział? Wojsław coś zamruczał pod nosem. Darek lekko się przysunął. Zrozumiał, że mówi: „Skąd”. Znowu zabrzmiało to jak odpowiedź na jego myśli.

– No skąd taki coś wie? Skąd? – zamruczał już całkiem wyraźnie Wojsław. Darek zamilkł. „Boże, jak się powstrzymać od myślenia? On czyta mi w głowie”.

Nerwowo ojciec rodziny z tylnego rzędu wstał i podszedł do pilota na przedzie autobusu, by o coś zapytać. Dzieci zaczynały się już kręcić, więc zapewne chodziło o termin najbliższego postoju. Po chwili, z zaspokojonym głodem informacji, przeciskał się ponownie. Zbliżał się do ich rzędu. Kiedy tylko zrównał się z drzemiącym Wojsławem, Darek gwałtownie pchnął swego potężnego towarzysza. Wojsław spadł z fotela. Idący środkiem pojazdu ojciec rodziny zatrzymał się, zaalarmowany szybkim ruchem po swojej lewej stronie. Spojrzał na Darka, wybałuszył oczy, pokręcił dłonią przy czole, ale szedł dalej. Prosto na Wojsława, a właściwie przez niego. Nie zauważył go, nie poczuł, że się z kimś-czymś zderzył. Darek odprowadził pasażera zdziwionym wzrokiem. Mężczyzna dotarł do swojego fotela, usiadł i obserwował ukradkiem, co robi Darek. Szepnął kilka słów żonie, pewnie o postojach, ale chyba też o nim, bo i ona wlepiła w niego spojrzenie. Najwyraźniej uznali, że jest wariatem, i postanowili śledzić jego poczynania – a nuż dostanie szafu i zaatakuje ich dzieci? Odwrócił głowę. Wojsław podniósł się już z ziemi i stękając, usiadł na swoim miejscu. Nikt nie zauważył jego upadku, nawet pani siedząca po drugiej stronie przejścia. Przecież musiał ją uderzyć, upadając. Nie mogła nic nie zauważyć! A ona nawet nie drgnęła.

– Dowcipniś, psia jego mać – zamruczał wyraźnie wkurzony Wojsław. – Ja ci dam ludzi pchać!

– Nie boję się, ciebie nie ma. Nie ma! Rozumiesz? Wydało się. Jesteś tylko obrazem. Chmurką. Nic nie możesz mi zrobić!

- Tak? - spytał uprzejmie Wojśław i chwycił Darka za rękę. Zaczął ją wykręcać. Gdy doszedł do granicy bólu, Darek krzyknął; Wojśław nie przestawał, pchał dalej. Ból potężniał.

- Zostaw! Złamiesz! - wrzasnął Darek.

Wojśław puścił i uśmiechnął tak rozbajajaco, jak tylko on potrafił.

- A tak poza tym rzeczywiście mnie nie ma - dorzucił i znowu zapadł w sen podróżnika.

Darek przez chwilę nie mógł się otrząsnąć, tylko patrzył w niemym przerażeniu na Wojśława. Potem rozejrzał się. Pani zza przejścia patrzyła na jego wybryki spod wpół uchylonych powiek, rodzinka z tylnego rzędu komentowała coś przyciszonymi głosami, ale wciąż zerkali na niego, więc łatwo było się domyśleć tematu rozmowy. Nawet spokojny starszy pan, siedzący przed nim, obrócił się na moment zaniepokojony. Darek wlepił spojrzenie w szybę, przeklinał wszystko i wszystkich, swój los, Wojśława, misję w Polsce, tych ludzi w autobusie, premiera Wielkiej Brytanii i królową angielską. Wszystkich. „I niech się w końcu przestaną gapić, bo nie ręczę za siebie!” Postanowił nie odrywać wzroku od mijanych krajobrazów do końca trasy. Wojśław się kołysał, pani obok zamknęła czujne oko, para z tyłu zajęła się coraz bardziej dokazującymi pociechami. Za oknem różowiała codzienna nadzieja.

Co znaleziono w spalonym domu

Po kilkunastu minutach narada agentów była skończona, PX i Smith wrócili. PX nie wyglądał na szczególnie zbołałego – po jego twarzy błąkały się wręcz przebliski zadowolenia.

– Oho, dogadali się – mruknął Wróżka. – Jak agent z agentem.

Smith wytłumaczył Liverowi, co postanowiono; angielski w wykonaniu Anglika, gdy zwraca się do innego Anglika, nie jest normalnym angielskim, dlatego obcokrajowcy odpadli już po próbie zrozumienia pierwszych trzech zdań i potulnie czekali na tłumaczenie Livera. Gdy ten zabrał się do roboty, odnieśli wrażenie, że jego polski polepsza się z każdym słowem.

– One, te agenty, podyskutowały. Po pierwsze, agent Prosiecki dalej wiedzie autoryzacja. Ale nie chodzi tu ciągle, tylko mniej, odprawa jest codziennie rano. Wy macie mu dawać dokumenty i wszystko inne, które chce. Agent Smith robi ze mną i ludźmi z tutaj dochodzenie w sprawie poszukiwanie płatnego mordercy. I jedziemy, kiedy chcemy z komenda, ale ktoś ma tu być, żeby dawać agentowi Prosiecki, co chce, nawet poza odprawą. On nie krzyczy, żeby nie wychodzą, bo on nie pozwala, tylko zawsze ktoś zostaje, żeby jemu dawać, co chce. No i to wszystko. Aha, agent Prosiecki może na czas autoryzacja być nazywany PX. Ale my wiemy, że to Prosiecki. Są pytania?

– Czy dalej mamy wysuwać nogę i robić minę, kiedy chcemy zabrać głos? – Była to pierwsza myśl, jaka nasunęła się wszystkim policjantom. Liver wytrzeszczył oczy w zdumieniu.

– Jaką nogę?

– Jak to jaką? Lewą.

Liver przetłumaczył pytanie Smithowi, który zdziwiony popatrzył na PX-a. Ten uśmiechnął się zawstydzony.

- To taka drobnostka, ehm, element dyscyplinujący - jękał się, tłumacząc swoje zarządzenie.

- Nie, nie macie wysuwać nóg i robić min - oznajmił po angielsku Smith. Liver tłumaczył. - A pan, panie Prosiecki, to... to jesteś... debil. Nogę wysuwać! Już żałuję, że odpuściłem z tą skargą.

Rozeszli się po chwili. Smith i Liver zajęli nieużywaną wnękę w ich pokoju z trzema biurkami do zagospodarowania. Wyglądali na zadowolonych. Smith postawił na blacie polerowaną tabliczkę ze swoim stopniem i nazwiskiem, Liver zapytał o kawę.

- A tak, jest automat. Ale produkuje błotnistą lurę, wrogowi bym nie podała, mogę zrobić sam. Co prawda przepisy pożarowe, ale...

- Pan Wątroba mi się coraz bardziej podobasz. Ja też pierdołę automaty.

Wątroba uśmiechnął się rozbawiony ostatnim stwierdzeniem i poszedł po kawę. Wróżka i Chwiejczak zbierali się do domu. Mieli wrażenie, że od porannej nudy upłynęły wieki; tyłu atrakcji dawno nie mieli. A podobno będzie jeszcze gorzej. Byle przetrwać ten tydzień. W kieszeni Livera odezwał się telefon. Shaker.

- Halo, witam panie Shaker. Co? Jak lot? Super, miałem świetne miejsce w klasie biznes. Nie, nie, przypadkiem, pan Smith leciał zwykłą.

Siedzący obok Smith zazgrzytał zębami; zapomniany motyw zemsty znowu przypłynął na pełnych żaglach. Liver głądził dalej:

- Ja na waszym miejscu skorzystałbym z faktu, że szef w delegacji, i już dawno przysnąłbym do domu. No, no, żartuję, jesteście jak zwykle niezastąpieni. Wiecie, że tu w Polsce też mają fatalną kawę w automacie? Ale przynajmniej boksów plastikowych im jeszcze nie wstawili. Stara, dobra politura wciąż w modzie, lata siedemdziesiąte. - Liver postukał w chwiejące się biurko, styl środkowy Gierek. - Co nowego?

- Dostałem raport od techników z Dagenham. Zdjęli wszelkie odciski palców, resztki włosów z DNA, jakieś strzępy ubrań z mieszkania Krzyżowskiego. Jego materiał i dane mieliśmy w kartotece... - meldował Shaker.

- I co?

- I nic. Żadnych obcych śladów. Tylko jego. Tamtejsza policja poprowadziła akcję tej, mhm, Forewind, sprawdziła potencjalne ofiary, spalone albo zmasakrowane ciała, szczególnie zgłoszone w okresie, kiedy Krzyżowski był widziany po raz ostatni. Po mojej informacji o śmierdzącej spalenizną kurtce skupili się na pożarach i zwęglonych zwłokach. Niestety musiałem obejrzeć kilka zdjęć... - Shaker zawiesił głos, Liver widział już spalonych i rozumiał odczucia konstabla. - Ale żadne DNA nie pasowało.

- Czyli zero rezultatów. Chyba wolę, żeby ta Forewind dalej zajmowała się robotą. Przynajmniej się posuwamy z informacjami. - Liver pochwalił postępy pani duch. O martwych sokołach zdążył już zapomnieć.

- Czy ja wiem... - Shaker nie podzielał entuzjazmu komisarza. - Mniejsza o to. Dostaliśmy pomoc jeszcze z innej strony.

- Tak? - Liver się zaciekawił.

- Pani Mustain, ta emerytka z Dagenham, która wie wszystko o wszystkich, przyjechała tu.

- Gdzie? Do nas, do Londynu?

- Tak. Wie pan, że ona śpiewa w chórze? Nawet zanuciła mi fragment *Pierścienia Nibelungów* Wagnera. Ale do rzeczy. Ona tam wszystkich zna, poza chórem działa w Armii Zbawienia i jest ławnikiem w sądzie. Bardzo aktywna.

- To ja już wiem, że aktywna. Shaker, uważajcie z tą babą! Ani się nie obejrzycie, jak wyciągnie z was wszystkie informacje siedem pokoleń wstecz.

Konstabl chrząknął nerwowo i Liver zrozumiał, że tamten już coś o tym wie.

– Shaker, coście jej powiedzieli, czego chciała? – warknął wkurzony Liver.

– Szeffie, ale to jakoś tak samo... słówko tu, słówko tam, ona coś dodała, powiązała fakty... – Shaker niemal zaszlochał. Po chwili się opanował. – Pani Mustain zrobiła swoje dochodzenie i miała pewne informacje, ale przy okazji...

– ...żeście jej wszystko wypapłali. Mówiłem, że wy aż się prosicie, żeby baby wami rządziły. No już dobrze. Co takiego powiedziała?

– Bo ona z tym chórem i innymi emerytami, i Bóg wie jeszcze z kim, zaczęła szukać śladów tego człowieka w kurtce, który był w mieszkaniu Krzyżowskiego. Szukali pożarów, które wybuchły w tym dniu. No ogólnie szukali. I odkryli taki jeden dziwny przypadek. Dom, w którym nikt nie mieszkał, ale czasem przychodził tam pewien człowiek; starał się nie rzucać w oczy, ale i tak się temu i owemu rzucił. Szef zgadnie, kto to był?

– Nie mam pojęcia. Mówcie bardziej syntetycznie, roaming kosztuje.

– Nasz Piotr Krzyżowski. Jedna ze znajomych pani Mustain go rozpoznała. Ma domek z ogródkiem na tej samej ulicy, często go plewi i uprawia. Nawet w deszczowe dni...

– Na miłość boską, syntetyzujcie! – krzyknął Liver.

– I on tam przychodził, widziała go kilka razy. Tamtego dnia też go zauważyła, na ulicy. Był bardzo zdenerwowany. Biegł. A potem alarm, pożar i straż. Właśnie ten dom się palił.

– Znaleziono jakieś zwłoki? – zapytał Liver.

– Nie, to znaczy prawie, no, prawie nie... – Shaker nie był pewny.

– Prawie nie znaleziono czy prawie nie zwłoki?

– Bo to nie były zwłoki.

– Tylko co?

– Kukła, manekin. Ktoś wstawił naturalnej wielkości lalkę do mieszkania, wygląda, jakby zrobiono ją ręcznie. Oczy, włosy, wszystko ma. Ktoś spalił ten dom z kukłą w środku. Pani Mustain udała się na

miejsce pożaru i weszła do środka. Wiem, że nie wolno łączyć po zgorzelisku, ale jej nic nie powstrzyma. I go zobaczyła.

- Kogo?

- No tę kukłę. Trochę się zniszczyła w ogniu, ale ona twierdzi... - Shaker lekko się zawahał, westchnął. - Ona twierdzi, że to pan Bartek, znaczy Piotr Krzyżowski, poznała rzeczy, buty, garnitur, do tego uważa, że twarz jest podobna, chociaż nadpalona.

Na linii zapanowała cisza, roaming bez słów był chyba równie drogi jak gadany, ale tym razem Liver nikogo nie skrzyczał. W końcu wydukał:

- Kukła z podobizną poszukiwanego? Shaker, co to za banialuki?

- Jutro jadę to sprawdzić, ale na wszelki wypadek już mówię.

- Tak, tak. Dziękuję. Hm, manekiny, duchy? W co myśmy wdepnęli? I przez kogo? - Spojrzał oskarżycielsko na Smitha. - Dziękuję, Shaker. Jedźcie tam, sprawdźcie wszystko. Odezwę się jutro. Z tą Mustain ostrożnie, bardzo niebezpieczna osoba. A, i jeszcze jedno mi przyszło do głowy. Jak już tak korzystamy z duchów, szarlatanów i emerytów, to idźmy kawałek dalej tym tropem. Weźcie daty wypisane przez Stoner, albo diabli wiedzą kogo, na miejscu rzezi. Chodzi o te nowsze, sprzed kilkudziesięciu lat, i sprawdźcie, czy mamy jakąś związaną z nimi dokumentację. Może jeden z naszych starszych kolegów już się borykał z tymi cudakami. Oprócz faktów, takich jak daty, dane sprawcy, narzędzia, chodzi również o stronę psychologiczną, motyw, stan sprawcy, opis jego odczuć. Mam wrażenie, nie wiem tego na pewno, ale wygląda mi to na jakiś starożytny rytuał z krwawą ofiarą.

Odpowiedziała mu cisza pełna konsternacji. Shaker wolał się zajmować konkretnymi ludźmi z krwi i kości, z nazwiskiem i polisą ubezpieczeniową. Ale trudno, taki zawód.

- Do jutra - wykrztusił w końcu Shaker. Zakończyli drogę połączenie międzynarodowe na koszt podatnika brytyjskiego.

- Kukła - szepnęła Liver.

- Co tam mruyczysz? - zaciekawiał się Smith.

- A nic, nic. - Liver stwierdził, że zanim pogada ze Smithem, najpierw muszą sprawdzić rewelacje ciekawskiej emerytki.

PX zajrzał do pokoju i łagodnym głosem poprosił o jakąś zapomnianą teczkę. Wątroba mu ją podał. Wyglądało na to, że umowa na linii służby brytyjskie - służby polskie jest realizowana bez zarzutu. Dzień zaczął ziewać i kulić się na zachodzie; nadzieja, tak pewna siebie i roześmiana rankiem, uciekła, chroniąc się przed zemstą ciemności. Już dawno miejscowa komenda nie działała tak długo wieczorem.

Nauka

Dotarli do Polski przed południem. Autobus nie przejeżdżał przez miejscowość, do której planowali się dostać. Najbliższy postój był przewidziany we Wrocławiu i tam właśnie wysiedli. W okolicy dworca autobusowego znajdowało się kilka tanich hosteli. Wojśław pociągnął Darka w kierunku szyldu wciśniętego pomiędzy zaniedbane kamienice. Najwyraźniej znał już teren. Recepcjonistka uniosła znudzone spojrzenie znad jakiegoś internetowego portalu randkowego; nikogo innego w hallu nie spotkali. Godzina była dość wczesna, goście hostelowi pewnie wyszli zwiedzać miasto albo odsypiali nocne szaleństwa, a nowi zjadą się dopiero po południu.

– Są wolne pokoje? – zapytał Darek.

– Są.

– Wezmę dwa jednoosobowe.

– Będą dwie dwójki. Nazwisko, proszę. – Pani nie nalegała na okazanie żadnego dokumentu. Może to był powód, dla którego Wojśław właśnie tu go zaciągnął.

– Katkiewicz, eee, Katkiewicz Mirosław – wymyślił na miejscu.

– A dla kogo drugi pokój? – Wlepiła w niego wyczekujące spojrzenie, ręka zawisała nad klawiaturą. Nie widziała nikogo poza Darkiem. Ten się stropił.

– Woj... a zresztą, kolega przyjedzie i sam się zamelduje. – Wojśław przytaknął tej decyzji z zadowoloną miną.

– Nie rezerwujemy bez nazwiska, najwyżej będziecie spać razem – zdecydowała panienska, która trzymała się jednak jakichś procedur. Darek zapłacił za noc, dostał klucz i ruszył po schodach. Pod drzwiami

przystanął na chwilę, klucz długo zgrzytał w okolicy szczelinki zamka, zanim dał się wcisnąć i przekręcić.

- Ty nie wchodzisz - warknął Darek do swego towarzysza. - Nie jesteś zameldowany. A ja jestem śpiący i zmęczony. Do widzenia.

Wojśław zrobił minę typu „Co ja takiego zrobiłem?“, ale w końcu kiwnął głową i poszedł. Darek wkroczył do pomieszczenia, w którym dwa łóżka, szare linoleum, kulawy stół, szafa i dwa krzesła zostały uwięzione razem do końca swego marnego, hostelowego życia. Była również mała łazienka. Umył twarz, ręce i padł na łóżko. Po chwili opłotła go szarość. Tym razem o niczym nie śnił, nie przyplęnęła nawet spalona twarz Barta, ani żadna inna. Duchy i mary dały mu chwilę wolnego.

Obudził się wieczorem, minęło kilka godzin, ale on miał poczucie, jakby położył się kilka sekund temu. Zmrok za oknem sugerował, że jest już późno. W oknach domu naprzeciwko paliło się światło, ktoś tam chodził, ktoś otwierał lodówkę, jakiś facet palił papierosa na balkonie. Może miał nadzieję, że uda mu się podglądać którąś z młodych dziewczyn spędzających noc w hostelu. Stary praktyk. droczy W obcym mieście, w dziwnym stanie ciała i ducha nie wiedział, co dalej.

- Czas już się brać do roboty - usłyszał, ale nawet nie obrócił głowy. Wiedział, że to Wojśław.

- Miałeś nie wchodzić. - Rozdrażniony Darek nie miał ochoty na towarzystwo.

- Ale wszedłem, nudno mi. Wiesz, że recepcjonistka, gdy nikogo na dole nie ma, poprawia stanik i maluje usta?

- A ja podciągam spodnie i sprawdzam w lusterku, czy się nie posmarkałem. Ładnie tak podglądać?

- Ja tam tylko siedziałem. Jedyne dwa fotele w tej budzie. Nie moja wina, że nie rzucam się w oczy. Pokoju nie dałeś, ze swojego wyrzuciłeś, a teraz krytykujesz.

- Dobra, dobra. A ty mówisz już całkiem normalnie. Kiedy się nauczyłeś?

– Ee, nic takiego. Słucham, próbuję. – Wojśław oblał się rumieńcem dumy ze swoich postępów. – Wyłaź z pieleszy, idziemy w miasto.

– Co? Nie mam ochoty. Zmęczony jestem. I głodny.

– Idziemy, idziemy. Przed nami dużo roboty. Zjesz po drodze, pełno tu hot-dogów i innego świństwa sprzedają.

Poszli. Darek zjadł po drodze fast-fooda. Tylko po drodze dokąd? Szli pomiędzy wrocławskimi kamienicami; Wojśław najwidoczniej miał jakiś plan, ale Darek nie rozumiał ni w ząb, o co chodzi. Po przejściu kilkuset metrów od dworca kolejowego znaleźli się w okolicy, gdzie teren przy torach pełen był ślepych dojazdów, zaniedbanych kamieniczek szczerzących ceglane zęby spod tynku, koślawych garaży i sprayowych napisów informujących, kto jest mistrzem, a kto chujem. A wszystko posypane zdeptanymi niedopałkami i potłuczonymi butelkami po piwie, winie i wódce. Weszli pomiędzy te garaże. Darek rozejrzał się niepewnie; doświadczenie mówiło mu, że z takich zakamarków można wyjść bez portfela, a przy odrobinie pecha – z nożem w plecach. Wojśław maszerował pewnym krokiem. Doszli do jakiegoś podwórka, gdzie na klepisku kłóciło się akurat dwóch ludzi; gardłowe głosy informowały adwersarza o faktach typu: „Twoja matka to kurwa” albo pytały drugiego o jego pragnienia, w rodzaju: „Chcesz, kutasie, w ryj?”. Po chwili kłótnicy się rozdzielili – jeden, paląc papierosa, minął szybkim krokiem bramę, drugi, również zapaliwszy, ruszył ścieżką za rzędem garaży. Szedł prosto na Darka i Wojśława, jednakże był tak zaaferowany właśnie zakończoną sprzeczką, że nawet ich nie zauważył. Postarzała twarz, zniszczone, nieświeże ubranie, woń wczorajszego alkoholu. Zobaczył ich, gdy się prawie zderzyli. Mruknął coś pod nosem. Spuścił wzrok i przeszedł obok, manewrując ciałem tak, aby broń Boże się nie dotknęli. Znał tutejsze zasady: żadnego kontaktu wzrokowego ani cielesnego. Gdy ich minął, Wojśław uniósł wzrok w zastanowieniu, następnie pokiwał głową i zawrócił. Tak jak zwykł to robić: błyskawicznie i bezszelestnie wyrósł tuż przed nosem człowieka,

zagradzając mu wąską drogę. Tamten rozejrzał się, czujnie analizując sytuację i teren. Nogi w rozkroku, w każdej chwili mógł nastąpić atak.

- Czego? - zapytał.

- Niczego - odpowiedział w konwencji Wojsław. Darka bardzo zdziwiło, że tamten go widzi. Był chyba pierwszym, który zlokalizował Wojsława.

- Nic wam nie zrobiłem i nic nie mam, puśćcie. Nie znam was.

- Przecież cię nie trzymamy. Idź.

Człowiek wzruszył ramionami i ruszył w stronę Wojsława. Ten chwycił go za poły kurtki i pchnął.

- Co jest, kurwa?! - wrzasnął zaatakowany.

Wojsław dał mu kuksańca w brzuch, mężczyzna się zgiął, ale najwyraźniej był przyzwyczajony do bijatyk, bo zataczając się, jakby od niechcenia kopnął Wojsława prosto w krocze. Nie przyniosło to spodziewanego efektu. Wojsław uśmiechnął się kwaśno.

- To było nie fair - powiedział cicho i pchnął ofiarę wprost w objęcia Darka, który oniemiały przyglądał się tej scenie. Tubylec przestał się zastanawiać, kto bije i dlaczego. Po prostu biją, a on albo zginie, albo przetrwa. Zaczął okładać Darka pięściami, kopać, dysząc wściekle i klnąc. Ten się przewrócił, czuł spadające nań ciosy; Wojsław stał nieopodal i się uśmiechał. Darek chwycił pijaczka za nogę. Mężczyzna upadł. Zaczęli się okładać na leżąco, krew popłynęła z nosów. Świat wkoło przestał istnieć, albo on, albo ja. Poturlali się w pobliskie krzaki, miejscowy umiał walczyć, z ofiary przeistoczył się w atakującego. Darek dostawał raz za razem, Wojsław dalej biernie śledził walkę i tylko uśmiechał się kpiarsko. Darek zebrał się w sobie i zrzucił agresora. Potem zdołał porządnie przyłożyć mu w szczękę. Cios lekko oszołomił pijaczka, który z jękiem osunął się na ziemię. Darek momentalnie znalazł się na nim. Był młodszy i silniejszy. Opanowała go nienawiść, jakiej jeszcze nigdy nie czuł. Ty śmieciu, ty szmato! Bił bez litości, a później chwycił przeciwnika za gardło, gość nie miał szans. Próbował odciągnąć dłonie Darka, ale daremnie. Nie puści go, o nie.

– Zostaw! – Wojsław jednym ruchem odtrącił Darka na bok. – Jeszcze mu co zrobisz.

Pokonany łapczywie chwycił powietrze, kaszłał i pluł. Wstając, rzucał nienawistne spojrzenia na napastników. Wojsław odezwał się pojednawczym tonem:

– Przepraszamy, kolego. Ale mój przyjaciel jeszcze nie jest wprawiony, dużo ćwiczeń potrzebuje. Darek, daj mu stówę za fatygę.

– A żeby was, kurwa, pogięło. – Szary pijaczek odzyskał siły, zerwał się i pognał przed siebie, co rusz sprawdzając, czy go nie gonią. Darek wlepił nieprzytomny wzrok w Wojsława. Wyraz przerażenia i obrzydzenia zastygł mu na twarzy.

– A co? Jakie to łatwe, nie? – zagadał Wojsław, wyraźnie ucieszony osiągniętym wynikiem. – Grunt to się nie bać. A krzepę masz, tu nic nie trzeba poprawiać.

– Ale... – zająknął się Darek – ale ja go prawie...

– Tak, tak. Byłaby z niego kaszanka, gdyby nie ja. Nieźle się chłopina przeraził. Ale i tak nikomu nic nie powie, tu się z policją nie gada.

Darek milczał, przeżywając to, co się stało. Prawie zabił człowieka. Okazał się do tego zdolny. Nie panował nad sobą, jakby to nie on ruszał tymi tłukącymi i duszącymi rękami. Ale jednak to był on. Co za upodlenie, strach, wstyd. Czuł się jak kociołek, w którym wymieszano najbrzydsze i najbardziej śmierdzące uczucia świata. Potrafiłby zabić, zatłuc drugiego tylko dlatego, że tamten coś mu zrobił. A może nawet bez powodu. Zerwał się przerażony. Musiał stąd uciec.

– Wracam do pokoju! – warknął wściekle i ruszył przed siebie pomiędzy obsikanyymi garażami i zaułkami, gdzie kręciło się mnóstwo osobników pokroju szarego tubylca. Wojsław popędził za nim, truchtając radośnie i podśpiewując pod nosem:

– Tralalala, jak tu miło i przyjemnie. Raz pod żebro, raz po gębie.

Chłopcy o złotych sercach

Shaker stał przed wypalonym oczodołem drzwi w domu, gdzie swego czasu widziano Piotra Krzyżowskiego lub, jak go nazywała pani Mustain, pana Bartka. Zapach spalenizny polanej wodą unosił się tutaj całkiem wyraźnie, choć od pożaru upłynęło kilka dni. Rozciągnięta przez straż pożarną taśma zakazująca wstępu na zgliszcza furgotała na wietrze, tak jakby mówiła, że nie należy jej brać zbyt poważnie. Sama lekka i słaba nie zatrzyma nikogo. Shaker przeszedł pod nią, zatrzymał się, zawahał. Po raz pierwszy od wielu lat złamał świadomie przepisy; serce załomotało z podniecenia. Zapomniał już, jakie to przyjemne, ostatni raz chyba przed maturą kradł jabłka z sadu sąsiada. Ten miał zwyczaj strzelać ze śrutu do złodziei, ale on i Mark z klasy niżej nigdy nie dali się złapać. Teraz czuł się podobnie. Tego Marka spotkał kilka lat temu; sączył piwo w jakimś barze, gdzie akurat Shaker musiał coś sprawdzić służbowo. Nie mieli sobie wiele do powiedzenia, ale wyprawy po jabłka do sadu starego Kingsleya obaj wspominali z rozrzewnieniem. To było coś. Być może jedna z ciekawszych rzeczy, jakie im się w życiu wydarzyły.

Shaker pchnął lekko przekrzywione, niedomykające się drzwi i wkroczył do wnętrza. Smród spalenizny był wszechobecny. Poniszczone meble, na wpół stopiony plastikowy wazonik, poczerniałe ściany i strzępy zasłon – wyglądało to wszystko przygnębiająco, by nie rzec: ohydnie. Właściciel na pewno już załatwia sprawy z ubezpieczeniem, ale podejrzenie podpalenia zawsze przedłuża formalności, no i oczywiście wypłatę. Wszedł za równie zniszczoną co pozostałe sprzęty kanapę i wtedy go dostrzegł – wrażenie było piorunujące! – manekin, ubrany w spalone do połowy spodnie i lekko nadpaloną marynarkę w

drobną, brązową kratę. Eleganckie półbuty ze skórzaną podeszwą przetrwały pożar bez szwanku. W najgorszym stanie była twarz, a właściwie pół twarzy. Stopiony plastik zwęglony na brzegach, włosy zlepione w czarne nylonowe grudy. Druga połowa ocalała, ale dekompozycja całości spowodowała, że usta wykrzywiły się w dziwnym grymasie, jakby naburmuszonego niezadowolenia, a oko, choć patrzyło na to wszystko bez mrugnięcia, wyglądało jak oko czarownika, który właśnie rzuca zły urok. Shaker dumiał przez chwilę nad kukłą, marszcząc czoło i wzdychając. Nie lubił tego typu zabaw. Nie lubił niedomówień, klątw i duchów, nieważne: złych czy dobrych. Nie lubił ludzi, którzy wprowadzają w otaczający go świat pierwiastek tajemnicy i zabobonów. To nie był jego styl. Po kilkunastu sekundach dumania pochylił się, zasłonił zwęgloną część twarzy i patrząc jedynie na tę prawie nietkniętą, starał się zidentyfikować poszukiwanego. Podobny? Może trochę. Ech, gdyby się te usta tak nie krzywiły, to może by go poznał. Ale tak szarpały nim wątpliwości. Trzeba przyznać, że fachowa robota, nie jakiś anonimowy, nieludzki manekin wystawowy. Wszystko wyglądało jak u prawdziwego człowieka. Kolor, kształt, wielkość. Gabinet figur woskowych chcieli robić? Podniósł się i znowu zamyślił.

– Ho, ho, ho. Pan ciekawski tu do nas zajrzał. – W drzwiach stało dwóch chłopaków, lat około osiemnastu, piegowatych, z przyczepionymi do ust sarkastycznymi uśmiechami. Ubrani byli dość dziwnie, jakby ich żywcem przeniesiono z początku dwudziestego wieku. Marynarki, krótkie spodnie, czapki z daszkiem. – A taśmy z zakazami nie widział, he?

– Panowie, ja... ja tylko... Jestem Shaker, z policji, ja... – niepewnie tłumaczył się konstabl, pamiętając, że jest tu bezprawnie. Z grubsza rzecz ujmując, oni byli dużo bardziej bezprawnie, ale Shaker, co już wiadomo, gubił się przy szybkich zwrotach akcji i potyczkach słownych, dlatego nie opieprzył ich ani nie wylegitymował, tylko się tłumaczył. Na próżno.

– Źe ja, bo ja. Jąkała? – przedrzeźniał go ten lewy. – Marshall, daj mu w ucho! Może zaskoczy.

Prawy osobnik, nazwany Marshallem, podskoczył jak konik polny, wziął zamach i rzeczywiście huknął Shakera w ucho, aż mu echo w czaszce zadudniło.

– Hej, ha, wuala! – wrzasnął ucieszony Marshall. – Jeden zero dla twardzieli!

Przybili piątkę, Shaker masował obolałą małżowinę.

– Pan wybaczy, Herr Monsieur Sir Dupa Wołowa, ale Marshall potrzebuje dużo ruchu, he, he, he! A my, widzę, lubimy laleczki? Nieżywe, brzydkie, ale jakże podniecające laleczki, co?

Obaj zaczęli sapać i wystawiać języki, udając odgłosy kopulacji i nie przestając się głupio uśmiechać. Shaker stanął w rozkroku, czuł, że bez bitki się nie obejdzie, ale się ich nie bał. Znał sporo takich, mocnych w gębie do pierwszego wybitego zęba.

– Marshall, przyłóż panu w ucho, teraz drugie!

Marshall podskoczył do Shakera, który zrobił popisowy unik i wystrzelił pięścią tam, gdzie powinna znajdować się głowa Marshalla, ale... trafił w próżnię. Poczuł natomiast kolejne potężne uderzenie w ucho.

– Ty, chciał się bronić! No, no, no, szacun! Ale jak Marshall ma walnąć w ucho, to walnie, choćby nie wiem co. Marshall, zmieniamy styl?

Chwycili się za ręce i chórem zakrzyknęli:

– Kan-gu-rek!

Zaraz potem doskoczyli do Shakera, który zrozumiał, że to już regularny atak i próbował się bronić, ale niewiele wskórał. Po chwili leżał na ziemi kopany w różne części ciała. Szybko zrozumiał istotę stylu zwanego kangurkiem. Ból kopa w nerki przywiódł skojarzenie z napisem „Koniec” na czarnym tle. „Zaraz będzie po mnie” – pomyślał. Ubezpieczyciel, szukając pretekstów do niewypłacenia odszkodowania, zajrzy tu za kilka dni i znajdzie go tuż obok nadpalonej lalki. I znowu

będzie chryja, śledztwo, nieścistości, formalności, formularze, odroczenie wypłaty, korowody administracyjne, może nawet proces sądowy. A wszystko z powodu przekroczenia przepisów o ochronie zgorzelisk popożarowych przez funkcjonariusza policji brytyjskiej Shakera, pośmiertnie zdegradowanego za uchybienia proceduralne, które doprowadziły do obecnego stanu rzeczy.

- Już mi stąd! Łobuzy! Żebyś tu więcej nie widział! Tak pana Shakera pobić, Bogu ducha winnego, porządnego, choć lekko nadgorliwego człowieka. Już was nie ma! - W oddali unosił się gniewny głos, któremu towarzyszyły wrzaski i pełne bólu skomlenie dwóch innych głosów. Shaker nie rozróżniał, który do kogo należy; jedyne, co widział, to nogę stołową tuż przed nosem, a jedyne, co czuł, to ból po uderzeniach i ulgę z powodu braku dalszych uderzeń. Postanowił, że chwilę podelektuje się tą ulgą, śledztwo poczeka. Po pewnym czasie zebrał się i delikatnie unosił głowę, potem tułów wsparty na rękach. W końcu usiadł. Dwóch chłopaków zniknęło, w ich miejsce pojawił się ktoś inny; siedział na niespalonej części kanapy i patrzył milcząco w dal z takim skupieniem, że Shaker mimowolnie odwrócił głowę, by sprawdzić, co tam jest interesującego. Nie dostrzegł niczego poza czarniawą ścianą.

- A, pan Shaker! Chwała Bogu, chwała Bogu! Już myślałem, że pan się tam do nas wybrałeś, ale żyjesz, chwała Bogu! - Jegomość z kanapy bardzo się ucieszył, widząc Shakera na chodzie. Konstabl wstał, testując delikatnie, czy wszystkie kończyny trzymają się tułowia oraz czy nie zginają się gdzieś poza stawami. Macał również sam tułów, który bolał go tak, że spodziewał się znaleźć w nim kilka dziur i postrzępień.

- Tak, tak, żyję. Chyba żyję - mruknął Shaker. - Pan ich wygoniłeś? Dziękuję. Zawdzięczam panu życie. Bardzo dziękuję.

- Ach, drobnostka. A te hultaje to złote chłopaki! W głębi duszy, rzecz jasna. Trochę rozpuszczone, ale złote serca...

- Hm, możliwe, ale to złoto bardzo głęboko jest schowane.

- Nie wszystko złoto, co się świeci - popisał się elokwencją siwy jegomość.

- Czyli że oni to tak niby z dobroci? - zgadywał jego intencje Shaker.
- Śmiała hipoteza.

Wzrok, początkowo zamglony, zaczął nabierać ostrości. Shaker spojrział uważnie na swego wybawcę. Przecież już się kiedyś poznali...

- Pan Falx, miło pana znowu widzieć - zakrzyknął wręcz radośnie, tak jakby zobaczył starego, dobrego kumpla. Długie siwe włosy, w ręce kij. Nie dalej jak dwa dni temu ten gość mroził im krew w żyłach niesamowitymi opowieściami. Ale co on tu robi?

- Chyba mnie pan z kimś myli. - Staruszek się stropił. - Nie nazywam się Falx, tylko, eee, Pricks. Tak, Harry Pricks. Przechodziłem, usłyszałem, że dzieje się coś niedobrego, okrzyki, jęki. Przegoniłem łobuzów i już. Ale nie jestem żaden Falx.

Shaker westchnął. Pomyślał, że Pricks łże jak z nut. Znał przecież jego nazwisko i bez wątpienia to on oprowadzał ich po cmentarzu. Ale był też jego wybawcą, a on nie miał mu nic do zarzucenia, poza bezprawnym wkroczeniem na teren zgorzeliska rzecz jasna.

- Rozumiem, a czy... - zaczął konstabl, ale w tym momencie przez bezszybe okno ktoś zajrzał.

Była to twarz, jakiej Shaker nigdy wcześniej nie widział na żywo, bo w filmach typu „Zombie atakują” albo „Odrażająca gangrena” i owszem. Twarz wlepiła w nich oczy i coś zamruczała. Shaker zamarł, obserwując koszmarnego stwora. Pricks zobaczył jego zaskoczoną minę i obrócił się do okna.

- Ach, ty patalachu! Tak pana Shakera straszyc! A sio, a sio! - wrzeszczał i stukał kijem w parapet, tak jakby odganiał natrętnie wróble, próbujące dziobać pozostawione zbyt blisko okna kanapki. Gęba zniknęła. - Wiesz pan co? Wyjdźmy za taśmę, tam spokojniej niż w tym naszym... Hm, znaczyc niż tu, w tym miłym, choć nieco podniszczonym domeczku.

Propozycja wydawała się sensowna. Wyszli. Shaker nieco kuśtykał i dalej się czuł jak rzeszoto, wiatr wietrzył mu rany, ale rzeczywiście za taśmą nastrój mu się poprawił.

– Co to był za potwór? – spytał Pricksa.

– E, bez przesady, od razu potwór. Łązęga taki, raczej nieszkodliwy, ale nie wolno dać się zastraszać. Jak poczuje, że się go pan boisz, koniec. A tak, raz czy dwa kijaszkiem dostanie, to więcej nie zaczepia.

Mina Shakera mówiła wyraźnie, że ma już dość niesamowitych przygód. Postanowił wrócić do spraw ziemskich.

– Pan tu gdzieś mieszka, panie Pricks?

– Tak. Niedaleczko.

– A panią Mustain pan zna?

– Mój drogi, oczywiście, że znam. Wszyscy ją znają.

– A czy wie pan coś o tej kukle tam? – Shaker wskazał na czerniący się za nimi otwór drzwi.

– To podobno podobizna poszukiwanego mordercy i psychopaty. Tak mówią.

Shaker zmarszczył czoło. Cholera, wczoraj ledwie kilka słów napomknął tej Mustain, a dziś całe miasto już wie, kogo szukają. Sprytna emerytka przenosiła informacje szybciej niż szerokopasmowy światłowod.

– A pan w to wierzy?

– Ja wiem, że każdy jest choć trochę dobry i należy to dobre chronić, pielęgnować, bo ten sam człowiek bez pomocy może stać się potworem w ludzkiej skórze.

– Panie Pricks, czy jak tam pan się nazywa, pan coś wie i nie chce mi powiedzieć. Wie pan, kogo szukamy? Wie pan coś ponadto?

– Wiem, że podobny do manekina człowiek mieszkał przy Atkins Street osiemnaście. Myślałem, że Mustain panu już powiedziała.

Shaker zaprzeczył.

– Hm, mogła zapomnieć w ferworze wyciągania informacji z pana. Idź pan pod ten adres, może ktoś go tam pamięta. Ale niech pan i pana grubszy kolega wezmą sobie do serca, że każdy może być dobry albo podły, więc nie wpędźcie tego poszukiwanego człowieka w podłość na zawsze. Tu nie chodzi tylko o ukaranie przestępstwa, ale przede wszystkim o naukę, jak żyć, w co wierzyć, jak nie zginąć na zawsze. I takie tam sralim-bimbalim.

Shaker chciał coś odpowiedzieć, może dalej pytać, ale Pricksa już przy nim nie było. Odchodził pewnym krokiem, oddalając się z niesamowitą jak na pieszego prędkością. Konstabl nie miał szans go dogonić. Westchnął, obrzucił spojrzeniem zniszczony dom – odniósł wrażenie, że z cienia w wypalonych drzwiach wyłania się kolejna gangrenowata gęba. Pobiegł tak szybko, jak mógł. Byle dalej stąd.

U premiera

Lord poddał się rutynowej kontroli w hallu siedziby premiera. Straż przepuściła go przez bramkę, potem macali ubranie. Na koniec przeszukujący popatrzył na stos lateksowych rękawiczek i chwilę medytował z sadystycznym uśmiechem. Lord przełknął nerwowo ślinę. Rewizję z zewnątrz już skończyli, czyli te rękawiczki...

- Proszę wejść. - Łaskawy jegomość nie poddał go żadnym wiwisekcjom, zachowując te przyjemności dla młodszych i ładniejszych.

Na drodze do gabinetu premiera znajdowało się kilka innych gabinetów, gdzie sumiennie pracowano dla dobra Zjednoczonego Królestwa. Lord został przeprowadzony przez siedzibę premiera. W końcu poproszono go o zajęcie miejsca na otomanie. Usiadł. Pomieszczenie było dość wytworne, choć najwyraźniej pozbawione gospodarza - po prostu piękna poczekalnia. Na ścianach wisiały obrazy przedstawiające królów angielskich. Lord patrzył w srogie oblicza włodarzy brytyjskich - na kopie znanych z historii portretów, a w niektórych przypadkach na radosną twórczość antropologiczną. Bo jakże artysta mógł znać rysy Edwarda Starszego z roku 904, skoro nie zachował się żaden dokument ani rzeźba z jego obliczem? Wzrok lorda przykuł Wilhelm I Zdobywca. Byłbyż to jego przodek? Osobiście wątpił w tę tezę. Argumentu o nielegalnym pozbawieniu prawa do władania tą krainą używał wyłącznie w walce politycznej. Sprawdzał się w roli wabika na niektórych stronników. I dla nich mógł być zapomnianym królem. Ale tu, w pełnej dostojeństwa ciszy, odbierał jakby milczącą naganę za używanie kłamstwa do niskich celów. Rządzenie to ofiara dla

państwa i obywateli, a nie ich oszukiwanie. Lord wbił wzrok w ozdobną podłogę. Wstyd palił mu uszy.

- Premier czeka - wezwał go głos z otwartych nagle drzwi.

Asystent skłonił się i oddalił tak dyskretnie, jakby w jednej chwili wyparował.

- Proszę, witam pana, lordzie! - Premier wyszedł zza biurka z wyciągniętą ręką; uścisnęli sobie dłonie. - Może szklaneczkę szkockiej?

Lord skinął przyzwalająco głową. Niepewnie rozejrzał się po pomieszczeniu. Aresztują go? Czy to możliwe, że ktoś się czał za bocznymi drzwiami? W poczekalni chyba słyszał jakieś kroki, ale przecież tu krążyło mnóstwo ludzi wokół premiera. Powrócił spojrzeniem do gospodarza, który coś mówił od kilku chwil.

- Witam potomka szacownej, starej i jakże wspaniale zapisanej w naszej historii rodziny...

Kpił czy mówił serio? Chodzi o Wiliamsonów, którzy rzeczywiście byli znaną angielską arystokracją, czy może o Wilhelma I Zdobywcę jako jego praszczura?

- ...a jednocześnie żał mi, że spotykamy się w sytuacji, gdy z jednej strony brak nam pańskiej wnikliwości i bystrości umysłu w pracach parlamentu oraz innych instytucji, a z drugiej dąży pan do stworzenia osobnej formacji. Nie przeczę, różnorodność jest zaletą demokracji, ale...

Mówi o Odrodzeniu Brytanii czy o zleceniu zamachu? Wiliamson nie mógł z gładkiej perory wywnioskować, co premier wie i po co go wezwał. „Chyba zbyt długo unikałem polityki, przestałem rozumieć niuanse tej nowomowy”.

- ...gdybym nie miał wątpliwości, nie poprosiłbym pana, lordzie, o tę chwilę szczerzej pogawędki. Ale mam, niestety, mam wątpliwości, dlatego...

„Ma wątpliwości. W jakim temacie? Do rzeczy, premierze!”

- ...proszę powiedzieć bez ogródek, czy gdybym zaproponował panu udział w rządzie, gdzie jako pozaparlamentarny fachowiec mógłby pan

wnieść swój nieskażony koteryjnymi gierkami wkład, to czy pan i popierające pana Odrodzenie Brytanii bylibyście skłonni zmienić swe nastawienie do mnie i mojego stronnictwa? Nie musiałbym się obawiać...

Chodzi o walkę polityczną czy konkrety, w rodzaju zamachów i ataków terrorystycznych? Lord Wiliamson chętnie odpowiedziałby entuzjastycznie na wezwanie premiera, ale nie był pewny swojej organizacji. Zbudował coś, czego obecnie nie potrafił kontrolować. Najgorsze, że pewne dyspozycje już się realizowały.

- ...chętnie bym pana widział w składzie mojego zrekonstruowanego gabinetu, ale musiałbym mieć pewność, że reprezentowane przez pana siły będą dalej pana popierać...

Po kilku minutach lord kroczył ponownie przez amfilady wytwornych pomieszczeń, gdzie trafił w końcu do strażnika sprawdzającego gości. Ten nudził się od kilkudziesięciu minut, więc spojrzął z ochotą na stos lateksowych rękawiczek i wydawało się, że zaraz zatrzyma lorda do rutynowej, choć dogłębnej kontroli. Ale przyjrząwszy się minie wychodzącego, uznał, że lepiej zejść temu człowiekowi z drogi. Lord szedł, a w głowie szumiała mu propozycja, którą dopiero co usłyszał. „Rany, trzeba odwołać zamach, trzeba odwołać planowane rozruchy!” Może być w rządzie, może wrócić do wielkiej polityki bez kiboli, polskich rycerzy i innych psycholi, którzy ciągnęli do wszelkiej ekstremy jak opiłki do magnesu. Oszołomiony propozycją maszerował do swego samochodu.

Premier w gabinecie umył starannie dłonie po wizycie lorda, następnie spryskał je alkoholizowanym sprayem. Jako osoba publiczna musiał ścisnąć setki dłoni dziennie. Nienawidził tego. Po każdym dotknięciu kogoś innego musiał czyścić i dezynfekować ręce. Choćby mu skóra złaziła płatami, musiał to robić. Ten wstręt był silniejszy od niego, nie umiał się pozbyć myśli, że ma na dłoniach miliony lepkich, obcych bakterii, które powoli, gryz za gryzem, wnikają w jego skórę. Ohyda! Na wszelki wypadek umył wszystko jeszcze raz. Asystent

wyniósł używane szklanki z alkoholem. Bocznymi drzwiami wszedł jakiś człowiek. Gdyby agent Smith tu był, niechybnie poznałby szefa swojego szefa.

- Jak myślisz, Bob, łyknął haczyk? - rzeczowo spytał swojego podwładnego premier.

- Moim zdaniem łyknął.

- Gnida. Dobrze, że sam jest zbyt tchórzliwy, żeby zadziałać. Cały czas byliście w pogotowiu?

Pracownik służb uśmiechnął się promiennie, choć nieco kpiarsko.

- Jeden do piętnaście, wejść do gabinetu - zagadał jakby do siebie.

W tym momencie pomieszczenie zaroilo się od ludzi. W czarnych uniformach, kamizelkach kuloodpornych, kaskach i kominiarkach. Wypadali zewsząd, z drzwi szafy, z otworów wentylacyjnych, zza ogromnej biblioteki w kącie, nawet spod długiego obrusa leżącego na stoliku z wazonem wyskoczył mały antyterrorysta. Premier zamarł na moment z otwartymi z ustami. Piętnastu cichociemnych stanęło w kilka sekund w szeregu. Agent wyprężył się dumnie i zameldował:

- Jeden fałszywy ruch i lord dostałby piętnaście kulek w serce i łeb.

- Jestem pod wrażeniem - wydukał zdziwiony premier. - A wy często siedzicie tak w moim gabinecie i podsłuchujecie?

- Nie, nigdy! - zameldował nieszczerze agent. - Chyba że rozkaz...

- No, jasne! Rozkaz rzecz święta - pochwalił ich premier. - Dziękuję wam, chłopcy, pieniądze podatników nie idą, jak widzę, na marne.

- Ku chwale ojczyzny, panie premierze! - zakrzyknęli i zniknęli w dziurach, szparach i niszach gabinetu. Premier został sam; choć zdawał sobie sprawę, że tu, w swojej siedzibie, nigdy nie był naprawdę sam. Wrócił myślami do lorda.

- Że też tacy łażą i knują. Nie byłby lepszym premierem ode mnie, a na pewno starszym i brzydszym. Ale swoją drogą ten pomysł z Polakami nie jest najgorszy... Może by go zaadaptować? Ciekawe, ile głosów uszczknęlibyśmy takim ruchem tym francowatym labourzystom?

Mgliste wspomnienie

Darek stał w otwartym oknie ciemnego pokoju i myślał. A raczej nie tyle myślał, co zadawał sobie krótkie pytanie: „Jak to możliwe?”. Jak to możliwe, że jest tu i prawie zabił człowieka? Żadna odpowiedź nie nadchodziła. Dotychczas uważał się za dobrego, nieszkodliwego dla innych faceta. O, tacy jak Bart to prawdziwi przestępcy, godne pogardy rzezimieszki. Ale Bart już nie żyje, zabili go. Zabili go i spalili. Powoli zacierała się granica pomiędzy tym, co zrobili inni, a tym, co on sam zdziałał. A może nigdy jej nie było? I teraz Darek nie miał pewności, czy to on znalazł ciało Barta, czy może sam sprawił, że ono tam leżało. Przeszkadzał mu, musiał się jakoś od niego uwolnić...

Jakże Bart musi się teraz strasznie czuć. Odszedł z brzemieniem swoich win i nie ma dla niego przebaczenia, jest tylko wieczna kara. A może wieczna nicość? To też kara. Nic cię już nigdy nie spotka, nie staniesz się lepszy ani gorszy, tylko wałęsasz się i podglądasz tych szczęśliwców, którzy mogą każdego dnia robić to, co tobie zostało odebrane na wieki. I okazuje się, że śmierć to najgorsze, co cię mogło spotkać, bo żyjesz dalej, funkcjonujesz, pełen smutku i nienawiści. A może to właśnie jest piekło? Bez szatanów, kotłów z gorącą smołą, grzeszników wyjących o litość i łyk wody. Nikt nie bije, nie przypieka żywcem, nikogo nie ma, a mimo to wiesz, że nie musiało się tak skończyć. Taki los spotkał Barta, ale on, Darek, to przecież zupełnie inny człowiek. Tylko że teraz, czy chce, czy nie, musi być właśnie taki jak Bart. Podsztył się pod niego i niezauważalnie, krok po krocisku, sam się staje... Mordercą? Ofiarą? Nie, on ma jeszcze szansę. Bart został na wieki w tym spalonym domu i teraz Darek jest wolny. Zrobi wszystko, żeby wolnym pozostać.

- Uspokój się! Masz zadanie, termin, pieniądze i życie. - Głos Wojsława wyrwał go z zamyślenia.

- A, tak, tak - potwierdził cichym głosem Darek.

Ceglana ściana naprzeciwko, upstrzona ciemnymi oczodołami okien, spała od kilku godzin; w pokojach hostelowych do drugiej, trzeciej w nocy panował ruch. Wychodzący na miasto, wracający z miasta, zakochane pary, odkochane pary, kumple przybijający co chwilę piątkę na dowód pijackiej przyjaźni. Ale teraz wszystko zmorzył sen; pozostało tylko to otwarte, czarne okno z człowiekiem daremnie zastanawiającym się, dlaczego czasem ma ochotę kogoś zabić.

- Wyciągaj plany, masz mało czasu. - Wojsław był nieugięty w treningu Darka. Ten niechętnie zapalił światło, podszedł do torby i zaczął w niej szperać w poszukiwaniu dokumentów. Od Polaka z Londynu, nazywającego się według notatki Barta Grzegorz Kawalec, dostał sporą dokumentację. Plan wizyty, mapy przejazdów, opis zwyczajów premiera. Od dwóch dni, czyli od momentu, kiedy został zmuszony do dalszych prac nad zamachem, ślęczał nad nimi i układał w głowie scenariusz, a raczej scenariusze, jak to się wszystko może rozegrać. Najważniejsza była wizja lokalna - najlepszy plan nie odda w pełni rzeczywistości - ale nie mógł się tam pojawić ani za wcześnie, ani za późno. Zbyt wczesne przebywanie w okolicy akcji zwiększa niebezpieczeństwo dekonspiracji; zbyt późne przybycie wiąże się z ciągłym unikaniem setek tajniaków i ochroniarzy oraz brakiem czasu na spokojne rozpoznanie sytuacji.

Sprawa była bardzo trudna z kilku powodów: premier miał ścisłą ochronę, plany przejazdów i postojów zmieniano na bieżąco, wszystko odbywało się bardzo szybko oraz powód najmocniejszy - brak doświadczenia Darka w zabójstwach. Oglądali te papiery i wymieniali uwagi. Plan wizyty był następujący: premier ląduje w Warszawie, ma spotkanie z oficjelami i wizytę u prezydenta. Tam atak się nie powiedzie - służby obu krajów znały wszystkie strategiczne punkty, a Darek nie, byłby bezradny. Dlatego stolicę postanowili opuścić. Od samego

początku nastawiali się na atak w drugim dniu wizyty. Premier leci polskim helikopterem rządowym do strefy ekonomicznej niedaleko Legnicy. Kiedy doleci, na miejscu wsiada w limuzynę i jedzie na otwarcie nowej fabryki – jednej z większych zagranicznych inwestycji brytyjskiego przemysłu. Wielka Brytania postanowiła być bankierem świata i nie zajmować się lichymi przedsięwzięciami typu: wydobyć węgiel, montaż urządzeń czy połów śledzi. Wszystko to wykonują nacje na wschód od Odry i Dunaju. A nowo otwarta fabryka to wielka maszyna do produkcji traktorów. Bankierzy, jak wiadomo, z traktorami mogą robić wszystko, mogą je kupować, sprzedawać, amortyzować, deprecjonować, spisywać na straty, obciążać podatkiem. Jednakże ostatnią rzeczą, jaką mogą i chcą robić, to jazda na nich po polu z pługiem lub z broną. Dlatego pomysł produkcji maszyn poza Zjednoczonym Królestwem po jak najniższych kosztach, a następnie sprzedawanie ich po jak najwyższej cenie milionom dziwaków na świecie, którzy chcą jeździć traktorami po polach, wydawał się wręcz genialny. Jedyne, co by widzieli Brytyjczycy, to strumień pieniędzy ze sprzedaży, pomniejszony o koszty inwestycji, materiałów i robocizny Polaków, którzy zamiast zabierać pracę Anglikom na Wyspach, będą ją mieli u siebie. Plany te pochwalał również premier, dlatego postanowił uświetnić swoją obecnością otwarcie, dokonać przecięcia wstęgi, a nawet się odezwać do rozentuzjasmowanej, nowo zatrudnionej załogi skompletowanej w tym dziwnym dla synów Albionu kraju. I ucięcie jego życia w tak wzniosłej chwili – to był właśnie ich cel.

– Nie da rady, no nie da. Nigdy niczego takiego nie robiłem – marudził pod nosem Darek.

Wojśław uśmiechnął się zagadkowo.

– A wiceburmistrz Manchesteru, a prezes kompanii naftowej British Oil Mining?

Darek popatrzył na niego ze zdziwieniem.

– To nie ja, coś ci się pomyliło. To pewnie ten Bart, już mówiłem. Jestem tylko... – W tym momencie przerwał. Przed oczyma pojawił mu

się obraz. Ktoś w oddali leży, a mnóstwo ludzi biegnie do leżącego ciała. On nie ma czasu na oglądanie, szybko ucieka. Gonią go? Nie. Zanim wpadną do mieszkania, skąd oddał strzał, zanim wydedukują, którą drogą pobiegł, zanim znajdzie się tam ktoś przytomny i połączy fakty, on będzie już daleko. Spokojny krok, lekki uśmiech na twarzy. Mordercy do twarzy z uśmiechem. Wygląda profesjonalnie, nie traci czasu na nerwy i zmartwienia. Nie traci czasu na myślenie ponad konieczne kojarzenie faktów i kreowanie optymalnych rozwiązań. Darek spojrzął na Wojsława zaskoczony.

– Czy ja już kiedyś... – Właściwie nie wie, o co zapytać. Obraz zniknął. Nic nie pamięta. W ogóle cóż to za pomysł pytać o coś Wojsława? Przyczepił się do Darka jak rzep do psiej dupy, a teraz, nie daj Boże, poczuje się jeszcze potrzebny. – Idź sobie, chcę spać, jestem zmęczony, wynocha, won! – wygonił go jak poprzednio.

I Wojsław, jak dzień wcześniej, zrobił obrażoną minę, ale posłusznie wyszedł. Właściwie podejrzana była ta uległość. Taki silny i buńczuczny, tytanicznie silny, a dziś cały dzień chodził na paluszkach. Darek położył się i znowu gdzieś daleko, w samym środku głowy, zamajaczyło mgliste wspomnienie. Strzelanina, przerażona twarz kobiety, która krzyczy i pokazuje w jego kierunku. Ktoś przebiega, kobieta pada, na czole plamka, wygląda jak mała miedziana moneta, troszkę krwi, mało, jakby nic poważnego się nie stało. Ale to chyba jednak jest poważne. Znowu ktoś przebiega. Zatrzymuje się, obraca. Darek poznaje. Bart. Uśmiechnięty kpiąco, trochę naburmuszony. Podchodzi do niego. Z bliska widać popaloną twarz, nadtopiony plastik, dziwne czarniawe włosy, oskarżycielski palec skierowany w jego stronę i słowa: „Ty, myślisz, że się mnie tak łatwo pozbędziesz? Zobaczysz, jeszcze się policzymy! Jak raz w to wdepnąłeś, na zawsze zostajesz mordercą. Choćbyś uciekł na kraj świata”. W tle miotają się ludzie, krzyczą, wyje karetka pogotowia. A oni mierzą się wzrokiem. Bieganina i wrzaski to tylko sceneria dla ich milczącego pojedynku. Proszę Państwa, *Ladies and Gentlemen, Damen und Herren*, proszę o uwagę. Dziś walka stulecia.

Brzydki, nadpalony Bart kontra Darek prawie morderca, proszę obstawiać! Szanse wyrównane, w tym starciu nie ma pewniaków, za to gwarantujemy emocje i mnóstwo przelanej krwi. Lubisz atrakcje i przemoc, zapraszamy! Lubisz nudę i owsiankę na mleku, nie masz tu czego szukać. Zaspokoimy każdą zachciankę, damy ci rozrywkę, o jakiej nie marzy nawet najdroższy kanał kablowy. Bart kontra Dar! Musisz tu być, nie masz wyjścia... Nie ma wyjścia...

Darek zerwał się z łóżka. Znowu ten pokój. Krzesło, stół i wszystkie te biedne sprzęty dogorywające w nędznym hostelu z widokiem na ceglana ścianę i trzepak. Chwilę się rozglądał, szukając Barta. Boże, to było tak realistyczne, jakby on żył i naprawdę czegoś chciał. Darek uznał, że sen mu nie służy. Wolał być zmęczony, niż walczyć z sennymi zjawami. Chyba w ogóle przestanie spać. Ceglana wrocławska ściana *vis-à-vis* żyła już swoim porannym rytmem, ktoś w kuchni naprzeciwko grzebał w lodówce, widziany wczoraj człowiek z papierosem znów wystawał na balkonie, wpatrując się w hostelowe okna, na podwórku huczała i śmierdziała niebieska śmieciarka. Codzienność pełzała, ledwo, ledwo, ale zawsze to jakiś ruch. Darek wyskoczył z pościeli, udał się pod prysznic i zastygł pod hektolitrami chłodnej wody. Mówią, że woda to życie, a on go bardzo potrzebował.

Bronson

Zapowiadane przez Livera piekło na ziemi zaczęło się na komendzie następnego dnia rano. Policjanci właśnie przyszli do pracy, kawa jeszcze nie była gotowa, a komputery zalogowane, kiedy w drzwiach pojawił się PX; rozejrzał się badawczo po biurze, a stwierdziwszy, że nie ma Livera i Smitha, syknął:

- Jeszcze mnie popamiętacie! Współpraca z agentem obcego wywiadu kwalifikuje się pod zdradę ojczyzny i szpiegostwo.

- Panie agencie Prosiecki Iks. - Wątroba przeanalizował wczorajsze zamieszanie i wyciągnął wnioski, co i komu jest winien. PX przestał budzić grozę. Stał się raczej groteskową postacią, coś jak Baba Jaga z przedstawienia kukielkowego. - Sam się pan agentowi Smithowi zameldował. My robimy tylko to, co do nas należy.

- Jeszcze pogadamy na odprawie. Rura wam zmięknie. - PX najwyraźniej nie dostrzegł zmiany swojego statusu od wczoraj.

- Tak jest - zgodził się służbiście Wątroba. PX spojrział pytająco na jego lewą nogę i zmarszczył brwi. Komisarz uśmiechnął się przyjaźnie, następnie wysunął stopę, a twarz PX-a się rozjaśniła. Ale tylko na sekundę, bo wyciągnięta noga nie spoczęła w pokornej pozycji. Wątroba zaczął ruszać nią na boki, jakby machał do kogoś. PX, zrozumiawszy, że zakpiono z niego, warknął przekleństwo pod nosem i wypadł z biura.

W tym momencie weszli Smith i Liver. Wszyscy się przywitani i panowie zajęli miejsca w przytulnej wnęce. Sekundę później wkroczyła do pomieszczenia grupa nieznanymi osobnikami prowadzonych przez znanego im już Chabowskiego.

- To tu, panowie! - Chabowski spojrział badawczo na kolegów, których wczoraj opuścił w potrzebie tuż przed odprawą z PX-em. W jego

wzroku czaiła się wielka ciekawość, jak im poszło. Może nawet skrucha, że okazał się takim zdrajcą. Szukał na ich ciałach i obliczach ran lub innych znaków heroicznej walki. Nie znalazłszy niczego, co by potwierdzało, że odbyła się tu rzeź, podprowadził grupę i przedstawił:

– Panowie, oto nasi koledzy z Brytyjskiego Biura Ochrony Rządu. Przyjechali tu w związku z ważną wizytą państwową na naszym terenie.

Wszyscy podali sobie dłonie. Podeszli również Smith i Liver.

– O, Bronson, myślałem, że szykujesz się już do emerytury gdzieś w zacisnym kurwidołku z sekretarką i regularnym stolcem po lunchu. Ale ty do końca w akcji. Nie do zdercia jesteś. – Smith nie musiał być przedstawiany, sam znał dwóch z trzech nowo przybyłych. Widać było, że ta ekipa ma ze sobą kontakty dość często i że się niezbyt lubią.

– Najwyraźniej premier ma do mnie zaufanie, czego nie można powiedzieć o wszystkich. Jak mu przeczyścimy teren wizyty, to nawet wałęsającego się psa tam nie znajdziesz. Nie to co w tym waszym burdelu w szóstce – przywitał się miło Bronson.

– O waszym burdelu też niejedno słyszałem, dlatego skończmy tę licytację i bierzmy się do roboty.

– Dobrze, Smith. Zajęliście nasze miejsca. Ochrona Rządu ma pierwszeństwo nad innymi departamentami. Gołe panienki w necie można oglądać nawet na korytarzu – kontynuował tyradę Bronson, wciskając się ze swoją torbą do wnęki zajmowanej przez Smitha i Livera i dając znak swoim towarzyszom, że również mają tu usiąść. Po chwili we wnęce wyglądało jak podczas przyjęcia po chrzcinach w dwupokojowym mieszkaniu. Goście przepychali się łokciami i próbowali ustalić, do kogo jaki kawałek stołu należy. Nie było krzyków, przekleństw ani tym bardziej rękoczynów, ale atmosfera zrobiła się gęsta jak sos koperkowy. Chabowski odwrócił się do miejscowych policjantów i mrugnął do nich okiem, tak jakby mówił: „Nieźle palanty, co nie?”. Po dłuższej chwili przepychania Chwiejczak szepnął coś do Wątroby, a ten zakomunikował:

- Dla ochrony rządu i agentów specjalnych mamy pokój operacyjny, gdzie jest tylko jedno miejsce zajęte. Zaprowadzę panów Smitha i Livera.

Smith i Liver zaczęli się zabierać. Bronson nerwowo dopytywał się, co powiedział gruby polski komisarz. Liver tłumaczył.

- Co?! Pokój operacyjny należy się nam. Smith! Zostajesz! Jesteś wprost stworzony do tej gustownej wnęki. Idziemy! - wrzasnął Bronson do swoich dwóch kolegów, którzy już opuszczali dopiero co wywalczone pozycje.

I cała trójka, plus Chabowski i Chwiejczak, pognąła na piętro, gdzie w pokoju operacyjnym była do usunięcia tylko jedna malutka przeszkoda o imieniu PX, ale nikt nie wątpił, że Bronson zaraz poda swój kod i poziom autoryzacji, unieszkodliwiając autorytarne zapędy polskiego kolegi. Z góry dobiegały jakieś krzyki, rozkazy, szuranie przesuwanych mebli. Po dwóch minutach Chabowski i Chwiejczak wrócili; zaraz potem do biura wkroczył PX, minę miał wielce smutną i zgaszoną.

- Za minutę odprawa - powiedział cichym głosem, zupełnie zapominając o ilości sekund.

Role i hierarchia zostały rozdzielone, zapędy nuworyszy ukrócone. Można się było skupić na konkretach. Do zadań na najbliższe godziny należało: chronić premiera, przeżyć całe zamieszanie w jednym kawalku i nie dopuścić do negatywnych raportów na swój temat. Tylko tyle i aż tyle. Policjanci wreszcie się zalogowali i napili kawy; na odprawę postanowili się lekko spóźnić. Autoryzacja nie zając, a PX był już tylko cieniem samego siebie z wczoraj.

Panowie Smith, Liver i Chabowski właśnie omawiali zakres pomocy udzielanej przez inspektora z Komendy Wojewódzkiej. Ten ze zmarszczonym czołem odcyfrowywał dokumenty i mruczał pod nosem komentarze. Najbardziej nie spodobało mu się obsadzenie go w roli osoby kontaktowej. Chabowski zaczął tłumaczyć, jak on widzi ich współpracę; najpierw próbował przekonać gości, że na pewno nie

chodzi o niego, ale o jakiegoś innego Chabowskiego. Ta koncepcja upadła po prostym pytaniu, czy jakiś inny Chabowski pracuje w komendzie wojewódzkiej. Następnie zaczął przedstawiać siebie jako osobę koordynującą jedynie ruch dokumentów i aktów normatywnych regulujących współpracę międzynarodową. Po dłuższej wymianie zdań zgodzili się jednakże, że to raczej kompetencje Sejmu i Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Inspektor, widząc, że nie pozbędzie się łatwo angielskich natrętów, jasno dał do zrozumienia, że mogą do niego zadzwonić o każdej porze dnia i nocy, a on odbierze telefon lub nie i udzieli wszelkiej możliwej w jego położeniu i nastroju pomocy. A następnie, korzystając z zamieszania wywołanego powrotem Wątroby i innych z odprawy, uciekł bez powiedzenia „do widzenia”. Jego polscy koledzy wyjaśnili gościom, że jest to najprawdopodobniej hold oddany ich zwyczajom, które nazywamy w Polsce wyjściem po angielsku. Smith i Liver przyjęli tę wiadomość ze zdziwionymi minami. W kieszeni Livera zadzwonił telefon.

– A, Shaker. Co nowego? Jak się miewa pani Schwarzenbrot?

– Panie komisarzu, są nowe fakty w sprawie Piotra Krzyżowskiego. – Shaker zignorował pytanie o rozpalającą wyobraźnię Livera niemiecką nauczycielkę muzyki.

– O, doskonale. Mówcie, mówcie.

Shaker streścił wynik swoich odwiedzin w spalonym domu, pomijając jednakże swój mizerny stan po udziale w bójce. Z wydarzeń wynikało, że duchy, czy też inne niematerialne zjawiska, nadal są zainteresowane ich sprawą. Shaker zaprotestował przeciwko tezie, że są to zjawiska niematerialne; świadczyły o tym rany i stłuczenia na jego ciele. Ponadto doszli do wniosku, że mają do czynienia ciągle z tymi samymi zjawami; Liver nie wątpił, że Shaker rozpoznał Falxa vel Pricksa bezbłędnie. Komisarz znał spostrzegawczość i fotograficzną pamięć podwładnego nie od dziś. Pozostawała jeszcze sprawa Mustain. Czyżby również ona była nie z tego świata? Trzeba sprawdzić, czy nie pobiera

bezwprawnie emerytury. Po wstępie omawiającym przeżycia w pałacu strachów przeszli do rezultatów dalszych poczynąń.

- Odwiedziłem podany adres, mając przy sobie zdjęcie poszukiwanego. Rzeczywiście ktoś taki tam mieszkał, właściciel domu go rozpoznał. Nazywał się tu Dariusz Kona. Gospodarz nie wie, jaki miał kolor oczu, nie interesowały go tego typu niuanse, pamiętał natomiast, że płacił czynsz z poślizgami i ogólnie wiodło mu się kiepsko. Pożyteczna okazała się również rozmowa z mieszkającym obok Hindusem Biswanathem Haprapamurthem, czy jakoś tak. On twierdził, że Darek zniknął na długie dni, czasem nawet tygodnie, a czasami siedział u siebie, nigdzie nie wychodząc. Pracował w firmie kafelkarskiej i Hindus widział, jak pokłócił się kiedyś z własnym szefem pod drzwiami mieszkania. Mało go nie pobił. Zapamiętał również, że ta firma nazywa się Bathroom Experts, dostrzegł napis, bo ten szef podjechał pod dom firmową furgonetką. Ogólnie ów Hindus dość dużo wiedział jak na sąsiada.

- Ciekawość życia innych jest międzynarodową cechą - skomentował rewelacje Liver. - I co z tymi Experts?

- Znalazłem firmę, spotkałem szefa. Wspomnienia o Darku ma nieszczególne. Powiedział mi wprost, że jego zdaniem to czubek. Był z niego czasem bardzo zadowolony, pracował szybko i dokładnie, organizował pracę zespołu, ale potem przychodziły ataki złości. Jakby inny człowiek. Często brał wolne, potem pracował za dwóch. Były awantury, popisywanie się, grożenie. Zawalił kilka robót w ten sposób, ale czarę goryczy przelała demolka w Ipswich. Pojechali na robotę, tam Darek dostał szau, poniszczył sprzęt i materiały, groził innym, chwalił się, że niejednego już załatwił. Szef przyjechał i z miejsca go zwolnił. Ten potem go nachodził, awanturował się, wysyłał esemesy i maile z groźbami. Tak skutecznie, że pewnego dnia szef go odwiedził i zapłacił ostatnią pensję, na którą nasz delikwent wcale nie zapracował, razem z solidną premią. Chciał, żeby tamten się odczepił. Wtedy właśnie widział ich ten sąsiad Hindus. Od tego momentu Darek przestał nękać

pracodawcę, szczęśliwego, że za kilkaset funtów pozbył się natręta. Jego zdaniem ten człowiek jest chory psychicznie. Nie muszę chyba dodawać, że w kwestii koloru oczu nie miał nic do powiedzenia.

– Słuchajcie, Shaker, a teraz ważne pytanie. Czy ktoś oprócz pań Forewind i Mustain potwierdził, że są to dwie różne osoby?

– Nie... – wydusił z siebie Shaker, przypominając sobie, że zeznanie pani Mustain pojawiło się już w notatkach służbowych, i on znowu wyjdzie na idiotę, bo notuje zeznania duchów.

– Czyli z policyjnego punktu widzenia mamy jednego człowieka, który zmienia nazwiska i być może kolor oczu?

Shaker potwierdził.

– To już lepiej. Bo dwóch zawsze trudniej przyskrzynić niż jednego, choćby przebranego. A co z krwawymi datami na ścianie?

– Pasuje jedna sprawa sprzed czterdziestu lat. Prowadził ją Hawthorn...

– O! Ten Hawthorn?

– Tak.

– To uważajcie. Połowa Scotland Yardu uważa go za półboga, a druga połowa za całego boga. Na jego metodach wychowały się już ze dwa pokolenia detektywów. Nie nadepnijcie tam komuś na odcisk, bo nas kopną w dupę. Chyba że lubicie jak was kopią z rozpędu w zadek?

Shaker nie lubił. Pogawędzili jeszcze chwilę; Shaker potwierdził, odpowiadając na ponowione pytanie, że pani Schwarzenbrot ma się dobrze i dalej nie używa trzcinki ani ostrych niemieckich przekleństw w procesie edukacji muzycznej małych Shakeratek. Pogoda w Londynie była średnia, a automat do kawy jeszcze się nie zepsuł. Innymi słowy, poplotkowali, marnując swój czas i pieniądze podatników, a następnie rozłączyli się i oddalili do zajęć służbowych.

Planowanie

Po analizie planu wizyty i długich rozmyślaniach zdecydowali się obejrzeć dwa potencjalne miejsca zamachu. Jedno gdzieś po drodze pomiędzy lądowiskiem helikoptera a fabryką. Lądowiska przy fabryce nie było, a według ich informatora biuro premiera nie zgodziło się na lądowanie na zwykłym trawniku, choć miejsca by tam nie zabrakło. Najwyraźniej instrukcje bezpieczeństwa były jasne: lecieć tak długo, aż się nie pojawi na ziemi kółko z literą H. Brak koła oznaczał śmiertelne niebezpieczeństwo i natychmiastową potrzebę ewakuacji. Drugie potencjalne miejsce zamachu to sama fabryka. Wizja lokalna wykaże, które jest bardziej odpowiednie. W zależności od wybranego miejsca potrzebna będzie inna broń. Może się nawet okazać, że będą musieli szukać kolejnych rozwiązań.

Darek uczestniczył w planowaniu, zapisywał na kartkach uwagi, przecucia i skojarzenia. Z jednej strony wydawało mu się to bardzo śmieszne: oto siedzą w tanim hostelu, w pokoju klasy poniżej turystycznej, jedzą hot-dogi i planują, jak zrobić coś, czego nie udało się dokonać tysiącom terrorystów z całego świata. Udział umysłu Darka w tym planowaniu był zbliżony do zaangażowania chłopaków w grę w kapsle. Grają, grają, w końcu ktoś wygrywa i idą do domu, bo mama woła na obiad. Tak też oni planują, rysują, kombinują, w pewnym momencie przekreślą namalowanego ludzika na czerwono, Wojśław ogłosi „Premier dętka” i pójdą po kolejnego hot-doga oraz colę, by uczcić w ten sposób udane morderstwo. Ale z drugiej strony Darek czuł się coraz bardziej zaniepokojony; to było jakoś za bardzo na serio, za dokładnie, a co gorsze, miał wrażenie, że nieraz już tak planował. Skąd wie, jaki zasięg strzału ma sztucer? Albo jaka mina jest potrzebna pod

wzmocnioną limuzynę premiera? Coś tu nie grało. Chciał znowu wyrzucić Wojsława z pokoju, ale ten się nie dał wystawić za drzwi. Stwierdził, że jest za dużo roboty i nie zamierza czekać na łaskawy przyływ dobroci Darka. Planowali więc dalej.

W pewnym momencie Darek zadał pytanie, które od wielu godzin wisało między nimi jak szara chmura, z której jakoś nie może spaść deszcz:

– Wojsław, a właściwie czego ty ode mnie chcesz? Bo nie jesteś od lorda. Nie chcesz pieniędzy. Gejem też nie jesteś...

– Co to jest gej? – spytał Wojsław z ciekawością dziecka, które pierwszy raz usłyszało dane słowo.

– No... kiedy panowie chcą ze sobą, no wiesz, razem...

– Aaa, uranizm. No coś ty, ja i... – Wojsław urwał z zaciętą twarzą.

– Uranizm? Boże, co za słowo? Więc czego ty chcesz ode mnie? Dajmy na to, zabijemy premiera, co wtedy? Co ci z tego przyjdzie?

Wojsław zastygł, niby w głębokim namyśle. Mijały minuty, a on nic nie mówił. Może rzeczywiście nie miał żadnej koncepcji. Wyglądało tak, jakby nigdy się nie zastanawiał, co będzie potem. Całkiem możliwe, że istota, która pcha Darka do popełniania strasznych czynów, w ogóle nie zastanawia się nad głębszym sensem własnego postępowania. Byłoby to działanie dla samego działania? Dla radości niszczenia i burzenia?

– Kiedyś mówiłeś, że nie jesteś stąd – spróbował z innej beczki Darek. – Jak często tu bywasz? Zostajesz na długo czy raczej wpadasz na chwilę?

– Zrobię swoje i znikam. Już mnie śledzą, już się zbliżają. Czuję to, widzę wszędzie te macki, te oczy, które obserwują i donoszą, że znowu się wyrwał, że znowu trzeba walczyć. Ale dam radę. Zawsze dawałem, to i teraz dam – odpowiedział Wojsław. Następnie zapatrzył się melancholijnie w szare cegły ściany naprzeciwko. – Właściwie nie wolno mi tu być, ale ja... – Urwał, nie umiejąc znaleźć dość dobrych słów dla opisu swojej sytuacji.

Darek patrzył na potężnego towarzysza i wyczuwał duży ładunek emocji – smutku, żalu i wielu innych negatywnych odczuć, które targają tamtym. Przez chwilę poczuł prawie sympatię dla tego człowieka. Może nie człowieka, choć wydał mu się bardzo ludzki w tym smutku i niepewności.

– Jak umrzesz, to wszystko jest skończone – powiedział Wojsław. – Nawet jeśli tego jeszcze nie dostrzegasz, to tak jest. Wyrok wydany i wykonany go wcześniej lub później. I wtedy wracasz do każdej chwili swojego życia, do każdej podłości, która sprawiła, że jesteś tam, gdzie jesteś. I żałujesz... Jednak czasami taka złość cię ogarnia na wszystko, na świat, na ludzi, na Boga, że nie można jej powstrzymać. A potem znowu smutek, lzy i samotność...

– Wojsław, głowa do góry. Jeszcze będzie dobrze – pocieszył go zdawkowo.

– Raczej nie będzie. Zresztą, co tam. Dzisiaj żyjem, jutro gnijem, jak to mówią. Najgorsze, że nie mamy jeszcze gotowego planu. Ale robi się, jutro wycieczka, oględziny. Potem broń. Czas ucieka, ale damy radę.

– Wojsław uciął łzawe wynurzenia. Widać było, że wstydzi się swojej chwili słabości i jako człowiek czynu zna jedną niezawodną metodę na doła. Działanie.

Darek zastanawiał się nad usłyszanymi słowami. Nie dowiedział się, kim konkretnie jest jego towarzysz, ale potwierdziło się przypuszczenie, że nie jest z ich świata. Co więcej, ścigają go, ktoś jest zainteresowany, żeby przerwać jego morderczy szlak. Zawrócić tam, skąd przybył. Jeszcze przedwczoraj rano poczułby zadowolenie, że Wojsław ma kłopoty, ale teraz targają nim sprzeczne uczucia. Polubił go, przyzwyczaił się?

– Po hot-dogu? – zaproponował coś na wypełnienie tej pustki, która wytworzyła się po słowach Wojsława.

– A niech będzie, byle z cebulką – zgodził się Wojsław znad kartki wypełnionej drukiem. – Wiesz, że premier ma odchył higieniczny?

– Co to znaczy?

- Musi często myć ręce. Brzydzi go dotyk innych, a nawet dłuższe niemycie. Po każdym spotkaniu myje ręce. Jego plan został tak ułożony, żeby zawsze po dotknięciu innych mógł wejść do łazienki. No, popatrz, każdy ma swojego fisia.

- Z czym miał być ten hot-dog?

- Z cebulką. Aha, umyj proszę ręce, zanim go weźmiesz w dłonie.

- Higienista, jego mać.

Wycieczka do Oxford

Shaker od godziny próbował być hakerem, niestety niewiele z tych prób wychodziło. Folder zawierający skan dokumentów ze śledztwa prowadzonego przez Hawthorna był niedostępny. Komunikaty >initial startup file corrupt< albo >error: invalid path or name, attempt failure, readout no 3456789/1111112< kierunkowały jego myśli na działania typu rzut klawiaturą w ścianę albo przebicie monitora pięścią. Był wściekły. Nie po to tysiące funkcjonariuszy pisało protokoły, robiło zdjęcia, zlecało ekspertyzy, żeby teraz głupia maszyna mówiła o błędach i uszkodzeniach. To się nie mieściło w zero-jedynkowym postrzeganiu świata przez Shakera, który był teraz bardziej komputerowy niż sam komputer. Skoro plik jest zapisany, to ma być widoczny, a nie tylko dostępny na niby. Pewnie jakiś praktykant kopiował wszystko na początku ery komputerów w policji, a że nie chciało mu się skanować tysięcy stron, więc uszkodził folder. Nikt nie może teraz niczego odczytać, a tym samym zarzucić komukolwiek, że robota nie została wykonana. Kto to robił?

W metryczce folderu wpisane zostało jakieś nazwisko. Data: 15.08.1983, wykonał: James Liver. Shaker skamieniał ze zdumienia. Szef! No jasne. Kto inny mógłby to zrobić? Shaker tysiące razy przeklinał pomysły Livera, jak szukanie podejrzanego według książki telefonicznej albo przesiewanie informacji z miliona bilingów i zapisów esemesów, a wszystko zwalone na jego głowę, podczas gdy gruby pryncypał pochłaniał słodkie bułeczki, popijając je kawą, i zajmował się pracą koncepcyjną przy gazetkach z rozebranymi paniami. Dlatego wcale się nie zdziwił, że młody praktykant Liver bumelował, a robotę zwałił na swojego podwładnego ponad trzydzieści lat później. To było

całkowicie w jego stylu. Już słyszał odpowiedź na zarzut nadmiernego obciążania pracą: „Shaker, to nagroda za waszą doskonałość i zaangażowanie. Nie możecie spocząć, bo umysł wam stępuje”. I tak dba o jego umysł od lat, choć sam komisarz jest cały czas bystry bez grzebania w milionach dokumentów.

– Oj, ten Liver – westchnął Shaker, żałując, że pod komisariatem w Dagenham nie przyłożył mu mocniej w szczękę. Przynajmniej tyle miałby radości.

W tej chwili posiadał dostęp jedynie do skrótowego opisu dochodzenia, sygnatury, nazwiska prowadzącego. Morderstwo w Yarnton, niewielkim miasteczku niedaleko Oxfordu. Młody człowiek zamordował ojca, matkę i siostrę. Zarabiał ich tasakiem. Shaker liczył, że może uda mu się dotrzeć do akt sądowych. Miał nadzieję, że Liver tam nie praktykował i zachowały się kompletne dokumenty. Ale sąd to nie policja, trzeba poprosić i poczekać. Chwycił za słuchawkę i wybrał numer archiwum, wyjaśnił, o co chodzi. Chroboczący głos w słuchawce oznajmił po dłuższej chwili, że znalazł poszukiwaną sprawę; umówili się na odbiór dokumentów. Shaker wstał i sięgnął po kurtkę, zamierzając pojechać do sądu. Po sekundzie jednak usiadł, by napisać mały meldunek dla Livera: „Akta sprawy podobnej do Stoner, EE/1243/1975/668- 01, zostały zarchiwizowane w 1983. Niestety nie są dostępne z przyczyn technicznych. Wydaje się, że nigdy nie były dostępne. Według metryczki skanował i zapisywał James Liver”. Wysłał. Po chwili przysłała odpowiedź: „Karygodne niedbalstwo. Sądzę, że należy mu się nagana”. Shaker również tak uważał.

Po godzinie wrócił objuczony dziesiątkami skoroszytów. Automat nalał dużą kawę do kubka i dzielny konstabl usiadł do lektury tysięcy stron. Jeszcze wczoraj sprawdził, że prowadzący sprawę Hawthorn od kilku lat nie żyje. Chodząca legenda brytyjskiej policji zmarła na zator tętniczy w wielu siedemdziesięciu ośmiu lat. Shaker miał nadzieję, że dzięki dokumentom nie tylko pozna sprawę, ale dotrze do kogoś, kto będzie mógł coś o niej opowiedzieć. Po kilku godzinach opadł na

oparcie fotela; był pod wrażeniem, szczególnie zdjęcia go poraziły. Cóż za okrucieństwo! Prócz ofiar sfotografowano ściany, a na nich krwawe maźnięcia układające się w zapis dat. Zgadzały się z datami ze *Świadectwa Elisabeth Stoner*. Shaker uśmiechnął się zadowolony. Trafiał. Przecucie go nie myliło, te sprawy są podobne. Ponownie zanurkował w papierzykach.

Okazało się, że oskarżony Paul Mallbeth został skazany na dożywocie. W chwili morderstwa miał dziewiętnaście lat; czyli teraz miałby pod sześćdziesiąt. Może jeszcze żyje. W papierach był również ślad badań psychiatrycznych. Jedną część podpisał doktor Howard Bullet, a drugą doktor Harry Fault; obaj zatrudnieni w klinice w Oxfordzie. Shaker zadzwonił. Po kilku przekierowaniach połączył się z sekretariatem Działu Kadr, gdzie jakoby wiedzą wszystko, przynajmniej o ludziach pracujących w klinice. Shaker przedstawił się i wkrótce stał się szczęśliwym posiadaczem informacji, że poszukiwani panowie od kilku lat nie pracują, odeszli na emeryturę, a doktor Fault to nawet umarł, co wcale nie dziwi, bo był już po dziewięćdziesiątce. A co do doktora Bulleta, to mieszka przy Murgrow Drive 5. O tym wszystkim powiadomił Shakera niewieści głos. Pani przy aparacie nie była w najmniejszym stopniu upoważniona do udzielania jakichkolwiek informacji, ale miała nadzieję, że nie zrobiła źle, a Shaker nie jest bandytą albo komornikiem. Shaker długo się tłumaczył z tego, kim nie jest, i wyjaśniał, dlaczego ani pani w klinice, ani doktor Bullet, ani nikt w Oxford nie mają się czego obawiać. W końcu zmęczony niekończącym się potokiem słów po prostu odłożył słuchawkę bez pożegnania i podziękował Bogu, że jego żona nie jest tak gadatliwa jak ta sekretarka.

Postanowił pojechać do pana Bulleta.

Murgrow Drive była krótka, ślepa uliczka, przy której stały dwa rzędy domów z lat siedemdziesiątych. Wtedy to było nowoczesne, może nawet prestiżowe osiedle. Obecnie zaniedbane fasady i różnorodne dodatki stworzone przez dziesięciolecia zamieszkiwania nadawały

każdemu z budynków indywidualny rys. Shaker zadzwonił, po minucie znów zadzwonił, usłyszał człapanie w korytarzu, szcęk zasuwy, potem zgrzyt drugiej zasuwy.

- Kto tam? - Głos należał niewątpliwie do staruszka. Shaker wyjaśniał długo i dokładnie, kim jest i jak się tu dostał. Po chwili dobiegło go człapanie oddalające się w głąb mieszkania. Nacisnął klamkę; drzwi nadal były zamknięte. Zaklął i zaczął szarpać. Głos za drzwiami zabrzmiał znowu:

- Odsuń się pan.

Shaker odstąpił. Szczęknięły zasuwy, jedna, druga, trzecia, czwarta. Drzwi lekko się uchyliły, zatrzymały na łańcuchu, w szparze pojawiły się kawałek nosa i oko z siwą brwią.

- Na jakiej ulicy znajduje się siedziba główna Scotland Yard? - padło pytanie.

Shaker odpowiedział, drzwi się otworzyły. Przed nim stał niski, zasuszony staruszek w zielonym swetrze i szarych spodniach, w rękę trzymał pistolet i mierzył do konstabla.

- Odznaka! - warknął.

Shaker pokazał.

- Ile lat ma królowa Elżbieta?

Shaker odpowiedział. Tamten nadal w niego celował, patrząc podejrzliwie. Zrobił krok w tył. Opuścił z wahaniem lufę.

- O co chodzi? - Staruszek chyba uwierzył w czystość zamiarów Shakera.

- Chciałem porozmawiać o sprawie Paula Mallbetha.

Na te słowa staruszek zamarł. Następnie podskoczył w stronę Shakera. Wpił się sękatymi dłońmi w szyję konstabla i zaczął go dusić.

- Odczep się od nas, odczep się od niego! Od wszystkich się odczep! Jesteś zarazą z tamtego świata, ale to twoja sprawa, twoja wina! Od nas wara. Wara! - charczał, nie puszczając szyi mężczyzny. Shaker miał już

gwiazdy przed oczyma; ostatkiem sił oderwał ręce starca i odepchnął go. Ten zatoczył się na ścianę, ciężko dysząc.

– Co jest?! – wysapał Shaker. – Co pan wyprawia?! Ja chcę tylko o coś zapytać.

Doktor powoli się uspokajał. Najwyraźniej dotarło do niego, że Shaker nie jest tym, za kogo go wziął. W końcu machnął ręką i poczłapał w głąb domu, a policjant ruszył za nim.

– Siadaj pan. Przepraszam – burknął gospodarz, wskazując miejsce na wysiedzianej otomanie przykrytej kraciatą derką. – Myślałem, że... że... to ktoś inny.

– W porządku. – Shaker nie chciał psuć konwersacji wyrzutami. – Mam tylko kilka pytań. Na pierwsze już pan w zasadzie odpowiedział. Rozumiem, że pamięta pan Paula Mallbetha.

– Czy pamiętam? Paul był przez trzydzieści lat częścią mojego życia, prawie synem. A pan pyta, czy go pamiętam?

– Hm. Dobrze. – Shaker był już trochę zmęczony nerwowym staruszkciem, choć rozmawiał z nim dopiero chwilę. – Jako psychiatra badał pan Paula podczas jego procesu. Czy mógłby mi pan coś o tym powiedzieć?

– A po co to panu, panie... eee, zapomniałem...

– Shaker.

– Więc po co, panie Shaker?

– Istnieje uzasadnione podejrzenie, że przypadek Paula Mallbetha może się powtórzyć. – Shaker zawiesił na chwilę głos, badając, jakie wrażenie wywarł na rozmówcy.

Starszy pan nic nie odpowiedział. Zamyślił się, jakby ważąc znaczenie słów Shakera. Ten mówił dalej:

– Szukamy, działamy. Istnieją przesłanki, by podejrzewać, że za cztery dni ktoś popełni okropną zbrodnię i że znajduje się on pod wpływem kogoś lub czegoś, co go do tego popycha. Z pewnych źródeł wiemy, że w przeszłości były podobne przypadki. Coś w rodzaju

opętania, kiedy osoba z bliżej nieznanymi przyczynami wchodzi w kontakt z kimś lub czymś, co jej towarzyszy przez jakiś czas, a następnie doprowadza do popełnienia zbrodni. Tak było chyba w przypadku Mallbetha, zapoznaliśmy się również z przypadkiem pani Stoner z końca dziewiętnastego wieku.

- I co wiecie o tej Stoner? - Doktor Bullet wykazał nagle zainteresowanie.

- Była w trudnej sytuacji. Niezameżna, w ciąży ze starszym, żonatym mężczyzną, jakimś Hamptonem. Opuszczona przez wszystkich, dostała propozycję, by za kilka marnych groszy zniknąć z życia tego mężczyzny. Odwdzięczyła się, szlachtując całą rodzinę kochanka. Twierdziła, że to nie ona. Zeznała, że pojawił się przyjazny człowiek, Polak, choć mówiący doskonale po angielsku, który pocieszał ją, przekonywał, urabiał. W końcu za jego namową wdarła się do domu nienawidzonego Hamptona. Chciała z nim porozmawiać, ale ostatecznie wszyscy zostali zabici. Stoner zeznawała, że to nie jej sprawa, że ów przybysz Jan to zrobił. Jednak poza Stoner nikt inny go nie widział. Sędzia nie roztrząsał sprawy, nie dociekał, skazał ją bez cienia wątpliwości. A wtedy kara była za taki czyn jedna: śmierć.

- Tamten sędzia miał dużo szczęścia - mruknął zasłuchany Bullet. - Naprawdę szczęściarz.

Shaker zrobił zdziwioną minę. Sędzia miał szczęście? O co tu chodzi?

- Najgorzej wejść w kontakt, zastanawiać się nad tym. Tu nie ma dobrych rozwiązań. Nie wiem, co gorsze: śmierć w wyniku niesprawiedliwego wyroku czy marna egzystencja z tą maskarą z piekła rodem u boku. Paul tego nie wytrzymał, odebrał sobie życie, choć był przecież niewinny, odsiadywał wyrok za nie swoje czyny.

- Panie Bullet, niech pan nie mówi zagadkami. Co tu się wydarzyło?

Stary psychiatra usiadł w fotelu. Duży zegar na komodzie wydawał dźwięk, jakby trochę utykał. Ulicą przejechał samochód, najprawdopodobniej dostawczy, który podskoczył hałaśliwie na wyboju. Bullet nie patrzył na Shakera, można było odnieść wrażenie, że

specjalnie odwraca wzrok, tak jakby spowiadał się ze wstydlivych grzechów. Powie swoje, ulży duszy, ale nie zamierza o tym wiele dyskutować.

- Zostałem powołany przez sąd, by wydać orzeczenie na temat zdrowia psychicznego Paula Mallbetha, oskarżonego o potrójne morderstwo. Młody chłopak, dziewiętnaście lat, planował zapisać się na studia. Ale cóż, inaczej pokierował swoim losem. Choć czy to on... Standardowo sąd przekazuje podejrzanego na oddział zamknięty kliniki, tak aby biegły bez wpływu otoczenia aresztu, strażników i innych aresztantów, w swoim tempie mógł zbadać przypadek. Innymi słowy, daje się nam, jeżeli chodzi o ilość czasu spędzanego z badanym, wolną rękę. Był to mój drugi udział w procesie sądowym, pierwszy epizod trwał dwa, może trzy dni i skończył się orzeczeniem o pełnej poczytalności oskarżonego. Sąd lubi szybkich biegłych, dlatego powołano mnie ponownie. Paul został przeniesiony do kliniki, przydzielono mu strażnika i pojedynczą salę z kratą w oknie. Miałem wtedy prawie czterdzieści lat i można powiedzieć, że robiłem karierę. Artykuły w prasie branżowej, konferencje, widoki na posadę ordynatora, choć z drugiej strony nie byłem szczęśliwym człowiekiem, moje małżeństwo się kruszyło. Nie wiedziałem, jak odbudować relacje z rodziną. To był bardzo trudny okres w moim życiu. Niepewny siebie, innych, swoich wyborów, kierunku życia, stawałem się powoli maszynką udającą człowieka. Pan wybaczy, ale ta dygresja ma związek ze sprawą, to prawdopodobnie powód, dla którego mogłem wejść w kontakt ze zjawiskami, o których opowiem. Pierwsze spotkanie z Pauliem pamiętam, jakby to było wczoraj. Przestraszony młodzian, lęklivie rozglądający się po nowym otoczeniu. Cichy, żadnej agresji. Byłem przekonany, że moje badania potrwają, tak jak w pierwszym przypadku, dwa lub trzy dni i będę miał sprawę z głowy, a honorarium w kieszeni. Zaraz następnego ranka zacząłem pierwszą z rozmów. Paul był dość nieufny, nie nawiązywał łatwo kontaktu. Z dokumentacji wynikało, że miał w szkole kłopoty w kontaktach z rówieśnikami.

Wywiad szkolnego psychologa wspominał o pogłoskach, że w rodzinie Mallbethów zdarzały się przypadki przemocy domowej. Ojciec miał bić żonę i dzieci. Wywiad podkreślał jednakże, że nic nie zostało udowodnione. Taka informacja stanowi pewien punkt zaczepienia dla badań psychiatrycznych. Próbuje się z jednej strony nawiązać nić porozumienia z pacjentem, stać się kimś godnym zaufania, ale z drugiej strony dotykamy spraw niekiedy bardzo bolesnych, które powodują zamykanie się badanego. Trzeba to umiejętnie pogodzić. Tak było i w tym przypadku. Paul zaprzeczył pogłoskom o agresji ojca. Jeżeli coś się wydarzyło, on to całkowicie wypierał. Widać było, że zamordowana rodzina stała się dla niego wręcz święta. Opisywał ją wyłącznie w superlatywach. Nie przyjmował do wiadomości żadnego negatywnego słowa na ich temat. Zdałem sobie sprawę z jednego: Paul nie wzbraniał się mówić o morderstwie, potępiał je, czuł się nawet w jakiś sposób winny, ale cały czas mówił o sprawcy, jakby to był ktoś inny. Po kilkunastu godzinach wywiadu zacząłem podejrzewać, że mam do czynienia z osobowością wieloraką, czyli z osobą, która posiada kilka osobowości. Mogą one być w różnym wieku, mieć odmienny stopień rozwoju emocjonalnego i egzystować zupełnie niezależnie od siebie. W latach siedemdziesiątych był to niezwykle modny temat, który wypłynął właśnie przy okazji przestępstwa. Oskarżony nic nie pamiętał z zarzucanych mu czynów i udowodniono, że zmienia swoją osobowość. Czasem osobowość gospodarza jest dominująca i może znać czyny oraz myśli pozostałych. Nie muszę chyba dodawać, że jako psychiatra byłem bardzo podekscytowany przypadkiem Paula. Miałem go tylko dla siebie, mogłem chłopaka diagnozować, ile i jak chciałem. Oczywiście należało tezę o osobowości wielorakiej najpierw udowodnić, potwierdzić w toku badań. W mojej głowie układał się już temat kolejnego artykułu dla prasy fachowej i inspiracje dla wykładów. Przypadek zapowiadał się ciekawie, pobyt Paula w klinice miał się przedłużyć. Zaczęliśmy regularnie pracować. Paul opowiadał dość chętnie, choć nie był ekstrawertykiem. Raczej opisywał fakty i osoby, niż wydawał o nich

sądy. Bardzo rzeczowy, nie dawał się ponosić emocjom. Opis zbrodni całkowicie do niego nie pasował, wyglądało to raczej jak rzeź w szaleństwie, a nie wyrachowana kalkulacja. Po jakimś czasie z rozmów zaczął się wyłaniać bardzo dokładny opis kogoś, kto od pewnego czasu nachodził chłopaka, rozmawiał z nim, towarzyszył mu w życiu. Uznałem to za sukces diagnostyczny. Docierałem do drugiej osobowości Paula, jeden człowiek opisywał drugiego, pomimo że siedzieli w tym samym ciele. Zasugerowałem mu, że tak jest, że jest ich dwóch w jednym ciele. Bardzo się zdenerwował, jakbym zawiódł jego oczekiwania. On przekazuje mi informacje o sprawcy swojego nieszczęścia, a ja sugeruję, że problem tkwi w jego głowie. Przestał ze mną rozmawiać, a ja zrozumiałem, że popełniłem błąd. Chciałem go naprawić, powrócić do poprzedniego poziomu zaufania, ale to wymagało żmudnej pracy. Diagnozę miałem już jednak gotową, chodziło mi tylko o to, by nie wypuścić Paula zbyt wcześnie, zanim nie wyciągnę od niego wszystkiego. Ale on nie chciał ze mną rozmawiać, spławiał mnie półsłówkami i unikał kontaktu. Po kilku następnym dniach podczas codziennej wizyty Paul poprosił, żebym z nim został i poczekał. Ucieszyłem się, sądziłem, że kryzys minął i ponownie nawiążemy współpracę. Siedzieliśmy, zza krat dochodziły głosy pacjentów, którzy zażywali spaceru i zabawy na świeżym powietrzu; chciałem powrócić do rozmowy, ale Paul położył palec na ustach. Po kilku minutach drzwi się otworzyły i do sali wkroczył jakiś mężczyzna. Ponieważ przed wejściem stał strażnik, który miał dbać o spokój i brak świadków podczas naszych rozmów, wybiegłem do niego i powiedziałem kilka cierpkich słów na temat jego pilnowania, a potem kazałem wyprowadzić nieproszonego gościa. Policjant początkowo się przestraszył, wpadł ze mną do pomieszczenia, przybysz stał na samym środku, ale strażnik rozglądał się bezradnie i mamrotał, że nie wie, o co chodzi. Pokazałem stojącego mężczyznę palcem, wartownik pokręcił się jeszcze trochę, a potem spojrzął na mnie tak, jak dotąd patrzył na przechodzących korytarzem pacjentów, i wyszedł. Nic nie zauważył.

Przybysz zaśmiał się, jakby udał mu się dobry kawał; Paul przedstawił go jako Wallsa. Pochodził gdzieś ze Wschodu, z Polski albo Rosji, i miał inne imię, ale było na tyle trudne, że dla Paula nazwał się Walls. Paul powiedział mu, że go badam i chcę się jak najwięcej dowiedzieć. Walls wyraził gotowość współpracy. Nie muszę chyba dodawać, że byłem w szoku. To, co traktowałem jak zamknięty w głowie innego człowieka obiekt badań, stało przede mną i grzecznie się uśmiechało...

- Doszedł pan do tego, co lub kto to jest? - spytał Shaker, w najwyższym stopniu zaciekawiony opowieścią Bulleta.

- O tak, dużo mnie to kosztowało. Powiedziałbym nawet, że poświęciłem temu życie, swoje i w jakimś sensie życie innych, mojej rodziny, ale wiem, co to jest. Każdego dnia budzę się rano, a wieczorem kładę do snu, żałując, że mój los tak się potoczył, ale wiem już, co to jest. Jeżeli historia ma się powtórzyć, to może moje wyznanie choć trochę zmniejszy skutki działania Wallsa.

- Słucham, proszę, niech pan mówi dalej. - Shaker zamienił się w słuch.

Bullet ułożył się inaczej, głębiej w swoim fotelu, przygotowując się do nieprzyjemnej, ale koniecznej rozmowy.

- Ja... - zaczął, ale natychmiast przerwał. Wlepił przerażone spojrzenie w ścianę za Shakerem. Policjant odwrócił się, ale nie zauważył tam nic szczególnego.

- Uciekaj! - usłyszał zduszony okrzyk Bulleta. Potem twarz starca zrobiła się bardzo blada, zaś jego głowa odchyliła się lekko do tyłu. Wymachiwał rozpaczliwie rękoma, tak jakby próbował coś zdjąć z szyi, jednakże słabł z każdą chwilą. Charczał i jęczał. Shaker podbiegł do niego, próbował mu jakoś pomóc, ale poczuł silne uderzenie w brzuch. Odrzuciło go na bok. Starzec wydawał gasnące pomruki. Jakaś potężna siła utrzymywała go w nienaturalnej pozycji - unosił się lekko nad fotelem - i potrzasała nim rytmicznie. Potem Bullet opadł, ręce zwisły bezwładnie poza oparcia fotela, nogi przekreśliły się w lewo, a głowa opadła na pierś. Shaker usłyszał coś jakby pomruk albo chrapiawe

sapnięcie, gdzieś w głębi domu trzasnęły drzwi, a później zapanowała cisza. Tylko zegar dalej tykał nieco nierytmicznie.

Konstabl przypadł do Bulleta i zaczął go dotykać, sprawdzając tętno i oddech. Staruszek był martwy. Po sekundzie Shaker uświadomił sobie, że tuż pod jego nosem coś udusiło człowieka. A on nic nie zrobił! Czy jednak mógł coś zrobić? Spojrzał jeszcze raz na Bulleta. On wiedział, co to było, widział zbliżające się niebezpieczeństwo. Ale dlaczego Shaker niczego nie dostrzegł? I dlaczego Walls, czy ktokolwiek był ową niewidzialną siłą, nie zaatakował Shakera? Prawdopodobnie chodziło o powstrzymanie Bulleta, ktoś chciał uciąć wynurzenia, zrozumiałwszy, że to może pokrzyżować mu plany.

Zadzwoił z mieszkania na numer alarmowy.

- Halo, policja Oxford? Mówi konstabl Shaker, policja Londyn. Morderstwo przy Murgrow Drive, numer pięć. Proszę o przyjazd - meldował według procedury, raportując zaistniałą sytuację, a w głowie już odpowiadał na zadawane pytania. Co tu robił? Dlaczego drogą służbową nie poprosił miejscowej policji o przeprowadzenie wywiadu? Jak można stać obok zabójcy i go nie widzieć? Czy ktokolwiek uwierzy, że spotkanie dwóch ludzi bez świadków skończyło się uduszeniem jednego z nich, a drugi nie miał z tym nic wspólnego?

Te pytania były logiczne i nieskazitelnie uczciwy Shaker wiedział, że musi nieco skazać kłamstwem swój wizerunek, przynajmniej na tyle, żeby nie wylądować niebawem w areszcie jako podejrzany o morderstwo.

Co się kryje w zieloności

Kolejny dzień współpracy służb polskich i brytyjskich rozpoczął się od awantury przy automacie z kawą, gdzie Bronson zażądał pierwszeństwa przy naciskaniu guzików i wyborze napoju. Wszyscy grzecznie ustąpili, oprócz Smitha, który już wczoraj miał chętkę dociąć koledze ze służby za jego szarogęszenie się. Awantura była ostra i Smith poddał się dopiero po dłuższej sprzeczce i wymianie argumentów na staż zawodowy, ilość złapanych przestępców oraz jakość noszonych butów tudzież garnituru. W końcu szef grupy Ochrony Rządu stanął przed automatem, powiódł zwycięskim spojrzeniem po wszystkich zgromadzonych, po czym wyciągnął palec w kierunku guzików... Ręka zamarła w połowie drogi.

- O, do diabła! - zaklął, błędząc zaskoczonym wzrokiem po klawiaturze. - Który przycisk to kawa? Wszystko po polsku.

- Cisza, nie podpowiadamy! - syknął Smith i położył palec na ustach, więc wszyscy zrozumieli. - Jako najstarszy stopniem, w najlepszych butach i garniturze, daj nam przykład, Bronson, jak się wybiera właściwą kawę. U nas zaczyna się na „C”, w wielu innych krajach na „K”. Może tym tropem pójdziemy?

- Bzdury! - Bronson nie zamierzał słuchać żadnych rad, a już nie pewno nie od Smitha. - W Polsce jest wszystko inaczej. To będzie ten przycisk.

- Ale to... - wyrwał się Chwiejczak.

- Cisza! - zabronił jakiegokolwiek pomocy Smith, który wiedział, że jego podpowiedź zostanie z góry odrzucona. - Bronson wybrał.

Maszyna zabuczała, do kubka polała się brunatna ciecz, powietrze wypełnił lekki zapaszek glutamianu sodu. Bronson podniósł kubek do

nosa, powąchał, usta wygiął delikatny, ledwo zauważalny grymas obrzydzenia. Jednakże musiał wytrzymać spojrzenie siedmiu par oczu, więc opanował się, uniósł naczynie do ust i skosztował.

– Miałem rację. Dobra, polska kawa. – Uśmiechnął się tryumfalnie do Smitha i reszty i odszedł dostojnie w kierunku pokoju operacyjnego. Pozostali mogli skorzystać z automatu. Po kilku krokach Bronson się odwrócił, wpił surowe spojrzenie w swoich dwóch podwładnych i syknął:

– Wy też macie wziąć tę samą kawę co ja. Jest najlepsza.

I ruszył dalej. Dwóch angielskich funkcjonariuszy westchnęło z rezygnacją.

– Nie wiedziałem, że pod przyciskiem „Barszczyk” leci kawa – zdziwił się Chwiejczak.

– Bo nie leci. Bronson musi być racja nad Smith. One walczą, kto ważniejszy – wytłumaczył Liver całe zająście.

– Aha. – Chwiejczak popatrzył z podziwem na Smitha. – Socjotechnika.

Wszyscy zasiedli przy biurkach, PX zapowiedział odprawę, powracając do swego zwyczaju podawania minut i sekund, które jednak zaokrąglął do dziesiątek. Liver niecierpliwił się, nie widząc żadnej informacji od Shakera; jego telefony i wysłane maile pozostały bez odpowiedzi. Ostatnią informacją była ta o sfuszerowanym przez młodego Livera skanowaniu dokumentów przed trzydziestu laty, a potem jak kamień w wodę. Komisarz pomedytował chwilę nad nieuchronnością ludzkiego losu, kiedy czyny – lub ich brak – skutkują wiele lat później, na przykład brakiem możliwości przeczytania dokumentacji.

Smith przeglądał plan wizyty premiera wraz z mapami i opracowaniem trasy przejazdu.

– Dzisiaj zrobimy rekonesans i wybierzemy punkty obserwacyjne. Liver, poproś Wątrobę, pojedziemy razem. A tak swoją drogą, co znaczy to nazwisko po polsku, Wątroba? Znasz takie słowo?

- Nie, niestety nie mam pojęcia, raczej nic nie znaczy. - Liver się zaczerwienił i szybko uciął temat.

Po chwili polscy funkcjonariusze wrócili z odprawy. Wróżka i Chwiejczak zaczęli grzebać w szafach, poszukując kolejnych papierów dla zaspokojenia dokumentacyjnych żądań PX-a. Wątroba usiadł za biurkiem ze stękiem godnym parowozu.

- Komisarz Wątroba, mamy deal z tobą, chcemy pójść na miasto i zobaczyć różne miłe miejsca do mordowania. Zaprowadzisz? - Liver skryształizował koncepcję wycieczki.

- Miejsca do mordowania? - zdziwił się Wątroba. - U nas w mieście nic takiego się nie dzieje. Chwiejczak, kiedy było ostatnie morderstwo?

- Takie prawdziwe? Osiem lat temu. Jez, to było okropne, krew, flaki, pocięta twarz!

- Ale od tego czasu spokój. Zaniżamy średnią wojewódzką. - Wątroba był dumny ze statystyk.

- To pójdziemy na miasto, gdzie nie zabijają, żeby dalej nie zabijać - podsumował ich przechwałki Liver.

Pochylili się wspólnie nad planem przejazdu premiera. Po kilkunastu minutach udali się na parking. Smith marudził przez chwilę nad umiejscowieniem kierownicy z lewej strony i nad idiotycznym zwyczajem jazdy prawostronnej, a potem ruszyli.

- Wątroba, jedziemy do lotnisko helikopterków, tam premier zaczynać będzie wycieczka z helikoptera. - Liver poinstruował Wątrobę, dokąd jechać.

- Mówi się helikopter, helikopterek brzmi śmiesznie, jakby premier miał przylecieć w zabawce. Chyba, że to premierek? - Wątroba postanowił trochę podciągnąć kolegę z polskiego.

- On właśnie przyleci w zabawce - odparł Liver, a widząc zdziwione spojrzenie Wątroby, dodał: - W zabawce na dużych chłopców, co ma dużo pieniędzy od podatnik zarobiony w pocie czoła.

- Aha, no tak. W takim razie rzeczywiście przyleci helikopterkiem - odparł Wątroba, chichocząc. Stwierdził, że da sobie spokój z naukami,

wszyscy wszystko i tak rozumieją, a przynajmniej jest trochę rozrywki. Dowcipkując, jechali za miasto, gdzie znajdowały się trawiaste pola aeroklubu, wyznaczone na początek trasy premiera. W pewnym momencie Liver wrzasnął:

- Stać!

Wątroba nadepnął hamulec, aż ABS-y zazgrzytały. Liver wyskoczył z kabiny i pobiegł w kierunku, skąd przyjechali. Droga była pusta, nic nie jechało oprócz nich; stary, zniszczony chodnik, położony jeszcze za czasów propagandy sukcesu Gierka, grzał swoje garbate wybrzuszenia w promieniach słońca. Cykały świerszcze i szumiały trawy czesane wiatrem. Cisza i spokój. Liver przebiegł kilkadziesiąt metrów, za nim pędzili Smith i Wątroba.

- Tam stał, pod drzewem - zakomunikował po angielsku Liver.

- Kto? Bronson? - Smith nie wiedział, o kogo chodzi.

- E tam, sam jesteś Bronson? Nasz Krzyżowski albo, jak wolisz, Kona.

- Nikogo nie ma. - Smith wbijał wzrok w zieleń drzew, ale nic nie widział, mrużył przy tym oczy w sposób typowy dla krótkowidzów. Liver pomyślał, że Smith podczas zajęć w terenie jest do niczego, i wszedł w trawę po pas; zaczął brnąć do drzew oddalonych o kilkadziesiąt metrów. Smith i Wątroba za nim.

- Liver, on może być uzbrojony. Liver, jesteśmy odkryci jak na patelni! - sumitował dzielnego kolegę agent.

- Nie zabije trzech naraz, jakby mnie trafił, macie go natychmiast zdjąć. Będzie powód użycia broni, nie pójdziesz siedzieć! - Następnie dorzucił po polsku: - Wątroba, jakby co: strzelasz!

- Pierdolony bohater - syknął Smith i skulony brodził w zieloności tak, aby jak najmniejszy fragment jego ciała wystawał. - Kucaj, Polaku, chyba, że lubisz kulki w głowie! - syknął do Wątroby, popierając polecenie tak jednoznacznym gestem, że komisarz pomimo nieznajomości angielskiego natychmiast kucał.

– Ale ja nie mogę ot tak strzelić, najpierw muszę ostrzec okrzykiem, potem oddać strzał ostrzegawczy, później jeszcze jeden, dopiero potem mogę celować w kolano i liczyć na to, że zawieszenie w służbie na czas wyjaśnień będzie krótsze niż rok – głądził nerwowo Wątroba.

Doszli pod drzewa. Nikogo tam nie znaleźli. Trawa była wydeptana, ale sprawcy wydeptania nie dostrzegli.

– Nikogo nie ma. Liver, co to za alarm? Żeby tak nam nerwy szargać. A jak złapię w tych chaszczach kleszcza zarażającego boreliozą, to płacisz za leczenie. Podchody indiańskie, psia jęga mać.

– Cisza. Tu ktoś jest, czuję to. – Liver nadal wierzył w słuszność swoich podejrzeń. Chodził od drzewa do drzewa, oglądał krzaki. Nie było żywej duszy. Drzewa szumiały przedmuchiwane łagodnym wiatrem, z pasa startowego aeroklubu wzniosła się awionetka. Przeleciała nad nimi, pilot zrobił dwa zręczne przechyły, potem skierował się w stronę linii lasu. Wątroba podszedł do Livera.

– Wydawało mi się, jak popatrzyłem na samolot, że tam, między liśćmi na drzewie, jest postać – wyszeptał.

– Które? – mruknął Liver, nie zdradzając oznak jakiegokolwiek zdenerwowania.

– Trzecie z lewej. – Wątroba skinął głową w kierunku drzewa. – Teraz już nic nie widzę.

– Żadnych gałęzi na dole. Jak by tam ktoś wlaź?

Wątroba wzruszył ramionami. Liver pomyślał chwilę i zaczął iść pewnym krokiem pod wskazane drzewo. Stał koło grubego pnia, zadął głowę do góry. Gęsta zielona korona delikatnie szumiała.

– Nic nie widzę.

Pozostali dołączyli. Obeszli pień wkoło, ale nikt nic nie zauważył. Drzewo nie zachęcało do wspinaczki. Od korzeni do pierwszych gałęzi ciągnęło się około siedmiu metrów gładkiej kory bez sęków lub innych punktów zaczepienia.

– Nie! Liver, bez jaj! – Smith uznał pomysł, że ktoś się tam ukrywa, za absurdalny. – Wszędzie, tylko nie tam! Musiałby być wiewiórka.

Wracamy do bryki, kluczyki z tych nerwów zostawiliśmy w stacyjce, jeszcze ktoś wsiądzie i odjedzie.

Wracając przez gęstwinę traw, co rusz oglądali się za siebie. Wątrobie znów wydało się, że pomiędzy liśćmi zamajaczył ludzki kształt, ale dał sobie spokój z informowaniem innych. Smith torował drogę przez zielone łąny, przeklinając delegacje do dzikich, niewykoszonych krajów. Na drodze podumali jeszcze chwilę, obserwując drzewa; wiatr się wzmagął, awionetka wracała na lądowisko. Następnie wsiedli do samochodu i odjechali.

Po kilku minutach liście zaszeleściły i po gładkim, grubym pniu zsunął się Wojsław z kurczowo uczeplonym jego szyi Darkiem.

- Uff, pojechali - mruknął.

Darek zeskoczył na ziemię.

- Dzięki, Wojsław, byliby mnie capnęli.

- A gdzie tam, takie grubasy! Padliby na zawał po kilkuset metrach, ale zawsze lepiej się nie pokazywać. Ze mną mniejszy kłopot, ale ty...

Darek rzucił ponure spojrzenie na Wojsława; nie mógł zrozumieć tego fenomenu, że dla niektórych jest widoczny, a dla innych nie.

- Do roboty, do roboty! - Wojsław nie lubił tracić czasu. - Jak ci się widzi ta okolica?

- Wiut, wiut, i już ich nie ma. Tak mi się widzi. Musimy znaleźć takie miejsce, gdzie premier będzie na pewno odkryty i w miarę nieruchomy. Wtedy może jest szansa.

- Tak, na przykład przy wsiadaniu albo wysiadaniu z samochodu.

- To oklepane, ochrona filuje najbardziej przy wsiadaniu i wysiadaniu. Od czasów de Gaulle'a to standardowy punkt szkolenia służb. Prędzej nadawałby się jakiś grajdołek, gdzie premier wejdzie, poczuje się w miarę komfortowo i nie będzie się wiercił. Wtedy strzał jest pewny.

- Strzał? Myślałem raczej o czymś ostrym. Tasak, maczeta albo piła mechaniczna. To jest efekt! Krew, jeszcze pulsujące tętnice, odrąbane

ręce...

– Skończ, bo zwymiotuję! Ty chory jesteś! Chcesz krwi, to idź do PCK. Zabójstwo to nie ubój rytualny, tu się liczy efekt. Koleś ma leżeć i parować, a nie udawać dział wędliniarski.

Wojśław spochmurniał na widok reakcji Darka. Zamyślił się ponuro. Zapanowała cisza, tylko wiatr wiał i warczała awionetka przy kolejnym starcie.

– Zrobisz, jak zechcesz, ale proszę, nie zawieź. To dla mnie ważne.

Darek się zdziwił. Wojśław wyglądał, jakby prosił przyjaciela o przysługę, o coś, co go uratuje, a dla innego to drobnostka. Westchnął z ubolewaniem, ale musiał przyznać, że lubił go coraz bardziej. Inteligentny, dowcipny, nie zazdrości, nie szuka poklasku, pomaga. Fajnie mieć takiego kompana. Zawsze chciał mieć kumpla, na którym można polegać, przed którym mógłby się wygadać. Takiego, co zrozumie, ale nie będzie pouczał. Pomoże bez gadania, wybierze się wspólnie na piwo i hot-doga. Wojśław to dobry kolega.

Po chwili Darek się zreflektował i otrząsnął z przyływu sympatii do Wojśława. „Idioto, debilu, co ty bredzisz?! Jaki on dobry? Przecież to morderca, oprawca, porywacz. Siłą cię tu przywłókł. Choć widać wyraźnie, że coś mu dolega, że potrzebuje pomocy. Ale dlaczego ode mnie, do jasnej cholery! Jest tylu innych ludzi...”

– Ale ty się nadajesz najlepiej – wtrącił Wojśław, zupełnie jakby słyszał ten monolog.

– Co? Aha. Ale do czego?

Wojśław uśmiechnął się zagadkowo, a Darek skarcił się w duchu za tę otwartość. Od momentu kiedy stwierdził, że Wojśław wyczuwa myśli, zaczął pracować nad ich kontrolą. Stwierdził wyraźną zależność pomiędzy natężeniem emocji, a przejmowaniem informacji z jego głowy przez ponurego towarzysza. Należało myśleć spokojnie, bez uczuć. Po prostu słowa i obrazy, przetwarzanie informacji. Wtedy Wojśław nie reagował. „Ale jak myśleć spokojnie nad tak denerwującymi sprawami?”

– Nu, jak? – dopytywał się Wojśław.

„Rany, znowu telepatia”.

– A niech to! – burknął zdenerwowany Darek. – Idziemy! To miejsce jest do bani.

Odwrócił się na pięcie i pomaszzerował ku linii zarośli. Wojśław potruchtał w ślad za nim.

Wracający z lotniska aeroklubu Smith, Liver i Wątroba zastanawiali się, skąd napastnik mógłby oddać strzał i w którym momencie. Jedynie przy przesiadce z helikoptera do limuzyny. Musiałby znajdować się ze dwa kilometry od lądowiska, żeby znaleźć dogodny punkt. Okolica była odkryta jak niemiecka emerytka na plaży nudystów.

– Ech, to akurat Bronson ma przeciwiczone na wszystkie sposoby. Jest idiotą i karierowiczem, ale przy limuzynie nie da ubić premiera, zbyt drży o swój dodatek emerytalny za nienaganny przebieg służby. – Smith wytłumaczył, co i jak.

Wtem Liver zakrzyknął:

– Stać! Tam, tam, za krzewami! Idzie!

Wątroba nadepnął hamulec.

– Kto? Bronson? – Smith nie wiedział, o kogo chodzi. Znowu zaczął mrużyć krótkowzrocznie oczy, próbując dojrzeć, co tak wzburzyło Livera.

– Sam jesteś Bronson. Krzyżowski.

Liver wypadł na przydrożną łąkę, wyrwał rewolwer z kabury i machnął ręką na znak, żeby za nim pobiegli. Smith położył rękę na ramieniu Wątroby.

– Spokojnie, to wariat, zaraz mu przejdzie. – Pokręcił palcem koło czoła. Wątroba zrozumiał przekaz; nie ruszyli się z miejsc. Liver po chwili wrócił zdyszany.

– Myślałem, że to on, ale nic tam nie ma. Może to była sarna? – zagadnął po angielsku do Smitha.

– Pewnie sarna – westchnął agent.

Liver odwrócił się do Wątroby i zagadał po polsku, niechący rymując:

- Między krzak sarna w skok, a ja w trop, bo myślał, że to morderca, ale uciekła ona, bo przestraszona.

- Fraszka? - zapytał Wątroba.

- Nie, sarna, takie zwierzę, na nogach, brązowe. - Liver nigdy nie widział fraszki w lesie.

Nieposłuszny morderca

Lord Wiliamson pracował od kilku godzin jak szalony. Przeglądał wszystkie dokumenty, papiery dotyczące jego działalności, wszystko, co kiedykolwiek opublikował, sprawdzając, jak bardzo może mu to zaszkodzić w pracy rządowej. Odbył również szereg poważnych rozmów, sondując nastroje w organizacji i ewentualne reakcje na współpracę z rządem. Oprócz kilku zapiekłych ekstremistów, reszta działaczy go popierała, widząc w wejściu do struktur władzy wykonawczej szansę na karierę, pełny żłób i nowe perspektywy. Pozostała kwestia ujarznienia najbardziej nerwowych grup kibolskich oraz powstrzymanie przygotowań do zamachu.

Lord wezwał Grzegorza, który pojawił się po kilkudziesięciu minutach od telefonu.

- Odwołaj zamach. Przekaż, że reszta zapłaty zostanie uiszczona zgodnie z umową, ale zamówienie jest już nieaktualne. Napisz, że to ostatnia wiadomość. Ma podać czas i miejsce przekazania gotówki. Jakikolwiek notatki i ustalenia na piśmie mają zostać zniszczone.

Polecenie było jednoznaczne. Grzegorz wyciągnął kolejną nową komórkę, aktywował i wklepał informację. Na odpowiedź przyjdzie im poczekać prawdopodobnie kilka godzin. Darek nie miał ciągłego dostępu do internetu. Dodatkowo obowiązywała ich ciągła zmiana komputerów, adresów IP i portali pocztowych.

- Co się wydarzyło? Dlaczego zmieniamy plany?

Pytania Grzegorza lord zbywał wykrętnymi pólśłówkami. Nie zamierzał wtajemniczać go w przyczyny swojej decyzji, w ogóle nie zamierzał go w nic wtajemniczać. Chciał się jedynie pozbyć tego człowieka, na zawsze i definitywnie, tak aby nikt nie wiązał jego

nazwiska z jakimś płatnym mordercą. Ale priorytet to skończyć zadanie.

Grzegorz wyszedł, bardzo zaniepokojony nagłym zwrotem w planach chlebodawcy. Dopóki kontaktuje się z mordercą, jest potrzebny, ale potem... Potem lord znajdzie sposób, żeby się go pozbyć. Polecenia zniszczenia dokumentów nie zamierzał wykonać. Wręcz przeciwnie. Zdeponuje je w skrytce bankowej razem z kilkoma nagraniami ich spotkań, podczas których Grzegorz tak poprowadził rozmowę, żeby było wiadomo, kto żąda śmierci premiera i jak to zamierza zorganizować.

Sprawdził pocztę, wiadomość zwrotna już nadeszła. Otworzył ją.

„Nie przerywam zadania, pieniądze odbiorę zgodnie z ustaleniami” – odczytywał po raz nie wiadomo który tę absurdalną informację. Jak to: nie przerywam zadania? Przecież dostaje pieniądze za to, co oni każą mu robić. Odwołują zlecenie, a on... Czyli przygotowania do zamachu będą kontynuowane bez względu na zdanie zleceniodawcy? Grzegorz szybko uruchomił komputer w swoim domu. Ignorując ustalone zasady korzystania z różnych komputerów, wpisał odpowiedź: „Nie wypłacimy pieniędzy w przypadku kontynuowania poprzednich ustaleń”. Po kilku minutach nadeszła odpowiedź: „Kontynuuję zadanie. Rezygnuję z reszty wypłaty”.

Grzegorz się zamyślił. Trzeba czym prędzej powiadomić lorda, natychmiast podjąć działania. Jakie to będą działania? Zabicie mordercy? Poinformowanie odpowiednich służb? Odwołanie wizyty głowy rządu? Każdy z tych pomysłów skończyłby się dla inicjatorów całej draki wizytą na sali sądowej i resztą życia spędzoną za kratkami. Na pobyt w więzieniu albo zjazd do Tamizy z kulą w głowie zawsze będzie czas. Trzeba żyć, brać co swoje i używać. Wykasował korespondencję pomiędzy sobą a Darkiem, nie zamierzał już się do niego odzywać. Chce zabijać, niech zabija, Grzegorz polecenia lorda wypełnił. Teraz musi zadbać o własną skórę. Aktywował kolejny adres z listy Darka i wpisał kilka słów, udając, że odpowiada na maila z

poleceniem zakończenia przygotowań do zamachu: „Opuszczam miejsce, przekazanie reszty gotówki 30.05 g. 16.25”. Ręka zawisła nad klawiaturą. Gdzie wyznaczyć to spotkanie, skąd można szybko i nie zwracając niczyjej uwagi, wyjechać? Po chwili dokończył: „Frankfurt, lotnisko, obok wypożyczalni samochodów Ados”. Wpisał to miejsce, bo umówił się kiedyś na lotnisku we Frankfurcie obok wspomnianej wypożyczalni. Tłum ludzi spieszących we wszystkie strony był tak nieprzebrany, że przez piętnaście minut nie dostrzegali się z drugą czekającą osobą, choć stali kilkadziesiąt metrów od siebie. Tam łatwo zniknąć.

Grzegorz wysłał wiadomość, wykapał się, ogolił, spakował torbę na wyjazd. Drugą z rzeczami do wyrzucenia. Prywatnego laptopa potężnym uderzeniem przełamał na pół, potem na ćwiartki. Ćwiartki te stłukł młotkiem, a resztki rozsypał do osobnych worków. Sprawdził, czy nie zostawił żadnych rzeczy, które mogłyby obudzić podejrzenia policji lub innych służb wobec jego osoby, i wyszedł, po drodze zostawiając klucz w skrzynce na listy, z adnotacją dla właściciela domu.

Po niecałej godzinie stał przed obliczem lorda. Telefon z wiadomością leżał przed starszym panem. Ten kiwał głową zadowolony.

– Bierz pieniądze i jedź. Drogo mnie wyniosła wycieczka tego pana do Polski. Ale cóż, bywa. Jak wrócisz, chciałbym z tobą porozmawiać, mam propozycję niezłej posady dla ciebie. Bardzo doceniam twoją lojalność i naszą współpracę, chciałbym ci to jakoś wynagrodzić.

Grzegorz podziękował. Żałował w tym momencie, że tak mało zna się na mowie ciała i sygnałach niewerbalnych; w przeciwnym razie może umiałby ocenić prawdziwe intencje lorda. Po kilku minutach z torbą pełną banknotów kroczył długimi korytarzami zamku Williamsonów. Wyszedł bocznymi drzwiami i pognął do samochodu zaparkowanego na najbliższej ulicy. Uruchomił silnik i odjechał.

Kilka chwil później ruszył za nim zielony samochód marki Volkswagen Golf.

W gabinecie lorda panowała cisza odmierzana krokami Wiliamsona chodzącego nerwowo w tę i z powrotem. Zdażył zrobić kilkadziesiąt rund od ściany do ściany, nim lokaj wprowadził Jaśka. Ten swoim zwyczajem przyklęknął i skłonił głowę.

- Wzywaleś, panie.

- Tak. Pojechali za Kawalcem?

- Podążyli za nim Wszzechmir i Darzróg, obaj z Kopanicy, rodu zacnego. W barach krzepcy, a w pomyślunku...

- Nie chwał dnia przed zachodem słońca. Wykonają zadanie, skomplementujesz, zawiodą, to zawisną na suchej gałęzi. Drugi raz nie daruję pomyłki. A na razie...

W kieszeni marynarki zadzwonił telefon. Lord Wiliamsון odebrał.

- Tak, tak. Jesteś pewien? Sam sobie wysłał, inne skasował. Hm, rozumiem. A co napisał ten Krzyżowski? Co?! Rany boskie. Dzięki!

Starzec skończył rozmowę. Odwrócił się ze wściekłym obliczem w stronę Jaśka.

- Kawalec zdradził. Myśli, że jestem staromodnym idiotą z technologią na bakier. Ci twoi krzepcy w barach mają szansę się wykazać. Dopaść go i zabić, a ciała się pozbyć. Ale porządnie, bez fuszerki, żadnych dokumentów, telefonów, wisiorków z inicjałami. Bezimienny, najlepiej zmasakrowany trup. A całą resztę postaw w pogotowie. Chyba dostaniecie zadanie w kraju. Zrozumiałeś?

- Rzekleś, panie.

Jaśko wyszedł sprężystym krokiem. Lord zapatrzył się w okno, mieląc pod nosem najgorsze angielskie przekleństwa, ale to nic nie dało, wzburzenie rosło. W końcu huknął pięścią w szybę w pięknym kilkusetletnim oknie swojej rezydencji i wrzasnął tak, jak się nauczył od swoich polskich wojów:

- Kurwa jego pierdolona w dupę mać!

Szkoło spadło w odłamkach na jego dłonie i nogi, znacząc gdzieś skórę krwawymi szramami, a przez wybitą dziurę wpadło

świeże powietrze. Tradycyjny polski okrzyk wściekłości wygasał w załamach gabinetu. Lordowi trochę ulżyło. Otrzepawszy ręce, poszedł przemyć i opatrzyć zranienia. Trzeba działać, a nie rozbijać szyby.

Napalony i inne atrakcje

Shaker już nieraz doświadczył relatywizmu czasowego. Przykładowo inaczej mijały minuty w ubikacji, inaczej pod drzwiami ubikacji; te drugie stanowczo wolniej. Ale minuty z ukatrupionym doktorem psychiatrii Bulletem pełzły niczym ślimak winniczek przez parkową alejkę. Półprzymknięte powieki, zszarzała twarz i wyciągnięte, jakby błagalnie, ręce na poręczach fotela – ten widok był nie do zniesienia. Shaker siedział w fotelu i odliczał sekundy upływające do przyjazdu miejscowej policji. Zegar tykał. Za drzewami musiał być plac zabaw, bo Shaker słyszał gwar dziecięcych głosów. Jako ojciec rodziny często bywał ze swoimi pociechami w tego typu miejscach; teraz dzieci urosły i nie tylko nie chciały chodzić z nim na plac zabaw, ale w ogóle nie chciały z nim gadać. Stary zgred miał dawać pieniądze i nie przeszkadzać w bujnym życiu towarzyskim nastolatków. Shaker westchnął. Życie płynie, niesie nas i rzuca na różne mielizny. Postanowił zapisać gdzieś tę sentencję, a najlepiej wykuć na pamięć i użyć w jednej z wielu sprzeczek z Liverem.

Aha, Liver. Może warto przekazać mu informacje, skoro ma teraz trochę czasu; coś ci miejscowi się nie spieszą. Wyciągnął telefon z kieszeni. Brak sygnału sieci. Z telefonu w mieszkaniu więcej korzystać nie chciał. W tym momencie w przedpokoju coś zachrobotało, zabrzmiały głosy i weszły trzy osoby. Konkretnie do pokoju wszedł jeden człowiek, a dwóch zostało na korytarzu, wyraźnie czekając, aż ten pierwszy skończy swoją część pracy. Shaker wstał, wyciągnął rękę i się przedstawił:

– Shaker, Londyński Departament Policji. Miło mi.

Łysawy jegomość z resztkami rudych włosów, z kwadratową, lekko wysuniętą szczęką, ubrany w kraciatą marynarkę, żuł gumę i rozglądał się z zaciekawieniem po pokoju. Na widok wyciągniętej dłoni skrzywił się, jakby zobaczył zdechłego śledzia. Ani myślał odwzajemnić się podobnie przyjaznym gestem.

– Godson. Też jakby z policji. Wpadliśmy, co? Głupia sprawa.

Shaker zamarł w zaskoczeniu. Chyba się przesłyszał. Postanowił spokojnie wyjaśnić sytuację jeszcze raz.

– Przyjechałem do pana Bulleta w sprawie śledztwa, które prowadzę. Pan Bullet...

– Dobra, dobra, znamy takich cwaniaczków jak ty. Może w Londynie mają czas słuchać gawęd opryszków. Tu, w Oxfordzie, działamy szybko i sprawnie. Marshall! – wezwał towarzysza z korytarza. – Przewozimy pana na dółek.

Shaker drgnął, słysząc znane sobie nazwisko. Z cienia przedpokoju wynurzyło się dwóch ubranych w przepisowe mundury młodych funkcjonariuszy. Ale pomimo zmiany stroju poznał ich natychmiast. To była dwójka ze spalonego domu w Dagenham. Chłopcy weszli do pomieszczenia, uśmiechając się promiennie. Jeden z nich trzymał w rękę pałkę i rytmicznie uderzał nią w swoją dłoń, ważąc i oceniając, jak mocno można przyłożyć tym prostym narzędziem; drugi skinął lekko głową Shakerowi, niby dawno niewidzianemu znajomemu.

– Ale szefie, warto się tak certolić? Nikt nie widział, nikt nic nie wie. My już umiemy załatwić wszystko dyskretnie. – Marshall wołał bijatykę na miejscu.

Godson namyślał się chwilę, szybciej poruszając kwadratową zuchwą przy żuciu gumy. Być może procesy myślowe były u niego napędzane szczęką. Shaker zamarł, czekając, co wypowiedzą usta, kiedy głowa przestanie myśleć.

– Marshall, jak ja mówię, że ma pojechać, to ma pojechać. I nie twoja kapuściana łepetyna, po co to robię. Pan Shaker jedzie na komisariat i włos nie może mu spaść z głowy, a reszta to moje

zmartwienie. Ja tu zostaję, pogadam trochę z Bulletem, może ten stary coś jeszcze wie.

Shaker, pomimo grozy własnej sytuacji i dość oczywistej perspektywy lania ze strony młodzików, zaczął się zastanawiać, co Godson ma na myśli.

– Eee, ten tu? A co on może? Siedzi, jakby kij połknął, mina durna. – Marshall nie miał zbyt wygórowanych oczekiwań co do Bulleta.

– Mam swoje metody. A wy zmykajcie. Paszli won!

Drugi policjant kiwnął głową na znak, że koniec dyskusji i biorą się do roboty. Chwycili Shakera pod ramiona; uścisk był isticie żelazny. Tarmosząc go i ciągnąc, doszli do drzwi prowadzących na zewnątrz. Shaker usłyszał za sobą podniesiony głos Godsona, który mówił coś, najprawdopodobniej zgodnie z zapowiedzią, do Bulleta. Po sekundzie do konstabla dobiegły jakieś stłumione, chrapliwe odgłosy. Czyżby trup przemówił? Niestety nie mógł przysłuchiwać się dalej, bo Marshall z kolegą wyszarpnęli go na zewnątrz. Shaker był przerażony, wręcz sztywny ze strachu.

Drzwi zatrzasnęły się ze szczękiem. Cały dom otoczony został taśmą policyjną z napisem „Miejsce przestępstwa – wstęp wzbroniony”. Pod drzewem stała jakaś postać, dłubała szczyrykiem pod paznokciami i obserwowała ich z nieukrywaną ciekawością. Shaker się wzdrygnął. Znowu ta galaretowato-gangrenowata gęba. „W co ja wdepnąłem? Co się dzieje, do diabła?” Policjanci wpełchnęli go do samochodu; Marshall nie odmówił sobie przyjemności i tak pchnął Shakera, by uderzył głową w karoserię.

– Przepraszam – burknął z udawaną skruchą. – Mam nadzieję, że żaden włos nie spadł ci z głowy. Dałby mi Godson popalić.

Obaj funkcjonariusze roześmieli się z dowcipu.

Na komisariacie panował niesamowity chaos: policjanci w mundurach i w cywilu, panie z rozmazanym makijażem, zionący alkoholem faceci bez zębów, goście z podbitym okiem, wchodzący, wychodzący, w kajdankach, bez kajdanek, obrazu dopełniała grupka

kilku smętnych skinheadów stłoczonych na ławeczce. Shaker przywykł do takich widoków, ale tu wszystko było jakieś zbyt mocne, przesadzone. Ludzie byli zbyt pobici, policjanci zbyt chamscy, nawet skini jakby zbyt ogoleni.

Marshall podszedł do grubasa, który siedział za biurkiem przy wejściu do aresztu. Ten wyjadał z torebki ciasteczko za ciasteczkiem, co kilka ciasteczek odhaczając coś w dokumentach. Potem przewracał kartkę i jadł dalej. Podniósł flegmatycznie głowę, gdy dostrzegł kątem oka, że zmierzają wprost do niego.

- Przesyłka! Od Godsona.

Gruby zamarł z ciasteczkiem tuż przy ustach, potem wepchnął je do pucułowatej gęby i odpowiedział bełkotliwie:

- Będzie piątka.

Marshall pochylił się konfidencjonalnie do grubasa i powiedział, wskazując ruchem głowy na Shakera:

- Ta kanalia załatwiła starego Bulleta. Ja nie mogę nic zrobić, Godson zakazał. Ale możemy przecież dać mu odpowiednią celę.

Gruby znowu zastygł z ciasteczkiem w połowie drogi do ust. Zmarszczył brwi.

- Załatwił Bulleta. O ja cież! A, zapomniałem piątka już zajęta. Damy go do dwójki z tym, no wiecie sami, Napalonym.

- O, dobry masz gust, Stock. Napalony się ucieszy. Dawno nie miał towarzystwa.

Marshall wyglądał na bardzo zadowolonego z propozycji grubasa, który znowu coś odhaczał w papierach, żując ciastko. Potem wstał i wprowadził ich do krótkiego korytarza, gdzie znajdowały się solidne drzwi prowadzące do różnych cel. Stock spojrział przez wizjer pod cyferką dwa, potem przekręcił klucz i wepchnął Shakera do pomieszczenia z dwoma łózkami. Marshall pomachał mu wesoło na pożegnanie. Drzwi zatrzaśnięto, klucz zazgrzytał ponownie.

Shaker postąpił dwa kroki; na łóżku po lewej ktoś leżał. Łóżko po prawej stało wolne. W celi było ciemno; światło nocne dawało lekką

poświętę, która załamywała się i ginęła w mroku kątów pomieszczenia. Postać śpiąca na łóżku obok chrapała, wejście nowego kolegi wcale jej nie obudziło. Gdy Shaker usiadł na swojej pryczy, lekko jęknęły sprężyny. Zamyślił się. A to wpadł. Nawet do słowa dojsć nie dali! To się pod sąd dyscyplinarny kwalifikowało. Śpiący współwięzień zakrzuszył się nagle, przerywając miarowość sennego pochrapywania. Odkaslnął, przewrócił się na drugi bok, coś zamruczał. Shaker spojrział na jego twarz, którą mógł teraz dojrzeć w mdłym świetle. Obawiał się przez moment, że będzie to ta sama gangrenowata gęba, którą już dwa razy widział, ale ta niezbyt urodziwa facjata była jednak tworem o normalnych ludzkich rysach. Szkoda, że Marshall zabrał jego telefon, zadzwoniłby po pomoc. Tu mu nawet kontaktu z adwokatem nie zaproponowali. Jawne bezprawie!

Postać znowu się zakrzuszyła. Następnie wstała z łóżka. Facet był wysoki, miał rozczochrane, ciemne włosy i półprzymknięte oczy, mamrotał coś niewyraźnie. Chwiejnym krokiem wszedł za przepierzenie, skąd po chwili dobiegł odgłos leżącej się cieczy. Pewnie za ścianką znajdowała się toaleta. Wracając do łóżka, mężczyzna spojrział przytomniej w stronę Shakera; był już na wpół przebudzony, więc go zauważył i zamruczał coś pod nosem. Shaker wstał.

- Dzień dobry panu, jestem Shaker i... - zaczął prezentację własnej osoby konstabl, ale tamten ani myślał się przedstawiać. Bez żadnych wstępów rzucił się na Shakera, przewracając go na łóżko. Był niesłychanie silny; obrócił biednego konstabla twarzą do łóżka, cały czas mrucząc i sapiąc. Shaker poczuł, że mamroczący współwięzień stara się zerwać mu spodnie. Niestety przytrzymał go tak mocno, że nie miał szans na obronę.

- Aaauu, ratunku! - wrzasnął Shaker. Po chwili jego twarz została wepchnięta brutalnie w materac. Sapanie się nasiliło. Rozumiał już, skąd się wzięła ksywka „Napalony”.

Wtem coś szcęknęło z tyłu, usłyszał kilka głosów, Napalony wrzasnął z bólu. Puścił Shakera, który natychmiast wyskoczył z łóżka i

potoczył wkoło dzikim wzrokiem. Trzech ludzi: Stock, Marshall i jeszcze jeden, nieznanym Shakerowi, trzymali wyrwywającego się napastnika. W drzwiach stał Godson i spokojnie żuł gumę.

- Proszę ze mną, panie Shaker. - Zapraszającym gestem wskazał korytarz.

Shakerowi nie trzeba było tego powtarzać. Wyprysnął z celi jak pocisk z lufy karabinu, podciągając w biegu opuszczone spodnie. Po kilku sekundach wszyscy opuścili obszar aresztu, zostawiając za sobą wrzaski niezaspokojonego więźnia.

- Chcielibyśmy pana przeprosić. Okazało się, w wyniku, tego, głębszych, mhm, i dokładniejszych oględzin, że to nie pan spowodował... - Godson miał wyraźny problem z wyartykułowaniem jakichkolwiek sformułowań innych niż oskarżenia i rozkazy. Próbując niezdarnie sklecić coś, co choć z grubsza przypominałoby przeprosiny i skruchę po bezprawnym zatrzymaniu, rozglądał się błagalnie na wszystkie strony, szukając pomocy. W końcu jego wzrok spoczął na Stocku. To było jego wybawienie z niezręcznej sytuacji.

- A ty co?! Ze zbrodnicem będziesz porządnym ludzi wsadzał?! Już ja cię nauczę...

- To Marshall! Powiedział, że mam mu dać, co najgorsze, bo to wredny morderca. To Marshall mi kazał! - Stock trząsał się jak osika.

Godson obrócił się do chłopaka.

- Ty łajdaku, ty gnido! Przeproś pana. Ale już! Bo cię wsadzę zaraz do Napalonego.

Marshall spojrział bykiem na Shakera i wyduśił:

- Przepraszam. - Minę miał taką, jakby podano mu żywą dżdżownicę na obiad.

Godson się rozpogodził - winni znalezieni, przeprosiny dokonane. Poklepał Shakera po ramieniu.

- No to jesteś kwita. Co nie? Aha, znaleźliśmy co nieco u Bulleta. Między innymi nagrania wideo. Staruszek się nagrywał, pełny monitoring, ostatnie chwile też. Ale są również inne rzeczy. Pan

wieżmiesz, oglądniesz. Może się co przyda. Marshall, oddaj panu telefon, pasek i co tam jeszcze wzięliście.

Marshall wręczył konstablowi depozyt. Shaker wodził błędnym wzrokiem po zebranych wokół. Akcja toczyła się tak szybko, że już niczego nie rozumiał. Łapią go, przepraszają, dają coś, krzyczą, obrażają, wszystko naraz. Na dodatek ten komisariat... Wcześniej widział tu tętniące życiem pomieszczenie, pełne ludzi, kłócących się, biegających, czekających. A teraz – cisza. Postaci co prawda nie ubyto, ale wszystkie zamarły na siedzeniach bądź po ścianami, sztywno, nieruchomo, jakby nie żyły. Shaker podszedł do młodego chłopaka siedzącego najbliżej. Pchnął go, a on się osunął na ziemię w niezmiętej pozycji. Był martwy. Shaker odwrócił się do policjantów.

– Co jest? Kim wy jesteście? Gdzie ja wylądowałem? – wykrzyczał i podbiegł do następnej siedzącej osoby. Pchnął ją; efekt był podobny jak za pierwszym razem: postać osunęła się na ziemię. – Bydlaki! Niegodziwcy! Już ja wam pokażę! – wrzeszczał, rozglądając się dziko po komisariacie.

– Marshall. Wyprowadź pana. Tylko bez przemocy. – Godson wrócił do swojego normalnego trybu rozkazującego. Żuchwa ponowiła niekończącą się pracę nad gumą.

Marshall przypadł do Shakera, chwycił go za ramię i mocno trzymając, pociągnął do wyjścia.

– Aaa! Swołocz, mordercy, bydlaki! – Shaker był wściekły. Szarpał się i wrywał, ale chwytu Marshalla nie zdołał rozluźnić. Funkcjonariusz otworzył drzwi; świeże powietrze i światło poraziły wzburzonego konstabla. Na chwilę zamarli w progu, mrużąc oczy. Marshall burknął:

– Do widzenia, Shaker!

I pchnął mężczyznę na chodnik. Drzwi zamknęły się z trzaskiem. Shaker z rozpędu wypadł aż na ulicę, jakiś samochód ostro zahamował. Kierowca wychylił się przez okno i rzucił kilka niecenzuralnych słów. Shaker wrócił na chodnik. Spojrzał na drzwi, przez które wyleciał. Tabliczka mówiła wyraźnie: „Policja. Oxford. Oxfordshire”. O, nie! Tak

tego nie zostawi! Wpadł jak bomba z powrotem do wnętrza budynku. I zastygł w zdziwieniu. To było zupełnie inne miejsce niż to, skąd go wyrzucili przed sekundą. Stał przez kilka chwil w hallu z otwartymi ze zdumienia ustami.

– Mogę w czymś pomóc?

Ładna funkcjonariuszka siedziała za kontuarem, na którym ustawiono elegancką tabliczkę z napisem „Informacja”. Wszystko zgodnie ze standardami wyznaczonymi przez akcję „Let’s make it better”, której celem było upiększanie komend w całym kraju i polepszanie ich kontaktu z obywatelami.

– Czy... czy... – Żadne konkretne pytanie nie przychodziło mu do głowy. Dodatkowo zauważył, że po szarpaninie z Napalonym spodnie puściły na szwie w lewej nogawce. Zawstydził się i usiłował zakryć dłonią poszarpaną tkaninę. W końcu wydusił:

– Czy pracuje tu Godson?

Pani się zamyśliła.

– Nie przypominam sobie. Sprawdzę jeszcze w bazie funkcjonariuszy. – Zaczęła klepać w klawiaturę, poszukując w systemie informatycznym śladów ryżego inspektora.

W tym momencie Shaker dostrzegł wysokiego policjanta idącego szybkim krokiem przez korytarz. „Rany, Falx! A może Pricks! Co on tu robi?”

Pobiegł za nim.

– Halo, panie Falx, panie Pricks!

Człowiek przyspieszył kroku, nie odwrócił się na zawołanie.

– To ja, Shaker! Znowu miałem kontakt z tymi draniami. Halo! Proszę poczekać!

Tamten zniknął za rogiem, Shaker dopadł załomu i stanął zdumiony. Korytarz zionął pustką.

– Halo! Panie Pricks, panie Falx! Gdzie pan się podział?

Panienka śledziła go podejrzliwym wzrokiem zza kontuaru. Shaker zawrócił do niej.

- Jak się nazywa ten policjant, który tam szedł?

- Jaki policjant? Nikogo tu nie ma. - Obserwowała konstabla uważnie. Teraz zauważyła, że ma poszarpane spodnie i marynarkę, brudną twarz i mętne spojrzenie. Jej ton wyraźnie stwardniał po zarejestrowaniu szczegółów sylwetki i ubioru natręta. - Pana Godsona również nie ma. Czym jeszcze mogę panu służyć?

Brzmienie głosu i postawa były tak jednoznaczne, że mogłaby równie dobrze powiedzieć: „Spierdalaj, brudasie, na Madagaskar!”. Shaker bąknął zdawkowe podziękowania, wyszedł z budynku i powlókł się na Murgrow Drive, gdzie stał jego samochód. Obiecał sobie w duchu, że na dom z numerem pięć nawet nie spojrzy.

Seans filmowy

Liver, Smith i Wątroba powrócili na posterunek po obejrzeniu kilku potencjalnych miejsc zamachu. Liver rzucił pomysł, by przekazali swoje obserwacje Bronsonowi, tak aby jego służby miały pełniejszy obraz sytuacji. Smith był bardzo sceptyczny.

- Właściwie powinniśmy powiedzieć, że zakazujemy mu tam działać, wtedy się zainteresuje. On robi wszystko na przekór.

- Nie możemy złożyć meldunku, że odradzamy mu poszukiwania. W przypadku zabójstwa premiera albo innej draki to byłoby jak nakładanie stryczka na własną szyję. - Liver nie zamierzał brać Bronsona psychologicznie. Złożą raport. Nie zareaguje - jego sprawa. Jak ktoś odstrzeli premiera, dodatek emerytalny za nienaganną służbę dla Bronsona szlag trafi, a oni będą robić za przenikliwych guru wywiadu. Premier przeżyje - raport pójdzie do akt na wieki wieków bez konsekwencji dla nikogo.

- Dobrze, ale ty mu przekażesz ten raport, bo ja normalnie dostaję rozwolnienia na sam widok głupiego Bronsonowego ryja.

Resztę dnia spędzili na dywagacjach, jakim idiotą jest Bronson i dlaczego go jeszcze nie przerobili na granulaty do piankowania w przemyśle mleczarskim. Wątroba pomógł znaleźć kolegom zagubione segregatory, o które PX upominał się od rana. Odwiedził ich również Chabowski, który przekonawszy się, że w trakcie przygotowań do wizyty premiera jeszcze nikt nie został ranny ani zabity, postanowił się przyłączyć ciałem do tutejszego życia. Nie mógł dopuścić, by taka operacja - kontrola z autoryzacją, współdziałanie międzynarodowych służb i prawidłowy przebieg wizyty premiera bratniej Wielkiej Brytanii - odbyła się bez jego udziału. Nie zmarnuje okazji i już zadba o to, żeby

każdy raport wspominał o przyjaznym nadzorze inspektora Chabowskiego.

Liver dzwonił już wiele razy do Shakera, ale tamten nie odbierał. Raz się połączył i wrzeszczał: „Halo! halo!”, ale po drugiej stronie słychać było jedynie jakieś mlaskanie i krzyki w oddali. Po kilkunastu sekundach ciągłego mlaskania i krzyków przerwał połączenie. Zaczął się obawiać o Shakera. Konstabl by rozmawiał, a nie mlaskał. Chyba że jakiś złoczyńca wyrwał mu język i teraz będą się porozumiewać w tak specyficzny sposób. Zaniósł również raport do kolegów z Ochrony Rządu. Bronson, o dziwo, podziękował i przekazał sprawozdanie do analizy jednemu ze swoich ludzi. Liver pomyślał, że może nie jest takim idiotą, za jakiego brał go Smith.

W kieszeni komisarza rozdzwonił się telefon. Shaker, nareszcie!

- Witam, konstablu. Co tak długo? Język wam ukręcili? - Liver nawiązał do dziwnego połączenia sprzed kilku godzin. - Co? Byliście w Oxford? Rany! Co się tam stało? Zabójstwo na waszych oczach? Rozmawiał z nieżywym? Cela ze zidiociałym zboczeńcem? Fikcyjna komenda pełna trupów? Shaker, a wyście czegoś nie przedawkowali...? Nie, nie, niczego nie insynuuję. Ja wiem, że wy pijecie tylko miętę i kakao, ale może do tej mięty coś dosypali. Taki niewinny gratis od firmy zielarskiej, promocja serii z aromatem konopi indyjskich. Mhm, dobrze, przepraszam, rozumiem, że to było traumatyczne przeżycie. I że prawie was pasowali na więźnia, rozumiem, przepraszam. Co? Filmy? Jakie filmy? A umiecie to zgrać do pliku? Oglądnelibyśmy. Może to nas naprowadzi na jakiś ślad. Aha! Dobrze, czekam. Ojczyzna wam tego nie zapomni.

Liver się rozłączył i usiadł z ciężkim westchnieniem. Smith spojrzał na niego pytająco.

- Zaraz Shaker nam przyśle filmy na dobranoc. Dostał to od podziemnej policji Oxfordu.

Smith zrobił zdziwioną minę, ale Liver nie spieszył z wyjaśnieniami. Zamyślił się nad rewelacjami z doniesień Shakera. Pomimo docinków o

odmiennych stanach świadomości dzielnego konstabla, był przekonany o prawdziwości jego relacji. To się zbyt mocno trzymało kupy, żeby było tylko przywidzeniem najaranego umysłu. Poza tym filmy zaraz przyjdą, to jest przecież dowód. Westchnął ponownie, spojrzął na Smitha.

- Śmierć krąży wokół tej sprawy, Smith. Ludzie giną, jeżeli tylko podejda bliżej. Chyba masz rację, byłem lekkomyślny tam obok lotniska. Życie jest tylko jedno.

Smith pokiwał głową z wyrozumiałą wyższością i pomyślał, że bardzo zazdrości Liverowi tej odwagi i luzu.

Poczta zamrugła na ekranie nową wiadomością. Załączono do niej dwa pliki. Dopisek Shakera informował: „Kopiował konstabl Shaker 30.05. Oba pliki w pełni czytelne i sprawdzone”. Liver zrozumiał subtelną złośliwość odnoszącą się do jego zepsutych skanów sprzed trzydziestu lat.

Policjanci zasiedli przed ekranem. Liver bąknął pod nosem, że bez coli i popcornu to żadne oglądanie. Włączyli pierwszy film, zobaczyli pokój i wchodzących do niego ludzi, prawdopodobnie z innego pomieszczenia. To byli Bullet i Shaker, prowadzili opisaną już rozmowę; Liver usłyszał jeszcze raz to, co przekazał mu skrótowo konstabl. W pewnym momencie zobaczył, jak do pokoju wbiega muskularny człowiek, poruszający się z niebywałą prędkością, dopada Bulleta i go dusi. Shaker zrywa się, rozgląda bezradnie, wyraźnie nie rozumie, co się dzieje. Podchodzi do Bulleta i jego oprawcy, napastnik obraca się, kopie Shakera w brzuch, konstabl pada, po chwili się podnosi. Dusiciel porzuca Bulleta i opuszcza pomieszczenie, Shaker zbliża się do doktora. Bada go, potem siada na fotelu, widać, jak bardzo jest poruszony. Siedzi tak chwilę, a potem podchodzi do telefonu i dzwoni. Znowu siada. Czeki. Trwa to dość długo. Nagle Shaker wstaje, jakby coś usłyszał, odwraca się w stronę drzwi...

Tu nagranie się urywało.

- Cholera, co się temu biedakowi stało? - zapytał sam siebie Smith. - Siedział, gadał, a nagle, bach, atak, i po zabawie.

Liver spojrział na niego zdumiony.

– Jak to co? Przecież ktoś tam wszedł i go udusił. Łapy na gardło i już. Zobacz. – Liver puścił odtwarzanie od początku. Smith patrzył, mrużąc oczy. O ile w terenie brak spostrzegawczości można było wytłumaczyć krótkowzrocznością, o tyle tu wszystko miał przed nosem. I widział wyłącznie Bulleta oraz Shakera.

– Zaraz, zaraz, ale Shaker też nic nie widział. Dlaczego Bullet i ty widzicie? Stygmatycy? – Smith szukał wyjaśnień.

– Tak – odparł Liver z kwaśną miną. – Przyciągam również metalowe przedmioty i umiem lewitować. Przecież widzisz, agresywny facet, nieźle umięśniony, wyżywa się na staruszkę.

– Ależ ja nic nie widzę – upierał się Smith. – Wątroba! – zawołał polskiego kolegę.

Wątroba też nic nie widział. Było dwa do jednego dla niewidzących. Liver westchnął z zażenowaniem. Smith uśmiechnął się z wyższością i protekcyjnie poklepał Wątrobę po ramieniu.

– Dobra Wątroba, dobra – pochwalił komisarza pierwszymi słowami, jakich nauczył się po polsku. Liver puścił film po raz kolejny, z głośniczka komputera dobiegał głos Bulleta:

„Sąd lubi szybkich biegłych, dlatego powołano mnie ponownie. Paul został przeniesiony do kliniki, przydzielono mu strażnika i pojedynczą salę z kratą w oknie. Miałem wtedy prawie czterdzieści lat i można powiedzieć, że robiłem karierę. Artykuły w prasie branżowej, konferencje, widoki na posadę ordynatora, choć z drugiej strony nie byłem szczęśliwym człowiekiem, moje małżeństwo się kruszyło. Nie wiedziałem, jak odbudować relacje z rodziną. To był bardzo trudny okres w moim życiu. Niepewny siebie, innych, swoich wyborów, kierunku życia, stawałem się powoli maszynką udającą człowieka. Pan wybaczy, ale ta dygresja ma związek ze sprawą, to prawdopodobnie powód, dla którego mogłem wejść w kontakt ze zjawiskami, o których powiem”.

Liver zatrzymał odtwarzanie. Oto dlaczego Bullet mógł wejść w kontakt z tymi zjawiskami. To był powód, dla którego widział swojego mordercę i prawdopodobnie również dlatego widział go Liver. Człowiek miewa różne momenty w życiu. Czasem jest słaby, bezbronny i bywa, że ktoś chce to wykorzystać. Więc wchodzi do jego życia, żeby je zniszczyć i zniknąć. Lub odwrotnie – zostać na zawsze. Niektórzy są wiecznie uśmiechnięci, żartują w trudnych sytuacjach, stają się wręcz symbolem dobrego humoru i pogody ducha. Ale gdyby ich obrać z tej grubej, zewnętrznej skóry, może nawet z kolejnych dwóch albo trzech skór pod spodem, to by się okazało, że siedzi tam mały skulony dzieciak, który żałośnie płacze ze strachu i samotności. Shrek z kreskówki mówił, że każdy ogr jest jak cebula – ma warstwy. Shaker ma warstwy, Smith ma warstwy, no i Liver je ma. Może nawet więcej niż inni, może są grubsze i lepiej tłumią to, co dzieje się w środku. I dlatego nie należy się dziwić, że czasem ktoś zażywa za dużo leków nasennych, że walczy z demonem w swojej głowie, ani tym bardziej, że widzi demona, który jest dla innych niewidoczny.

– I jak, Liver? Dalej widzisz biegającego dusiciela? – Smith był bardzo pewny swego.

– Chyba mi się zdawało. Miałaś rację. – Liver postanowił się wycofać. Po co komu dywagacje o jego stanie psychicznym?

– No, ba! Film to film, obrazki. Albo tam coś jest, albo nie ma.

Uruchomili drugi film. Jakość odtwarzanego materiału wskazywała, że jest to stare amatorskie nagranie sprzed dwudziestu, trzydziestu lat. Ujrzeni pomalowane na biało pomieszczenie, stół, za stołem siedział mężczyzna, mniej więcej trzydziestoletni. Rozglądał się obojętnie na boki. Ktoś ustawiał kamerę, bo obraz chwiał się i chwilami tracił ostrość; ustabilizował się po kilkunastu sekundach. Głos zza kadru powiedział: „Już”. Filmowany wyprostował się, spojrział wprost w obiektyw i zaczął mówić:

„Nazywam się Paul Mallbeth, odbywam w tej chwili wyrok dożywotniego więzienia za zamordowanie własnej rodziny. Nie

zrobiłem tego, ale sąd nie dał wiary moim wyjaśnieniom ani wyjaśnieniom doktora Bulleta. Nagrywam ten film, bo wiem, że taka sytuacja jak moja miała już miejsce i z pewnością się powtórzy w przyszłości. Osoba, która pchnęła mnie do współdziałania w tym czynie, to bląkający się po ziemi stwór. Umarł cielesnie wiele wieków temu, ale z jakichś powodów jego dusza nie poszła do nieba ani do piekła. Ukrywa się przed boskimi prawidłami świata. Jest znudzony, dlatego szuka rozrywki, pretekstu do zabawy. I znajduje to u takich ludzi jak ja. Jako młody człowiek byłem zbuntowany, negatywnie nastawiony do całego otaczającego mnie świata. Rodzina, koledzy, szkoła – z chęcią wydarłbym to wszystko z mojego życia. Do dziś trudno mi powiedzieć dlaczego, ale nic nie dawało mi satysfakcji, wszystko było obce i złe. Czuję się tak, jakbym co rusz nadziewał się na przeszkody i spotykał utrudnienia. Pod koniec szkoły średniej stan ten dojrzał do podjęcia stanowczych kroków; byłem zdecydowany zerwać wszelkie dotychczasowe kontakty i uciec. Bez konkretnego celu, po prostu uciec. Wtedy pojawił się on. Zostaliśmy przyjaciółmi. Osiemnastolatek ma zazwyczaj dużo czasu i żadnej kontroli nad swoim postępowaniem, więc spędzaliśmy razem długie godziny. Nikt się tym nie interesował, nie byłem chuliganem, nie piłem wódki. Nie stwarzałem problemów, więc nic mi nie groziło. Tak się wszystkim zdawało. Walls, tak go nazywałem, stał mi się po kilku tygodniach dużo bliższy niż ktokolwiek inny na świecie. Interesował się moimi sprawami, coś tam doradzał, tłumaczył, pocieszał, miałem się do kogo zwrócić z troskami, pytaniami, przemyśleniami. Po jakimś czasie nasze rozmowy zeszyły na rodzinę i moje relacje z bliskimi. Dość powiedzieć, że uświadomiłem sobie, iż moja matka, ojciec, siostra, oni wszyscy, są dla mnie bardzo ważni. Ale robią mi krzywdę, nie są oparciem, a nawet... nawet gorzej, brakuje w naszych kontaktach zaufania, serdeczności. Walls zachęcał, bym z nimi porozmawiał, ale już na swoich zasadach. Żeby odpowiedzieli za to, co dotychczas mi zrobili. No i napuścił mnie. Dałem się ponieść emocjom. Była straszna awantura,

prawie bójka, uciekłem z domu. Walls pocieszał mnie, że teraz zmadrzeją, że emocje w końcu opadną, a ja wreszcie powiedziałem, co myślę. To najważniejsze. Ja nie byłem zadowolony z zaistniałej sytuacji, obawiałem się, że raczej wzmocniłem mur między nami, niż go zburzyłem. Moje obawy się potwierdziły, gdy przyjechałem kilka dni później do domu. Nikt nie chciał ze mną gadać. Moja frustracja się pogłębiała. I niestety cały czas był przy mnie Walls ze swoimi teoriami i komentarzami. Doprowadziłem do kolejnego konfliktu. Ojciec podczas burzliwej wymiany zdań uderzył mnie, a ja mu oddałem. Nigdy nie podniosłem ręki na swoich rodziców; byłem zaskoczony i przerażony tym, co zrobiłem. I wtedy pojawił się on, Walls, porwał jakieś narzędzie z kuchni i rzucił się wściekle na moich rodziców oraz siostrę. Zrobiło się straszne zamieszanie, krzyki... próbowali mu umknąć. Ja schowałem się w toalecie, byłem pewien, że również zginę. Trząśłem się jak galareta, wciśnięty pomiędzy wannę a umywalkę. Po kilku minutach zaległa cisza, cisza wręcz absolutna, której nie zakłócał nawet najmniejszy szmer. Odważyłem się wyjść z łazienki. Wszyscy leżeli, koszmarnie zmasakrowani, na ścianach były jakieś krwawe ślady, napisy. Wybiegłem w popłochu z mieszkania. Ktoś mnie wołał na ulicy, ale ja chciałem stamtąd czym prędzej uciec, wymazać z głowy ten straszny obraz. Nie pamiętam, co się działo w ciągu kilku następnych godzin. Błąkałem się półprzutomny. Znaleźli mnie nazajutrz gdzieś na przedmieściach. Okazało się, że są świadkowie, którzy opowiedzieli o moim konflikcie z rodziną, słyszeli kłótnię, znaleziono moje odciski na zakrwawionym tasaku. Sprawa w oczach śledczych była przesądzona. Zostałem skazany za wielokrotne morderstwo. Ale najgorsze zaczęło się potem. Walls mnie nie opuścił. Towarzyszył mi przez te wszystkie lata w więzieniu i ciągle mówił. Chwalił się, jak wielki ból zadał mojej matce i mojej siostrze, zanim umarły. Ciągle mi wmawia, że to ja go o to prosiłem, że tylko spełnił moje pragnienia, zamiary. Raz jest przyjacielski i pomocny, raz obcesowy i wrogi, ale zawsze przy mnie. Od prawie trzydziestu lat nie daje mi spokoju, nie odchodzi...”

Mężczyzna ukrył twarz w dłoniach i zastygł w swoim bólu. Kamera rejestrowała beznamiętnie ten obraz żalu i bezradności w obliczu bezsensownego zła, które go prześladowało. Po kilku sekundach Paul zwrócił się znowu w stronę obiektywu, prawie wrzeszczał:

„Kimkolwiek jesteś, jeżeli spotkałeś Wallsa, pozbądź się go! Zgiń, ale się go pozbądź, bo on nie da ci spokoju do końca życia! A kto wie, jaki los ta kreatura gotuje swoim ofiarom po śmierci. Zbadaliśmy z doktorem zapisy z podobnych przypadków w przeszłości. On też jest czasem słaby, też można go podejść. Poza tym szukają go, umyka od stuleci, ale go szukają...”

Nagranie urwało się nagle. Albo taśma się skończyła, albo ktoś po prostu nacisnął czerwony przycisk bez czekania na finał mowy Paula Mallbetha. Policjanci siedzieli dłuższą chwilę wpatrzeni w wygasły ekran komputera. Wyznanie było niezwykle poruszające. Paul mówił prosto i jasno, ale przekazywane informacje były obarczone takim bagażem emocji, że nawet po kilkudziesięciu latach robiły wrażenie.

– Popenił samobójstwo w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym dziewiątym. – Liver spojrzął do akt przysłanych przez Shakera. – Nie było mu lekko. Oglądamy jeszcze raz?

Smith pokręcił głową w zadumie. Nie miał ochoty, Liver również się do tego nie palił. Wyłączyli sprzęt i w milczeniu zbierali się do wyjścia.

– O, nasze asy wywiadu się zwijają! – Na korytarzu napatoczyli się na Bronsona. – Też bym już poszedł do hotelu, ale mam kupę roboty, w odróżnieniu od innych, lepszych działów.

– Spadaj, Bronson. Ty masz swoją robotę, my swoją, ty masz swoją kawę, my swoją. – Smith nie dawał sobie dmuchać w kaszę i złośliwie nawiązał do porannych popisów kolegi przy automacie. – A poza tym praca koncepcyjna u nas nie wymaga płaszczenia tyłka w biurze, w odróżnieniu od waszych rytualnych nadgodzin i pokazowego zaangażowania.

Bronson wydał lekceważąco wargi i poszedł do siebie. Smith i Liver opuścili komendę. Za plecami słyszeli wrzaski PX-a zwołującego

odprawę popołudniową. Wątroba i jego podkomendni siedzieli schowani w komórce na szczotki i chichocząc, zakładali się o to, kiedy PX da za wygraną i przestanie nawoływać. Kolejny dzień gasł i polewał świat szarością wieczoru.

Pościg

Grzegorz wyjechał na drogę w kierunku Dover. Już po kilkuset metrach zorientował się, że stary zielony volkswagen jedzie ciągle za nim, jakby był na sznurku. W pewnym momencie śmignął przez skrzyżowanie na pomarańczowym świetle. Zielony samochód, pokonując tę samą trasą dwie sekundy później, musiał wjechać już na czerwonym. Grzegorz widział w lusterku, jak cztery kolumny samochodów hamują z piskiem opon; cudem uniknięto kolizji. Ozwał się chór klaksonów i przekleństw rzucanych przez uchylone szyby. Mały samochód wyprysnął z drugiej strony skrzyżowania i pognął za nim.

Był już pewny, że go śledzą. Lord albo mu nie ufał i kazał go pilnować aż do Frankfurtu, albo dowiedział się o jego zamiarach i teraz w lusterku obserwował ludzi, którzy planowali, jak go zabić. Wyjechał na autostradę; zabudowań było coraz mniej, a łąk i pól coraz więcej. Na najbliższym zjeździe postanowił zawrócić. Tuż przed nim zwolnił, ale nie zmienił pasa ani nie włączył kierunkowskazu. Zielony volkswagen znajdował się tylko o jeden samochód za nim. Grzegorz w ostatniej chwili skręcił w lewo; prawie otarł się o stalową barierkę. Zaskoczył śledzących. Zdążył zauważyć, że ich wóz nagle zahamował, wjechał na pas awaryjny i zaczął się cofać w kierunku zjazdu. Następnie skręcił tam, gdzie on. Grzegorz zjeżdżał już po drugiej stronie autostrady. Prześladowcy zorientowali się, że zostali zdekonspirowani. Teraz mógł liczyć tylko na swój spryt i łut szczęścia. Po chwili wpadł na autostradę, pędząc z powrotem do Londynu. Miał nadzieję, że do następnego zjazdu go nie dorwą i uda mu się zniknąć pomiędzy tysiącami domów na przedmieściach metropolii. Niestety zielone auto, choć stare i wysłużone, musiało mieć zainstalowany mocny, sportowy silnik.

Dwie mile przed zjazdem Grzegorz dostrzegł w lusterku zbliżający się pościg. Dodał gazu, ale tamci bez trudu utrzymywali stałą odległość. Plan zniknięcia na przedmieściach zawiódł. Po kilku minutach wkoło zaczęły piętrzyć się wyższe domy, budynki biurowe i magazyny. Znowu był w Londynie. Swoim wcześniejszym zachowaniem dał wyraźny sygnał, że zamierza uciec. Poza tym poddani lorda nie byli zwykłymi bandytami, ale związanymi przysięgą i własnym honorem rycerzami. Jeżeli dostali rozkaz zabicia go, to żadne negocjacje nie pomogą.

- Przynajmniej wiadomo, na czym stoję. Wyleciałem z posady u lorda i mam na karku dwóch honorowych zabójców - mruknął pod nosem, podsumowując swoje niezbyt wesołe położenie.

Znowu przejechał na pomarańczowym, tamci za nim, nie zważając na hamujące gwałtownie samochody i hałasujące klaksony. Gnali dalej. Pościg zaczął się rzucać w oczy, piesi i kierowcy odwracali głowy, obserwując dwa pędzące samochody, przepychające się przez ulice.

Grzegorz nie uciekał na ślepo, znał tę część miasta z dawnych czasów. Kierował się do dzielnicy Battersea, gdzie pracował zaraz po przyjeździe do Wielkiej Brytanii. Gdy zaczął inne życie, nadal czasem tu zaglądał, aby pogadać ze starymi znajomymi. Kiedy przyjeżdżał ładnie ubrany, z uśmiechem i anglosaskim „hello” na ustach, widział, jak bardzo wkurza swoich dawnych kumpli, którzy zostali w tych magazynach i tyrali na swoją marną czynszówkę, wieczorne piwo w knajpie na rogu i comiesięczny przekaz dla matki w Polsce. Tak, wystarczy wyjść z tego zaścianka, trochę inaczej się ubrać, a już by cię zabili za to, że ci się udało. Ale odwiedziny tutaj miały również inny cel. Grzegorz wiedział, że się pakuje w szemrane interesy, które czasem skutkują tym, iż trzeba zniknąć. Dlatego dobrze mieć jakieś bezpieczne miejsce, drogę ucieczki. On znał tu każdą ulicę; a tam, gdzie jechał, każdy kąt. Sprawdzał co jakiś czas, czy jego plan awaryjny nadal jest aktualny, czy niczego nie zabudowano albo nie naprawiono. Ostatni raz był tu ze dwa miesiące temu. Dość dawno, mogło się coś zmienić. Zaklął. Ostry zakręt, zaraz następny, brama zespołu magazynów.

Zatrzymał się z piskiem opon. Wskoczył. W portierni siedział gruby Jerry i jak zwykle wcinał ciasteczka maślane. Jerry zbudował potęgę swego ciała na maślanych ciasteczkach, po półtora funta za paczkę. Miał je zawsze przy sobie, były jego częścią. Odcięcie go od ciasteczek odczułby równie boleśnie jak amputację ręki albo nogi.

– Sie masz, Jerry. Ciasteczka, ciasteczka! – zakrzyknął radośnie na widok znajomej twarzy. Tamten również się uśmiechnął. Wysunął paczkę przez okienko.

– Sie masz, Greg. Po jednym na humorek. Co cię tu sprowadza? – Jerry najwyraźniej się nudził w kantorku i szukał partnerów do pogawędki. Grzegorz wziął ciastko; Jerry mógłby się obrazić, gdyby ktoś wzgardził jego przysmakiem. Kątem oka zauważył, że ścigający go volkswagen, skręciwszy w ulicę, zbliżał się powoli. Ludzie w środku musieli rozglądać się za jego samochodem. W końcu go dostrzegli, bo volkswagen gwałtownie zahamował, trzasnęły drzwiczki, a z wnętrza auta wyskoczyło dwóch barczystych facetów.

– Słuchaj, Jerry. Muszę iść do mistrzówki na chwilę, Pet mnie prosił, żebyś coś mu zostawił.

– Pet od miesiąca już tu nie pracuje – zakomunikował spokojnym głosem Jerry i wgrzył się w kolejne ciasteczko. – Musiało ci się coś pomylić.

Grzegorza zatkało na sekundę z zaskoczenia. No tak, dawno tu nie był. Faceci obeszli wkoło jego samochód; stwierdziwszy, że jest pusty, zaczęli obserwować ulicę, zastanawiając się, gdzie zniknął kierowca. Wejście do magazynów było najbardziej prawdopodobną opcją i na pewno zaraz tu będą. Musiał się dogadać z Jerryem w ciągu kilku sekund.

– Pet mówił, że John weźmie to dla niego. John przecież tu pracuje?

– John da coś Petowi? Przecież oni zawsze żyli jak pies z kotem!

Dwóch osiłków było już niebezpiecznie blisko.

– Ale już się polubili. Oddam mu to i zaraz wrócę! – krzyknął Grzegorz, wbiegając na teren za bramą. Jerry wychylił się przez okienko i wrzasnął:

– Johna dziś nie ma! Wziął wolne. W magazynie nikogo już nie ma. – Widząc, że Grzegorz pędzi dalej, machnął ręką, usiadł i wsadził kolejne ciasteczko do ust. – A zresztą co mnie to. Niech gania, jak lubi.

W tym momencie podbiegło dwóch typów. Zauważyli Grzegorza, wpadli do ciasnego przejścia przy portierni i skierowali się za uciekinierem.

– Halo! Co jest? Teren zamknięty! Do kogo? – huknął Jerry.

Jeden z goniących odwrócił się i zatrzaskał mu okienko przed nosem.

– Pilnuj swojego kałduna, tłuściochu! – warknął po polsku i pognął za kolegą.

Jerry już miał wyskoczyć ze stróżówki i pobiec za intruzami, ale po dwóch krokach zatrzymał się. Machnął ręką, cofnął się, usiadł z powrotem i sięgnął po kolejne ciasteczko.

– Niech biegają, jak lubią – mruknął. Stwierdził również, że na razie okienko może zostać zatrzasknięte. Tak było bardziej kameralnie.

Przewaga Grzegorza wynosiła jakieś sto metrów. Wiedział, że dużo ryzykuje, że mogą strzelić albo go dopaść w razie najmniejszego potknięcia. Ale chciał być przez nich widziany, tak żeby wbiegli za nim do budynku. Tam się wszystko rozstrzygnie. Hala B12, duże blaszane pudło budynku, brama, obok drzwi. Na szczęście otwarte, nic się nie zmieniło. Wpadł do środka. Dziesięć tysięcy metrów kwadratowych zastawionych paletami z bielizną i rajstopami. Spędził tu na wózku widłowym ładnych kilka lat. Pognął trzecim przejazdem; słyszał, jak tamci wbiegają przez drzwi. Nikt już nie pracował, świeciły się jedynie lampy awaryjne. Pierwszy słup, drugi słup, pędził ile sił w nogach i płucach. Jak pobiegnie jeszcze chwilę tą drogą, to go zauważą. Skręcił gwałtownie za trzecim słupem, przeciął kolejne przejazdy, dotarł do ściany. Tu powinno być zostawione przejście do drzwi ewakuacyjnych. Jest. Trzy- i czteropoziomowe stopy palet migały po obu stronach. Biegł już pod ścianą. Wskoczył z rozpędu na rozdzielnię elektryczną. Nie wiedział, gdzie są tamci, teraz był tylko uciekającym, przerażonym

zwierzęciem. Co będzie, to będzie. Znowu rozbieg, odbicie – jednym susem pokonał wysokość pomiędzy szafą elektryczną a najwyższą paletą na stosie obok. Udało się, nie spadł. Zaczął skakać z palety na paletę. W końcu dobiegł tam, gdzie chciał. W ścianie tkwił zardzewiały wentylator. Wybił go jednym kopnięciem, wypełził przez powstały otwór i znalazł się na blaszanym daszku budynku obok magazynu. Podniósł konstrukcję wentylatora i wprawił ją z powrotem w ścianę. Jeżeli nie widzieli, jak przechodził, to nigdy się nie domyśla, którą drogą uciekł z hali. Zsunął się po blaszanym, lekko pochyłym daszku i po sekundzie stał na wyasfaltowanym placu, gdzie piętrzyły się stopy żelazobetonowych płyt. Był na posesji obok. Z budynku magazynu można tu dotrzeć przez wentylator albo trzeba wyjść przez bramę z Jerrym, dojść do ulicy, minąć dwa kolejne budynki i skręcić w następny wjazd. Dawało mu to przewagę kilku minut. Uśmiechnął się tryumfalnie i pobiegł w kierunku torów kolejki podmiejskiej. Udało się. Ciężąca na ramieniu torba z setkami tysięcy funtów była doskonałą rekompensatą za pozostawione przed magazynem auto i tę całą nerwówkę podczas pościgu. Zaraz zniknie w milionowym tłumie Londyńczyków i nikt go więcej nie zobaczy. A już jutro, najdalej pojutrze, pojawi się w jakimś pięknym miejscu na Ziemi, gdzie pod palmami, racząc się drinkiem z wysokiej kolorowej szklaneczki, będzie wspominał lorda-dziwaka z dżdzystej Anglii.

Tymczasem dwaj najemnicy biegali po hali, klnąc jak szewcy. Stracili zbiega z oczu. Po godzinie poszukiwań wyszli przez blaszane drzwi i zapatrzyli się ponuro w szarzejącą wieczorową porą uliczkę dojazdową do magazynu.

- Jak go nie dopadniem, to zawiśniem – odezwał się wyższy.
- Ano zawiśniem – potwierdził niższy.
- Czyli trza go znaleźć – rzucił pomysł wyższy.
- Ano trza znaleźć – potwierdził niższy.
- Jeno gdzie? Zbieżał przecie. – Dobra idea wymagała konkretów.
- Pan nasz nieboszczyka chce widzieć. Prawda to?

- Prawda.

- I ma ci on być nie do rozpoznania, taki pokrwawiony i pobity.
Prawda?

- Prawda.

- To jak mu przyniesiem skrwawionego i pobitego, będzie kontent?

- Będzie kontent.

- No to idziem. Trza by znaleźć takiego, co by się nadawał.

- Może ten na straży? - Wyższy rycerz skinął głową w stronę portierni z Jerryem.

- E, za gruby, niepodobny. Znajdziem lepszego, będzie nie do odróżnienia.

Dwóch zbirów powolnym krokiem wróciło do zaparkowanego koło magazynów samochodu. Przechodząc koło Jerry'ego, nie zaszczycili go choćby słowem czy spojrzeniem. Jerry obserwował ich ciekawie przez szybkę, ale nie zamierzał odsuwać tej lichej, ale jednak istniejącej przegrody. Po chwili intruzi rozplłynęli się w ciemnościach. Rozległ się warkot motoru, światła samochodu liznęły szare mury magazynów i zniknęły za zakrętem.

- A to oryginały! A jakie chamy! Ani dzień dobry, ani do widzenia. Co za czasy! - marudził Jerry, pakując kolejne ciastko do ust. - Już ja bym zrobił z takimi porządek. Gdyby tylko mnie palcem tknęli, toby pożałowali. - Wzmacniał swoje ego możliwymi scenariuszami starć „Jerry kontra bandziory całego świata”.

Następnego ranka lord Wiliamson siedział przy długim stole. Powolnym, dystyngowanym ruchem sięgał co chwilę po kolejny kęs z palety potraw serwowanych przez uniżonego lokaja. Przez okna przebijały żółtawe promienie poranka, alabastrowe rzeźby i przyczerńiałe portrety przodków obserwowały ze skupieniem lordowską konsumpcję. Grzanki były idealnie przypieczone, a kawa przednia. Lord uśmiechał się do siebie, był zadowolony, wyspany, z

wizją kariery politycznej. Pozostawała tylko kwesta zamachu, dziwnej odmowy zaprzestania przygotowań do niego i tego Kawalca. W tym momencie rozwarły się z hukiem podwójne drzwi jadalni. Wkroczył Jaśko, ciągnąc coś w rodzaju łóżka na kółkach, na którym leżał czarny worek. Podeszedł do lorda, przyklęknął.

– Panie, kazałeś informować, jak tylko będą wieści o Kawalcu...

– Tak, tak, Jaśko mój drogi. Cóż nowego z tym zdrajcą? – Lord wgrzyźł się w kolejną bułeczkę i łyknął kawy.

– Dopadlim go. Mówiłem, że Wszechmir i Darzróg nie zawiodą.

– O! To pięknie. A co się z nim stało? Gdzie on teraz jest?

– Tu, panie. – Jaśko rozsunał zamek wzdłuż czarnego wora.

Lord spojrzął na zawartość, wybałuszył oczy, zbladł, poczerwieniał, a następnie zwymiotował całe perfekcyjne śniadanie na piękną posadzkę jadalni.

– Zabrać go! – wycharczał po kilkudziesięciu sekundach kaszlu i plucia. – Zabrać to stąd. Zabrać natychmiast.

Wybiegł z jadalni, ni to kaszłąc, ni to łkając. Jaśko odprowadził go zdziwionym spojrzeniem.

– Przecie zrobiłim, jak kazał.

I wyszedł, ciągnąc wózek z czarnym worem.

Lokaj sprzątał po śniadaniu. Nawet brew mu nie drgnęła na widok zmasakrowanego trupa, który tak poruszył lorda. Państwa rzecz się denerwować i rzygać, służby sprzątać i milczeć.

Sprawy się komplikują

Następny dzień rozpoczął się tradycyjnie zbiegowiskiem przy automacie z kawą. Tym razem Bronson się nie pojawił; zapewne chciał uniknąć przymusu picia syntetycznego barszczyku, który uznał wczoraj za najlepszą z kaw, a niewątpliwie Smith by nie odpuścił, dopóki nielubiany kolega nie połknąłby całego kubka brunatnej, słonawej cieczy. Anglicy uśmiechali się grzecznie do Polaków, Polacy również grzecznie szczyrzyli zęby do Anglików.

Chwiejczak usiłował wytłumaczyć funkcjonariuszowi brytyjskiej Ochrony Rządu, z czego się robi prawdziwy barszczyk i do czego służy. Chodziło głównie o przekazanie szczytnej idei spożywania barszczyku z uszkami. Pomagał sobie rękami, nogami, mimiką i słówkami z różnych języków. Anglik kiwał głową z uprzejmym uśmiechem, ale widać było wyraźnie, że ni w żąb nie rozumie koncepcji moczenia ucha w zupie.

PX stał w kącie i wściekłym wzrokiem wodził po autoryzowanych funkcjonariuszach. Nie mógł przeboleć wczorajszego upodlenia, kiedy nikt nie przyszedł na odprawę dokumentacyjną. Policjanci wytłumaczyli mu, że byli na niespodziewanej akcji w terenie, ale on wiedział, że to nieprawda. Słyszał śmiechy i tłumione rozmowy dobiegające z komórki na środki czystości. Dlatego nic dziwnego, że nie uczestniczył w porannych gadkach-szmatkach; przeżywał gorycz bycia nieważnym i obiecywał sobie, że pokaże jeszcze, kto tu rządzi.

Nawet inspektor Chabowski pojawił się na moment, żeby wszystkim powiedzieć „dzień dobry” i zagadnąć o postępy, jak również upewnić się, że dalej nikt nic od niego nie chce.

Smith i Liver zasiedli znowu w swojej wnące i zastanawiali się, jak nie zmarnować tak pięknie rozpoczętego dnia. Postanowili

kontynuować oględziny potencjalnych miejsc zamachu. Smith przeglądał swoją pocztę; nagle zrobił zdumioną minę i krzyknął: „O!”. Potem z zapalem zaczął studiować nadesłaną wiadomość.

- Słuchaj, Liver. To nas dotyczy. „Regent chwycił trop, sprzęta kwadrat. Krucjata odwołana, ale pielgrzym odmawia powrotu. Nie chce nawet reszty zapłaty. Regent dalej sprzęta, zlecił zrolowanie posłańca do pielgrzymu. Wyciekł kanał informacyjny do krucjaty. Załączam wraz rejestrem dotychczasowej korespondencji pielgrzymu z posłańcem. Pozdrawiam John”.

Liver zamarł na moment z zaskoczenia. Otaksował Smitha badawczym spojrzeniem, tak jakby tamten był rzadkim i niebezpiecznym okazem gada. Smith uśmiechnął się przyjaźnie.

- Ty do mnie rozmawiasz, Smith? - wydukał w końcu Liver. - To jakiś kod?

- No tak, jasne. Przecież jestem w tajnej służbie, u nas bez kodów ani rusz. Zapomniałem ci powiedzieć, że nasz lord dostał sugestię z najwyższego szczebla, od samego premiera, że może wejść do rządu, i nieźle się do tego zapalił. Gada ze swoimi wewnątrz Odrodzenia Brytanii, urabia działaczy, hamuje protesty ekstremistów. Chce również odwołać zamach. Z informacji wynika, że nawet planuje usunąć swojego człowieka zaangażowanego w organizację zabójstwa. Głupio mu się pewnie zrobiło, że mógłby zabić własnego szefa. Nasz informator zdobył także listę adresów mailowych do kontaktów z wysłannikiem. Mamy dotychczasową korespondencję i zdefiniowane kanały do dalszych kontaktów. Możemy teraz mailować z zabójcą, a nuż posiada jakieś ciekawe hobby i się pochwali. Ale co najciekawsze, ten zamachowiec odmówił powrotu. Rezygnuje z pieniędzy i działa dalej...

- Ideowiec? O rany, tacy są najgorsi! Czyli dalej mamy robotę.

- Mamy dalej mnóstwo roboty. Ale to raczej nie ideowiec. Nigdy nie figurował w naszych rejestrach ani nie miał powiązań z terrorystami. Coś się musiało wydarzyć w ostatnich dniach i gość stał się mordercą z przekonania, a nie dla pieniędzy.

- Może przeczytał broszurki Williamsona i uwierzył, że walczy o powrót Wilhelma Zdobywcy.

Mina Smitha mówiła wyraźnie, co sądzi o tej koncepcji. Powód musiał być inny. Ktoś wpłynął na Piotra Krzyżowskiego vel Dariusza Konę i ten z najemnika stał się zabójcą z przekonania.

- A może ktoś go podkupił i teraz wykonuje inne zlecenie? - zastanawiał się Liver.

- Człowieku, tylko mnie nie strasz. Jeżeli jest jakiś inny zleceniodawca, a ja o tym nie wiem, to o premii bożonarodzeniowej mogę już tylko pomarzyć.

- Spokojnie, dojdziemy, co i jak. Policja brytyjska nigdy się nie poddaje - pocieszył go Liver i zanucił, podnosząc dumnie głowę:

God save the Queen:

Send her victorious,

Happy and glorious...⁴

Smith położył rękę na sercu, udając wzruszenie. Następnie wrócił do maili.

- Słuchaj, jest jeszcze jedna informacja. Patrol w Paryżu zameldował cztery dni temu, że idą wylegitymować poszukiwanego międzynarodowym listem gończym naszego Piotra Krzyżewskiego. Podobno zauważyli człowieka podobnego do tego z portretu, wzięli wydruk zdjęcia z radiowozu i poszli. To był ich ostatni meldunek, nie zjechali po południu z patrolu. Rozpoczęto poszukiwania. Pusty radiowóz stał przy alejce wjazdowej do parku. Nikt ich nie widział, nikt nic nie słyszał. Ściągnięto psa, ten chwycił trop i zaprowadził śledczych pod jedno z drzew. Skakał i czekał przy pniu tak długo, aż w końcu sprowadzono wóz strażacki z podnośnikiem. Martwi funkcjonariusze zostali przywiązani do pnia na wysokości dwunastu metrów. Trzeba było wyciąć część gałęzi, żeby ich zdjąć...

Zapadła cisza. Policjanci zadumali się nad marnym losem swoich kolegów po fachu znad Sekwany. Zegar z kukułką tykał miarowo,

wahadło biegło to w lewo, to w prawo.

- Pechowcy – westchnął w końcu Liver.

- Pechowcy – potwierdził Smith. – Ale i głupki. Jak można wysłać zwykłych, nieruchawych krawężników na płatnego zabójcę? Z całym szacunkiem dla żabojadów, ale to różnica trzech klas w szybkości, sprawności i metodach działania. Taki facet nie ma skrupułów. Ma zlecenie, robi swoje. Likwiduje wszelkie przeszkody.

- Hm, jak wynika z innych informacji, właśnie nie robi swojego – zastanawiał się Liver. – Robi, co chce. No i to drzewo. Dwanaście metrów. Chodź, Smith, na plac. Wejdiesz na tę lipę i zawieszisz krzesło na gałęzi. – Liver wskazał drzewo za oknem.

- Chyba cię pokreśliło. Po co? Poza tym za wysoko. – Smith prychnął i obrzucił kolegę takim spojrzeniem, jakby tamten złożył mu nieprzyzwoitą propozycję. Na przykład wspólnej kąpieli nago.

- No właśnie. Za wysoko. Wciągnięcie dwóch ciała na wysokie drzewo i przywiązanie pod samym czubkiem to robota na dobrą godzinę z użyciem drabiny i lin. Choćbyś był alpinistą, nie dasz inaczey rady.

- Czyli nie był sam.

- Nie był sam. I sądzę, że ma kogoś, kto wciągnął te ciała szybko i niezauważenie.

- Kogo?

- A jak myślisz, dlaczego ciągle nadziewamy się z Shakerem w tej sprawie na jakieś duchy i istoty pozaziemskie?

- Ponieważ... – chciał odpowiedzieć Smith. Po jego minie widać było, że ma na końcu języka opinię typu: „Ponieważ za dużo naoglądaliście się *Harry'ego Pottera*” albo „Ponieważ przesadzacie z grzybkami halucynogennymi”.

- Bo z Krzyżewskim jest ktoś, kogo szukają od setek lat, i dlatego nam pomagają – odpowiedział za Smitha Liver. Następnie spuścił głowę i zadumał się gorzko nad faktem, że pani Forewind nie jest zainteresowana nim prywatnie, a jedynie przyskrzynieniem jakiejś

średniowiecznej kreatury. Chyba Shaker miał rację; wszedł w wiek emerytalny, jest brzydszy od ośmiornicy i nic na to nie poradzi.

- Innymi słowy my też możemy zaraz skończyć jako balast na drzewie, bo pan demon nas nie lubi?

- Możemy. I chyba wczoraj koło lotniska byliśmy tego blisko. Gdybyśmy tylko przydybali tego Krzyżewskiego, dałby nam ten jego kumpel popalić. Shaker już go widział w akcji.

- Ja piernicę - wyszeptał Smith. - W co myśmy się wplątali?

- Raczej w co ty nas wplątałeś. - Liver znał sprawcę swojego nieszczęścia.

- Ojczyzna, Liver, ojczyzna. A dla ojczyzny to nawet na demona trzeba iść.

Liver znowu zanucił ku pokrzepieniu serc:

God save the Queen:

Send her victorious,

Happy and glorious...

Nagle przerwał, w jego oczach pojawił się błysk zwiastujący nadejście genialnego pomysłu.

- Smith, słuchaj, możemy przecież wykorzystać to, co mamy.

- A co mamy?

- Mam maila do zabójcy, jak również filmy z zabitym Buletem i z poprzednią ofiarą tego kogoś, kto mu pomaga albo nim steruje. Proponuję wysłać informację. Co nam szkodzi, najwyżej gość się wzburzy i będzie bardziej nerwowy. Wtedy łatwiej popełni błąd. A może los Paula Mallbetha da mu do myślenia, może zobaczy na filmie, kto zabił doktora Buleta...

- Dobra, Liver. Co prawda tam nic nie widać, ale i tak pomysł mi się podoba. Postraszyć zamachowca mailem, czegoś takiego jeszcze nie było. A na dodatek to dużo bezpieczniejsze niż gonienie się po łąkach.

- To się jeszcze okaże. - Liver wiedział, że wysłanie filmu może ściągnąć im na głowę Wallsa, ale postanowił działać, używając

wszelkich metod. Dlatego też zaraz usiadł i zalogował się do kolejnego adresu z listy Grzegorza Kawalca.

Tymczasem Smith zwrócił się do Wątroby. Trzymając rozmówki angielsko-polskie i kartkę z notatkami, zaczął dukać:

– Wątroba. Dzisiaj idzie do następna zabójca wyszukiwacz. Prosi iszcz pomóc. – Następnie otarł pot z czoła i czekał na reakcję polskiego komisarza. Ten podniósł głowę znad protokołu, który właśnie wypełniał. Chwilę przetwarzał otrzymaną informację, w końcu odpowiedział:

– Dobra, idziema zabójca szukać pomóc.

Wróżka parsknęła śmiechem, a Smith podziękował, dumny jak paw ze swoich zdolności lingwistycznych. Z korytarza dobiegał głos Bronsona, który przy automacie z kawą instruował kogoś, zapewne jednego ze swoich podwładnych, który przycisk jest do czego.

– Ten idiota Bronson nigdy nie spokojnieje – mruknął Smith i zaczął wertować rozmówki, ciekaw, jak można to powiedzieć po polsku.

Czat z zabójcą

Darek siedział już od godziny w kawiarence internetowej i po raz nie wiadomo który odtwarzał dwa otrzymane filmy. Choć ktoś mógł spojrzeć mu przez ramię i zainteresować się dziwnym nagraniem, on nie mógł się powstrzymać. Był pod tak silnym wrażeniem przesłanych materiałów, że zabójstwo Bulleta i spowiedź Mallbetha musiał obejrzeć jeszcze raz i jeszcze raz. Jeden obraz został nagrany przedwczoraj, drugi kilkadziesiąt lat temu. Jednakże oba opowiadały tę samą historię – ludzi, którzy kilkadziesiąt lat żyli z kimś bezdennie złym i złośliwym, kto ich nie opuszczał, uprzykrzał im życie i w ostatecznym rozrachunku spowodował ich śmierć.

Bez wątpienia w obu przypadkach był to Wojsław. Poznał go na filmie. To na pewno był on, nawet dziwny grymas ust podczas większego wysiłku fizycznego się zgadzał. Darek co prawda był świadkiem zabójstwa w Paryżu, ale tam akcja została przeprowadzona w białych rękawiczkach. Cichy jęk i koniec pieśni, a po kilku minutach trupy zniknęły w zieloności liści. Tu zabójstwo trwało długo, Wojsław z sadystyczną przyjemnością wykańczał gołymi rękami starszego człowieka. Tamto wydarzenie z żandarmami zdążył sobie jakoś wytłumaczyć – śmierć w akcji, ofiary na drodze do celu – ale tu widać było, że Wojsław działał z premedytacją, zadusił go tysiące kilometrów stąd tylko dlatego, że tamten mógł coś o nim powiedzieć. A do tego jeszcze ten Paul... Darek siedział przed ekranem komputera i patrzył na twarz człowieka wrobionego w morderstwo popełnione przez kogoś, kto w tej chwili ma bardzo podobny plan w stosunku do niego. Słuchał nagranej opowieści i wiedział, że jeśli nawet przeżyje epizod z Wojsławem, prawdopodobnie też trafi do celi, gdzie za jedyne

towarzystwo będzie miał sadystycznego demona i samobójcze myśli. Puścił filmy jeszcze raz, z zapartym tchem śledził obrazy i wsłuchiwał się w słowa. Był przerażony.

W tym momencie poczuł, że Wojsław go obserwuje. Demon umiał odgadywać niektóre jego myśli, szczególnie te wynikające z emocji i napięć, ale działało to również w drugą stronę i w ostatnich dniach Darek nauczył się wyczuwać jego obecność, jeszcze zanim go zobaczył. Po prostu odczuwał, że się zbliża, tak jakby Wojsław promieniował. Zamknął pospiesznie okienko odtwarzacza. Wojsław stanął nad nim, oparł mu dłoń na ramieniu. Darek przymknął oczy i przywołał wspomnienie podwórka swojego domu rodzinnego i ujadającego psa Zbója. Musiał zagłuszyć w sobie jakiegokolwiek emocje związane z tym, co przed chwilą oglądał; wiedział, że tamten wyczuł jego przerażenie i próbuje dociec, co się wydarzyło. Jeżeli się nie opanuje, jego myśli zdradzą otrzymaną informację i wtedy będzie po nim.

– Coś się stało? – Wojsław dał w końcu za wygraną. Najwyraźniej nic nie odgadł.

– Nie – odparł Darek z nienaturalną swobodą. – Męczą mnie, żebym nie sknocił zlecenia. Dostanę nawet premię.

– Mhm. – Wojsław chyba nie do końca uwierzył, zwłaszcza że dopiero co skończyła się awantura w sprawie kontynuowania przygotowań wbrew woli lorda. Ale najwyraźniej maskowanie myśli poprzez wspomnienie domu rodzinnego i obraz ukochanego Zbója okazało się skuteczną metodą.

Darek odwrócił się w stronę ekranu.

– Daj mi popracować, muszę jeszcze odpisać i coś sprawdzić.

– Idę, idę – zamruczał ponuro Wojsław i odszedł, spoglądając na Darka przez ramię.

Nie wierzył mu, jego mina mówiła wyraźnie, że kłamie, ale nie miał mu nic do zarzucenia. Wojsław również trochę się przestraszył – pierwszy raz nie mógł wejść w kontakt z myślami Darka. To było coś nieoczekiwanego. Dotychczas kontrola odczuć młodego towarzysza nie

sprawiała mu żadnych trudności; Darek był impulsywny i szczery, również w stosunku do siebie. Wiadomo, każdy ma swoje cienie i brudne zakamarki w duszy, jednak umysł Darka był dotąd otwarty jak księga; Wojsław hasał sobie po nim jak konik po majowej łące. A tu nagle taka przeszkoda.

Darek włączył kolejny z umówionych portali pocztowych i odpisał: „Co mam robić? Musicie mi pomóc usunąć Wojsława”. Nie miał pewności, z kim teraz mailuje, ale na pewno nie z dotychczasowym zleceniodawcą. Powrócił na chwilę myślami do momentu, kiedy dostał polecenie przzerwania prac nad zleceniem. On, zadowolony, przekazuje tę informację, i Wojsław, który dostaje szału. Rzucił nim o ścianę, potem chwycił za gardło tak, że Darek już żegnał się z życiem. Wojsław dyszał wściekle. Twarz zmieniła się w koszmarnie brzydka, jakby spróchniała maskę.

- Nie pójdzie ci tak łatwo, oj, nie pójdzie. Myślisz, że można ot tak, pożegnać się i odejść? Twój lord i jego ludzie nie mają z naszą misją nic wspólnego. Ty przecież nie zamierzałeś nawet palcem dla nich kiwnąć. Pisz, że robisz dalej swoje. Pisz!

Darek, doprowadzony siłą do komputera, drżącymi rękami wklepał wiadomość do lorda. Wojsław śledził każdy jego ruch, a po naciśnięciu przez Darka okienka „Wyślij” długo i badawczo przyglądał się swojemu młodemu towarzyszowi. Potem mruknął coś na przeprosiny, że go poniosło i więcej się to nie powtórzy. Darek dochodził do siebie przez długie godziny, wyrzucił Wojsława z pokoju, a ten dał się usunąć wyjątkowo łatwo, tak jakby chciał odpokutować swoje winy. Darek wiedział jednak, że o żadnym żalu za postęпки nie ma mowy. Ponura zjawą grała z nim w swoją grę, z każdym posunięciem wciągając go coraz mocniej w koszmarny plan.

Po kilku godzinach rozważań zaczęła mu świtać jedna myśl. Oto idzie ku śmierci, to pewne. Jeżeli jednak ma zginąć, to lepiej honorowo tu i teraz, a nie wiele lat później, jako poszarpany przez zły los i ciągłe koszmarny strzęp człowieka. Filmy, które dostał, utwierdziły go w

przekonaniu, że należy walczyć, choćby nawet miał zginąć. Dlatego nieważne, kto do niego teraz wysyła wiadomości. Każdy będzie lepszy od Wojsława.

Kryminalne centrum rozrywki

„Co mam robić? Musicie mi pomóc usunąć Wojsława” – Liver odczytał wiadomość od Darka. Zadumał się, jego koncepcja okazała się słuszna: poszukiwany nie miał ochoty na żadne zabójstwa. Był zakładnikiem, który w tej chwili realizuje plan Wallsa albo, jak go nazwał, Wojsława.

– Co robić, co robić... To ja się pytam: co robić? – zamruczał pod nosem Liver. Wysłanie filmów okazało się dobrym pomysłem, została nawiązana nić porozumienia, ale brakowało koncepcji, jak działać dalej. Liver pokazał maila Smithowi.

– Jak to: co robić? Niech się odda w ręce policji. Wtedy wizycie premiera będzie zagrażał jedynie jakiś mityczny stwór. Przekáže się sprawę do ósemki, to goście od sekt i fanatyzmu religijnego, oni tam tego Wallsa rozpracują. Wizytę bezpośrednio chroni Bronson, który też może walczyć z duchami. Robi kawę z barszczu, to i ze zjawą sobie poradzi. A co, niech się chłop rozerwie. Natomiast my będziemy mieć już wolne. – Świat według Smitha był prosty, a wszelkie problemy jak za machnięciem czarodziejskiej różdżki przechodziły na innych, jego pozostawiając beztroskim i wesołym.

– Nieźle wykombinowane. Bronson na pewno się ucieszy, że masz o nim tak wysokie mniemanie. Ale obawiam się, że poszukiwany nie podda się teraz dobrowolnie.

– Dlaczego? – Smith wyraźnie zmarkotniał, domyślając się, że jego wizja zaraz legnie w gruzach.

– Bo jego problemem nie jest zamach, tylko ten Walls. Dzięki naszym filmikom już wie, że tak łatwo się go nie pozbędzie, a siedząc w więzieniu, będzie bezbronny.

- Czyli pokpiłeś sprawę, Liver. Facet jest skruszony, ale ty mu uświadomiłeś, że jeśli się podda, to będzie w czarnej dupie. - Smith chciał koniecznie ustalić winnego obecnej sytuacji.

- Spokojnie. Myślisz schematami. Planował zabójstwo, a teraz jest skruszony, to pasuje do zwykłych morderców. Ten taki nie jest. Sądzą nawet, że on w ogóle nie planował tej akcji.

- To jaki mamy pomysł na nasze biedne, opętane niewiniątko?

- Jeszcze nie wiem, muszę... - Liver się zamyślił.

- ...zadzwoń do Shakera? Dzwoni, bo my sami to tylko kawę umiemy pić i śmiać się z Bronsona. - Smitha niewątpliwie rozdrażniła perspektywa dalszej pracy i braku sukcesów.

Liver westchnął i machnął ręką.

- Przynajmniej mam do kogo. Shaker jest pomysłowy i nie poddaje się pesymistycznym wizjom. To człowiek konstruktywnych zachowań, a nie wielbiel biadolenia i złośliwych, bezsensownych przytyków. Jak niektórzy tutaj.

Smith zamilkł, wściekle zaciskając szczęki. Złożył dłonie i zaczął kręcić młynka kciukami; oczy w skupieniu śledziły wirujące palce. Po minucie takiej zabawy przestał i ponownie spojrzął na Livera.

- Przepraszam. Za nerwowy jestem. Dzięki za pomoc i zaangażowanie.

- Nie ma sprawy. - Liver nie zwykł się obrażać o wrzaski i wymówki.

- To kręcenie łapami cię rozluźnia?

Smith się zarumienił, zażenowany tym, że ktoś był świadkiem jego seansu odpuszczania napięć nerwowych. Nauczył się tego na warsztatach u mistrza Hoe-Nog-Hain, który tłumaczył, że ruch palców od siebie wywiewa złego ducha z piersi. Należy przy tym powtarzać słowa mongolskiego zaklęcia, które Smith wykuł na pamięć, choć nie wiedział, co ono oznacza. Metoda działała świetnie. Nie mogło być inaczej; cykl warsztatów u mistrza Hoe-Nog-Hain kosztował tysiąc pięćset funtów. Poza tym pierwszy raz w życiu przesiedział po turecku kilka godzin z rzędu, co przypłacił tygodniowym zwolnieniem

lekarskim, ale się opłaciło – jego dusza rozumiała mongolskie zaklęcia i już nieraz uniknął ataku złości dzięki kilku ruchom oraz wypowiedzeniu tych dziwnych, lecz skutecznych słów.

– A, to takie tam, dla siebie, mhm, na uspokojenie.

Liver pokiwał głową – każdy ma swoje zboczenia – w końcu jego słodka buła i kakao na poprawienie humoru to równie kontrowersyjna metoda uspokajająca. Uśmiechnął się wyrozumiale, wyciągnął telefon i zadzwonił do Shakera. Zatkanął nos i gdy tylko Shaker się odezwał, przemówił zmienionym głosem:

– Halo! Tu kryminalne centrum rozrywki. Czy jest pan zainteresowany przygodą życia? Proponuję milion atrakcji, a kulminacją będzie pojedynek z duchem-rycerzem. Kto przegra, zostanie ścięty. Czy mogę pana już zapisać? Dla pierwszych dziesięciu seans z wampirem-gwałcicielem gratis.

– Panie komisarzy, przecież widzę po numerze na ekranie, że to pan. Po co te wygłupy? Jeszcze ktoś usłyszy. – Shaker rozejrzał się nerwowo wkoło, sprawdzając czy nikt nie był świadkiem elektryzującej oferty Livera.

– Rozumiem, że nie jest pan zainteresowany – ciągnął Liver już normalnym głosem. – W takim razie przechodzę do spraw mniej rozrywkowych. Shaker, macie doświadczenie w kontaktach z istotami pozaziemskimi. Potrzebujemy ich rady.

– O, Boże... – jęknął dzielny konstabl. – Znowu? Przecież ja tej ich pomocy o mało życiem nie przypłaciłem.

– Shaker, taka robota. A o ile ciekawiej zginąć przez istoty nieziemskie niż umrzeć na zawał albo w zwykłym wypadku samochodowym. Sami przyznajcie.

– Mhm – ni to potwierdził, ni zaprzeczył Shaker.

– U nas sprawy wyglądają tak: mamy kontakt z tym Krzyżowskim. Smith załatwił nam czat poprzez listę tajnych adresów mailowych. I tamten teraz pyta, co ma robić, bo się boi, że skończy tak samo jak Mallbeth i Bullet. Shaker, wy chodźcie co tydzień do kościoła, gadacie z

nieziemską policją jak równy z równym, wypatrujecie poszukiwanego wśród miliona innych twarzy. Pogadajcie, z kim trzeba, i ustalcie, co się robi ze złośliwym upiorem, potem prześlijcie instrukcję mailem. Tymczasem my się skontaktujemy z miejscowymi egzorcystami, a potem skonfrontujemy wyniki.

– Ale... – Shaker już widział oczami duszy minę wielbego Wintersa, gdy go zapyta o procedurę odpędzania duchów. „Synu, nie bluźnij” to najczęstsza odpowiedź pastora na niezyciowe prośby parafian. I tym razem byłaby chyba uzasadniona.

– Jest jeszcze ta Mustain z Dagenham. Według ostatnich informacji ze spalonego domu ona również nie jest od nas. Aha, mieliśmy sprawdzić, czy nie pobiera emerytury na lewo... – Liver wiedział najlepiej, co powinien robić Shaker.

Panowie pożegnali się chłodno; konstabl najchętniej wysłałby przez satelitę telekomunikacyjnego impuls uśmiercający szefów wraz z ich niewykonalnymi poleceniami.

„Tak, pani Mustain to chyba jedyna nadzieja. Ten Falx albo Pricks twierdził, że ją zna, a przecież sam jest... Nie, nie wiadomo, kim jest. Rany! Dlaczego akurat mnie to spotyka?” Takie myśli przebiegały przez głowę zdenerwowanego Shakera, który tradycyjnie dostał najgorszą robotę. Już widział te wysiłki Livera... Siedzi z drożdżówką i kubkiem kakao w dłoni i głądzi ze Smithem trzy po trzy, byle przeczekać godziny pracy. Trudno. Trzeba jechać do Dagenham.

Zajechał pod kamienicę na Oxford Street 15, gdzie był kilka dni temu z Liverem – wówczas jeszcze święcie przekonany, pomimo spotkania z fikcyjnymi policjantami, że prowadzą rutynowe śledztwo i przesłuchują normalnych świadków. Teraz sytuacja przedstawiała się inaczej. Nie miał pojęcia, z kim właściwie będzie rozmawiał, o czym ani czy wyjdzie z tej pogawędki cało. Innymi słowy: bał się. Wchodząc do bramy pod piętnastką, czuł, że jego nogi to dwa słupki trzęsącej się galarety, a w gardle tkwi nieusuwalny kamyk. Z mieszkania po Krzyżowskim dochodziły jakieś głosy, szurania i stuki, najprawdopodobniej

wprowadził się nowy podnajemca. Shaker uczynił w stronę drzwi znak krzyża, tak jakby błogosławił nowo wprowadzonych albo modlił się o ich bezpieczeństwo. W odpowiedzi zza drzwiami ozwał się gromki, histeryczny śmiech, potem coś huknęło, ktoś zaklął; śmiech w tle nie ustawał, wręcz się potęgował. Znowu coś huknęło, tym razem w same drzwi, aż zadrżały w futrynach. Śmiech grzmiał cały czas. Shaker pobiegł po dwa stopnie naraz na piętro pani Mustain, co chwilę oglądając się za siebie. Ktokolwiek tam tak hałasował, żadne błogosławieństwa ani modlitwy nie są mu potrzebne. Lepiej stamtąd zmykać. Shaker podszedł do drzwi, na których znajdowała się stara, mosiężna tabliczka z napisem A&E Mustain. Ona to Elisabeth, jak sprawdził Shaker. Urodzona w 1938 w York, wyszła za mąż za Andrew i mieszka w Dagenham od 1965.

Konstabl zapukał. Cisza. Zapukał ponownie. Żadnego odgłosu. Jedynie nowa kanonada śmiechu piętro niżej połączona z kolejnym walnięciem w drzwi. Shaker przełknął ślinę, kamyk w gardle tkwił mocno. Nacisnął klamkę. Było otwarte. Szarość przedpokoju, cisza, mucha gdzieś bzyczy, objając się o szybę albo abażur. Z tyłu znowu wybuch śmiechu i uderzenie, ale jakieś takie przytłumione, jakby wejście do mieszkania oddzieliło go od hałasów niewidzialną ścianą. Wiedział, gdzie iść, był tu niedawno i pani Mustain przyjęła ich w saloniku.

Pchnął drzwi, otworzyły się z lekkim skrzypnięciem. Sofa, stół, reprodukcja obrazu ze wzburzonym morzem, na komodzie duży, monotonna cykający zegar. Gospodyni nie było. Shaker wszedł do kuchni – piecyk gazowy, na nim emaliowany czajnik z kwiatowym wzorkiem i garnek. Woda w czajniku jeszcze ciepła. Pani Mustain na pewno wkrótce wróci. Shaker po chwili zastanowienia stwierdził, że poczeka przed domem. Właściwie włamał się do tego mieszkania – pani Mustain spokojnie mogłaby wezwać policję – a na klatce schodowej przy akompaniamencie diabolicznych salw śmiechu nie zostanie za żadne skarby. Zbierał się do opuszczenia mieszkania, kiedy drzwi

wejściowe się uchyliły i ktoś w nich stanął. Shaker już otworzył usta, żeby usprawiedliwić swoje najście, ale widok osoby stojącej metr przed nim odebrał mu głos. Dosłownie.

W szarości przedsionka stał ten bulwiasto-galaretowaty potwór, którego przeganiał Falx-Pricks, a potem Shaker widział go na Murgrow Drive podczas aresztowania przez niby-policjantów. Chciał przełknąć nerwowo ślinę, ale kamyk w gardle jeszcze bardziej urósł, zatkał wszelkie prześwity pomiędzy ustami a wnętrzem konstabla. Bulwiasty postąpił krok do przodu i chrząknął; najwyraźniej obserwował Shakera, który zrobił krok do tyłu. Bulwiasty znowu podszedł o krok, a Shaker cofnął się o krok. I znowu krok, i kolejny krok. Dowcipniś Liver, gdyby był świadkiem tej sceny, niewątpliwie wsadziłby bulwiastemu różę w otwór gębowy i wysłał z konstablem do pary na konkurs tanga argentyńskiego, ale Shakerowi nie było do śmiechu. Dziwadło zbliżało się w milczeniu, łypiąc na niego oczkami umiejscowionymi bez śladu symetrii w fałdach bulwiastej kopuły. Weszli do lepiej oświetlonego pokoju. Tam zamarli w bezruchu.

- Ty kto? - wychrypiął przybysz.

- Sha... Sha... - nie mógł wydusić przestraszony Shaker.

- Głupie imię - skomentował bulwiasty. - Eli jest?

Shaker bezwiednie rozejrzał się po pokoju, choć z góry wiedział, że nikogo innego tu nie ma.

- Yyy, nie ma - zmartwiła się bulwiasta kopuła. - Pech, kurwa, pech. Ale ciebie to ja już gdzieś widziałem. Jesteś jadalny?

Shaker zmartwił. „Co za pytanie! Co mam na nie odpowiedzieć?”

- Taa... znaczy nie! - Odzyskał mowę. - Nie jestem! Jestem gorzki i łykowaty. - Odskoczył od bulwiastego. „Kto to jest?!”

- To kiepsko. - Bulwiasty znowu się zmartwił. - Bo ja jestem.

Sięgnął dłonią do najbardziej pofałdowanej części kopuły, wyrwał spory kawał i wsadził sobie do gęby. Chwilę żuł i mlaskał, wydając odgłosy zachwytu. Shaker wytrzeszczył oczy; zbierało mu się na wymioty.

– Pycha! Może spróbujesz? – Stwórz przelknął wreszcie samego siebie i postanowił się podzielić tym, co najlepsze. Shaker wzdrygnął się. Bulwiasty to dostrzegł, zwały ciała na moment opadły, może się obraził, ale zaraz odzyskał poprzedni kształt. – No, ja spadam. Jak przyjdzie Eli, to jej powiedz, że byłem. Nie zapomnisz?

– Nie. Na pewno nie zapomnę. – Shaker był pewien, że nie zapomni go do końca życia.

Przybysz wyszedł, a konstabl opadł na sofę i załkał.

– Dlaczego ja? Dlaczego, kurwa, ja? Za co? Liver, za co? – szlochał i jęczał, a przebyty stres objawił się strumieniami łez płynącymi z oczu. Shaker ryczał jak bóbr, przeżywając spotkanie z samozjadającą się galareta. I nie wiedzieć czemu w myślach widział, jak kroi na kawałki grubego Livera, głuchy na wrzaski i błagania o litość, i rzuca je w paszczę wiecznie głodnej galarety. „To wszystko jego wina!”

Przeżywał swój los jeszcze kilka minut, potem wstał i już miał wyjść, aby uciec stąd i nigdy więcej nie wrócić, choćby śledztwo stanęło przez to na zawsze, kiedy w sieni znowu szczęknęły drzwi. Rany, czyżby bulwiasty postanowił jednak sprawdzić jego smak? Shaker zamarł. Gdzie okno? Drugie piętro. Przeżyje. Najwyżej nogi połamię. Zaczął się szarpać z firaną.

– Był tu Sarmon? – zapytał ktoś z przedpokoju. – Znowu zwiął. A wiem, że tutaj lubi... Aaa, to ty, Shaker!

W drzwiach stanął Marshall. Shaker zastygł na chwilę, ale zaraz ponowił atak na okno. Marshall wcale nie był lepszą opcją. Klamka się zacięła, konstabl siłował się nerwowo z opornym kawałkiem metalu, zamierzył się w szybę...

– Shaker, poczekaj. Nic ci nie zrobię. Mam zakaz – uspokajał chłopak.

– Czego chcecie? Odwalcie się! – wydyszał spanikowany konstabl. Marshall podszedł bliżej. Shaker zamachnął się i huknął pięścią w szkło, aż zadudniło. Szyba ani drgnęła, natomiast Shaker zawył z bólu. Marshall był tuż-tuż.

– Spokojnie, Shaker. Nic ci nie zrobię.

Konstabl skulił się, w każdej chwili oczekując ataku. Marshall stanął nad nim, pochylił się, złapał go pod pachy i podciągnął do pozycji stojącej. Strzepnął mu niewidzialny pyłek z ramienia i uśmiechnął się.

– Nerwy, nerwy, panie kochany. Jak chcesz, to ci otworzę. – Marshall bez śladu wysiłku wyrwał nieomal okno z futryny; na zewnątrz ćwierkały ptaszki i jeździły samochody. Świeże powietrze ocuciło Shakera, spojrział przytomnie na Marshalla.

– Dziękuję. A jeżeli szukasz tej gadającej galarety, to była tu, zjadła trochę samej siebie i poszła.

– O tak, cały Sarmon, co za dowcipniś! A ty czego tu chcesz? Szukasz Mustain? Ma chyba odprawę. – Skinął głową, wskazując punkt gdzieś na suficie. – A oni tam długo siedzą. Głędzą, śpiewają, że hosanna i tratatata. Pewnie wróci dopiero w nocy.

Shaker zrobił zdziwioną minę. O czym on mówi? Widząc, że dziś nie będzie żadnej bitki ani prób gwałtu, nabrał chęci do rozmowy.

– Czyli, że wy i pani Mustain...

– O nie, nie, nie! Żadne wy i Mustain. Oni sobie, a my sobie. Nie moja wina, że ciągle sobie po łapach depczemy. Taki nasz psi los, jak duszyczka da nogę, to wszyscy mają łapać. A nie, że oni swoje, my swoje. Jest kooperacja, ale nie ma żadnego „my razem”. Tfu! Co za pomysł! No, Shaker, powodzonka. Lecę szukać tego Sarmona, jeszcze się cały zje i jak on wtedy wyglądać. – Marshall zarechotał z własnego dowcipu, odwrócił się na pięcie i ruszył ku wyjściu.

– Pomożemy wam z tym Wallsem – rzucił za odchodzącym Shaker.

Marshall zatrzymał się w pół kroku i odwrócił z półuśmiechem.

– No, na razie to my wam pomagamy raczej, nie?

– Niby tak, ale jakoś sami go nie możecie dopaść, a my już gadamy z opętanym, jak go wykończyć. Ten człowiek zrobiłby wszystko, żeby się od niego uwolnić. Nawet duszę by zaprzedał. Sukces blisko. – Konstabl trochę podkoloryzował relację Livera.

- Serio? Nawet duszę? - Marshall był wyraźnie zaskoczony postęпами.

- Mhm. - Shaker wydał dumnie wargi. - Jak się trochę przyłożycie, to chętnie wam Wallsa oddamy. Po co nam taki skubaniec? Weźcie go sobie, ale nie za darmo. Trzeba się trochę nagimnastykować.

- Czyli co? - Marshall lknął haczyk; już nie szukał Sarmona.

Shaker milczał, podsycając ciekawość Marshalla. W końcu się odezwał:

- Chwila, chwilunia. Najpierw kilka słów wyjaśnienia. Walls to zbiegła przed piekłem dusza, tak?

- Mhm - potwierdził młody.

- A wy to diabli, którzy chcą ją zaciągnąć na męki.

- Jacy znowu diabli? Funkcjonariusze. - Marshall przewrócił białkami oczu, całkiem jakby Shaker opowiadał banialuki.

- A Mustain i kilku innych to anioły?

- Jakie tam z nich anioły! - uniósł się znowu Marshall. - Anioł to z definicji grzeczna, łagodna istota. Zaś te baby to i u nas niejednego by do grobu wpędziły. W tej robocie trzeba się trochę ubrudzić, inaczej nie da rady.

- Aha. Godson odpowiada za ściganie Wallsa?

- Godson.

- Słuchaj, jak nam podpowiecie jakąś metodę na Wallsa, to śledztwo się skończy. Gagatki pójdzie do kotła i...

- I co? - przerwał mu Marshall. - Jak skończymy z nim, to zaraz będzie inny Walls albo Srols, albo inna głupia robota. Myślisz, że Godson nie mógłby go złapać? Tysiąc razy już mógł. Ale to się nie kalkuluje.

- On szkodzi ludziom! - zachnął się prawy policjant.

- I co z tego? Wam wszystko szkodzi. Może lepiej w ogóle się nie rodzić człowiekiem - rzucił Marshall i się zadumał. - Hm, wyszła złota myśl. Muszę ją zapamiętać.

Shaker postanowił zmienić ton.

– Słuchaj, Marshall. Ja mam już niezłe doświadczenie w policji. Widzisz, że jestem starszy, trochę w pracy widziałem. I wiem jedno. Jak go w krótkim czasie nie złapiecie, to ci z dołu się za was wezmą za brak wyników. To święta, mhm, znaczy, diabelnie pewna zasada. Nie da się opierdalać bez końca. Gdzie jest teraz Godson?

Marshall zbladł. Pociągnął nerwowo nosem.

– Kurde, rano dostał pilne wezwanie do centrali. Poleciał, jakby go popryskali kropielnicą. Myślisz, że... O, kurde! – Marshall przestraszył się nie na żarty.

– Na co jeszcze czekasz?! Jak się wykażesz, to nie tylko nic ci nie zrobią, ale i prawdopodobnie awansują. Już nie będziesz pod Godsonem. Może nawet dostaniesz własne śledztwo...

Marshall rozmarzył się nad tą wizją; uśmiech i półprzymknięte oczy jasno dowodziły, że Shaker trafił w dziesiątkę. Uwolnić się od rudego, wiecznie niezadowolonego Godsona i rządzić innymi – któż by nie chciał? Przyjemna myśl przez chwilę wypełniała Marshalla jak hel balonik na jarmarku, zaraz jednak powrócił do dawnego wyrazu twarzy. Chmura wątpliwości przykryła moment promiennej nadziei.

– Eee, a jak nie? Często tak znika, a potem wraca. Godson dałby mi popalić za to, że knuję za jego plecami.

– No dobra. – Shaker zmartwił się, że przynęta nie chwyciła. – Daj choć jakąś wskazówkę, coś, co nam ułatwi sprawę, a ty bez trudu się wyprzesz jakiegokolwiek współpracy. Coś, co ci nie zaszkodzi, a w razie kontroli pomoże.

– E, Shaker, a może ubijemy lepszy interes? Do tych głupot o Wallsie dorzucę coś więcej, ty dasz coś od siebie i się dogadamy. Twoja córka ćwiczy grę na pianinie. Może byś chciał, żeby została słynnym wirtuozem? Albo może życzysz sobie, żeby ten Liver był twoim podwładnym? Dla mnie to nie problem, jakieś tam uprawnienia się ma.

– A czy... – Shaker wrócił myślami do wizji Livera szarpanego żywcem jako pokarm dla galaretowatego stwora.

- O, tak! To też możemy załatwić! Z największą przyjemnością. - Marshall, który najwyraźniej umiał czytać w myślach, podskoczył z radości. Poszperał w kieszeni bluzy, coś wyciągnął i zaczął prostować na stole. - Zaraz się wszystko podpisze, ustali, wszystko, co pan sobie życzy.

Shaker przełknął ślinę. Wiedział już, co tamten chce mu zaproponować. I co ciekawe, ta myśl wcale nie wydała mu się nieprzyjemna. Ba, zaczął nawet ustalać listę kolejnych życzeń dla Marshalla, który cały czas się uśmiechał, mrucząc zachęcająco, i przygotowywał dokumenty. Tymczasem w kieszeni konstabla zabrzączał telefon. SMS od Livera. Pytał, czy wszystko w porządku, i napisał, że trzyma kciuki za postępy w czarnej magii. Shaker otrząsnął, SMS przyszedł w samą porę.

- Tfu, zgiń, odejdz! Ty diable, ty potworze, jak ja cię... - Rzucił się z pięściami na Marshalla.

Po chwili Shaker leżał na podłodze z wybitym zębem. Marshall chował dokumenty z westchnieniem zawodu.

- Szkoda. Myślałem, że ci trochę pomogę. Ale jak nie chcesz, trudno. Przepraszam za tego zęba, ale to ty zacząłeś.

- A Walls? - wyseplenił Shaker przez pokrwawione wargi. - Miałeś coś podpowiedzieć.

Marshall westchnął ponownie, rozejrzał się niepewnie po pokoju, jakby sprawdzając, czy nikt nie podsłuchuje. W końcu nachylił się i cicho powiedział:

- Walls jest abstynentem. Był za życia, jest i teraz. Nienawidzi wódy, dostaje szału, jak go nią polać albo jeszcze lepiej napoić. Głupieje, staje się bezbronny.

Marshall podniósł się i wyszedł. Shaker wybiegł kilka chwil po nim.

Lord traci grunt pod nogami

Lord Wiliamson huknął pięścią w klawiaturę; plastik pękł gdzieś tam z nieprzyjemnym trzaskiem, a jeden z klawiszy wyprysnął w górę, puknął w sufit, spadł i zastygł pod krzesłem.

– Jasna cholera! – zaklął. – Kto tu mieszka?!

Zerwał się przed ekranu komputera i zaczął nerwowo krążyć po pokoju; mruczając wściekle pod nosem, analizował sytuację. Do wszystkich kont przekazanych przez świętej pamięci Kawalca dostęp został zablokowany. Albo ktoś je usunął, albo zmienił hasła. Tak czy inaczej, zrobił to, co chciał zrobić lord, czyli przejął kontrolę nad dawnymi informacjami i jakimkolwiek kanałem kontaktowym z zabójcą. Samym zabójcą lord niezbyt się przejmował, sądził, że nigdy więcej go nie zobaczy. A nawet gdyby zgłosił się do niego po resztę wypłaty, dałby mu dla świętego spokoju co chce, i wysłał do wszystkich diabłów. Choć Kawalec dostał pieniądze, lord wątpił, aby je przekazał. Wysłani mordercy również nic nie przynieśli. Jaśko zarzekał się, że żaden z jego ludzi nie ukradłby ani szylinga. Lord nie wątpił w ich uczciwość ludzką w odniesieniu do jednego szylinga, ale w przypadku milionów szylingów ta uczciwość zazwyczaj topnieje jak lód w marcu. Z wcześniejszych informacji wynikało, że płatny zabójca zrezygnował z zapłaty i realizuje już własny plan. Niech mu będzie. Jakiś nawiedzony? Skąd on się właściwie wziął? A może to sprawka tego mitycznego Wojsława, który rzekomo mu towarzyszy? Tak czy siak, Wiliamson po pozbyciu się Kawalca – a tym samym likwidacji jasnych powiązań jego lordowskiej osoby z zabójczymi planami – stał się dużo spokojniejszy. Na wszelki wypadek zawiadomił służby ochrony o możliwości zamachu; rzecz jasna anonimowo. Dużo bardziej dręczył go fakt, że ktoś przejął

ich kanały kontaktu. Któż to mógł zrobić? Co mogą w ten sposób wyniuchać? Ech, te przekłete nowe technologie. Dawniej był papier. Dobry, poczciwy, łatwopalny papier. A teraz mógł się spodziewać jednej z trzech sytuacji: wizyty smutnych panów i odjazdu czarną limuzyną, szantażu i próby wyłudzenia okupu za tajemnice lub nerwowego czekania na rozwój wypadków. Każda z tych możliwości była nie do zaakceptowania w jego obecnym stanie psychicznym.

- Zamiast siedzieć teraz w kąpielach mineralnych i wspominać z innymi starszuchami królową Wiktorię, bawię się w terrorystę. Stary, głupi baran - wystękał, próbując nerwowo zalogować się na jakiegokolwiek konto mailowe z listy leżącej na stole. Bezskutecznie.

Sięgnął po słuchawkę i wezwał Jaśka. Ten przyszedł po kilku minutach, przyklęknął swoim zwyczajem na kolano i skłonił głowę.

- Jaśko! Szkolenie waszej grupy dobiegło końca. Jesteście już gotowi do akcji.

- Rzekłeś, panie. - Jaśko zgodził się z opinią lorda.

- Czas właśnie na tę akcję. Przygotuj wszystkich do wyjazdu. Dostaniecie zaszczytne zadanie.

Jaśko uklonił się, ale nie odchodził. Najwyraźniej czekał na dalsze informacje. Lord dłuższą chwilę rozważał, co mu powiedzieć.

- Pojedźcie do Polski, w wasze rodzinne strony. Tam zrobicie coś w służbie kraju.

- Jakiego kraju? - Jaśko najwyraźniej nie był pewien, jakiego państwa jest obywatelem.

- Wielkiej Brytanii, oczywiście - zachnął się lord. - Zgłoś się za dwie godziny. Wy tłumaczę, co i jak.

Jaśko skłonił się i wyszedł. Pomysł, który przyszedł lordowi do głowy, był prosty, ale miał duże szanse powodzenia. Wyśle swój oddział do ochrony premiera. Taka spontaniczna akcja prawych serc. Najprawdopodobniej aresztują ich pod zarzutem ataku z bronią w ręku albo jako terrorystów. Nawet jeżeli wyjdą cało z tej kabały, to lord będzie

miał dobry powód, żeby jako przestępców nie przyjąć ich z powrotem, a przed premierem się wytłumaczy chęcią pomocy.

- Jasny gwint, gdyby papa wiedział, co będę wyprawiać na stare lata, na pewno zapisałby cały majątek na rzecz England and Wales Cricket Board⁵. I dobrze by zrobił - mruzczał, próbując się ponownie zalogować na konta kontaktowe z Darkiem. Bezskutecznie.

Wódka jest dobra na wszystko

Kolejny dzień przygotowań do wizyty premiera oraz towarzyszącej temu kontroli wraz z autoryzacją zaczynał się bardzo niemrawo. Zarówno strona polska, w postaci Wątroby, Wróżki, Chwiejczaka i Edka, jak i angielska, reprezentowana przez Livera i Smitha, pokazywały światu blade twarze i podkrążone oczy. A wszystko przez alkohol. Lepsza część polskiej obsady komendy zaprosiła lubiany odłam delegacji angielskiej na kolację i miły wspólny wieczór. Skończyło się na zero-siedem litra wódki czystej na głowę, wspólnych śpiewach w dziwnym języku, rajdzie przez uśpione miasto, a całość została okraszona striptizem Wątroby na stole pełnym potłuczonych kieliszków i talerzy.

Liver właśnie sklejał w głowie strzępki obrazów, słów i smaków, tak aby móc wyrobić sobie zdanie na temat wczorajszej imprezy oraz swojej w niej roli. Smith niczego nie sklejał, ponieważ był w pełni pochłonięty walką z targającymi nim nudnościami i pulsującym bólem w skroniach, który nie wiadomo skąd się pojawił, potężniejąc z minuty na minutę. Polacy, sądząc po braku jakiegokolwiek aktywności, czuli się podobnie. Wszyscy współczuli Edkowi, który nie mógł się zaszyć w życie wewnętrzne i jedyną bronią na kaca była agresja w stosunku do petentów, niemających krzty zrozumienia dla gorszego niż zwykle samopoczucia policjanta.

- O, kurwa! - stęknął Wątroba, patrząc tępo w jakiś dokument na biurku. Litery zlewały się w ciągi dziwnych, rozmazanych znaków, a płachta kartki przekreślała się delikatnie, jakby uciekając przed wzrokiem policjanta.

Nikt nie odpowiedział na tę światłą uwagę, ale każdy myślał i czuł to samo: „O, kurwa!”. Wątroba odtwarzał w myślach wydarzenia z wczoraj

i z każdym powracającym obrazem potężniał wstyd, narastało zażenowanie własnym zachowaniem. Stary, a głupi. Jak mógł się tak upić przy zagranicznych gościach? W kulminacyjnym momencie wieczoru wpadła na nich grupka miejscowych meneli pod wodzą Stalowego Kazka; Wątroba znał ich i lubił, dlatego powiększyli oni grono pijących na umór. Jedynym chyba plusem wczorajszej imprezy było przetłumaczenie pseudonimów trzech szemranych kumpli Wątroby na angielski, i tak: Stalowy Kazek to Steel Caz, Pająk to oczywiście Spider, a Marian to Maryann. Liver, po analizie ostatniego z przetłumaczonych imion, zawyrokował, że siedzący z nimi niedogolony i szczerbaty gościu powstał z połączenia dwóch kobiet-nimf Mary oraz Ann, i dlatego tak się nazywa. Wróżka natychmiast poprosił Mariana do tańca, twierdząc, że uwielbia perwersyjne trójki. Kolejka szła za kolejką. Smith zdradził wszystkim najtajniejszy kod w jego organizacji, ale pozostali mieli gdzieś kody i tajemnice. Trzeba było iść do sklepu nocnego po dolewkę. Steel Caz po kilku wspólnych toastach ulotnił się wraz z kolegami, wyjaśniwszy, że obiecali jeszcze wpaść na wieczorne spotkanie przy ławeczce Bolusia, który zakupił okazjnie w hurtowych ilościach niezłą mołdawską cytrynowkę i odsprzedaje po pięć zeta za litr dobrym znajomym. Mołdawski wynalazek kopie podobno równie mocno jak ukraiński samogon, ale przynajmniej posiada etykietkę, na której jest napisane, że można to spożywać. Chyba jest tak napisane, bo przecież nikt mołdawskich opisów nie tłumaczył. Również drobnostkami typu banderoła akcyzy żaden z konsumujących sobie głoży nie zawracał. Stalowi poszli, a policjanci pili dalej.

- Moja głowa, moja głowa... - jęczał Smith, daremnie próbując znaleźć pozycję, która zmniejszy jego cierpienie. W końcu wstał, bąknął coś o świeżym powietrzu i wyszedł.

- Teraz ze Smith wy zrobili prawdziwa sztywniak. Żywy trup - zagadnął Liver do Wątroby i jego kompanów. Odpowiedzią było kilka bladych, nikłych uśmiechów. Tak, tak, dali wczoraj w rurę jak się patrzy.

W tym momencie otworzyły się drzwi i do biura, chwilowo przemianowanego na trupiarnię, wszedł Bronson. Uśmiechał się tryumfalnie, a w rękach dzierżył dwa parujące kubki. Postawił jeden przed Liverem, a drugi przed pustym krzesłem Smitha.

– Proszę, moja ulubiona kawa postawi was na nogi. Co prawda Smith wygląda, jakby już nigdy nic nie było w stanie mu pomóc, ale ty, Liver, masz jeszcze szansę – powiedział ze złośliwym uśmiechem i wyszedł.

Liver upił trochę syntetycznego barszczyku i stwierdził, że wyjątkowo Bronson ma rację: ciepły i kwaśny napar pasował do ich nastroju jak ulał. Smith właśnie wrócił; jeszcze głębsza bladeść twarzy niż przed chwilą dowodziła, że spacer niewiele mu pomógł.

– Masz tu prezent od Bronsona, podobno pomaga. – Liver wskazał na parujący kubeczek.

Smith spojrział, pociągnął nosem, następnie pobladł jeszcze bardziej, coś w nim zabalgotało, zawrócił i wypadł przez drzwi. Tętent kroków po posadzce korytarza świadczył o pośpiechu, w jakim opuszczał budynek.

– Zew natura, on dziś nie lubić dusznych mur, woli biegać pole, las – skomentował swoim polskim tę nagłą akcją Liver i napił się z kubka kolegi, słusznie podejrzewając, że Smith nie zostanie wielbicielem barszczyku z automatu.

Po godzinie doszli jako tako do siebie, nawet Smith zaczął odpowiadać półsłówkami na zadawane pytania, słońce zaświeciło. Jedynym zgrzytem był przyjazd na plac przed komendą śmieciarki, która – jak zawsze co dwa tygodnie – opróżniała kubły na śmieci z okolicznych domów i z samego komisariatu. Łącznie trzydzieści osiem pojemników. Trzydzieści osiem razy miało się ozwać wycie podnośnika i tyleż samo – przenikliwy dźwięk opuszczania kontenera zakończony gromkim puknięciem kubła w bruk; dziesiątki butelek, zwały gruzu, dziurawych wiader, tony resztek, obierek i tysiące innych hałasujących rzeczy miały się przesypywać po blasze, by z piekielnym jazgotem zmieszać się w śmieciową masę; siedemdziesiąt sześć razy miały

zadudnić piszczące koła pojemników o wyboisty bruk, a obsługa miała kilkadziesiąt razy wykrzykiwać do siebie komendy i polecenia, między które skrzekliwie wpychać się będą słówka uznawane powszechnie za wulgarne. Po pięciu minutach tego hałasu Wątroba zerwał się ze zdeterminowaną miną i przekrzykując akcją przed budynkiem, wydał Chwiejczakowi jasne polecenie.

Po chwili zdumiona załoga śmieciarki otrzymała plik mandatów: za wjazd na teren objęty zakazem wjazdu, za używanie niecenzuralnych słów i za palenie w miejscu publicznym, za zakłócanie ciszy nocnej oraz za zbyt duże zużycie bieżnika w oponach pojazdu. Po namyśle Chwiejczak skreślił słowo „nocna” w mandacie o zakłócanie ciszy, następnie po wzięciu pokwitowania odbioru oddalił się spokojnym krokiem. Pomarańczowy samochód wyprysnął z placu kilkanaście sekund później, pozostawiając dwanaście nieopóźnionych kubłów. Przez kilka najbliższych miesięcy mieszkańcy okolicznych zabudowań na próżno będą interweniować u służb komunalnych w sprawie braku wywozu odpadów. Śmieciarka od tego dnia bowiem omijała plac szerokim łukiem.

Gdy Chwiejczak wrócił z szelmowskim uśmiechem do biura, Wątroba pokiwał głową z uznaniem. Teraz można już było popracować.

W kieszeni Livera rozdzwonił się telefon. Policjant popatrzył na ekranik, następnie odebrał i zanucił na melodię znanej piosenki Marka Grechuty (jednego z ich wczorajszych numerów popisowych):

– Shaker, Shaker. Shaker, ach, to ty...

Po londyńskiej stronie ozwało się pełne zgorszenia chrząknięcie. Shaker spłoszył się tym muzycznym żartem, tym bardziej że nie rozumiał słów pryncypała. Na chwilę ogarnął go cień żalu, że jednak nie skorzystał z propozycji Marshalla. Liver i jego dogaduszki zniknęłyby w brzuchu galarety, a on sam nie musiałby już słuchać kretyńskich dowcipów. Jeszcze by poprosił o awans, może nawet na komisarza.

– Witam, dzielny konstablu. Jakie wieści z Krainy Zjaw? Mamy pomysły na demona?

Shaker opowiedział, cenzurując zeznania. Wyciął relację ze spotkania z gadającą bulwą, nie wspomniał również o kuszących propozycjach Marshalla; Liver nie miał pojęcia, że był o włos od śmierci w męczarniach. Natomiast informacja o uczuleniu Wojysława na alkohol bardzo go zainteresowała.

– To samo mówią miejscowi, że wódka jest dobra na wszystko. Smith się trochę napił i dziś już go wcale nie boli kręgosłup. Swoją pracą też się tak bardzo nie przejmuję...

Smith zaoponował przeciw tym wywodom gardłowym, zduszonym dźwiękiem, który mógł być nieartykułowanym protestem pokrzywdzonego przez los i wredną plotkę, ale równie dobrze mógł symbolizować kształtowanie się nowego, lepszego człowieka w mękach bólów poalkoholowych.

Liver zignorował odgłosy produkowane przez Smitha i rozmawiał dalej. Nurtowały go dwa problemy. Po pierwsze dlaczego diabli nie mogą dopaść Wallsa i czy go dopadną, jeżeli ten zostanie choć na chwilę unieszkodliwiony alkoholem. Druga sprawa to sposób przekazania informacji opętanemu mordercy. Po skończeniu tematu odkryć Shakera Liver usilnie począł wypytywać o panią Forewind. Może się pojawiła? Cały czas miał nadzieję na randkę z anielicą, choć ta nie wykazała więcej zainteresowania osobą łysiejącego grubasa. Co do innych wątków perwersyjnych bardzo chciał wyciągnąć w końcu od podwładnego, jak wygląda pani Schwarzenbrot, niemiecka nauczycielka jego córki. Raz widział ją oczyma duszy jako kobietę-wampa w obcisłych, lateksowych uniformach, która bawi się pejczem, paląc długiego papierosa; raz jako bawarską dziewczkę z blond warkoczem, wielkim dekoltem i bicipsem kulturystki. Shaker jednakże zbywał te nagabywania ogólnikami, dzięki czemu wyobraźnia Livera mogła spokojnie pracować dalej.

Temu wszystkiemu z niemym zdumieniem przysłuchiwał się Smith, który pomimo złego samopoczucia był już w stanie rozróżnić rozmowę

służbową od luźnej wymiany poglądów erotomanów-gawędziarzy. Po chwili Liver schował telefon.

- Trzeba pisać do Krzyżowskiego, Shaker coś wywachał - mruknął, uruchamiając kolejny mail kontaktowy do skruszonego mordercy.

Wejście „na listonosza”

Wojśław chyba go podejrzewał. Darek patrzył z ukosa na swojego kompana, starając się tak korzystać z komputera, żeby demon nie mógł nic odczytać ani na ekranie, ani z jego myśli. Było to bardzo trudne, jednakże Darek już się nieco wprawił; puszczał w eter miłe obrazki zamiast swoich przemyśleń. Wojśław nie był zbyt biegły w obsłudze komputerów, ale ze swoimi możliwościami mógł się już czegoś nauczyć, a wiadomość, która przyszła, na pewno nie była przeznaczona dla jego oczu. Jeżeli chodzi o myśli, to pomimo wszelkich środków ostrożności, ciągłego przywoływania w pamięci neutralnych obrazów maskujących, rozmyślenia Darka musiały w jakiejś formie dochodzić do Wojśława. Najprawdopodobniej demona denerwował brak kontroli nad towarzyszem, rodzaj muru między nimi. Pewnie dlatego od wczoraj był taki zasępiony.

Darek znowu na niego spojrział. Wiedział już, po co jest mu potrzebny i po co byli mu potrzebni inni. Wiedział również, że musi się go pozbyć, choćby za cenę własnego życia. Czuł, że Wojśław prowadzi z nim rozgrywkę, w której raz jest dobrotliwym wujkiem, raz przerażającym oprawcą. To on sam go przyciągnął, swoim dawnym życiem jako Bart. Nie odciął się całkowicie od przeszłości, tkwił w niej i to zdecydowało, że ma go teraz na karku. Musi się go pozbyć bez względu na wszystko. Domyślał się, że raz będąc dobry i przyjacielski, raz władczy i bezwzględny, Wojśław zmierza ku swojemu celowi. Po to, żeby go pograć, doprowadzić do rozpaczy teraz, a co najważniejsze, również po śmierci. Bo to była walka nie o lepsze życie, lecz o śmierć, która da jeszcze nadzieję na przebaczenie grzechów.

Potężny towarzysz poruszył się nerwowo w fotelu. „Rany, coś wyczuł!” Darek szybko ukrył swoje myśli pod sielankowym obrazkiem tatrzańskiej hali ze stadem owiec. Ale ta metoda powoli przestawała działać, nie mógł przestać myśleć o swojej dziwnej roli. Denerwował się coraz bardziej. Trzeba coś odpisać nowemu, nieoczekiwanemu sprzymierzeńcowi, który odezwał się na jeden z adresów służących pierwotnie do kontaktów z Kawalcem. Musi podtrzymać tę obiecującą znajomość, musi coś zrobić, żeby wyrwać się z matni, w jaką się wpackował. Nie chciał dłużej być sam na sam z tym...

Wojśław zerwał się gwałtownie, podbiegł do Darka i huknął pięścią w komputer, przelamując go na dwoje.

- Koniec! - wrzasnął dziko. - Do kogo ty tam piszesz? Co to za tajemnice?! Przecież działał już sam. Gadaj ze mną, a nie z kimś tam. Nie ma pisania. Koniec. Knujesz coś, tak?! Jeszcze pogadamy, ja cię nauczę knuć, ja cię nauczę...!

Chwycił Darka za ramiona i z potężną siłą pchnął na ścianę; mężczyzna jęknął głucho i osunął się na podłogę. Uderzenie było tak silne, że Darek na moment stracił przytomność. Wojśław, ciężko dysząc, wpatrywał się w leżące ciało. Po chwili jęknął z rozpaczą i przypadł do leżącego.

- Darek, nie chciałem. Żyjesz? - Prawie łkał, sprawdzając mu puls i oddech.

Darek żył. Po chwili otworzył oczy i odepchnął przytrzymujące go ręce Wojśława.

- Zostaw mnie - warknął. - Sam wstanę i nie waz się mnie więcej dotknąć, bo... bo... sam się zabiję.

Wojśław, mruczając pod nosem słowa przeprosin, przeszedł na drugi kraniec pokoju hotelowego.

Darek patrzył w okno. Zbierało mu się na płacz, ale opanował się, a zalewające go fale smutku i żalu nad swoim losem przerabiał na wściekłość i chęć zemsty. Tak, był wściekły. Wściekły na życie, że go tak krzywdzi, wściekły na siebie, że tak żyje, na innych, że go zostawili z

Wojślawem. Nie wszyscy. Darek zamyślił się nad wydarzeniami ostatnich godzin. Tak. Ma jeszcze sprzymierzeńca, kogoś, komu nie jest obojętny jego los, kto okazał mu wsparcie i pomoże w godzinie próby. Wiedział to od wczoraj i po krótkim wahaniu postanowił przyjąć propozycję tamtego. Zawrzeć umowę. Poszedł do łazienki, umył twarz. Gdy wrócił, Wojślaw siedział na fotelu; wyglądał, jakby nic się nie stało. Darek zmełł w ustach przekleństwo.

– Dziś jedziemy do fabryki, tak? – rzucił w przestrzeń.

– Tak – spokojnie odpowiedział Wojślaw.

– A jak wejdziemy?

– Mam plan, wejdziemy na listonosza. – Wojślaw uśmiechnął się wesoło, jakby całkiem zapomniał o wydarzeniu sprzed kilku minut. Ot, po prostu grubo ciosany, niezdarny, ale poczciwy osiłek. Darek westchnął z rezygnacją i pomyślał, że jedyna nadzieja w jego nowym sprzymierzeńcu.

– Na listonosza? – Nazwa metody była dość tajemnicza.

Wojślaw kiwnął tylko głową i sięgnął po słuchawkę telefonu. Wystukał numer. „Cholera, dzwonić już umie, średniowieczna kreatura” – pomyślał Darek. Wojślaw spojrział na niego z błyskiem gniewu w oczach, najwidoczniej tę myśl swego towarzysza usłyszał. Przy takich postępkach obsługa komputera to kwestia dni.

– Halo, fabryka? – Wojślaw się dodzwonił. – Chciałem rozmawiać z mistrzem na montażu. Jakże on się nazywa... O, właśnie, Socha. Może mnie pan połączyć? A jaki jest numer wewnętrzny, jakby mnie rozłączyło? Aha, sto dwa. A wydział montażowy... Rozumiem, są dwa... Socha jest mistrzem na... Mhm. Proszę połączyć. – Wojślaw odłożył słuchawkę i uśmiechnął się promiennie. – Mistrz Socha, wydział montażu końcowego. Można jechać.

Darek wydał wargi i wzruszył ramionami, ale założył kurtkę i po chwili maszerowali razem. Wojślaw prowadził ich pewnie, mijając kolejne ulice i skwery. Dotarli do ronda, gdzie miejska ulica rozwidlała się na szereg dróg, w tym na drogę krajową. Wojślaw pociągnął Darka

dalszych kilkadziesiąt metrów, aż znaleźli się na parkingu baru dużej sieci gastronomicznej. Wojsław usiadł na ławce.

- I co dalej? - Darek nie miał pojęcia, co planuje ponury kolega.

- Czekamy - odparł Wojsław, założył ręce i zastygł w milczeniu, obserwując zajeżdżające pod budynek baru samochody. - Czekamy - powtórzył, jakby rozkoszując się tym stanem.

Darek znowu wzruszył ramionami; nie chciał siadać koło Wojsława, którego mierzył wrogim spojrzeniem, zastanawiając się, jak podoła swemu zadaniu. Po kilku minutach na parking wtoczył się furgon z logo firmy kurierskiej. Ze środka wyskoczył posłaniec, ubrany w firmowy uniform, spojrzął na zegarek i z zadowoloną miną wszedł do baru, pewnie by kupić drugie śniadanie.

- Nu, idziem.

Wojsław podźwignął się z ławki i skinął ręką na Darka. Razem podeszli do furgonetki, która stała tyłem do krzaków przy jezdni; z baru byli niewidoczni. Wojsław musiał przeprowadzić wcześniej rekonesans i poznać zwyczaje kuriera oraz teren wkoło parkingu, bo działał teraz bardzo szybko i pewnie. Chwytał za klamkę i pociągnął. Choć zrobił to bez żadnego wysiłku, klamka z trzaskiem wyskoczyła ze swojego zagłębienia w blasze. Na ziemię upadły wyrwane wkręty i zatrzaski. Wojsław ze zdziwioną miną oglądał przedmiot, który został mu w dłoni.

- Uuu, tandeta, ledwo się trzyma - ocenił. Następnie chwycił krawędź blachy przy klamce i zacisnął palce. Metal ulegał powoli, szpara pomiędzy drzwiami a framugą rosła, w końcu coś strzeliło i drzwi się otworzyły. Darek obserwował te działania pełen podziwu dla siły towarzysza. Wojsław uczynił zachęcający gest; wskoczyli do środka.

- Co teraz? - zapytał Darek, choć już się domyślił, do czego dąży Wojsław. Demon syknął uspokajająco.

Po chwili kurier pojawił się koło samochodu, w rękę trzymał kubek z niedopitą kawą. Rozmawiał przez telefon.

- Tak, tak. Kurs do Jagnięcic, jakieś czterdzieści minut, potem dwie przesyłki w mieście i tankowanie. Będę w bazie najdalej za dwie

godziny... Co? Tak, pobiorę ten ekspresowy po drodze z Jagnięcic. To by było pół godziny więcej... Co? Jak mam zdążyć przed południem na strefę? Dajcie skrzydła i silnik odrzutowy, he, he, he! Dowcipniś. Powtarzam: dwie godziny i jadę na strefę albo wyślij Franka. Co? Nie może, ma kurs? Aha, a ja zawsze mogę. Dobra. Po-po-łu-dniu, nie dam rady szybciej.

Najwyraźniej kierowca nie wyrabiał się z ilością przesyłek. Wyłączył telefon, dopił kawę, sapnął i rzucił uwagę, że jakiś Ernest powinien krowy paść, a nie zarządzać spedycją. W końcu wsiadł do samochodu. Wsadził kluczyk w stacyjkę i w tym momencie poczuł potężny ucisk na szyi; jakieś dziwne oczy patrzyły na niego w lusterku wstecznym. Ciepłe dłonie nie puszczały, pozbawiały tchu, czuł ból zgniatanego jabłka Adama i niesamowicie mocny chwyt, który dusił i skręcał kark, skazując go na śmierć albo w najlepszym wypadku na wózek inwalidzki. Tym razem chodziło o śmierć.

– Nu i mamy listonosza – skomentował Wojśław, rzucając bezwładne ciało kuriera na tylną część samochodu między przesyłki piętzące się za siedzeniami.

Darek nic nie odpowiedział. Przysypali leżącego paczkami i kopertami, po czym usiedli na fotelach i ruszyli w kierunku fabryki; prowadził Wojśław. Dojechali do portierni, Darek krzyknął przez uchyloną szybę:

– Przesyłka do pana Sochy.

Portier wyszedł ze służbówki i stanął przy szlabanie z gniewną miną.

– A ty co? Pierwszy raz tutaj? Książkę wjazdów podpisać. Gdzie Karol? On zazwyczaj jeździ tym złomem.

Darek wygramolił się z szoferki, pomruczał coś o urlopie i zastępstwie; portier chodził wokół szoferki i zaglądał ciekawie przez szybę, ale Wojśława nie widział. Stał kilkadziesiąt centymetrów od niego, pochylił się, patrząc mu prawie w oczy, jednakże niczego nie zauważył.

– Ależ ty masz burdel w tym samochodzie! Paczki wyglądają, jakby je koparką usypali. Przyjedzie Karol, to poskarżę się, jak pilnujesz porządku. Ja pierniczę, Karol się załamie. Otwórz, kolego, te drzwi, muszę sprawdzić, czy nie ma tam czegoś podejrzanego. Podobno jakaś szychy tu jedzie i niejeden by chciał mu bombkę na łeb rzucić. – Portier głądził i dowcipkował, ale dalej stał przy samochodzie, najwyraźniej oczekując otwarcia tylnej klapy.

Darek przeszedł do tylnych drzwi samochodu. Puknął w miejsce wyrwanej klamki.

– W nocy była próba kradzieży. Przepłoszyli nicponi, ale ci zdążyli narobić szkód. Drzwi od strony kierowcy też uszkodzone. Teraz muszę wyciągać paczki przez przednie prawe drzwi. Pokazać? – Darek cały czas uśmiechał się przepraszająco; kątem oka widział Wojsława przycajonego do akcji unieszkodliwiania portiera.

Starszy pan zarechotał. Machnął lekceważąco ręką.

– Jechać, jechać. Jak pan Socha eksploduje, to najwyżej będzie na mnie, a szychę na pewno chronią jak żrenicy oka i nic mu się nie stanie.

Darek odetchnął z ulgą i wskoczył do samochodu; odjechali bez zwłoki. Portier zarechotał jeszcze raz. Potem zmarszczył czoło w zastanowieniu. Facet wsiadł z prawej, a samochód ruszył od razu. Musiałby być zwinny jak małpa, żeby tak w sekundę przeskoczyć na miejsce kierowcy. Wrócił do portierni, spojrzął na książkę wjazdów – numer rejestracyjny nagryzmołony byle jak, trójki od ósemki nie odróżnisz, podpis nieczytelny. Trzeba poprawić. Wyjrzał na zewnątrz, ale pojazd kurierski zniknął już za rogiem hali. Westchnął z dezaprobatą. Jutro na pewno poskarży się Karolowi.

Zaparkowali pod długą białą halą. Co chwila mijał ich wózek widłowy lub jakiś pracownik w żółtoszarym kombinezonie. Darek pomyślał, że bez takich kombinezonów będą się bardzo wyróżniać w tym otoczeniu. Naraz zacharczało urządzenie doklejone do deski rozdzielczej. To

musiał być odbiornik radiowy, CB-radio do komunikacji na małe odległości.

- E, Karol. Tu Ernest. Czemu nie odbierasz telefonu? Śpisz podczas jazdy? He, he, he. Trochę to niebezpieczne. Widzę po GPS-ie, że jednak jesteś na strefie. Odbiór.

Wojśław spojrział zdumiony na Darka, chwilę trwali w ciszy. Co odpowiedzieć? W końcu odezwał się Darek, mówiąc grubo i bełkotliwie.

- Pojechałem, choć lepiej by było, żebyś krowy pasł, a nie dyspozytorką się zajmował z tymi swoimi pomysłami. Będę później na bazie. Odbiór.

Ktoś na linii zachichotał; widać mieli świadków rozmowy na otwartym kanale.

- Co tak dziwnie gadasz, gardło cię boli? - zainteresował się Ernest.

- Miałem atak alergii, leci mi z nosa, a w gardle jakby papier ścierny. Pierdolona wiosna. Spadam. Bez odbioru.

W głośniku coś trzasnęło, Ernest się wyłączył. Wojśław spojrział pytająco na Darka.

- Co to jest „po dżipiesie”?

- GPS to nadajnik podający pozycję. Aleś wybrał samochód! Strzał w dziesiątkę. Cały czas widzą, gdzie jesteśmy.

Wojśław się stropił, ale tylko na chwilę, zaraz twarz mu się rozjaśniła.

- Bez paniki, panie młodszy. Skoczę raz dwa na miasto, znajdę tego Ernesta i po sprawie. A jak się tam jeszcze ktoś nawinie...

- Przestań! Ty i te twoje jatki! Trzeba mieć tu. - Darek popukał się w głowę. - A nie tylko krzepę i szybkie nogi. Mamy co najwyżej godzinę. Idziemy.

Wysiedli z samochodu i dźwigając dla niepoznaki po paczce, ruszyli wzdłuż białej hali. Po chwili znaleźli bramę z oznaczeniem A8. Weszli. Minęli przedsionek oraz wejście do jakiegoś kantorka. Następnie trafili do hallu, który ciągnął się wzdłuż całego budynku. Spojrzeli w dal

korytarza, usianego drzwiami do różnych pomieszczeń hali. Przeszli przez największe wrota, które prowadziły do ogromnego obszaru przeznaczanego na montaż traktorów, obecnie tylko częściowo zagospodarowanego – widomy znak, że produkcja dopiero startuje. Po terenie hali kręcili się robotnicy, coś montowali. Jakby scenę albo pomost. Przygotowania do wizyty premiera szły pełną parą. Wrócili na korytarz. Chyba trwała przerwa w pracy zakładu, bo w jednym mijanych pomieszczeń zauważyli ludzi z kanapkami, przed halą zaś – grupki palaczy w oparach sinego dymu z papierosów. Słyszeli rozmowy przeplatane śmiechem. Ten ruch i gwar były im na rękę; mniej rzucali się w oczy. W pewnym momencie zabuczała syrena. Głosy ucichły, papierosy wylądowały w popielnicach i na ziemi, resztki kanapek pospiesznie zjedzono. Robotnicy mijali ich na korytarzu, ciągnąc w kierunku wejścia do części produkcyjnej. Przerwa dobiegła końca. Po kilkudziesięciu sekundach zostali sami, wszyscy pracownicy dotarli już na swoje stanowiska. Prawie wszyscy. Korytarzem zdążyło dwóch mężczyzn. Byli najwyraźniej spóźnieni, bo szli bardzo szybko, co rusz się rozglądając, czy nikt ich nie przyuważył. Wojsław szturchnął Darka w ramię.

– Ci są nasi – szepnął. – Zagadaj ich koło tamtych drzwi.

Darek przeszedł kilka kroków, zrównał się ze wskazanym przez Wojsława wejściem. Widział, jak demon spokojnie mija tych ludzi, zawraca i idzie za nimi. Po kilku sekundach nadchodząca para była już koło Darka.

– Przepraszam, czy panowie są od mistrza Sochy? Jestem kurierem. Mam dla niego paczkę.

Dwóch pracowników odwróciło ku niemu głowy i mruknęły, nie zwalniając kroku, że nie. Wojsław zrobił nerwowy ruch, jakby mówił: „Co jest? Wysil się trochę”. Darek westchnął, następnie krzyknął za nimi:

– Dla was też coś mam. Podejdźcie, proszę!

Stara jak świat pułapka socjotechniczna nie zawiodła. Człowiek, który ma coś dostać za darmo, zawsze się zainteresuje tym faktem. Robotnicy zawrócili i podeszli do Darka.

– O co chodzi? – zapytał wyższy.

– Zaraz powiem, trzeba tylko pokwitować odbiór. Może znajdzie się tu gdzieś kawałek wolnego stołu? Z jakiego działu jesteście, panowie? Od którego mistrza?

– Człowieku, nie zawracaj gitary! – zdenerwował się niższy. – Spóźnieni jesteście. Masz sprawę do mistrza, to idź do niego. My robimy u Wawrzyniaka na piątce.

Ledwo to powiedział, zrobił minę, jakby się zdziwił. Tak to przynajmniej wyglądało dla postronnego obserwatora. Darek widział potężną postać Wojsława tuż za plecami robotnika. Kolega zaatakowanego obrócił się, chcąc zapewne o coś zapytać, ale padł, zanim wydobył z siebie jakikolwiek głos.

Darek patrzył na dwa leżące przed nim ciała, potem spojrzął na uśmiechniętego Wojsława. Tym razem był spokojny, nie zwyzywał go, nawet jednego słowa nie rzucił w kierunku mordercy. Wzniósł tylko oczy ku niebu, całkiem jak przy modlitwie. Prosił o wybawienie ze swojej sytuacji? Może o zasłużoną karę dla dręczącego go Wojsława? Ciężko orzec, bo na głos Darek nie powiedział nic, a żadna z jego myśli nie dotarła tym razem do umysłu towarzyszącego mu stwora. Jedynie cisza towarzysząca pospiesznemu zacieraniu śladów morderstwa grała swojego walczyka.

„Jeszcze dwa dni, jeszcze tylko dwa dni i wszystko się rozstrzygnie” – myślał, zaciskając zęby.

Wojsław zaciągnął ofiary do opuszczonej jadalni. Zatrzasnął drzwi, zabarykadował dwoma stołami, tak że nie można było ani wejść, ani zobaczyć czegokolwiek przez szybkę. Po chwili już ściągał ubrania z trupów, mrukliwie zachęcając towarzysza do pomocy.

– Nu, ja robię swoje, ale ty też byś coś pomógł, hę – głądził, zrywając z zamordowanych firmowe bluzy, spodnie i buty. Najważniejsze były

identyfikatory. Delikatnie je odpiął i wraz z resztą rzeczy włożył do torby. Po chwili na szarej, gresowej posadzce leżały dwa ciała w slipkach i podkoszulkach. Wojsław rozglądał się, szukając miejsca na ukrycie tej dwójki. Ostatecznie jego myśli tradycyjnie skierowały się ku górze, a konkretnie skupiły się na suficie. Jadalnia, podobnie jak większość pomieszczeń biurowo-socjalnych w nowych halach, miała podwieszany sufit, który skrywał za estetyczną, białą powierzchnią płataninę przewodów elektrycznych, wentylacyjnych i centralnego ogrzewania. Wojsław wskoczył na krzesło, podważył jedną z płyt i zajrzał w szarość otworu.

– Połóż się na tych rurach i będzie dobrze – powiedział do kompana na dole. – Tu nikt nie zagląda. Kurzu na centymetr. Jeszcze z budowy. A im będzie miło z kolegami, he, he, he, podczas posiłków. – Zarechotał ze swojego żartu.

„Jeszcze tylko dwa dni, wytrzymam, muszę” – szeptał w myślach Darek, podnosząc nieżywych robotników i podając ich Wojsławowi.

Ktoś szarpał za klamkę jadalni, słychać było nerwowe głosy.

– Zaraz, naprawa zlewu, pełno wody się wylało! – krzyknął Wojsław, układając drugiego z pracowników na katafalku z przewodów. – Weź tu trochę pochlap – syknął do Darka, który podszedł do zlewu, odkręcił kurek i palcem skierował strumień wody na podłogę. Wojsław zamknął płytę i już chciał odwalić stoły, tarasujące wejście, kiedy znowu spojrzął w górę i zaklął.

– No jegoż taka mać. Kapie.

Ponownie wspiał się na krzesło. Na jednej z płyt pojawiło się zaczerwienienie przy krawędzi. Wojsław starał się zabijać bez zewnętrznych ran, ale najwyraźniej się nie udało. Krew przesiąkała teraz przez kartongips podsufitki. Klamka znowu się ruszała, rozbrzmiewało coraz więcej głosów. Wojsław sapał nerwowo, gdy ponownie układał ciała i zamieniał pozycję płyt. Po dwóch minutach był gotowy. Pomieszczenie wyglądało tak, jak powinno, poza kilkoma kałużami wody. Nerwowe głosy się oddaliły, by dobiec ponownie od

strony okien. No tak, przez okno też można coś zobaczyć. Zwłaszcza na parterze.

– Padnij! – syknął Wojsław.

Kilka twarzy przylepiło się do szyby. Darek leżał pod samym parapetem. Nie mogli go wypatrzeć, a Wojsława nikt nie widział. Ktoś został przy oknie, inni pobiegli z powrotem do budynku. Kroki i głosy się zbliżały. Potem klamka znowu się poruszyła. Determinacja osób próbujących otworzyć jadalnię narastała.

Byli otoczeni. Najmniejszy ruch ze strony Darka groził dekonspiracją. Jak wytłumaczy fakt, że obcy na tym terenie kurier siedzi sam w zatarasowanym pomieszczeniu i leje wodę na posadzkę? Łatwo będzie również powiązać jego obecność z nieobecnością tamtych dwóch. Wojsław rozglądał się nerwowo, w końcu westchnął ciężko.

– Trudno, nie da rady inaczej.

Podszedł do leżącego Darka i szepnął:

– Chwyć się tego i trzymaj, choćby nie wiem co. – Rozchełstał bluzę i spod koszulki wyjął łańcuszek z zawieszka. Darek wytrzeszczył oczy, przełknął nerwowo ślinę, jakby zobaczył coś, czego nie spodziewał się ujrzeć nawet w najśmielszych snach. Przecież to ten medalion! Jeden z punktów umowy, którą dopiero co zawarł. On właśnie chroni Wojsława i kiedy przyjdzie pora, należy ten medalion... Wyciągnął niepewnie rękę. Stół przy drzwiach przesunął się centymetr za centymetrem pchany wspólnymi siłami z drugiej strony drzwi. Darek ujął w końcu medalik.

Drzwi otwarły się na oścież, przewracając drugi z tarasujących drogę stołów. Do jadalni wpadło kilka osób. Stanęli, rozglądając się bacznie. Pomieszczenie było puste, na ziemi znajdowały się kałuże rozchlapanej wody; pracownik za szybą pomachał do nich przyjaźnie.

– Co jest? Kto tu siedział? – Szpakowaty mężczyzna, najwyraźniej kierownik tej grupy, szukał wyjaśnień zaistniałej sytuacji. – Przecież kogoś słyszeliśmy.

Otworzył okno i wypytał kolegę na zewnątrz. Nikt nie wyskakiwał. Cisza, spokój, ptaszki dziobią trawnik.

- Szeffie, a może to jakaś dywersja? Bombę podłożyli i odpłynęli kanałem. Trzeba by powiadomić tych smutnych panów w czarnych garniturach.

- Chcesz mieć gdzie jeść śniadanie? Przecież oni mają jedną metodę: zamknąć, odizolować, nie wpuszczać. Po tamtej stronie hali już nawet odlać się spokojnie nie można, bo wszędzie węższą jacyś tajniacy. Boję się, że mi do gaci zaraz zajrzą. Wścibskie typki. A może nigdy chłopca z jajami nie widzieli? He, he.

Grupa zarechotała i wszyscy zgodnie wyciągnęli woreczki z kanapkami; wkrótce woda na kawę i herbatę bulgotała w czajniku. Nie po to dział pakowalni walczył dwa miesiące o przerwę po dziale produkcji, żeby im ktoś teraz zablokował jadalnię.

Darek skulił się z zimna i trwogi. Z ziemi unosiły się mgły towarzyszące chłodnej nocy, która powoli rozpląwała się w oparach świtu. Jednak ten fakt nie dotarł do świadomości ptaków ani żadnych innych żywych istot, bo cisza była tak gęsta, że można by ją razem z tą mgłą pokroić i sprzedawać po kawałku. Darek trzymał kurczowo medalik wiszący na szyi Wojsława i potulnie podążał za nim krok w krok. Demon ostrzegł, że nie wolno go za żadne skarby puścić, jakby to był zbawczy kawałek drewna dla rozbitka na powierzchni szalejącego oceanu. Teraz Darek zrozumiał, że to był rozkaz na wagę życia. Po kilku sekundach wkoło zaczęło coś chrzęścić i szeptać. Mgła z bezkształtnej masy przeistaczała się w coś bardziej definiowalnego. Wydawało się, że nabiera kształtu z ogromną ilością łap lub macek, które ich otaczają, prawie głaszczą, a jedyne, co ich chroni przed pochwyeniem, to brak ruchu tego wielkiego potwora. Darek czuł się jak na chwilę przed egzekucją. Wojsław szedł miarowo, jakby nie chciał drażnić bestii, cały czas powtarzając cicho: „Spokojnie, spokojnie”. Na razie było spokojnie. Mgła lizała ich wilgocią po rękach i twarzach, nieomal fizycznie owijając niby kokonem. Ale to była cisza przed burzą...

Naraz Darek zorientował się, że są na parkingu przed halą. Wszystko zniknęło, świeciło słońce, płynęły chmury, przejechał wózek widłowy.

- Jedziemy - zakomenderował Wojsław, chowając medalik pod koszulę. - Migiem, bo nas znowu ktoś przyskrzyni.

Wsiedli do auta i ruszyli z piskiem opon w stronę portierni. Wojsław co chwilę zerkał za siebie, sprawdzając, czy nikt ich nie goni. Darek siedział natomiast jak oniemiały. Nic nie rozumiał, nie wiedział, gdzie na chwilę trafili, ale był pewien, że te kilkadziesiąt sekund zapamięta na zawsze. Wojsław skierował furgonetkę ku bramie, Darek wodził mętnym spojrzeniem po mijanych budynkach. Był do cna wyczerpany, jakby pusty. Wojsław jechał bardzo szybko. Budynek portierni zbliżał się w niesamowitym tempie. Ktoś właśnie wjeżdżał pod podniesionym szlabanem na teren fabryki, portier skończył kontrolę i odwrócił głowę, słysząc nadjeżdżający furgon kurierski.

- A, to ci! No, to dam ja teraz popalić naszym paczkonoszom - mruknął z zajadłością. Postanowił ich trochę zdyscyplinować, nauczyć porządku i czytelnego wypełniania księgi wjazdów. Staął w rozkroku pod otwartym szlabanem, nacisnął głębiej czapkę i zrobił minę typu Terminator. Samochód się zbliżał, jadąc wciąż bardzo szybko. Portier wyciągnął ręce w międzynarodowym geście zatrzymywania rozpedzonych idiotów i krzyknął groźnie. Nie przyniosło to żadnego skutku.

Dzielny ochroniarz wpatrywał się z rosnącym przerażeniem w pędzący na niego pojazd, który był już tak blisko, że mógł odczytać numer rejestracyjny i rozpoznać logo marki. Dostrzegł również zarys postaci w środku. „Rany! Ten człowiek nie zamierza hamować! Gorzej - ten człowiek nie kieruje samochodem! Siedzi jako pasażer!” Dość otyły, starszy pan w mundurze firmy ochroniarskiej, dorabiający tu sobie do kiepskiej emerytury, skoczył jak wystrzelony z procy w stronę krawężnika. Nie zdawał sobie sprawy, że potrafi jeszcze tak szybko się poruszać. Upadł na ziemię, czapka potoczyła się na trawnik, zabolowało stłuczone kolano. Poczuł uderzenie fali wiatru w plecy, ogłuszył go ryk silnika. Dopiero po minucie portier wstał i powlókł się zszokowany do swojej służbówki, powtarzając w kółko zbiegającymi ustami: „Nie po

nogach, cholera, nie po nogach”. Przy szlabanie zapadła cisza; jakieś ptaszki przysiadły na płocie, dziwiąc się w milczeniu pokręconym zabawom ludzi i demonów.

Samochód, który przed chwilą wjeżdżał na teren zakładu, zwolnił. Jechali nim miejscowi policjanci w towarzystwie angielskich kolegów. Liver z odwróconą głową zastygł w zdumieniu wywołanym akcją przy szlabanie. Po chwili, zwracając się do Wątroby, skomentował to, co się przed chwilą wydarzyło:

– Ten kurier przesyłkowy prawie zabija cieć na brama. Wariat!

– Tak, tak. Wariat albo nie wyrabia z rozwożeniem paczek. Dziki kapitalizm. Biznes, tempo, ruch – podsumował Wątroba. – Każdy się teraz spieszy, nie ma litości dla leniów – dodał, wspominając z rozrzewnieniem czasy PRL-u, kiedy nawet do prostego wkręcenia żarówki wysyłano pięciu milicjantów.

Smith zamruczał coś o hałasujących pomyślnych, nieszanujących jego głowy, wciąż obolałej od wczorajszych bachanaliów. Wkrótce stanęli pod długą białą halą, do której wkroczyli przez bramę numer A8. Poszli sprawdzić, jak wygląda teren spotkania z załogą i jak Bronson radzi sobie z przygotowaniami.

– Halo, Wawrzyniak, drogi szefie. Tu Kwiatkowski. Z Jankiem się trochę spóźnimy do pracy, może nawet ze dwa dni. Ale nie denerwuj się, złotko. Spokojnie, sytuacja jest pod pełnieniem kontrolą. Wszystko będzie dobrze, mamy poważne kłopoty zdrowotne, takie nagłe i niespodziewane. Robimy ostrą kurację. Usprawiedliwienie będzie, słowo rycerza, znaczy, harcerza. Halo, halo. Proszę się nie rozłączać, złocienki – Wojsław bełkotał do telefonu, udając zamrozonego alkoholem. Po chwili wyłączył się z zadowoloną miną. – Powinno wystarczyć, nie będą ich szukać – mruknął, patrząc na zabrane pracownikom identyfikatory.

Po drugiej stronie linii telefonicznej szef zamordowanych pracowników z wściekłością się rozłączył. Obiecał sobie w duchu, że jak

Kwiatkowski z kolegą pojawiają się za dzień lub dwa, to zaprowadzi ich prosto do kadr. Dostaną wypowiedzenie za pijaństwo – i na bruk. Nawet wizyta jakiejś szyszki z zagranicy tego nie zmieni.

– Cholera! Na nikim nie można polegać. Przecież oni mieli zostać wkrótce brygadzystami. – Pokręcił głową z niedowierzaniem. Jak mógł się tak pomylić co do tych ludzi?

Darek siedział w milczeniu na łóżku w pokoju hotelowym. Wojsław bawił się długim nożem, próbując utrzymać go pionowo na jednym palcu. Nóż kilka razy spadł. Podnosił go z podłogi i co rusz zerkał na swojego towarzysza, ale Darek był jak zaczarowany. Patrzył w jeden punkt i milczał. W końcu Wojsław nie wytrzymał.

– Czemu tak się denerwujesz? Musiałem nas stamtąd wyciągnąć, byliśmy otoczeni. Fakt, trochę spanikowałem, może dałoby się to jakoś inaczej załatwić. W sumie ich tam nie było więcej niż siedmiu...

Darek nie zareagował, dalej wypatrywał się w punkt na przeciwległej ścianie. Nóż Wojsława znowu upadł na podłogę. Demon zaklął, podniósł go i rzucił w kierunku szafy. Narzędzie wbiło się niemal po rękojęść w skrzydło drewnianych drzwi i drżało leciutko. Wojsław uśmiechnął się tryumfująco i ponownie zagadał do Darka:

– Nie chciałem cię tam ciągnąć, ale byśmy wpadli. Musiałem, nie było wyjścia.

– Czy ty tam... – zaczął Darek. Pierwszy szok mijał. – Czy ty tam, w tej mgłę i ciszy, normalnie przebywasz?

– Tak całkiem cicho tam nie jest. Jak posiedzisz dłużej, to zaczynasz słyszeć wszystkie głosy... Przyjemne to nie jest, fakt.

– To piekło?

Wojsław się zamyślił.

– Kiedyś myślałem, że nie. Że mi się udało jakoś... ale teraz już nie wiem... Może i piekło. – Po dłuższej pauzie Wojsław dorzucił: – Ja nigdy się nie pogodziłem ze swoim losem. Czy tu, czy tam, wszędzie źle.

Wszędzie. Ale miałem szczęście, dalej mam szczęście, ktoś mnie kochał, kocha, myśli... Ja, ja nigdy... nigdy tego nie odwzajemniłem... Nie umiałem, może nie chciałem... Im więcej ludzi ginie, tym gorzej się czuję, chociaż miało być inaczej. Zupełnie inaczej.

- A teraz czego chcesz? - Darek po raz kolejny spytał o cel ich działań.

- Nie wiem, jeszcze dwa dni temu myślałem, że zrobię to, co zawsze, i choć na chwilę zapomnę, jednak mam wątpliwości... Nie wiem skąd, nic się przecież nowego nie wydarzyło, ale coś jest inaczej.

Darek pokiwał głową w zadumie. Znowu zapadła cisza. Po chwili Wojsław klepnął się z rozmachem po kolanach, wstał i zakrzyknął:

- No, my tu sobie gawędzimy, a robota czeka. Wstawaj. Trzeba cię trochę upodobnić do gości z identyfikatorów. Wolisz być tym wąsatym czy tym łysym?

Wybrał wąsacza i rozpoczęli przygotowania. Myśli Darka błędziły gdzie indziej. Nawet się z nimi nie krył przed Wojsławem, ale ten był tak zaaferowany pracą charakteryzatora, że nic nie odczuwał. A Darek gorączkowo się zastanawiał, czy może jeszcze coś zmienić w swoich ustaleniach z tajemniczym sprzymierzeńcem, który zgłosił się poprzez listę maili kontaktowych od Kawalca.

Poszukiwania w fabryce

Bronson nie był zachwycony ich wizytą. Jasno dał do zrozumienia, że on tu rządzi, ale jeżeli chcą, mogą się rozejrzeć po fabryce. O ile nikomu nie będą przeszkadzać. Z toku dalszej rozmowy wynikało, że pod pojęciem przeszkadzania Bronson rozumiał łazikowanie w obszarze budowy sceny i jej zaplecza, wchodzenie w styczność wzrokową z agentami ochrony, pokazywanie się pracownikom fabryki, a nawet zbyt głośno oddychanie i trzaskanie drzwiami przy obchodzie. Nie trzeba chyba dodawać, że cała rozmowa zakończyła się sprzeczką ze Smithem, który po wczorajszej libacji wrócił już do zdrowia fizycznego, ale samopoczucie miał marne i chętnie dawał werbalny upust swoim frustracjom. Innymi słowy, rozstali się w gniewie, a określenia takie jak: „baran”, „debil” i „półgłówek” były jedynie początkiem litanii wyzwisk fruujących po fabrycznej hali.

Ruszyli na obchód. Miejsce spotkania, wraz z mównicą, usytuowane w jeszcze niezagospodarowanej części hali, przylegało do ściany, w której znajdowało się dwoje drzwi. Gdy panowie tam poszli, okazało się, że korytarz ciągnący się wzdłuż tylnej ściany hali jest już pilnowany i nikt nieproszony nie może nań wejść. Grzeczny brytyjski funkcjonariusz Ochrony Rządu oraz przydzielony mu do pomocy polski ochroniarz poinformowali w dwóch językach, że dalej nie wolno. Polak, któremu bardzo imponowało, że uczestniczy w międzynarodowej polityce, mocno się rozgadał, tłumacząc ów zakaz wejścia. I tak dowiedzieli się, że to teren zastrzeżony tudzież wyjęty spod prawa, że wszędzie są rozmieszczone specjalne detektory broni, trotylu oraz złych duchów i nie można bez uzasadnienia uruchamiać tej aparatury, że obszar został oczyszczony przez służby bakteriologiczne, a oni na

pewno by wnieśli niebezpieczne zarazki do antyseptycznej strefy. Wątroba i Liver słuchali gawęd ochroniarza z szeroko otwartymi ze zdumienia oczami. Natomiast Smith, który nie rozumiał po polsku i idiotyzmy pana z ochrony puszczał mimo uszu, dowiedział się od Anglika w garniturze, że wszystkim rządzi tu Bronson i jego należy pytać o zgodę na wejście. Reakcja Bronsona była łatwa do przewidzenia, zwłaszcza że złamali zakaz wchodzenia w kontakt wzrokowy i, co gorsza, werbalny z ochroną obiektu. Koło niemożności się zamknęło, nosy opadły im na kwintę. Powędrowali korytarzem w drugą stronę. Jakaś grupa pracowników szła z naprzeciwka, dowcipkując i dogadując sobie nawzajem. Wyglądali, jakby właśnie skończyli przerwę śniadaniową. Do policjantów dotarły strzępki rozmów i słowa takie jak: „duch”, „zniknęli”, „cholera wie gdzie”, „może zamach”. Wątroba pomyślał, że pracownicy mają tu dość dziwne tematy rozmów.

Po oględzinach wrócili do samochodu. Podjechali pod szlaban. Wątroba zatrzymał wóz i na wolnych obrotach czekali na wypuszczenie przez wartownika. Ten jednakże nie reagował. W końcu Wątroba wszedł do portierni. Mężczyzna w uniformie siedział nieruchomo za stołem; wyglądał, jakby spał. Przeczyły temu otwarte oczy i usta szepczące coś bez ustanku. Komisarz się nachylił i doszła do niego monotonna mantra: „ja im dam, ja im jeszcze pokażę, ja im dam, jeszcze popamiętają...”. Wszystko wskazywało na to, że starszy pan wciąż był jeszcze w szoku po szarzy Wojsława.

Wątroba złapał portiera za ramię i potrząsnął nim.

– Hej, proszę pana, chcemy wyjechać.

– Ja im dam, ja im pokażę... – Mężczyzna obrócił głowę. Wzdrygnął się, najwyraźniej nie usłyszał wejścia policjanta. – Co, co? Aha, dobrze.

Wstał powoli z krzesła i ciężkim, starczym krokiem podszedł do tablicy sterowniczej. Przy drzwiach rozejrzał się trwożnie, tak jakby rozpędzony samochód czyhał na niego tuż za progiem dyżurki. Następnie otworzył policjantom drogę z zakładu.

- Zabić mnie chcieli – wyszeptał w stronę Wątroby, cały czas rozglądając się z przestrachem. – Spokojnie idziesz rano do roboty, a wieczorem możesz być już martwy...

Wątroba pokiwał głową w odpowiedzi na tę złotą myśl. Miał już wychodzić, ale monolog portiera zatrzymał go w progu. „Ech, trudno. Wykażę się odrobiną zrozumienia dla jego traumy. Niech się facet przed kimś wygada”.

- On był nowy, nigdy go nie widziałem. Tym samochodem zawsze Karol jeździł. Ale teraz, gdy o tym myślę, jak chcieli mnie rozjechać... to widzę dwóch. Jak to możliwe? Ten młody siedział obok, ale kierował ktoś inny... Nikogo tam nie było, nikogo nie było na pewno. Ale teraz, jak sobie o tym myślę, przypominam... to widzę dwóch, choć był jeden...

- Może pan złożyć skargę – wtrącił Wątroba, który właśnie zakończył swój seans empatii i postanowił spławić staruszką, wskazując mu rozwiązanie praktyczne. – Trzeba by tylko znać dane, numer rejestracyjny, firmę kurierską, najlepiej nazwisko.

- Co? – Portier znowu spojrzał na Wątrobę tak, jakby ten niespodziewanie się przed nim wyłonił. – Skarga? A, tak, tak, znam numery i firmę, wszystko wiem. Wpisał skubany źle, ale ja je znam z innych kursów. Hm, skarga...?

- Proszę mi podać ten numer, może z tym samochodem coś się jeszcze wydarzyło. I mówi pan, że kurier był tu pierwszy raz? – Wątroba, tknięty przecuciem, sięgnął za pazuchę. Wyciągnął zdjęcie Krzyżowskiego i podsunął wartownikowi pod nos.

- To ten?

Portier chwilę się zastanawiał.

- Ten. A skąd go znacie? Kto to jest?

- Lepiej nie wiedzieć, panie starszy, lepiej nie wiedzieć. Proszę o te numery. Gdyby znowu się pojawił, nie podchodzić, nie gadać z nim. Jak zagada, to udawać miłego i zadzwonić do mnie. Ale natychmiast. Zrozumiano? To niebezpieczny morderca.

- O Jezu! - krzyknął człowiek w mundurze. - Morderca! Do tego niebezpieczny! Jezu, dlaczego ja, co ja mu zrobiłem?!

Wątroba spędził kolejną minutę na uspokajaniu starszego pana i zapewnianiu, że morderca się na niego nie uwziął, że pewnie już nigdy w życiu go nie zobaczy, że prędzej zginie w wypadku, niż zostanie zamordowany, i że cały świat, a już na pewno Europa Wschodnia, jest po jego stronie. Następnie pognął do Anglików z numerem wozu kuriera i pilną informacją o Krzyżowskim.

- Dobry robot, Wątroba - pochwalił go Liver. - Trzeba wrócić do Bronson, żeby wszystko znał. Krzyżowski w zakład, znaczy w zakład zamach możliwy.

- E, Bronson nas oleje. - Smith nie miał co do tego wątpliwości. - Poza tym nie wolno nam wchodzić w kontakt wzrokowy z jego agentami, a więc z nim samym również - dyskredytował zamiar powiadomienia nielubianego kolegi.

- To będziemy z nim gadać z zamkniętymi oczami. Smith, co jest ważniejsze: bezpieczeństwo premiera czy sprzeczki z Bronsonem? - spytał zdenerwowany Liver.

Smith już miał się unieść honorem i zakrzyknąć fałszywie, że dla ojczyzny nawet z Bronsonem pogada, ale tylko machnął ręką. Pojechali.

Bronson, o dziwo, potraktował ich poważnie. Wypytał o wszystko jeszcze raz, sprowadzili ochroniarza i Liver przetłumaczył jego zwierzenia, udzielane tym barwniej i chętniej, im większe czuł zainteresowanie publiki w postaci policji i służb wywiadowczych. Zachęceni sukcesem, powiadomili Bronsona również o dziwnej rozmowie pracowników na korytarzu. Niestety nie byli w stanie wskazać, o których pracowników chodzi. W międzyczasie Chwiejczak zameldował, że samochód firmy kurierskiej o podanych numerach najprawdopodobniej został skradziony, a kurier się nie odzywa od kilku godzin. Centrala ma lokalizację GPS, ale proszą o asystę policji przy szukaniu wozu. Pojechał Wróżka.

– O, Wróżka pojechał. No to kaplica. Nic nie znajdują, choćby mieli sto GPS-ów. On tak po prostu ma – skomentował sarkastycznie Wątroba.

Chwiejczak rozmawiał z kontrolerem i sprawdzał godziny kontaktów z kurierem.

Jadą po ciebie

Lord Wiliamson siedział od kilku godzin w salonie swojej rezydencji, za oknem padał deszcz, a w pomieszczeniu trwała gęsta cisza. Po wyjeździe gwardii Polaków całą siedzibę Williamsonów spowił nienaturalny, wręcz martwy spokój. Lord przyzwyczajony był do gości, gwaru rozmów oraz ciągłego ruchu na korytarzach i dziedzińcu. Tak wyglądało tu przez kilka ostatnich lat. Lord lubił ludzi, dlatego teraz trwał od kilkunastu godzin w szoku i wywołanym nim bezruchu. Okazało się, że nie wie, co ze sobą zrobić. Czekał na coś. Gdzieś pomiędzy sercem, głową a żołądkiem pałętało się pełne napięcia oczekiwanie. Na co? Aż zacznie się realizować ten lepszy scenariusz? Aż przyjadą po niego czarną limuzyną panowie bez poczucia humoru? Czekał. Jednakże jego aktywna natura domagała się rozwiązań, a nie czekania.

Sytuacja wyglądała tak: po kilku kularowych rozmowach i ustaleniach, co do jego przyszłej roli w rządzie, dostał jasną informację, że nie ma dla niego żadnej roli. Propozycja premiera, początkowo wyglądająca tak wspaniale, zaczęła mu się jawić jako pułapka, podstęp. Zaplanowany i zgrabnie przeprowadzony fortel, aby zniszczyć lub przejąć jego potencjał polityczny, owoc kilkuletnich starań. Pozbył się w ciągu kilku dni wielu dawnych przyjaciół i zwolenników, wysłał polską gwardię na wycieczkę bez biletu powrotnego, a co najgorsze, sam zaczął myśleć o sobie jak o zdrajcy. Nie, nie zdrajcy państwa, narodu czy idei, nic z tych rzeczy, to były jedynie instrumenty działania, a nie cele. Był zdrajcą kogoś, kogo kochał najbardziej na świecie – samego siebie. To niewiarygodne, że można podjąć w ciągu minuty decyzję odmieniającą sens całego życia. Niemożliwe? A jednak. Ponure rozmyślenia snuły się

w eleganckim pomieszczeniu, pokrywając go chmurą smutku i rezygnacji. Tak, za stary jest na takie zabawy. Za stary – ta myśl była coraz częstszym gościem w jego głowie. Za stary, żeby założyć rodzinę, za stary na prawdziwą przyjaźń, na gorącą miłość. Za stary na życie. Wszyscy pojechali, a on został sam, ze zmartwieniami i wspomnieniem zmasakrowanej twarzy Grzegorza Kawalca. Przynajmniej ci wojowie zapewniali, że to Kawalec.

Zerwał się gwałtownie z fotela.

– Muszę coś zrobić – stęknął żałośnie.

Czuł się fatalnie, w ciągu ostatnich kilkudziesięciu godzin postarzał się o kilka lat. Utracił werwę i szybkość ruchów. Był przygaszonym i zrozpaczonym człowiekiem, który na próżno walczy ze swoimi ułomnościami i przemijającym czasem.

Ktoś zapukał do drzwi. Gerry. Lokaj. Podszedł bliżej sztywnym, wyćwiczonym przez wiele lat krokiem zawodowego posługacza angielskiej arystokracji. W ręce trzymał karteczkę. Lord pomyślał, że nie tylko on się postarzał; Gerry pomimo nienagannego stroju i szczupłej, wysportowanej sylwetki również nie wyglądał najlepiej. Może nastrój lorda promieniował na innych? Byłoby nieźle odstąpić komuś trochę swoich trosk.

– Przepraszam, że niepokoję, proszę pana. Ktoś się chce z panem spotkać, czeka w hallu... Pan... – Gerry spojrzał na trzymany w ręce kartonik. – Pan... Kozshlle...eee... przepraszam, nie umiem odczytać.

Podał zaintrygowanemu lordowi kartkę. On nie miał kłopotu z odcyfrowaniem napisu. Natomiast treść była dość niecodzienna: „Henry Capon – specjalista w dziedzinie: morderstwo Grzegorza Kawalca, próba zabójstwa premiera, gniew, samotność i przemijanie”.

Lord zerknął lękliwie na nieprzeniknioną twarz Gerry’ego. Nie umiał przeczytać? Akurat! Ale świadczyło to dobrze o profesjonalizmie oddanego pracownika. Lord spojrzał ponownie na papier. Napisy zniknęły. Jedyne, co można było teraz zobaczyć na bilecie wizytowym, to rysunek uśmiechniętego łba konia z papierosem w zębach. Cóż to

znaczy? Lord uniósł zdumiony wzrok na Gerry'ego, który stał, jakby kij połknął, czekając na odpowiedź.

- No cóż, chyba można... - zaczął lord, cały czas zastanawiając się, czy wpuścić dowcipnisa, czy wyrzucić.

- Dzień dobry, miło poznać! - Tubalny głos niósł się od drzwi, które tak huknęły o framugę, że aż potężne żyrandole lekko się zachwiały, a lustra zadzwoniły w ramach.

- Ależ proszę pana! - zakrzyknął Gerry, zagniewany tą bezceremonialnością przybysza. Do pokoju lorda woła lokaj, czyli on, a wędrowni po korytarzach rezydencji są zabronione. - Tutaj nie wolno bez...

- Dziękuję, chłopcze. Pięknie się starasz. Może nawet pójdziesz do nieba. - Intruz rzucił mu mokre od deszczu palto i kapelusz. Gerry'ego zatkało z oburzenia. Lord przez moment wahał się, jak zareagować, ale lista dziedzin, w jakich gość nazwał się specjalistą, sugerowała, że należy z nim porozmawiać. A nazwanie Gerry'ego chłopcem, choć był na oko dwukrotnie starszy od przybysza, wydało mu się dość zabawnym interludium spotkania.

- Hm, dziękuję, Gerry, przyjmę pana. Tak, proszę spocząć, o tam, panie Capon. - Wyciągnął rękę w kierunku fotela, ale przybysz usiadł na brzeжку stołu i wskazał miejsce lordowi. Ten upewnił się najpierw, że lokaj nie widział owej sceny utraty władzy nad meblami we własnym salonie, a następnie usiadł na wskazanym fotelu.

- Panie Capon... - zaczął.

- E, taki tam ze mnie Capon jak z ciebie król angielski. Mów mi Bob.

Zapadła chwila ciszy. Lord zapomniał na moment języka w gębie. Bob rozglądał się z ciekawością po pięknej sali.

- Ładnie tu! Się nakradliście, Wiliamsony. Szkoda, że nie masz dzieci. Pójdzie na zmarnowanie. Nikt nie doceni wartości tych malowideł, pójdą za bezcen. Kupi to jakiś gruby Janke albo nowobogacki Chińczyk. Powtarzam, za bezcen kupią. Ale co ja tutaj z kulturą i sztuką, twoje malowidła, twoja brocha. Gadamy o biznesach?

- Dobrze, panie, mhm, Bob. Czym mogę służyć?

- Williamson, nie będę owijał w bawełnę. Masz przechlapane. - Bob zawiesił głos i wpił świdrujące spojrzenie w lorda.

- Czyli, że... eee... O co chodzi?

- Sprawy wyglądają tak: trzy minuty temu trzech ludzi wsiadło do szarego vauxhalla, jedno miejsce jest wolne. Dla kogo, się pytam?

- Dla mnie? - niepewnie odpowiedział pytaniem lord, spodziewający się od dłuższego czasu wizyty smutnych funkcjonariuszy.

- Możliwe, możliwe, choć niekoniecznie. O, na razie utknęli w korku na Bishopgate. Siedzą tam w tych spalinach i snują ponure rozmyślenia. Kierowca Terry pokłócił się wieczorem z żoną i teraz najchętniej wyszedłby na ulicę, ruszył wzdłuż stojących samochodów i każdemu, kto go wstrzymuje, dawał po mordzie. Niezły furiat. Obok siedzi Phil, wygląda grzecznie i miło, gładko ogolony, pachnie dobrą wodą toaletową. Ale to pozory, Phil jest psychopatą. Lubi bić i zadawać ból. Niezła kreatura. Trzeci to młody Warwick. Studiuje po nocach dzieła ideologów komunistycznych, uważa, że tacy jak ty, Williamson, to wrzód na dupie społeczeństwa. Brum, brum. Podjechali kilkanaście metrów, ale znowu stanęli. Masz, posteruj tym miłym koreczkiem. Możesz ich przyspieszyć albo opóźnić. - Bob rzucił lordowi małe urządzenie, jakby zegarek z pokrętłem i wyświetlaczem. Lord pokręcił w lewo, cyferki na ekraniku zmieniły się z liczby piętnaście na dwanaście.

- Będą szybciej - mruknął Bob.

Lord w panice pokręcił w prawo, ale nie dało się wycisnąć z maszynki więcej niż czterdzieści trzy.

- Bez przesady, Bishopgate jest dość krótka. Czterdziestominutowy korek to prawdziwa rzadkość na tym odcinku. - Bob tłumaczył szczegóły techniczne sterowania ruchem.

- Czego chcesz? - wychrypiął lord, patrząc w panice na uciekające sekundy.

- Zaraz, zaraz. Trochę posnuję jeszcze gawędę o trzech panach. Oni siedzą tak jakby na państwowym garnuszku i policja się nimi nie interesuje. Ale ich metody są dalekie od środków państwa prawa. Bija, wyrywają paznokcie, rażą prądem po genitaliach, a co najgorsze, nic od ciebie nie chcą, bo wszystko wiedzą.

- Więc o co chodzi?

- O zasadę.

- Jaką zasadę? - zakrzyknął lord. Pozostało trzydzieści siedem minut korka.

- Zasadę niewpiędalania się w nie swoje sprawy. O, podskoczyli jakoś mocniej. - Cyferblat wskazywał dwadzieścia cztery. Lord oddychał nerwowo, patrząc na urządzenie.

- Czego chcesz? - ponowił pytanie.

- Jak widziałeś, jestem specjalistą w kilku dziedzinach. Nie to, co te typki, które tu jadą, żeby...

- Gadaj, człowieku! - Lordowi nerwy zaczęły puszczać na dobre.

- No, no. Tylko nie człowieku. Wyzywać mnie tu będzie, Wiliamson jeden. - Bob się zdenerwował. Po chwili kontynuował: - Oni tu przyjadą, a ty zginiesz. Nie będzie to trwało za długo, pomęczą trochę, a potem na skan u Najjaśniejszego. Chrześcijanin całe życie czeka na ten moment. Można powiedzieć, raduj się, lordzie, szczęście blisko! Alleluja! Ochrzczony jesteś, do kościoła czasem zaglądnąłeś, ufundowałeś nawet witraż w miejscowej parafii, chyba nie będzie problemu, co?

Lord wbił przestraszone spojrzenie w Boba.

- To będzie problem czy nie będzie? Mnie jest obojętne. Nie ma musu. Mam sttu na twoje miejsce.

- No, mhm, nie... nie wiem, chyba... - Lord nie do końca wiedział, o co pyta go gość.

- Można to nieco odwlec, zawrócić Terry'ego, Phila i Warwicka. Wiele innych rzeczy da się zawrócić. Może nawet przywrócić trochę

życia w twoim życiu, trochę ruchu w tej pięknej... – zawahał się, rozglądając po rezydencji – ...kostnicy.

– Jak? – Lord chwycił się tego promyka nadziei. Bob podszedł do jednego z siedemnastowiecznych obrazów. Maszynka wskazywała osiemnaście minut. Przybysz popukał w wiekowe płótno przedstawiające Ann Wiliamson, jedną z bardziej znanych postaci z rodziny lorda.

– A tę znam. Chyba ją widziałem kilka dni temu. Tyle że ta prawdziwa ma bardziej wylupiane oczy. Portret upiększający, he? – W rodzinie Wiliamsonów każdy znał historię Ann, każdy również wiedział, że miała wytrzeszcz i wszelkie portrety miały się z prawdą. Zresztą zgodnie z zamówieniem. Jednakże skąd on to wiedział?

– Mów, czego chcesz, Bob. – Lord nie miał ochoty na rodzinne historyjki.

– Potrzebujemy takich jak ty. Wysoko w ludzkiej hierarchii, a jednak niezbyt zadowolonych z życia, a raczej z tego, czego w tym życiu nie mają. Wystarczy mała umowa, zobowiązanie w zamian za zobowiązanie, a poprawimy ten los. Możemy zrobić tak... – Bob usiadł wygodnie w fotelu obok. Maszynka stanęła na dwunastu minutach, potem zgasła zupełnie.

Po godzinie Bob odebrał swój płaszcz i kapelusz od Gerry'ego. Uśmiechnął się do niego szeroko.

– Dobrze, chłopcze. Jesteś wielką rzadkością w dzisiejszych krzywych czasach, człowieku, któryś połknął kij. Żegnaj.

Coś huknęło, jedno z osiemnastowiecznych płócien przedstawiających szanownego przodka obecnego lorda gruchnęło o ziemię; szyby drżały leciutko jeszcze kilka sekund. Bob zniknął, pozostawiając Gerry'ego w stanie osłupienia. Po chwili na schodach pojawił się lord Wiliamson. Sprężysty krok, twarz jakby o dwadzieścia lat młodsza, puścił oko do Gerry'ego.

– Chyba mamy dobry dzień, mój drogi. Może łykniesz szklaneczkę szkockiej ze swoim lordem? Nie będę pił do lustra, tym bardziej że

wszystkie się jeszcze trzęsą po brawurowym wyjściu Boba.

Stan osłupienia przeszedł w stan totalnego osłupienia. Gerry pierwszy raz w czterdziestoletniej karierze miałby usiąść w fotelu jego lordowskiej mości ze szklanką whisky? Wreszcie opanował się, chrząknął i wydukał:

– Tak jest, proszę pana.

I poszli razem do salonu. Wprawne oko służącego od razu wychwytiło zmiany w pomieszczeniu – nowe urządzenie leżące na komódce. Wyświetlacz wskazywał liczbę 18921601.

Miły poranek, gorsza reszta dnia

- Nie ma to jak zaczynać dzionek z truposzem - zagał rozmowę Wątroba. Stał nad zwłokami zamordowanego kuriera, leżącymi na specjalnym łóżku wysuniętym z lodówki kostnicy w szpitalu powiatowym. - Osiem lat bez morderstwa w mieście. Kiedyś się musiała ta sielanka skończyć.

- Biedaczek. - Liver żałował losu zamordowanego. - Ciekawość, czy widziała morderca?

- Nigdy się nie dowiemy. Siedzi już sobie, hen tam daleko, na chmurce. I czeka na wieczność.

- Amen. I Bóg zapłacić. - Liver wsunął ciało do lodówki.

Wątroba studiował wynik sekcji zwłok.

- Udušenje, a raczej zgniecenie. Lekarz mówił, że to wygląda, jakby mu po szyi przejechała ciężarówka.

- Tak, ale jego nie zabijał ciężarówka. To demon zdusił na śmierć. Byli mu potrzebna van z paczkami na dojazd w zakład traktorowy.

- Czyli wczoraj przy bramie mijaliśmy płatnego zabójcę? - upewnił się Wątroba w kwestii sensacyjnego faktu. - O ja cię! Tego jeszcze tu nie było!

- Atrakcja sezonowa. O autograf można prosilibyśmy - dowcipkował Liver.

Wyszli na korytarz do Smitha, który unikał spotkań oko w oko z zamordowanymi.

- Szkoda, że go nie widziałeś, jest cały zgnieciony i zniekształcony - pastwił się nad „delikatnym” kolegą Liver, który miał wprawę nabytą w dziesiątkach śledztw dotyczących morderstw. Smith przełknął ślinę i

nerwowo odchrząknął. Liver wybałuszył oczy i wywiesił język. Wątroba zarechotał złośliwie.

- To świadczy o tym, że nasz zamachowiec szuka sposobności, żeby zaatakować na terenie fabryki. - Gdy tylko makabryczne żarciki umilkły, Smith rozpoczął podsumowanie. - Oznacza to również, że woli się przygotowywać do roboty, miast siedzieć w kącie, lękając się zemsty demona.

Skierował te słowa do Livera, który nie dalej jak wczoraj tłumaczył mu, że tropiony osobnik jest zakładnikiem istoty pozaziemskiej i czeka jedynie na okazję, żeby uciec w bezpieczne objęcia służb prawa i porządku. Smith wygiął usta, emitując w świat swoją postawę „a nie mówiłem”, gdyż on był zdania, w odróżnieniu od kolegi, że płatny zabójca będzie działał bezwzględnie do samego końca, ponieważ taki jest jego plan.

Pojechali na komendę. Liver robił skruszoną minę, słuchając wymówek Smitha. Nie miał nic na swoją obronę. Mail zwrotny nie przyszedł, pojawiła się nowa ofiara. Fakty były przeciw niemu. Dodatkowo po pierwszym kontakcie z tropionym poprzez listę adresów pocztowych ten sposób komunikacji nagle się urwał. Wszelkie próby załogowania się na dalsze adresy, wysłania lub odebrania wiadomości kończyły się niepowodzeniem. Innymi słowy morderca stał się nieosiągalny, a wczorajsze wydarzenia potwierdzały, że jego aktywność nie maleje.

- Trzeba się skupić na fabryce - nakreślił prosty plan Liver.

- Tak. Na fabryce. Obserwować i próbować go złapać - potwierdził Smith.

Liver odwrócił się do Wątroby i przekazał to w najlepszej polszczyźnie, na jaką było go stać.

- Złoczyńca w fabryce działa. Iść szukać należy.

- Dobrze. Odbębnię jedynie odprawę z PX-em. Facet staje się nerwowy, gdy go olewamy. A autoryzacja i kontrola trwają tylko do dziś.

- Wątroba wyraził jak zwykle chęć współpracy.

Liver zrobił bardzo zdziwioną minę.

- Ja nie widział, że wy go olewali. Był zawsze suchy. A jak chcesz bębnić, to bierz bęben. Ale po co bębnić? Nie można rozmawiać?

Wątroba uśmiechnął się, ubolewając nad zbyt dużą ilością zwrotów potocznych w swojej wypowiedzi, i ruszył do wyjścia. Z korytarza dochodziły wrzaski PX-a odliczającego sekundy do zbiórki na odprawę dokumentacyjną.

Big water

Darek i Wojsław podążali w tłumie ludzi spieszących na pierwszą zmianę do fabryki. Nad głowami snuł się siny dym z papierosów, czytniki rejestrowały rytmicznie każdego wchodzącego na teren zakładu. Przejście było dość wąskie, a czytniki tylko dwa, dlatego kolejka nie poruszała się zbyt szybko. Darek zadbał, by nie być ostatnim; chciał wejść jak wszyscy inni, w pośpiechu, niedbale przesuając kartę obok urządzenia, klęcząc na „idiotyczne automaty” i majstrów-kretynów, którzy pewnie już odliczają im z premii za spóźnienie. Wojsław natomiast krok po kroku przesuwał się niezauważony przez tłum ludzi, co rusz przystając, tak aby nikt na niego nie wpadł, aż w końcu przeszedł na drugą stronę i pomachał do swego towarzysza.

Darek czuł się nieswojo. Niedopasowany strój roboczy, czapka skrywająca inny kolor włosów, no i te idiotyczne wąsy; co chwilę przykładął palce pod nosem, upewniając się, że sztuczny zarost trzyma się jak należy. W drzwiach pomieszczenia ochrony stał ten sam starszy mężczyzna co wczoraj. Darek pilnował, by ich spojrzenia się nie skrzyżowały. Jednak zazwyczaj wesoły i gadatliwy stróż dziś tkwił w swoim pomieszczeniu ponuro zamyślony, ze wzrokiem wbitym w podłogę, jakieś pół metra od własnych butów. Pik, pik. Karta odbita. Przeszli. Darek odniósł wrażenie, że portier dokładnie w tym momencie podniósł głowę, spojrzął na niego z ukosa, drgnął i lekko rozchylił usta, całkiem jakby chciał o coś zapytać. Ale nie zapytał. Zresztą może to było tylko złudzenie. Po chwili zniknęli za rogiem.

Szybkim krokiem oddalali się od portierni, gdzie dekonspiracja groziła im najbardziej. Nie byli w najlepszych nastrojach, wczorajszy

dzień skończył się wielką awanturą, a rano nie polepszył atmosfery ani na jotę. Darek znalazł niespodziewanie w swoich dokumentach dodatkowy, bardzo dokładny opis wizyty i przejść pomiędzy limuzyną, halą z tłumem zgromadzonych ludzi oraz zapleczem składającym się z toalety i małego kantorka. Skąd się to wzięło, nie potrafił wytłumaczyć Wojsławowi. Przecież nie zdradzi się, że to jego nowy sprzymierzeniec. Umowa jest tajna. I taka pozostanie – aż do ostatniej chwili kiedy on zrobi to, do czego się zobowiązał. Dane okazały się niezwykle pomocne; były wręcz niewiarygodnie dokładne, wraz z czasem pobytu, wyliczonym co do minuty, trasą przejścia i punktami strzeżonymi przez agentów Ochrony Rządu.

W pierwszym impulsive Wojsław niemal go udusił za ukrywanie ważnych dokumentów. Potem zaczął się dopytywać o pochodzenie tej informacji. Nie było jej we wcześniejszym opisie, otrzymanym przy przekazaniu zlecenia od Kawalca. Nie dostał jej podczas wymiany informacji mailem, zwłaszcza że nie mieli gdzie tego wydrukować. Wojsław pilnował go cały czas, zakazał jakichkolwiek kontaktów przez internet. Nikt, żaden człowiek, nie mógł z Darkiem rozmawiać bez jego wiedzy. A czuł, że Darek coś knuje za jego plecami. Skąd ten opis? Skąd go ma? Grymas wściekłości i niepokoju zagościł na twarzy Wojsława, a był tym wyraźniejszy, im bardziej Darek zapewniał go, że posiada te informacje od samego początku. Również wnikanie w myśli młodego towarzysza niewiele pomogło. Umiał już maskować emocje w sposób niedostępny dla ponurego przybysza z zaświatów, który natężając wszelkie zmysły, raz po raz starał się dostać do tajemnicy Darka. Na próżno.

Teraz szli ponownie w kierunku białej hali produkcyjnej. Rozpiska mówiła jasno, że tam znajduje się najwięcej miejsc, w których zatrzyma się premier. Wkroczyli na korytarz biegnący wzdłuż hali. Mijając jadalnię, Darek nie mógł się powstrzymać – zajrzał tam, by sprawdzić stan po wczorajszych wydarzeniach. Plastikowe krzesła, zlew, stoły, kartonowo-gipsowe panele na suficie, wszystko w najzupełniejszym

porządku, cisi i niemi świadkowie spoczynku dwóch zamordowanych pracowników.

– I jak? Jest git? – Wojsław zapytał o wynik wizji lokalnej.

– W porządku – mruknął Darek. – Żadnych śladów.

Poszli dalej. Zamierzali wdrzeć się do części przeznaczony dla premiera. W tym celu będą udawać hydraulików. Darek podsunął tę myśl zainspirowany wczorajszymi wydarzeniami z jadalni. W obszarze chronionym znajdowała się łazienka, a co najważniejsze, plan zakładał, że premier tam wejdzie. Zawsze wchodził do toalety po oficjalnym uścisku dłoni i każda oficjalna wizyta była tak organizowana, by zapewnić mu kilkadziesiąt sekund na umycie rąk. Ten punkt, początkowo uznany za rodzaj ciekawostki z cyklu „dziwactwa polityka-celebryty”, stał się z czasem konkretną wskazówką w przygotowaniach do zbrodni. Dokument znaleziony przez Darka wyraźnie potwierdzał manię czystości u premiera, dlatego postanowili wypróbować scenariusz zamachu przy myciu rąk.

Skręcili z głównego korytarza w stronę części wydzielonej. Na ich ramionach wisiały skórzane torby z narzędziami, spokojnie podeszli do ochroniarza, nieustającego w zapale wypędzania intruzów z obszaru przygotowanego dla zagranicznego gościa, w którym nie śmie żyć ani jedna szkodliwa, polska bakteria, a co dopiero mówić o wpuszczeniu ludzi.

– Stać! Nie wolno! Teren chroniony, chwilowo poza administracją Rzeczypospolitej Polskiej! – Strażnik stanął w rozkroku, wzorem amerykańskich żołnierzy, uniósł głowę i zmierzył przybysza wzrokiem srogiego celnika. Wojsława najwyraźniej nie widział, choć ten był przygotowany na ewentualne rozpoznanie. Miał identyfikator i odpowiedni ubiór.

– Się leje z rury, panie ochrona – odpowiedział Darek. – Poza tym mam tam sprawdzić uszczelkę głowicy na kryzie redukcyjnej, wyregulować zawór odpowietrzający i usunąć szlam okołoprodukcyjny – na poczekaniu wymyślał zakres robót.

Mina ochroniarza stała się nieco mniej pewna. Informacja przedstawiała się dość wiarygodnie. Odkasznął, zerknął za siebie, jakby oczekując czyjegoś wsparcia lub wypatrując strumieni wody i szlamu okołoprodukcyjnego, ale za jego plecami było sucho i cicho, nie licząc bzyczącej jarzeniówki.

- Nic się nie leje - skomentował.

- Kryza jeszcze trzyma, ale to kwestia minut, na piątce u Wawrzyniaka już pierdolnęło, a u Sochy musieli chwilowo zamknąć magistralę główną i trzy suporty. - Hydraulik znał się na rzeczy, ochroniarz niewiele zrozumiał, ale wszystko brzmiało bardzo groźnie. Wizja była jasna: zaraz zaleje ich brunatna, cuchnąca fala. Ochroniarz drapał się po łysinie, ustalając sam ze sobą, jak bardzo jest odpowiedzialny za ochronę bakteriologiczną terenu, jak również za zapewnienie korytarzykowi statusu eksterytorialnego łącznika hali z umywalnią.

- Eee... - Proces myślowy wymagał wsparcia dźwiękowego.

Na szczęście nie musiał niczego wymyślać, bo zza zakrętu wyłonił się angielski funkcjonariusz, który co godzinę chadzał na papierosa. Teraz podążył ku nim szybkim krokiem. Zobaczył Darka i spytał po angielsku, czego sobie życzy.

- Eee, *water*, eee, *big water here*. On, eee, *stop big water*. - Ochroniarz, najlepiej jak umiał, wytłumaczył wizytę hydraulika.

Funkcjonariusz zmierzył ich badawczym spojrzeniem od stóp do głów, wyraźnie patrzył na obie postaci specjalistów od rur z wodą. Chwilę podumał, mruknął pod nosem: „*Big water*”, następnie wskazał ręką, że droga wolna, czym wzbudził zrozumiałe niezadowolenie polskiego kolegi. Mijając pilnujących mężczyzn, Darek starał się wyglądać na maksymalnie wyluzowanego. Ot, typowy fachowiec, każą, to robi, ale jak nie puszczają, to on się prosić nie będzie. Natomiast Wojsław wykazywał wzmożoną nerwowość; co krok się obracał, lustrując pilnujących, a jego ponure oblicze stało się jeszcze bardziej zacięte. Zaczął nawet spać wściekle.

- Uspokój się. Co tak dyszysz? - Darek nie mógł pozwolić na takie demaskujące zachowania.

- Tu się dzieje coś dziwnego. Ten drugi mnie widział, patrzył wyraźnie na nas dwóch, nie tylko na ciebie.

- Przecież niektórzy cię widzą, czemu się dziwisz?

- Bo... bo... on chciał nas wypuścić. Czuję to. Spieszył się, żeby tamten łysy przypadkiem cię nie zawrócił. Wpadł zza rogu jak bomba. On się w ogóle nie zastanawiał. Staął, udał, że nad czymś myśli, i wypuścił. To nie była normalna kontrola.

- Co ty wygadujesz? Jak w przededniu wizyty huknie rura, to dopiero będzie miał się z pyszna, że nie zadbał o naprawę.

- Ale on nie jest od napraw! Nawet nas nie przeszukał.

- Może zapomniał, może zaraz nas odwołają, trzeba się spieszyć. - Darek uciął sprawę i szybkim ruchem pchnął drzwi toalety. Wojsław rzucił jeszcze nerwowe spojrzenie za siebie i weszli.

Powiesili na klamce tabliczkę z napisem „Roboty budowlane. Zakaz wstępu”. W drzwiach przekreślił blokadę. Byli jako tako oddzieleni od niespodziewanych gości. W łazience znajdowały się trzy umywalki i trzy kabiny z ubikacjami. Puścili wodę z kranów, nacisnęli przyciski spłuczek we wszystkich toaletach. Przez chwilę panował huk jak przy wodospadzie Niagara, potem zbiorniki zaczęły się napełniać, wydając jak najbardziej hydrauliczne odgłosy; dla lepszego efektu Darek stuknął cztery razy w jakąś rurę. Potem zaczęli myszkować. Musieli ustalić, jak się tu dostać niezauważenie, gdzie może stanąć premier i jak sprawić, by im nie umknął. Wojsław szybko znalazł odpowiedź na ostatnie pytanie: otworzył okno, wyskoczył, rozejrzał się, sprawdzając, czy nikt go nie widzi, wyrwał kawał krawężnika i wskoczył z powrotem z betonowym kłosem w rękę.

- Będzie do blokowania drzwi - wytłumaczył, układając krawężnik w kację. - A może byśmy tak jutro przez to okno...

- Będzie pilnowane jak skarb - uciął płonne nadzieje Darek. - Musimy być w środku, zanim ustawią się tajniacy. Potem będzie trudno.

Zresztą wejście to mniejszy problem, wyjście okaże się dopiero prawdziwym wyzwaniem. Włączą alarm, wszyscy będą szukać sprawcy... Trudno nam będzie wyjść, ale jakoś damy radę, prawda?

- Mhm - potwierdził półgębkiem Wojsław, starając się przy tym nie patrzeć w oczy towarzysza. Kiepsko kłamał.

Darek pokiwał głową w zadumie, coś chwilę jeszcze rozważał. Wojsław ponuro spoglądał w okno. Potem wrócili do wizji lokalnej.

- Ty, patrz, mamy szczęście. Tam za ścianą jest inna toaleta, a tu ktoś musiał przebić otwór podczas prac instalacyjnych. Może chcą puścić tędy dodatkowe łącze wodne i zaślepili dziurę tylko płytą? Tak czy owak, nie ma muru.

Wojsław spojrział zdziwiony na wnętrze środkowej kabiny. Gdy wcześniej się rozglądali, nic takiego nie rzuciło się im w oczy, a teraz, rzeczywiście, po lewej stronie koło spłuczki widniała biała płyta. Skrywała otwór na tyle spory, że zmieściłby się w nim człowiek, nawet gruby.

- Ale przecież... - zachnął się Wojsław, jednakże zamilkł, nie wiedząc, co powiedzieć. Najwyraźniej czuł się zaskoczony odkryciem Darka, które on przeoczył. Kręcił z niedowierzaniem głową i mruczał coś pod nosem ze zdenerwowaniem. Darek już odkręcał mocowania. Nie było czasu na wątpliwości. Wojsław milczał, obserwując niepewnym wzrokiem operacje kolegi. Po chwili zdjęli płytę. Po drugiej stronie znajdowała się toaleta, przeznaczona do użytku w momencie otwarcia drugiej części hali, obecnie ciemna i brudna od pyłu budowlanego; jej drzwi nie wychodziły na pilnowany przez ochroniarza i brytyjskiego agenta korytarzyk. Sprzęt nie został jeszcze zamontowany, w kącie leżały umywalki, pisuary i muszle klozetowe przygotowane do montażu. Przekręcili zamek i wyjrzeli na korytarz, zza załomu muru dochodziły urywki rozmówek polsko-angielskich w wykonaniu pary pilnujących mężczyzn; z drugiej strony bieliło się wyjście na zewnątrz. Zatrzasnęli cicho drzwi i delikatnie zastawili je umywalką, jednakże na tyle lekka, żeby dało się wejść, przesuując

blokujący przedmiot po podłodze. Darek mrugnął porozumiewawczo do Wojsława, tamten coś odburknął, cały czas zerkając podejrzliwie to na dziurę pomiędzy łazienkami, to na zadowoloną twarz swego towarzysza. Po kilku minutach zakończyli prace. Pobrudzili trochę kurzem podłogę, polali wszystko wodą, stłukli kilka kafelków w widocznym miejscu koło umywalki i urwali oraz pogięli jeden z paneli zaślepiających pion wodny. Miało być dla wszystkich jasne, że urzędował tutaj specjalista hydraulik wysokiej klasy.

Wyszli. Po drodze ściągnęli tabliczkę zabraniającą wstępu i pogwizdując wesoło, przeszli obok ochrony.

- *No big water?* - zapytał Anglik.

- Powiedz pan, panie ochrona, temu panu, że kryza jeszcze nie pierdolnęła, ale zawór był już dętka, a suporty to chyba z gliny zostały zrobione, takie zjechałe. Chińszczyzna dziadowska. Szlam się jeszcze nie zebrał. - Darek zwrócił się do łyszego Polaka jak do tłumacza. Ten wystękał krótkie streszczenie prac:

- *No big water today.*

Agent pokiwał głową z uznaniem, hydraulicy ruszyli do wyjścia.

Bo my szukamy złych duchów

– Proszę się uspokoić. Mówi pan, że to był on? – Wątroba starał się od kilku minut ukoić nerwy roztrzęsionego pracownika ochrony.

– Przecież sobie tego nie wymyśliłem, stał w kolejce do czytnika. Odbił kartę i poleciał na zakład. Wąsy miał, ale ja też kiedyś nosiłem wąsy i mnie tak łatwo się nie zwiedzie. Zresztą widać było, że sztuczne, bo ciągle je poprawiał. Aż mnie zatkało, jak go zobaczyłem. Jezu, morderca na zakładzie!

– Hm... – Liver również był obecny przy przesłuchaniu. – Trzeba informować Bronson i trzeba się spytać, czy karta ktoś nie gubi. A może nawet, czy się jakiś człowiek nie gubi. Może oni tu... – Wykonał międzynarodowy gest podcinania gardła. Portier aż załkał na ten widok.

– Jezusie najśłodszy! Zabójca u nas! A to mi dadzą popalić, że go wpuściłem. Była spokojna robota, a tu taki pech – zawodził i jęczał emeryt-portier. Liver i Wątroba wymienili porozumiewawcze spojrzenie nad jego głową.

– No, już dobra, panie ochronnik. – Liver zdecydował się na krótką psychoterapię. – Zabójca złapią i wszystko dobrze. Byle zły duch odpędzić i szatan nie wzywać, to będzie dobrze. My już robimy, już szukamy.

Portier skończył lamenty i uniósł zdumione, pełne lęku spojrzenie na Wątrobę.

– Jaki zły duch, jaki szatan? Co pana kolega opowiada?

– E, takie tam bajdurzenie. Obcokrajowiec. Nauczył się trzy słowa na krzyż i teraz się popisuje. – Komisarz westchnął z rezygnacją. Najgorzej gadać za dużo. Już widział oczyma duszy setki ludzi plotkujących na działach produkcyjnych o zjawach i mocach nieczystych. – Się złapie i

zapomni. Trzeba sprawdzić, czyjej karty użył. Nie zgłaszał ktoś zagubienia?

Portier skierował ich do szefa ochrony, chwilowo pomagającego służbom brytyjskim w przygotowaniach do jutrzejszej wizyty ważnego gościa. Ustalili również, że zrobią wywiad wśród mistrzów; być może ktoś z pracowników przepadł bez wieści albo wydarzyło się coś dziwnego. Portier zamilkł. Przez chwilę spoglądał podejrzliwie na funkcjonariuszy, w końcu nie wytrzymał:

- A wy na pewno z policji? Bez mundurów, ten ledwo gada po polsku, do tego o złych duchach, dwóch grubasów i jeden chudzina. Można zobaczyć legitymacje? - Wątroba i Liver pokazali swoje identyfikatory. Smith odmówił, twierdząc, że nie ujawnia swoich danych byle komu. Szczególnie angielska odznaka wzbudziła zainteresowanie portiera; starszy pan oglądał ją ze wszystkich stron, marszcząc brwi, tak jakby chciał odróżnić brylant od szkiełka.

- Hm, jak się Ruscy od nas wycofywali, to można było na bazarze kupić takich cacek na kopy. Ale tu nie ma nic po rusku.

- Sam jesteś rusku! - Liver zdenerwował się tym gadaniem i wyrwał swój identyfikator z rąk strażnika. - Idziemy złapać morderca, zły duch, szatan, superman i sto smerfy, a pan nic do tego, pan tu siedzi dupą i nie marudzi. Zrozumiał, panie ochronniczy? Wątroba, Smith, *let's go!*

Wyszli, zostawiając obrażonego śmiertelnie chamstwem obcokrajowców starszego pana.

Przed nimi widniały hala, budynek magazynu, biurowiec i setki arów trawy. Gdzieś tu siedział płatny morderca wspomagany przez demona i należało go znaleźć.

- Najpierw Bronson. Musi wiedzieć, że gagatek tu grasuje - powiedział Liver do Smitha, który już otwierał usta, żeby zripostować, ale Liver zgasił jego wszelkie reakcje. - Wiem, wiem, dostajesz biegunki, migreny i torsji na widok jego ryja, ale ochrona musi mieć pełne informacje.

Bronson, ku ich ponownemu zdziwieniu, podziękował za informacje i postanowił przyłączyć się do przeszukiwania terenu. Smith wzniósł oczy ku niebu i mruknął coś o płaczących się pod nogami niedorajdach. Bronson jednakże twardo oświadczył, że odpowiada za teren i jeżeli są poszlaki, iż ktoś tu organizuje napad, to on jako pierwszy jest zainteresowany wykryciem zbrodni. Dodał jeszcze, że robi to dla dobra ojczyzny, dla bezpieczeństwa premiera i nieskalanego imienia Zjednoczonego Królestwa. Liver pokiwał z uznaniem głową, reakcja szefa ochrony była w zupełności poprawna. Smith w trakcie tej tyrady robił głupie miny, a potem udając nadęty ton Bronsona, skomentował szeptem oświadczenie nieulubianego kolegi: „Dla dobra emerytury, dla spokojności własnej dupy, dla dodatku za dobrą służbę i bla, bla, bla”. Ale trzeba obiektywnie przyznać, że w tym starciu Bronson był wyraźnie górą.

Poszli w kierunku strefy A, jak ją nazywał Bronson, czyli do korytarzyka za halą. Para polsko-angielskiej ochrony stała na posterunku. Polak był wspomnianym szefem ochrony, który sam się przydzielił do zaszczytnych zadań w międzynarodowej służbie dyplomatycznej. Choć bolące od długiego stania nogi i monotonia sieni z byczącą jarzeniówką skłaniały go coraz silniej do refleksji o zaletach delegowania zadań i uprawnień, to jednak dalej trwał na posterunku i nie ustawał w ochronie eksterytorialnego skrawka budynku. Bronson odpytał swojego agenta o jakiegokolwiek nietypowe zdarzenia. Ten uspokoił ich, że nic się nie zdarzyło. Spokój i marazm okołoprodukcyjny, jeśli nie liczyć panów ustawiających bariereczki i krzesła dla oficjeli na jutrzejsze spotkanie. Wątroba zagadnął o ewentualne zgłoszenia o zgubionych identyfikatorach, jednakże żadne takie zgłoszenie nie napłynęło.

– Pan to tak na okrągło tutaj warujesz? – Wątroba zainteresował się losem szefa ochrony.

– A jakże, od wczoraj rana. Już ośmiu maruderów popędziłem. Trochę bolą nogi, ale wytrzymam. Mam wprawę z woja, byłem

wartownikiem przez dwa lata. Szkoda tylko, że tych hydraulików wpuściliśmy. Nabrudzili, do tego stukli kafle, połamali płytę. Skandal! Jak można dopuścić takich partaczy do oficjalnej ubikacji? Nie wiem, co oni tam naprawiali.

– Ktoś tu był? – Liver nadstawił ucha. Ochroniarz potwierdził. Liver przetłumaczył jego słowa Smithowi.

– No to jak ten twój człowiek melduje? Nikogo nie było? Akurat. Wszystko się potwierdza, burdel i tumiwizizm! – Smith nie przepuścił okazji, żeby dopiec Bronsonowi. Ten odwrócił się do swojego człowieka, który potwierdził wejście dwóch ludzi. Bronson nastroszył się na tę przykrą niespodziankę i ostrzegł go, że z premią i obiecany urlopem może się pożegnać. Liver nie mógł oprzeć się wrażeniu, że agent wydawał się niemile zaskoczony tą burą, wyglądał jak człowiek niesłusznie zbesztany za dobrą robotę. Czyżby Bronson tylko udawał zdziwionego?

Poszli obejrzyć łazienkę. Puste pomieszczenie rzeczywiście nosiło ślady działań fachowców – brudno-błotnista podłoga, odpryski stłuczonego kafla, zarys rury ziejący z otworu w kącie.

– Trzeba wszystko sprawdzić, no i trochę posprzątać. Zaraz wezwę ludzi. – Bronson chciał naprawić swoje zaniedbanie.

– Obejdzie się, sami tu wszystko sprawdzimy. Twoi spece przyjdą, zapalą papieroski, poplotkują, a potem zameldują, że zrobili pełne badanie pomieszczenia. Przecież widziałem, że tamten na zewnątrz nie przejął się ani trochę twoją naganą. Au-to-ry-tet, Bronson. Tego ci brak. Wszyscy mają cię w dupie i robota kuleje.

Bronson stanął w rozkroku, odchylił marynarkę, gdzie pod pachą czernił się pistolet w kaburze, wpił twarde spojrzenie w Smitha i wycedził:

– Jeszcze coś, czy już mogę ci przywalić w twój szcurzy ryjek, panie Smith?

Smith się zjeżył, Bronson dyszał wpatrzony wrogo w kolegę ze służby.

- Panowie, panowie! Spokój. Smith, jeszcze słówko, a idziesz na trawkę przed halą, a ty, Bronson, bez gróźb. - Liver miał dość tych wiecznych potyczek słownych dwóch samców alfa.

Po chwili się uspokoili i rozpoczęli przeszukiwanie. Jednakże ani odkryty częściowo pion wodny, ani żadna z wnęk nie zawierały niczego podejrzanego. Jedyne dysonans w łazienkowej harmonii kształtów stanowił odłamek krawężnika leżący w kącie. Obejrżeli go, ale był to zwykły kawał betonu. Bronson obiecał zaraz tu posprzątać i wyrzucić kloc na zewnątrz. Patrząc wyzywająco na Smitha, dodał, że zrobi to porządnie i z pełnym autorytetem. Smith nie dał się sprowokować, burknął jedynie coś pod nosem, pomny ostrzeżenia Livera. Poza tym wszędzie lśniła gładź kafelków. Ani jednej dziury, nierówności lub innego budzącego podejrzenia miejsca. Postanowili jeszcze opukać ściany. Liver chodził i stukał, Bronson patrzył z wielkim zaciekawieniem na stukającego kolegę, a Smith patrzył na Bronsona i zastanawiał się, dlaczego tak strasznie go nie lubi i dlaczego Bronson tak usilnie patrzy Liverowi na ręce, jakby tamten pukał w coś niezwykle cennego i kruchego.

Gdy wyszli na zewnątrz, Bronson zabronił swojemu człowiekowi wpuszczać kogokolwiek bez meldunku, choćby był to sam premier. Udali się na halę produkcyjną i rozpoczęli wędrówkę od mistrza do mistrza, pytając o niewyjaśnione nieobecności. U Wawrzyniaka dwóch brakowało.

- Panie, poszli wczoraj na przerwę i już nie wrócili, a potem dzwonił, że nie przyjdą, bo chorzy. Zbychu bełkotał tak, że na kilometr było słychać, że pijany - opowiadał mistrz.

- To był na pewno on? Poznał pan głos? - dociekał Wątroba.

- Głos miał dziwny, jakby gardłowy. Ale to był jego numer telefonu. Zapisałem sobie kontakty do kilku lepszych pracowników na wypadek nadgodzin albo jakichś nagłych zmian. Wie pan, nie zastanawiałem się nad głosem, pomyślałem, że jak walnął lufkę, to zaczął chrypieć.

- I co? Dziś nie przyszli?

- Nie przyszli. W pierwszym odruchu chciałem ich dyscyplinarnie wyrzucić. No ale to nie po mojemu, najpierw trzeba pogadać, potem wyrzucać. Dzwoniłem nawet do tego Zbycha, niestety nie odbiera. Cisza.

- Hm, proszę o nazwiska. - Wątroba spisał dane i popędził do kadr sprawdzić, czy czytnik przy bramie wykazał ich obecność.

Bronson, Liver i Smith zostali w kantorku mistrza, czekając na wynik kontroli Wątroby. Wawrzyniak dał im po kubku herbaty. Panowie rozsiedli się w mistrzówce, podziwiając stopy wydrukowanych dokumentów produkcyjnych oraz kalendarz reklamujący hurtownię przekładni maszynowych, na którym pozowała apetyczna, naga blondynka z jakimś ustrojstwem, prawdopodobnie przekładnią maszynową, zasłaniającym jej łono. Na szczęście piersi pozostawiono odsłonięte i było na czym oko zawiesić.

Obecność obcokrajowców nie przeszła bez echa. Robotnicy pracujący przy montażu odwracali głowy, śledząc ciekawie trójkę gości u mistrza; niektórzy odchodzili od swoich stanowisk i łazikując od jednego do drugiego kolegi, coś szeptali, wskazując na trzech Anglików za szkłem.

Wawrzyniak uniósł głowę znad parujących kubków herbaty, spostrzegł zamieszanie, przeprosił gości i wyszedł. Kilkanaście kroków od nich zebrała się już spora grupa ludzi, na ich twarzach odbijały się ciekawość i obawa. Chcieli jak najdokładniej obejrzeć wnętrze kantorka, ale wyraźniej bali się podejść bliżej. Zachowywali się całkiem jak tubylcy z Papui Nowej Gwinei, którzy widząc po raz pierwszy białego człowieka, nie mogą oderwać od niego oczu, ale jednocześnie podejrzewają, że kryje w sobie nieliczne czary. Wawrzyniak podszedł do nich i zaczął krzyczeć, wskazując na opuszczone stanowiska pracy. Część załogi zaczęła wracać na miejsca, inni coś mu tłumaczyli, gestykulowali nerwowo, wciąż spoglądając na przybyłych obcokrajowców. Wawrzyniak odpowiadał, uspokajał, ale również odwrócił się kilka razy, rzucając badawcze spojrzenie na gości.

- Co jest, u licha? - mruknął Liver, dostrzegłszy, że wywołali wzburzenie wśród załogi. - Nie podoba mi się to.

Wawrzyniak wrócił po chwili, znowu usiadł z nimi, ale jakoś inaczej, jakby nie chciał się zanadto spoufalać, choć jeszcze przed minutą byli prawie na przyjacielskiej stopie.

- Coś się stało? Wybuchła afera? - Liver chciał poznać powód zamieszania.

- A, nie, tam, tego, takie głupoty. - Wawrzyniak wykręcał się od odpowiedzi i odwracał wzrok ku nagiej blondynie z przekładniami.

- Pan powie, my jesteśmy od bezpieczeństwa tutaj i musimy wiedzieć nawet głupoty - nalegał Liver.

- No więc oni mówią, że... że... wy szukacie diabła i złych duchów - wydukał Wawrzyniak i splonął się cały, jakby właśnie się przyznał, że zjadł całą kruszonkę z ciasta upieczonego specjalnie na przyjęcie.

- Kto ma takiego pomysła? My jesteśmy zwykłe agenty i chronimy ważne ludzie od napad! Od szatan chronią ksiączęta! - Livera oburzył się na krążące wśród robotników plotki.

- Ksiączęta? - powtórzył zdumiony mistrz.

- No pewnie, ksiączęta! Tacy w długich sukienkach po serminatorium.

- Aaa, księża. - Wawrzyniaka olśniło. - Mówiłem, że głupoty gadają. Skąd im to do głowy przyszło? - Niby rozumiał, niby nie wierzył w brednie podwładnych, ale i tak wciąż zerkał podejrzliwe na dziwne angielskie towarzystwo.

Liver wytłumaczył pozostałej dwójce całą sytuację.

- Skąd ludzie biorą takie pomysły? - zastanawiał się Smith. - Ktoś im musiał coś zasugerować.

Liver przypomniał sobie swój niefortunny seans psychoterapii z portierem i oblał się rumieńcem. Potwierdziła się stara zasada, że milczenie jest złotem, a mowa w tym przypadku nie tyle była srebrem, co najwyżej laminowaną płytą wiórową.

- Nigdy bym nie przypuszczał, że zostanę egzorcystą. - Smith się rozkręcał w komentarzach. Wniósł ręce nad głowę, zmarszczył gniewnie czoło, wbił piorunujące spojrzenie w dwóch towarzyszy i ryknął, jak umiał najgłośniej: - *Apage, Satanas!*

Wawrzyniak uniósł brwi w zdumieniu, jego mina mówiła, że zaczyna się skłaniać do opinii załogi, iż ludzie kręcący się po zakładzie nie są od spraw tego świata. Liver westchnął i zawstydził się jeszcze bardziej swojej gadatliwości. Bronson natomiast podskoczył, jakby go uszczypnęli, i wyszedł, trzaskając drzwiami i mrużąc pod nosem o przygłupach w wywiadzie.

- Hi, hi, hi, Liver, patrz, jednego czarta już pogoniłem. - Smith nie posiadał się z radości, że tak zdenerwował agenta. - Straszny sztywniak z tego Bronsona. Nawet wypędzić złego przy nim nie można, bo się zaraz obraża.

- Daj spokój, Smith. Głupie żarty się ciebie trzymają - jęknął Liver, wodząc wzrokiem za Bronsonem, który w złości biegł przez halę do wyjścia. - A Bronsonowi pogoniłeś kota, to fakt. Wygląda, jakby musiał natychmiast wyjść na powietrze.

W tym momencie w drzwiach mistrzówki stanął zdyszany Wątroba; musiał biec od samego biura, bo sapał jak lokomotywa, a twarz miał czerwoną i spoconą. Oparł się zgięty o framugę, sprawiając wrażenie, że zaraz się osunie ze zmęczenia, i wysapał:

- Zbigniew Koszelski, ten człowiek, który niby jest pijany albo chory, znajduje się według czytników w zakładzie od początku zmiany. Czyli już ze cztery godziny.

Liver zerwał się na równe nogi, streścił informację Smithowi i obaj rzucili się do drzwi. W połowie drogi Liver się odwrócił, spojrzął na Wawrzyniaka.

- Jaki wygląd ma ten człowiek?

- Brunet, wąsy, średni wzrost... Ciężko opisać.

- Pan sam nie szukaj ten pracownik. To niebezpieczne. To może być bardzo niebezpieczne.

Wawrzyniak skinął głową przestraszony, a oni pobiegli do wyjścia w ślad za Bronsonem.

Och, Helen

Shaker od kilku godzin nic nie robił. Taka sytuacja nie zdarzyła mu się od chwili narodzin. Zawsze zajęty czymś pożytecznym, uczący się, piszący wypracowania, rozwiązujący zadania z algebry, dorabiający na zmywaku już w szkole średniej, pomagający starszkom w hospicjum, gotujący niedzielny obiad dla rodziny i sąsiadów, dobry dla przyjaciół i wrogów – dziś postanowił się beżużytecznie polenić. Przeżycia ostatnich dni bardzo nadwątlily jego zdrowie psychiczne; budził się w nocy dręczony koszmarami sennymi, rano zasiadał w biurze nerwowo i senny, praca papierkowa, zwykle odprężająca i przyjemna, teraz stała się niekończącą katorgą, ale na inną brak mu było sił.

Tak. Był wyczerpany i zużyty, jak bateria w misiu-pozytywce, dlatego postanowił dziś nie robić zupełnie nic. Cały dzień posiedzi w biurze, serfując w internecie, przedłuży sobie przerwę na lunch, usiadzie na ławce w miniparku przy komendzie, gapiąc się bezproduktywnie na fontannę, a może nawet wyjdzie o godzinę wcześniej. Tak pokrzepiony zaordynowaną sobie autokuracją zajął się czytaniem newsów na portalach informacyjno-rozrywkowych. Po kilku minutach to zajęcie znużyło go śmiertelnie. Nie mógł się nadziwić, że Liver robi to przez wiele godzin dzień w dzień od wielu lat. Taki inteligentny człowiek i taki wstrętny nałóg! Informacje były nudne, sugerujące sensację lub interesującą zawartość tytuły kończyły się beznadziejnymi tekstami, a każdy wywiad z „ciekawym” człowiekiem okazywał się zakamuflowaną formą promocji książki, filmu albo płyty.

Shaker podparł głowę dłońmi i trwał tak zafrasowany. Wzdychał ciężko. Wyglądało, że nie ma już dla niego ratunku – dokumenty i protokoły przestały go zajmować, rozrywka w telewizji i internecie

okazała się totalnym gniotem, a na prawdziwe śledztwo był za słaby psychicznie. Wpakował się w sytuację bez wyjścia.

- Rany boskie, ale wpadłem - jęczał i zamartwiał się dzielny konstabl.

Wtedy przy wejściu do biura trzasnęły drzwi, damski głos o coś pytał, inny odpowiadał. Ktoś wszedł do jego boksu, Shaker uniósł głowę i zamarł w zdumieniu. Pani Mustain? Pani Forewind?

- O, siedzi! Biadoli. - Mustain wskazała koleżance Shakera.

- Dzień dobry paniom. - Konstabl wstał zza stołu z pytającą miną. Widział je obie kilka dni temu, ale wydawało mu się, że od pierwszego kontaktu z obiema istotami minęły wieki, tak wiele się w tym czasie wydarzyło. Trzy razy zszedł do czeluści nieomal piekielnych, dostał od Livera kilka niewykonalnych zadań i dwa razy posprzeczał się z żoną o jego zbytne zaangażowanie w pracę za marne policyjne grosze. Pierwsze miłe rozmowy w Dagenham były już tylko mglistym wspomnieniem.

- Jeszcze się okaże, czy dobry. - Forewind znowu ukazała swe oblicze herod-baby, tak pięknie kontrastujące z jej urodą i smukłą, choć nie szkieletową, sylwetką.

- Odpoczynek, stargane nerwy, a może kryzys wieku średniego? - Mustain nie była już tą miłą staruszką dolewającą herbaty. Obie stały w pozycji bojowej przed zaskoczonym Shakerem i wbijały w niego gniewne spojżenia.

- Ale ja... ja... tylko... mhm... - Shaker znów się pogubił. Zaczerwienił się po koniuszki uszu, czując, jak głupio wygląda, próbując wydusić z siebie jakąkolwiek odpowiedź na te zaczepki.

- Aha, kręci - podsumowała krótko Forewind. - Z nimi tak zawsze! Nabroją, a potem kręcą. Cholery można dostać! - Huknęła pięścią w stół, aż skoroszyty podskoczyły.

- Spokojnie, Helen, jak go za bardzo przestraszysz, to nam nic nie powie. - Mustain łagodziła sytuację. Znowu była trochę podobna do uśmiechniętej starszej pani proponującej herbatkę.

- Dobra, Shaker! Będę łagodna jak baranek, choć dla takich jak ty... - Forewind zgrzytnęła zębami, sapnęła. Po chwili dodała trochę spokojniej: - Co tam kombinujesz z Marshallem?

Shaker osłupiał. „Co? Ja z Marshallem?!” Pomacał delikatnie językiem miejsce po wybitym przez młodego osiłka zębie.

- Ja? Nic. Chodzi o tego młodego, silnego?

- O, znowu głupka udaje, przecież z nim gadałeś. Sarmon was widział.

- A, to ten, co się sam zjada. Gadałem. I co? Pogadać nie można? Nudno tu, to i towarzystwa szukam. - Shaker otrząsnął się z pierwszego osłupienia i przystąpił do kontraktaku.

- A to mi piękne towarzystwo! Coś mu powiedział, co ci naobiecował? Człowieku, przecież ty masz żonę, dzieci. Pomyśl o nich!

- Co mają do Marshalla moja żona i dzieci? - Shaker zdumiał się ponownie.

- Ten się jeszcze pyta? Ty samolubna, zmanierowana, męska, egocentryczna...

- Helen! Bo nic nie powie. - Mustain na próżno starała się powstrzymać koleżankę.

- ...świnio!

W plastikowym boksie Shakera ostatnie słowo wydawało się fruwać w zupełnej ciszy jeszcze przez kilka sekund, zanim nastąpiła jakakolwiek reakcja. Pani Forewind chyba się zawstydziła swoim przesadnym atakiem, bo już nic nie dodała. Stała teraz, milcząc i wypatrując świńskich cech w twarzy Shakera. Pani Mustain westchnęła z ubolewaniem, potem zaczęła mówić:

- Shaker, przepraszamy, zapomnijmy na chwilę o świniach, o żonie, o twoich frustracjach, lękach i żalach...

- Ale ja... - chciał zaprotestować Shaker, lecz na próżno. Mustain mówiła, nie zwracając na niego uwagi.

- My wiemy, nie każdy dzień jest jak z filmu o Jamesie Bondzie, czasem nie można sprostać zadaniom, nie wszystko staje...

- Wypraszam sobie! - wrzasnął Shaker i potoczył skołowanym spojrzeniem po przybyłych istotach. „O co tu chodzi?”

- ...nie wszystko staje się tym, czym mogło być. My to wiemy, rozumiemy. Ale z Marshalllem się bratać? Przecież on cię może na zawsze, na wieki wieków, kaplica, ty i twoja żona, i dzieci... - Mustain otarła łzę utoczoną na myśl o krywdzie niewinnych.

- Opamiętaj się, nie rób tego sobie i innym. - Forewind też zmięła; jej szczęka delikatnie drżała, tak jakby z trudem powstrzymywała się od płaczu.

Shaker na tę nagłą zmianę nastroju zgłupiał już dokumentnie.

- Ale o co chodzi!? Czego mam nie robić? No i jeszcze ta żona z dziećmi...

- Wiem, wiem, kiedyś wszystko było prostsze - powiedziała Forewind z wyrazem zatroskania na twarzy. - Nie miałeś grosza przy duszy, a i tak świat był twój. Było pięknie. Grali Sex Pistols, rządziła ohydna Margaret Thatcher i była walka do ostatniego kamienia z policją po meczu Arsenalu...

- Miałeś gest, byłeś romantyczny, ba, nieobliczalny w szaleństwie miłości. Umiałeś wydać ostatniego funciaka na różę dla Sally, a potem nie jeść dwa dni - dorzuciła Mustain.

- A teraz sam jesteś policjantem...

- I gonisz za takimi, jak ty byłeś kiedyś...

- I tęsknisz za szaleństwem, za dawnym wiatrem...

- Ale kwiatka żoncy już nie kupisz, bo zbierasz na wakacje.

- Obiadek musi być codziennie dwudaniowy.

- Kurzu nawet za telewizorem nie może być.

- Wcale się nie dziwię, że Marshall cię złapał.

- Nie jesteś już sobą. Chodzisz w masce...

- Udajesz człowieka, a jesteś już tylko pustą kukłą...

- Ciszaaaaaa! - ryknął Shaker. Panie zamilkły. - Co za bzdury? Co ma obiad do kwiatów i pracy policjanta? Nie widzę związku...

- Typowy, jednowymiarowy, linearny... - zaczęła Forewind, ale Mustain ją uciszyła.

Shaker kontynuował:

- A Marshall rzeczywiście proponował mi, mhm, układ, ale się nie zgodziłem. Nawet się pobiliśmy. Zęba straciłem. Zasugerowałem, że pomożemy im złapać Wallsa, ale Marshall i Godson muszą nam pomóc. Dać wskazówki...

- Oni? W najlepszym przypadku was okradną, a w najgorszym pójdziecie do piekła! - Forewind wytłumaczyła męskiej świni jej głupotę.

- Hm, możliwe, ale na cyrograf się nie zgodziłem, choć miałem wielką ochotę na trochę odmiany i luksusu w tym popieprzonym życiu. Natomiast Marshall szepnął mi słówko, jak unieszkodliwić Wallsa. Może nie jest taki zły?

- Ale zaraz potem gdzieś zniknął i nawet Godson nie ma pojęcia gdzie. Coś mu musiałeś zasugerować, podpowiedzieć coś ważnego, bo przepadł. A on już umie nabroić, młody jeszcze, nie ma hamulców, nie zna wszystkich zasad. Godson się martwi, my się martwimy...

- A co wy się tak razem martwicie? Przecież nie gracie w jednej drużynie.

- Każdy się martwi o siebie, ale w sumie razem. Jak im się nie uda, to i u nas kłopot będzie. Coś ty nagadał temu Marshallowi?

Shaker pokazał szarmanckim gestem dwa plastikowe krzesła, zaproponował kawę z automatu. Panie odmówiły, twierdząc, że dbają o zdrowie i linię, nawet jeżeli nie posiadają rzeczywistego ciała. Usiedli wszyscy wokół biurka i konstabl rozpoczął opowieść. Po kilku minutach atmosfera się rozluźniła, poczęli sobie mówić na ty. Pani Mustain, znaczy Eli, wyczarowała na stole dzbanek z przednią herbatą otoczony wianuszkiem filiżanek. Shaker opowiedział o swoich wszystkich traumatycznych przeżyciach, o bijatyce na zgorzelisku, o zabójstwie

Bulleta, o przerażającej komendzie i napalonym współwzięciu, o ratującym go w obu przypadkach nieznanym wybawcy – Pricksie lub Falxie – o tęsknocie za czasem minionym, o strachu przed dalszym przemijaniem i swojej z góry skazanej na przegraną walce o doskonałość. Pani Mustain uspokajała go kolejnymi porcjami herbaty i roześmianym światełkiem dwojga siwych oczu. A Helen, znaczy pani Forewind, była tak blisko... Emanowała takim ciepłem i pięknym zapachem, że Shaker nie mógł się opanować. Gdzieś w tyle głowy kołatała się myśl, że chciał ją zapytać o Livera i szanse na spełnienie się jego marzeń o randce, ale zamiar ten oddalał się coraz bardziej. Liver ma swoje drożdżówki z kakao, i niech tak zostanie. W zamian za to Helen była coraz bliżej, z falującą piersią, miłym głosem, zapachem piękna i pożądania. Shaker ułożył w końcu głowę na jej łonie i już nic nie mówił, czuł jedynie smukłą rękę głaszczącą go po głowie i usta muskające jego twarz.

- Henry! Co tu się dzieje? - Sally stała w drzwiach, lustrując podejrzliwie plastikowe pomieszczenie. - Śpisz w pracy?

- E, co? To ty, Sally? - Shaker zerwał się na równe nogi, usłyszawszy głos żony. - Co ty tu robisz? - Ostatni raz odwiedziła go jakieś trzynaście lat temu.

- Wyszłam dziś wcześniej z pracy, a dzieciaki wybrały się do ciotki Emily na mini krykiet. Pomyślałam, że skoczmy gdzieś razem na miasto. Wyrwiesz się?

- E, mhm, tak, pewnie. - Shaker rozglądał się czujnie po swoim biurze, ale po miłych gościach nie było ani śladu. Odetchnął po chwili z ulgą, wyłączył komputer i zaczął się zbierać do wyjścia. Autokuracja była w toku.

Oblawa

Bronson stał przed wejściem do hali, palił papierosa i ponurym spojrzeniem lustrował przeciwległą ścianę magazynu. Minę miał niewyraźną. Smith zdziwił się, widząc go pierwszy raz w życiu z papierosem, a pracowali już w różnych instytucjach wywiadowczych w ciągu ostatnich trzydziestu lat. Jednakże nie było czasu na pytania. Liver krzyknął jedynie, że poszukiwany jest w zakładzie, Bronson zdeptał peta i pobiegli razem.

Po kilkuset metrach dotarli do siatki ograniczającej teren zakładu. Stanęli. Wszyscy mieli zadyszkę i kłuło ich w boku po szybkim biegu – oprócz Bronsona, który wyglądał tak, jakby wyścigi na czterysta metrów były jego codziennością. Wątroba oparł się o słup ogrodzenia i trzymając rękę na sercu, pochylił się w pozie skrajnego wyczerpania. Smith kaszłał. Mieli beznadziejną kondycję. Zdali sobie również sprawę, że szukanie na ślepo człowieka podobnego jedynie trochę do osoby z oficjalnego zdjęcia, które Wątroba otrzymał od miłej stażystki z działu kadr, to jak szukanie igły w stogu siana. Kilka hektarów trawy, trzy wielkie budynki produkcyjno-magazynowe, kilka pomniejszych, plac parkingowy dla gotowych traktorów, pełno tirów, wózków widłowych, bocznica kolejowa i stopy prefabrykatów betonowych pozostałych po budowie – tu batalion wojska mógł się schować, a co dopiero jeden człowiek. Stali, ponuro lustrując otoczenie.

– Nie ma wyjścia – warknął Liver. – Trzeba myszkować, może się coś trafi. Bronson, poinformuj swoich ludzi. My chodzimy i wszędzie zaglądamy.

Po chwili dodał po polsku:

- Zawołać ambulans, panie Wątroba? Wyglądasz jakby tuż przed zawaleniem.

Wątroba zaprzeczył niemo, nie mogąc jeszcze złapać tchu. Następnie rozeszli się między budynkami, umówiwszy się na spotkania co pół godziny przy wejściu A8; Bronson po powiadomieniu ludzi również miał szukać.

Po dwóch godzinach spotkali się już po raz czwarty, miny mieli posępne i zrezygnowane. Zakład przewędrowali wzdłuż i wszerz – zostali nawet wpuszczeni do kilku zamkniętych dla gości pomieszczeń – ale nikogo nie znaleźli. Wątroba i Smith usiedli na króciutkim betonowym murku i odpoczywali; widać było, że są wykończeni. Liver prezentował się nieco lepiej, choć patrzył tęsknym wzrokiem na miejsca zajęte przez kolegów. Bronson natomiast nie wykazywał żadnych oznak znużenia. Po zaraportowaniu braku wyników wyciągnął paczkę papierosów i zapalił jednego. Smith obserwował to z uwagą. Bronson i papierosy? Wciągnął się w nałóg na starość? Smith pokiwał głową, jakby wszystko potwierdzało jego tezę o głupocie kolegi z Ochrony Rządu.

- Zaciągasz się? – zagał rozmowę.

- E, to na uspokojenie, nerwowy jestem przed każdą wizytą. Jeszcze ten zabójca...

- Są inne metody uspokajające – wtrącił Liver i spojrzał wymownie na Smitha, kręcąc młynka kciukami. Smith zrobił minę „ani się waż mu powiedzieć”. Liver parsknął śmiechem.

- Tak, diabli go nadali – powrócił do poprzedniego tematu Smith. Bronson zakrztusił się na te słowa, nad nim unosiły się siwe kłęby dymu, a on charczał i spluwał, klnąc jak szewc.

- O, teraz się zaciągnąłeś – skomentował Smith. - A tak w ogóle, po co palisz? Chcesz do wszystkich swoich zalet dodać raka płuc?

- Nie twój zasrany interes. - Bronson pomimo kaszlu palił dalej. - Palę, bo lubię, bo nie mam co robić z kasą i chcę imponować kobietom. Zrozumiano?

Smith znowu się skrzywił, dając całemu otoczeniu sygnał, że z trudem wytrzymuje towarzystwo kretyna-nikotyniarza. Liver westchnął. Kolejna odsłona słownych pojedynków asów wywiadu.

– Wątroba, mam prośbę. Zobacz w komputer kadrowy u stażystka, czy ten sztuczny mechanik ze sztucznym wąsem nie wyszedł, bo chyba już jest po wachcie.

– Mówi się „po zmianie”. Wachta jest na statku.

– Ale tu się nic nie zmieniło, Wątroba. Jak na statku: nuda. Dlatego jest wachta.

Wątroba pokiwał głową z uznaniem, angielski kolega był nie do zagadania. Rozejrzał się po opustoszałym placu, gdzie kilku robotników malowało krawężniki na biało i układało zieloną darń na pobudowanym klepisku, które jeszcze nie zdążyło porosnąć naturalną trawą. Jakiś człowiek szedł wzdłuż szeregu latarni, ciągnąc wózek pełen flag polskich, brytyjskich i błękitnych z logo producenta traktorów; co kilkanaście metrów przystawał i osadzał drzewce sztandarów w obsadkach na słupach lamp. Przygotowania do wizyty trwały. Premier pewnie już wylądował w Warszawie, przemaszerował przed kompanią honorową Wojska Polskiego, złożył wieńce gdzie trzeba i rozmawia teraz w eleganckim pomieszczeniu o sprawach najwyższej wagi z polskim premierem. A potem pojedzie przeciąć wstęgę albo posłuchać, jak przedszkolaki uczą się angielskiego w placówce, której rząd Wielkiej Brytanii ufundował nowoczesny radioodtwarzacz. Wieczorem raut, toasty za przyjaźń między narodami i podwójne rozliczenie podatków Polaków na Wyspach. Jutro natomiast pobudka, krótka toaleta, śniadanie z delegacją angielskich ekspatów w Warszawie i wylot na spotkanie w fabryce. Nie zapowiadano deszczy, więc farba z krawężników nie spłynie, a suche flagi będą dumnie łopotać na przywitanie gospodarza z Londynu.

– Ech, pierdolona robota! Całe życie nadgodziny w służbie Jej Królewskiej Mości – jęknął Smith. – Nie to co niekórzy. Od siódmej do piętnastej, potem kurteczka, czapeczka i do domu. Tak jak ten tam.

Idzie spokojnie, pogwizduje. Ma w dupie wizyty premierów i prezydentów, nie to co my...

- Coś ty powiedział? Idzie spokojnie? Przecież ich jest dwóch! - Liver podskoczył jak oparzony.

- Nie, jeden... - Smith zmarszczył czoło i wpatrzył się w osobę idącą wzdłuż hal. Wzrok miał nie najlepszy, ale postać była na bank jedna.

- To on! Mamy go. Teraz trzeba sprytnie, żeby nie uciekł. - Liver zrozumiał, że działa to dziwne prawo selektywnego widzenia demona u boku poszukiwanego.

- Zrobimy tak... - Bronson przyłączył się ochoczo do ustaleń. - Oni, czy on, idą pomiędzy budynkami. Jak ruszymy razem, to nas zobaczą i zwieją, w lewo albo w prawo za budynki, a jak patrzę na waszą kondycję...

- No, no, hamuj się, palaczu! - Smith nie zamierzał słuchać uwag o swoich rachitycznych truchtach.

Bronson stłumił uśmiech i kontynuował:

- Idą pomiędzy halami. Okrążymy ich. Jeden pójdzie środkiem, drugi za halą produkcyjną, trzeci za magazynem, nie uciekną nam, zawsze ktoś ich zobaczy i powiadomi resztę. Dam wam radiotelefony. - Wyciągnął dwa aparaciki z kieszeni. - Są nastawione, naciskasz guzik i pozostali dwaj cię słyszą.

Ponieważ nie było czasu na dyskusje, skinęli głowami i każdy pobiegł w swoją stronę. Wyglądało na to, że szansa dopadnięcia Krzyżowskiego była duża. Z drugiej strony każdy kontakt to śmiertelne niebezpieczeństwo. Wszyscy pędzili z pistoletami w dłoniach. Liver w środku, Smith za magazynem, a Bronson za budynkiem produkcji. Krzyżowski odwrócił się w pewnym momencie. Zauważył, że Liver biegnie w ich kierunku, i również zerwał się do biegu. Liver zaklął i przyspieszył; Bronson miał stuprocentową rację, byli kondycyjnie do niczego. Po chwili postacie zniknęły za rogiem budynku, jemu brakowało do tego miejsca około dwustu pięćdziesięciu metrów i kilkunastu lat zarzuconych treningów. Jedyna nadzieja w planie

Bronsona; pobiegli w lewo, powinni trafić właśnie na niego. To chyba lepiej. Smith był w strzelaniu równie słaby, co w biegach. Choć czy ktokolwiek zasługuje na spotkanie z Wallsem? Liver dopadł do rogu hali, stanął tuż przy łączeniu blaszanych ścian i wychylił się ruchem *à la* Bruce Willis. Pusto. Również trawnik zakończony ogrodzeniem trwał w niezakłóconym spokoju. Po chwili zza rogu magazynu wypadł Smith, który kilkusetmetrowy bieg zniósł znacznie gorzej niż Liver. Oparł się o ścianę, dyszał i świszczwał.

– Tam poszli, na Bronsona. Trzeba mu pomóc. – Liver przesuwiał się wzdłuż ściany do drugiego narożnika hali. Za rogiem powinni być uciekinierzy i walczący z nimi jak lew Bronson. Nacisnął guzik w aparacie i rzucił ostrzeżenie: – Bronson, Bronson. Uważaj. Idą w twoją stronę.

Urządzenie odpowiedziało ciszą. Również za rogiem budynku było cicho. Co się tam wydarzyło?

– E, poradzi sobie. Taki kozak miałby dostać w dupę? – Smith nie widział potrzeby pomagania Bronsonowi.

– Spokój – syknął Liver. – Idziemy, bez gadania.

Stali tuż przy narożniku, Liver znowu zrobił wychył Bruce’a Willisa i w tym momencie zza ściany wybiegł Bronson. Dyszał, jakby biegł tu z samego Londynu. Smith uśmiechnął się złośliwie, widząc, jak praktyka udowadnia zgubne skutki palenia. Nawet Bronson po kolejnym papierosie wypluwa płuca.

– I co? – Szef ochrony wydyszał w końcu pytanie.

– To my się pytamy: i co? Gdzie Krzyżowski? – Liver lekko się zdenerwował.

– Ja go nie widziałem. – Bronson wzruszył ramionami.

– Ale skręcili w twoją stronę.

– Nie widziałem ich.

Liver wybałuszył oczy zdziwiony. Bronson popatrzył na ścianę hali.

– Mogli wejść na dach. Jest drabinka.

Wspięli się, aby to sprawdzić. Ich twarze owionął wiatr; spojrzeli na rząd wentylatorów dachowych oraz na okoliczne pola. Nikogo tu nie było. Bronson co prawda stwierdził, że ktoś przebiegł po drugiej stronie, ale gdy tam podeszli, nikogo nie znaleźli. Pokręcili się jeszcze trochę, następnie zeszli na dół. Znowu usiedli na murku koło wejścia A8.

- Zwiął. Jesteśmy do niczego - zmartwił się Liver.

- Będziemy szukać - pocieszał wszystkich Bronson. - Moi chłopcy mają oczy naokoło głowy.

- Ale tylko po to, żeby się na ładne dziewczyny gapić. Ech, daj jednego, może też się trochę odstresuję. - Smith wyciągnął papierosa z paczki Bronsona i po chwili obaj dymili, co rusz kaszłąc jak pensjonariusze sanatorium gruźliczego. Nadszedł Wątroba i zameldował, że poszukiwany posiadacz karty Zbigniewa Koszelskiego nie opuścił zakładu przez bramę.

- Albo się gdzieś przyczaił, albo prysnął przez ogrodzenie - podsumował Liver.

- Sądzę, że to pierwsze - wyraził swoje zdanie Smith. - Myślę, że należy przeszukać każdą dziurę w strefie A. Tam jest mnóstwo miejsc dobrych do oddania strzału albo przeprowadzenia innej akcji z bliska.

Bronson obiecał, że wzmocni straż i poszpera, panowie jednak się uparli i poszli sprawdzić wszystko osobiście. Znajoma polsko-angielska para ochroniarzy trwała na posterunku, komentując w swoim dziwnym języku otaczający ich parszywy świat okraszony dodatkowo bandą szefów-idiotów, utrudniających życie normalnemu człowiekowi. Bronson odwołał swojego agenta, a w jego miejsce postawił dwóch innych, którzy mieli być czujni i, co nie mniej ważne, skupić się na zadaniu i nie odzywać do gładzącego na okrągło polskiego ochroniarza. Bronson chętnie odwołałby również Polaka, ale ten, jak wiadomo, był dowódcą ochrony zakładu i nie podlegał nikomu, a na dokładkę się uparł, że wytrzyma w służbie dla ojczyzny i przyjaźni między narodami,

choć oczy mu się kleiły, a odpowiedzi udzielał mrukiwie i w większości przypadków bez odniesienia do zadanego pytania.

Dokonali ponownych oględziny miejsc, w których miał się pojawić premier. Wszystko wyglądało w porządku, łazienkę wysprzątano, beton zniknął, nawet ułamany kawał płyty osłonowej został wprawiony i rura nie była widoczna. Rozpoczęli wędrówkę po wszystkich pomieszczeniach wokół.

- A to co? - Smith wskazał na wejście do nieużywanej toalety. Nacisnęli klamkę, drzwi ani drgnęły. Zamek był typowo łazienkowy; od strony korytarza wystawał guziczek ze szczelinką, który dało się przekręcić każdym kluczem. Przekręcili. Drzwi jednakże dalej pozostały zamknięte.

- Co jest? Zablokowane? - Zdenerwowany Liver napał ramieniem, Smith pomógł, a Bronson patrzył badawczo na ich wysiłki. Na sekundę zapalił się błysk obawy w jego wzroku, ale zniknął równie szybko, jak się pojawił.

- Coś nie tak? - zapytał w końcu. Liver i Smith w odpowiedzi jedynie napałli mocniej. W końcu drzwi otworzyły się delikatnie i przed ich nosami rozwarła się czarna szpara. Nacisnęli jeszcze raz, drzwi znowu lekko się przesunęły, wydając głuchy odgłos, jakby ktoś szurał cegłą po betonie. Bronson ciekawie zajrzał w szparę.

Po trzecim natarciu wpadli do środka. Zapalili światło. Niedokończona toaleta przywitała ich zakurzoną glazurą ścian, bzycciem uszkodzonej jarzeniówki i stosami pisuarów, umywalek oraz muszli klozetowych czekających na zamontowanie. Poza tym pusto, cicho, jedynie trupiosine refleksy lampy jarzeniowej igrały na martwym, chwilowo bezużytecznym wyposażeniu. Trójka funkcjonariuszy znieruchomiała w drzwiach. Jeżeli ktoś siedzi w jednej z tych kabin, może ich powystrzelać jak kaczkę. Na posadzce, w całunie kurzu, dostrzegli mnóstwo świeżych odcisków butów. Pomieszczenie najwyraźniej ktoś niedawno odwiedzał. Na dokładkę ta blokada: trzy umywalki przystawione do drzwi i gwarantujące dostęp do wnętrza.

Same się tam nie ułożyły. Kto to zrobił? Jak można zatarasować drzwi od środka, a potem wyjść? W tym pomieszczeniu nie było nawet małego okna.

– Idę – szepnął Bronson. Postąpił kilka kroków ku kabinom, uchylił pierwsze drzwi, drugie, trzecie. Odetchnął z ulgą. – Nikogo nie ma.

– Jak weszliśmy, to się jeszcze kurz unosił. Ktoś tu musiał być. – Liver rozglądał się podejrzliwie. Nie podobało mu się to pomieszczenie, śmierdziało zaprawą murarską, klejem do glazury, kurzem, ale i czymś jeszcze. Nie umiał zdefiniować tego zapachu, ale przywodziło na myśl zbutwiałą deskę w błocie. Wilgotną, brudną i skazaną na rozkład.

– Ale nie ma. Przecież widzicie. – Bronson ponownie przybrał swój standardowy ton pełen wyższości. – Możecie sami sprawdzić.

Rzeczywiście, nikogo nie było, choć Liver cały czas odnosił wrażenie, że ktoś się tutaj czai. Chodzi tuż obok niego. Przesuwa się, balansując ciałem tak, by być zawsze za nimi. Nieomal go dotyka, przymierza ręce do jego szyi i uśmiecha się drapieżnie na myśl o losie trzech ludzi zamordowanych i zamkniętych w szarej, nieużywanej, zakurzonej umywalni. Jednak naprawdę nikogo nie było – kabiny toalet uparcie prezentowały Liverowi i Smithowi swoją pustkę. Jarzeniówka nagrzała się i przestała mrugać.

Wyszli na korytarz, Bronson zamknął drzwi i przekręcił kluczyk, ponownie zamykając wejście.

– Czemu zamykasz? – Smith był trochę zdziwiony.

– Nie chcę, żeby ktoś się tu kręcił. I tak dostęp jest natychmiastowy.

– Mhm. – Smith przyjął odpowiedź do wiadomości, choć widać było, że dalej nie wie, po co Bronson to zrobił.

Ponownie ruszyli na obchód.

Nie było żadnego PX-a

- Poszli - mruknął Wojsław. Darek wreszcie mógł puścić ten jego magiczny medalion.

Usiedli na leżących umywalkach. Darek oddychał szybko i nerwowo, jak ktoś, kto za długo nurkował i wynurzył się w ostatniej chwili, tuż przed utonięciem. Znowu trzymał się tego tajemniczego medalionu i ponownie musiał przeżyć tę wyjąca ciszę wraz z oblepiającą go pustką i smutkiem; musiał tam być, żeby się ratować. Obiecał sobie, że trzeci raz nie pójdzie, choćby mieli go złapać. I tak zostało mu tylko kilka godzin, więc co za różnica. Coraz głębiej zatapiał się w swój los, a właściwie brak losu. On już swoje zrobił, zaplanował, wybrał, pozostało tylko czekać i uczynić ostatni, ustalony z góry ruch. Ale tam już nie pójdzie za żadne skarby.

Szare, ciche pomieszczenie i dwie postacie trwające w niemej zadumie oraz oczekiwaniu. Pozostało kilkanaście godzin do przyjazdu premiera. Darek robił przegląd wydarzeń, tych ostatnich i tych bardzo odległych. Przed oczyma przewijały się obrazy z rodzinnej miejscowości, uśmiech Gosi, twarze dawno niewidzianych rodziców, a wszystko przeplatane scenkami z ostatnich dni: Paryż, bójka we Wrocławiu, ucieczka przed policjantami i ciągle dzielenie życia oraz swojej głowy z ponurą istotą, która nie zamierzała go opuścić aż do śmierci, a może dalej. Nawet tu był zawsze z nim, obserwował, pomagał, ale też kontrolował. Darek przypomniał sobie ich kolejną akcję, ledwie sprzed dwóch godzin, ucieczkę przed pogonią, szukanie kryjówki. Prawdopodobnie ścigali ich agenci ochrony. Swoją drogą, wciąż nie pojmował, jak ten trzeci goniący mógł się tak pomylić i pobiec w odwrotnym kierunku niż oni. Musiał ich widzieć, byli odstonięci na

nieomal pustym placu. Jednak nie zareagował. Dziwne. Nie zaprzął sobie tym jednak długo głowy. Znowu opadły go wspomnienia. Obrazy, gdy pracował z Bartem i z całego okresu pobytu na Wyspach Brytyjskich, były odległe, przymglone. Tak jakby przypominał sobie dawno oglądane zdjęcia, onegdaj usłyszane rozmowy. Strzępki, skrawki, urywki. I spalona twarz Barta. Czy on istniał naprawdę? Może tylko go rzeźbił, tworzył w swojej głowie drugie życie, inną rzeczywistość będącą zdegenerowanym owocem jego samotności i rozpaczki? Na zewnątrz zapadała już szarość wieczoru. Z korytarza dochodziły odgłosy ludzi. Tu było duszno, brudno i ciemno, a potężny zarys sylwetki Wojsława, widoczny pomimo głębokiej czerni pomieszczenia, nie dawał zapomnieć o przeznaczeniu. Jeszcze tylko kilka godzin...

Zmrok ogarniał jasne, stalowe hale wielkiej fabryki traktorów, zmrok ogarniał nieodległy rynek i rzędy szarych, pogierkowskich bloków na podupadłych osiedlach, zmrok ogarniał również dusze miliardów ludzi, którzy nie byli w stanie uwierzyć, że oto znowu świat się zanurza w czarnej, błotnistej kąpieli nocy, że ostatnie kilkanaście godzin nie przyniosły niczego poza zgryzotami i rozczarowaniem. A jutro... jutro jest niewiadomą, choć niczego dobrego nie należy się spodziewać.

Policjanci oraz agenci siedzieli na betonowych schodkach kilkadziesiąt metrów od kryjówki Darka z Wojsławem i przeżywali gorzkie porażki. Poszukiwani przepadli jak kamień w wodę. Bronson i Smith palili w najlepsze, cały czas kaszląc i chrząkając; Liver usiadł wreszcie po wielogodzinnym łażikowaniu i próbował zrozumieć, o co chodzi z tym nikotynizowaniem się na siłę. Ludzie wchodzący i wychodzący z hali przyglądali się im z zaciekawieniem połączonym z niechęcią. Najwyraźniej plotka o złym duchu i szatanie, zaczajonych gdzieś tu w fabryce, rozchodziła się z szybkością błyskawicy. Wątroba już miał usiąść i odsapnąć, kiedy w jego kieszeni zadzwonił telefon. Chwiejczak.

- Tak. Witam. Słucham? Nie, nie mamy postępów. Facet przepadł bez śladu... Co? Wróżka chce pomóc? Aha, chce iść do domu. Już myślałem, że cud się zdarzył. Dobrze, niech idzie. Jak nasz PX się sprawuje? Jesteśmy już autoryzowani? Co?! Jak to: zniknął?

W słuchawce nastąpiło długotrwałe chrobotanie głosu Chwiejczaka, który tłumaczył szefowi całą sytuację. PX pojawił się rano, zbeształ ich przy odprawie dokumentacyjnej za brak zaangażowania i nikłe postępy, wyraził wątpliwość w pozytywny wynik autoryzacji. Następnie zażyczył sobie kolejnych kilkudziesięciu segregatorów, nalał barszczyku z automatu i poszedł na górę. Bronsona ze współpracownikami nie było tam już od dwóch dni, dlatego PX ponownie zaanektował całość gabinetu komendanta, łącznie z biurkiem, na którym chętnie trzymał nogi podczas czytania dokumentów. W pewnym momencie coś huknęło tak donośnie, że aż szyby zabrzęczały, a kukułka zakukała, ignorując fakt, że wskazówki były między pełnymi godzinami. Wtedy zaczęły się dziać dziwne rzeczy. Zepsuty przez Wątrobę głośnik zacharczał i ozwały się dźwięki pieśni patriotycznych, choć urządzenie nie było podłączone do prądu, slogan kontrolno-autoryzacyjny sfrunął, szumiąc, na podłogę, a na politurowanym blacie biurka Chwiejczaka wyskoczyła poszarpana, nieestetyczna rysa. Pobiegli w te pędy do PX-a, żeby wyłączył głośnik, ale go nie zastali. Puste pomieszczenie, uchylone okno stukające bezradnie o framugę i pełno papierów rozrzuconych w nieładzie po podłodze. PX jakby wyparował. Szukali go po całym budynku, ale u nich przecież nie było się gdzie schować.

- Może to skutek uboczny barszczyków syntetycznych? - zadumał się Wątroba. - Zadzwońcie do inspektora Chabowskiego. On go sprowadził, niech się teraz martwi.

Chwiejczak odpowiedział, że już dzwonił, ale reakcja inspektora była intrygująca. Stwierdził, że nie zna żadnego PX-a i nic nie wie o jakiegokolwiek autoryzacji prowadzonej przez organy centralne na szczeblu powiatu. Zasugerował, że może chodzi o innego

Chabowskiego, poradził zająć się swoimi powiatowymi sprawami i odłożył słuchawkę bez pożegnania.

- Hm... - Wątroba zadumał się ponownie. - Chwiejczak, sądzę, że inspektor dobrze mówi. To sprytny gość, w końcu nie bez powodu jednych awansują, a innych trzymają na dole. Zajmijmy się codziennymi sprawami. Może PX w ogóle nie istniał? Może to tylko wytwór naszej chorej wyobraźni w obliczu stresu?

Chwiejczak energicznie zaprzeczył tezie o chorym wytworze wyobraźni; był w tym proteście wspomagany przez głośnik ryczący w tle chwałę bohaterskim powstańcom Warszawy oraz otaczający go bałagan w dotychczas wzorowo prowadzonej dokumentacji. Jeżeli Wątroba nie wierzy, to może wrócić na komendę i samemu sprzątać oraz słuchać. Stało na tym, że policjanci zawiną niesforny głośnik w grubą koldrę, wywiozą do lasu i przysypią listowiem, a ewentualne pretensje o bałagan zrzucą na autoryzację i kontrolę prowadzoną przez połączone służby brytyjsko-polskie. Wątroba miał nadzieję, że Smith, Liver i Bronson nie są jedynie jego imaginacją i będzie ich można później wskazać jako sprawców całego zamieszania. Chwiejczak niechętnie potwierdził przyjęcie polecenia i zabrał się za odnoszenie dokumentacji na swoje miejsce w szafie przy jego biurku.

Komisarz wyłączył telefon i usiadł, ciężko wzdychając.

- Co dzieje się u kontrola i autoryzacja? - Liver coś usłyszał i chciał wiedzieć więcej.

- PX nieoczekiwanie zniknął, zostawił bałagan i ryczący głośnik typu *perpetuum mobile*. O autoryzacji nikt już nie wspomina.

- To chyba dobrze dla was. Jak tu ktoś zginie, zwalicie na PX-a i jego zła autoryzacja.

Wątroba chrząknął zmieszany, bo ani myślał się przyznawać, że zamierza zwalić wszystko na Livera i jego towarzystwo. Panowie się pożegnali, a następnie rozeszli do domu i hotelu; Bronson stwierdził, że zostaje w fabryce, by dopilnować organizacji ochrony, a w razie ataku senności ma ze sobą dmuchany materac i koc. Umówili się na zbiórkę

jutro o siódmej, około trzech godzin przed przylotem premiera. Po drodze minęli polskiego szefa ochrony. Nadal trwał na posterunku, opierając się o ścianę i walcząc coraz mniej bohatersko z najazdem sennych mar i przywidzeń. Na produkcji rozpoczęła się nocna zmiana, traktory powstawały jak zwykle, ale atmosfera była niecodzienna; przestraszeni pracownicy zerkali nerwowo ze swoich stanowisk w kąty i ciemne zakamarki hali produkcyjnej. Plotka przenosiła się jak wirus z jednej zmiany na drugą. Zły duch i szatan mogli czaić się wszędzie.

Polityka oraz jej fatalne skutki dla zdrowia i życia

Helikopter Polskich Sił Zbrojnych wylądował na lotnisku aeroklubu dokładnie o 9.47. Z wnętrza maszyny wyłonił się premier Wielkiej Brytanii wraz z wiceministrem spraw zagranicznych i ambasadorem Zjednoczonego Królestwa w Warszawie. Towarzyszyło im kilku ochroniarzy w czarnych okularach i ze słuchaweczkami w uszach, czujnie rozglądających się na boki. Był to dzień brytyjski wizyty i ze strony rządu polskiego został oddelegowany jedynie urzędnik Kancelarii Premiera, aby pełnić honory gospodarza tej ziemi.

Panowie szli skuleni, bojąc się, jak każdy przy wysiadaniu ze śmigłowca, że zostaną ścięci na miejscu. Na lotnisku stał już dyrektor zakładu; premiera witali również prezydent miasta, starosta powiatowy i kilku innych miejscowych oficjeli. Dyrektor – Brytyjczyk, traktujący pracę tutaj nieomal jak zesłanie na katorgę za kołem polarnym – chętnie już przy pierwszych słowach powitania padłby rodakowi w ramiona i ze łzami w oczach poprosił o możliwość powrotu samolotem premiera na ukochaną wyspę. Były to jednak jego prywatne problemy; musiał się opanować i przywitać dostojnego gościa jako wysłannik angielskiego przemysłu w tym dziwnym kraju. Oficjalnie zachwycał się więc gościnnością Polaków, ich ciekawą historią i sztuką, a najbardziej użytecznością miejscowych pracowników przy produkcji traktorów, przelatykając gorycz zesłania i konieczności obcowania z tutejszym ludem. Wszyscy zaczęli się witać, tłumacz przekazywał w obie strony zdawkowe uprzejmości, ręka ścisnęła rękę, uśmiechy królowały na twarzach, helikopter powoli cichł, a jego wirnik nieruchomiał.

Szef ochrony premiera zameldował się Bronsonowi, przekazując mu dowodzenie akcją zabezpieczenia głowy państwa. Bronson podziękował i... oddelegował ich do poczekalni aeroklubu. Wyjaśnił, że zgromadził tak duże siły, iż nie ma potrzeby angażować nowych ludzi, którzy niewątpliwie są zmęczeni pracą. Dotychczasowa ochrona oddaliła się do budki dyspozytora lotów aeroklubu, gdzie agenci mieli czekać wraz z pilotami na powrót premiera. Byli bardzo zdziwieni tym odstawieniem na boczny tor. Zazwyczaj angażuje się pełne siły do ochrony głowy państwa. Gości otoczyli natychmiast inni ludzie w ciemnych garniturach, którzy jednak w stylu i sposobie zachowania byli identyczni z odprawionymi. Również kilku stojących dalej polskich funkcjonariuszy, przydzielonych do pomocy Bronsonowi, pełniło rolę drugoplanową w ochronie gościa. Bronson miał najwyraźniej swoją koncepcję ustawienia agentów i wcielił ją w życie.

Delegacja skierowała się do rzędu limuzyn zaparkowanych przy lądowisku. Po chwili czarna kawalkada ruszyła ku jaśniejącym wśród łąk i ugorów zabudowaniom wielkiej fabryki. W zakładzie produkcja została zatrzymana, wszyscy pracownicy mieli na sobie czyste bluzy i spodnie z logo firmy, położona wczoraj przy wejściu na halę darrn pięknie się zieleniła, krawężniki białe, a flagi łopotały. Tłumy zbierały się w budynku głównym, żeby być zbiorowym świadkiem i uczestnikiem fety. Kolejka jednakże postępowała bardzo powoli, każdego obmacywano i skanowano wykrywaczem metali. Ludzie napierali na wejście, w powietrzu unosił się dym papierosowy, latały docinki pod adresem ochrony i przekleństwa na środki bezpieczeństwa; wszyscy pchali się, chcąc zająć jak najlepsze miejsca, ale nastrój nie przywodził na myśl radosnego święta. Było to bardziej nerwowe oczekiwanie na coś zapowiadanego, ale również całkowicie nieprzewidywalnego.

Rząd czarnych limuzyn podjechał pod halę. Premier przy wysiadaniu musnął wzrokiem kłębiący się za barierkami tłum. On korzystał oczywiście z osobnego wejścia, nie był sprawdzany ani nie

czekał. Kilku ludzi Bronsona stało już na krawężniku, pilnie wypatrując jakiegoś podejrzanego ruchu, pędzącej ku dostojnikowi postaci obwieszonej dynamitem albo ręki celującej ku niemu z pistoletu lub innego rodzaju broni. Okolica była również obserwowana z góry przez snajperów przyczajonych na dachach. Idąc w kierunku hali, premier uniósł lekko rękę, tak jakby chciał pozdrowić wiwatujący tłum. Jednakże nikt nie wiwatował; setki par oczu wpatrywały się w przybyłą delegację, ale była to mało przychylna obserwacja. Szmerzący dźwięk setek ust nasilał się, kilku ludzi wskazywało ich rękoma i tłumaczyło coś sąsiadom. Dłoń premiera rwąca się do machania zawisła w pół drogi, następnie dotknęła krawata. Anglik udał, że poprawia węzeł pod szyją, i wszedł do środka; ambasador i wiceminister wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Dyrektor zakładu westchnął – sprawdzały się wszystkie jego negatywne odczucia odnośnie Polski i jej mieszkańców.

Premier miał zostać zaprowadzony na linię produkcyjną. Będzie ona wyłączona ze względu na spotkanie z załogą; główny technolog powie w kilku zdaniach, co tu się robi, oraz pokaże najnowocześniejszego robota montażowego i ustawiony specjalnie na wizytę egzemplarz traktora z podniesioną maską. Potrwa to dziesięć do piętnastu minut. W tym czasie załoga zajmie miejsca, ochroniarze się przegrupują i premier przystąpi do spotkania z robotnikami, wychwalania polsko-brytyjskiej współpracy i ogólnie zajmie się swoim politycznym show.

Technolog już czekał, nerwowo kręcąc młynka kciukami, powtarzał w myślach przygotowany zawczasu wykład o budowie i technologii produkcji traktorów. Ćwiczył go od dwóch tygodni, czyli od momentu, kiedy poproszono go o oprowadzenie premiera Wielkiej Brytanii po wydziale montażu i opowiedzenie o produkcji. Wybór wydawał się idealny, technolog był wybitnym specjalistą, oraz – co równie ważne – spędził osiem lat w Wielkiej Brytanii i mówił świetnie po angielsku. Panowie się przywitali. Technolog zagaił, jego angielski był rzeczywiście doskonały.

- Traktor to pojazd służący do przemieszczania urządzeń nieposiadających własnego napędu lub silnika, na przykład przyczep. Do maszyn współpracujących z traktorem zaliczamy między innymi: pług, opryskiwacz, rozrzutnik obornika lub siewnik...

Angielska delegacja zamarła, tak jakby niespodziewanie spotkali Marsjanina deklarującego przyjaźń i chęć współpracy. Politycy i dyplomaci, dla których mowa jest jednym z podstawowych narzędzi pracy, wyglądali na zaskoczonych, że może ona również służyć do takich dziwnych celów jak opis traktora. Technolog kontynuował:

- Rozpocznijmy od klasyfikacji ciągników według klas uporządkowanych zgodnie z siłą ciągu. Skupię się tutaj na pojazdach kołowych, pomijając ważną rodzinę pojazdów gąsienicowych. Następnie omówimy podstawowy podzespół traktora: jednostkę napędową. Typowe pojemności, charakterystykę cylindrów, stosowany typoszereg tłoków sprężających, no i korbowody. Temat zostanie uzupełniony poprzez krótki opis układu chłodzenia, smarowania, zasilania oraz układu jezdnego. Hydraulikę i układy zaczepowe omówię jedynie z grubsza. Siła uciągu to wartość wyrażona w tonach...

- Hm, dziękuję bardzo. Niezwykle pouczająca opowieść. A to jest właśnie traktor? Zgadłem? - Premier najwyraźniej nie miał ochoty na wykład o budowie oraz klasyfikacji ciągników i wskazał na stojący za nimi pojazd. Technolog zamilkł zaskoczony. Pytanie było z gatunku zbijających z pantałyku. Cały przygotowany zasób informacji był przecież bezużyteczny w obliczu braku tak elementarnej wiedzy.

- Tak, to nasz najnowszy model... - rozpoczął wyjaśnienia, zastanawiając się, co powiedzieć człowiekowi, który nie jest pewien, jak wygląda traktor.

- A tu się siedzi i kieruje, tak? - Premier chciał się jednak czegoś dowiedzieć.

Inżynier kiwnął głową. Po chwili dodał z kpiącym uśmiechem:

- A tu są koła, na których traktor jeździ.

– Fascynujące – westchnął premier. – Dziękuję panu. To było bardzo pouczające. Bardzo dziękuję. Życzę powodzenia i wielu zamówień.

Technolog wymamrotał podziękowania, zaskoczony, że jego popis został tak niespodziewanie zakończony. Delegacja skierowała się na korytarz, by przejść ku drugiej części budynku, gdzie kłębił się tłum pracowników.

Na końcu korytarza stał Bronson w towarzystwie Smitha, Livera i Wątroby – czekali, aby wpuścić gości do hali głównej. W połowie drogi tuż przed premierem otworzyły się z hukiem drzwi. Wypadł z nich jakiś człowiek i zaczął wrzeszczyć:

– Ratunku, pomocy! Morderca! Morderca! – Opadł na podłogę i po chwili zaszlochał, wskazując otwarte drzwi.

Bronson zmartwił na widok dziwnego, być może niebezpiecznego osobnika, który pojawił się tuż obok premiera.

– Od jedyńki do piątki. Atak w korytarzu. Pędem! – wrzasnął, przekazując za pomocą radia sygnał do akcji innym agentom, i pognął korytarzem ku delegacji stojącej w pełnym zaskoczeniu koło lamentującego mężczyzny.

– Rzuć broń! Nie masz szans! – Bronson zasłonił własnym ciałem premiera, wyszarpnął zza pazuchy pistolet i wycelował w podejrzanego, który wciąż płakał i jęczał, wskazując na opuszczone pomieszczenie. Całą delegację w ciągu kilku sekund otoczyli agenci, mierzący we wszystkich kierunkach z wyjętych błyskawicznie pistoletów. Szlochający mężczyzna wypadł z jadalni, gdzie dwa dni wcześniej ukrywali się Wojsław i Darek. Teraz stała tam niemo trójka robotników, skupiona wokół czegoś, co leżało na podłodze. Panowie – wykorzystując chwilę wolną od pracy, a nie czując potrzeby słuchania premiera Wielkiej Brytanii – zasiedli przy stoliku z talią kart i kubkami herbaty. I gdy poszło pierwsze rozdanie, coś zaskrzyphiało nad ich głowami, a potem prosto na stół spadło blade, zimne ciało.

– To oni! To oni go tu sprowadzili! – Robotnik na korytarzu ryczał jak opętany, tym razem machając ręką w stronę premiera i towarzyszącej

mu delegacji. – Oni są po stronie szatana, wciągają nas w zło! Mordują! Wszyscy to wiedzą. Po co przyjechali?!

Znowu zaszlochał i skulił się pod ścianą w rozpacz. Jego trzech kolegów patrzyło ponuro na martwe ciało. Z otworu w podwieszonym suficie wystawała ręka. Wyglądało na to, że ukryto tam kolejnego trupa. Bronson i jego grupa otaczali notabli, wciąż celując w płaczącego mężczyznę, ale jasne już było, że nie stwarza żadnego zagrożenia. Premier zajrzał do pomieszczenia i zapytał o powód zamieszania. Ambasador próbował mu wyjaśnić sytuację i powód hysterii robotnika. Pozostali trwali w osłupieniu. Pierwszy otrząsnął się Wątroba.

– Liver, prowadźcie pana premiera na spotkanie. Ja wzywam swoich ludzi. Rany, kolejne ofiary. A to mi statystyki skoczą. – Podniósł płaczącego mężczyznę i wprowadził do pokoju. – No, spokojnie, ja wiem, że to niezbyt miło dostać trupozsem po głowie, ale zaraz się tym zajmujemy. Może herbatki?

Delegacja, osłaniania szczelnie przez grupę Bronsona, ruszyła ku wejściu na halę. Wątroba zadzwonił po Chwiejczaka, Wrózkę, lekarza i ekipę techniczną.

Zdenerwowany premier wraz z asystentem, ambasadorem, wiceministrem i dyrektorem zakładu wkroczyli na salę. Wszyscy unieśli się ze swoich miejsc i zastygli w milczeniu; premier szedł wśród tłumu, odprowadzany ponurymi spojrzeniami pracowników. Przeciągającą się ciszę przerwał stopniowo narastający szmer głosów; z gąszczu szeptów co rusz wyskakiwały słowa „szatan”, „morderca”, „demon”. Nie mogli wiedzieć, co się stało przed chwilą, ale zachowywali się tak, jakby oni również oskarżali o coś przybyłego gościa. Premier dotarł do miejsca, gdzie czekali wszyscy kierownicy działów, miejscowi urzędnicy i zaproszeni na tę uroczystość dziennikarze. Kiedy zostawił za sobą nieprzychylny tłum, poczuł się tak, jakby wypłynął z głębokiej wody na powierzchnię. Tu na przedzie stali przymilni karierowicze, lokalni politykierzy, bezczelni żurnaliści – to było coś znajomego, wręcz swojego, niezależnie od różnic kulturowych i narodowościowych.

Ale tam, z tyłu, pulsowała nienawiścią jakaś magma ludzka. O co chodzi z tym szatanem? To słowo zrozumiał doskonale pomimo nieznamości polskiego. Przywitał się ze wszystkimi w pierwszym rzędzie. Zasiadł na honorowym miejscu.

Z mównicy płynęły wartkim strumieniem słowa o odwiecznej przyjaźni polsko-brytyjskiej, o korzyściach ze współpracy gospodarczej, o traktorze jako symbolu internacjonalistycznego trudu w budowie dobrobytu bez różnic i podziałów, i – co nie mniej ważne – z jednakową dla wszystkich systemów ruchu kierownicą na środku. Zaraz miał wystąpić premier. Asystent wręczył mu przeredagowany w ostatniej chwili tekst przemówienia. Dostojny gość już wstawał z krzesła. Wtem wielka brama z boku hali – którą wyjeżdżały gotowe pojazdy – podniosła się wraz z buczeniem sygnału ostrzegawczego i miganiem lampki. Wszyscy odwrócili głowy w tę stronę. Potok słów sławiących przyjaźń i współpracę nagle wysechł, pozostawiając niedokończoną myśl samej sobie.

Przez bramę, cofając się, weszła grupa ochroniarzy Bronsona, mierzących do kogoś z pistoletów. Cały czas poruszali się tyłem, z uwagą i trwogą śledząc napastników – nacierała na nich grupa kilkudziesięciu ludzi w zbrojach i płaszczach rodem ze średniowiecznego fresku. Nad głowami unosiła się chorągiew z jakimś godłem na zielonym tle. Bronson przypadł do swoich ludzi, ci coś krzyknęli, wskazując na rycerzy. Wszyscy się zatrzymali. Z grupy przybyłych odłączył się jeden zbrojny. Liver obserwował go, marszcząc w zamyśleniu czoło. Wreszcie skojarzył. To był ktoś od lorda Wiliamsona.

– Ty, patrz, średniowieczny przydupas Wiliamsona – syknął Smith. Też go rozpoznał. Przed wyjazdem mocno pracowali nad zdjęciami współpracowników lorda.

Ochroniarze byli tak zaskoczeni i przerażeni napierającymi ludźmi w zbrojach, że Jaśko bez żadnego problemu dotarł przed oblicze

premiera. Przyklęknął na jedno kolano i w pięknej staroangielskiej mowie powitał premiera:

– Oto jesteśmy, panie. Co czynić każesz, wykonamy.

– Eee, to miło... – Premier chyba pierwszy raz od kilkunastu lat zapomniał języka w gębie.

– Lord Wiliamson swą chorągiew przysłała, by w chwili każdej siłę twą i męstwo wspomagać. My z woli boskiej rycerze naszej ziemi zbrojnie stanąć na skinienie twoje gotowi jesteśmy. A chwała naszego oręża twoją chwałą niech będzie.

– Eee... Bronson – syknął premier w kierunku szefa ochrony. Widać było, że już ochłonął z szoku i kombinuje, jak zareagować. – Zatknij chorągiew naszych braci, eee, gdzieś tam na mównicy. I rozstaw strażę wzdłuż i wszerz wrażeń szeregów, tak aby każdy atak zbrojnie odeprzen był godnie – dokończył głośno i całkiem swobodnie w stylu przybyłego rycerstwa.

Jaśko skłonił się z uznaniem dla tej decyzji. Natomiast Bronson zastygł przerażony: nie wiedział, co ma zrobić. Być może nawet nie zrozumiał tej archaicznej angielszczyzny. Rozglądał się z głupawym wyrazem twarzy. Liver i Smith pokiwali głowami z podziwem. Nie darmo premier był premierem; umiał zareagować w każdej sytuacji.

– Czołem, bracia rycerze! – ryknął premier w kierunku grupy wojowników.

– Czołem, wasza premierska mość! – odwrzasnęli i unieśli miecze do góry. Szczęk oręża rozszedł się po sali. Bronson otrzeźwiał nieco i pokazywał Jaśkowi, gdzie mają stanąć i w jakim szyku. Atmosfera się rozluźniła. Ludzie na widowni, nierozumiejący w większości ani słowa, myśleli, że to jakaś historyczna inscenizacja albo akcja promocyjna. Niejeden miał nadzieję, że zaraz będą rozdawać bezpłatne próbki czegoś smacznego. Niektórzy zaczęli klaskać, początkowo słabo, potem mocniej. Klaskała coraz liczniejsza grupa widzów. Ambasador i wiceminister wymienili spojrzenia pełne zdumienia. Rycerze rozchodzili się na stanowiska, dumna chorągiew Wiliamsonów zawisła

za mównicą koło flag państwowych i tej z logo producenta. Brawa stawały się coraz głośniejsze; rycerze udawali, że ich nie słyszą, że wypełniają jedynie swoją misję, ale ich twarze pokraśniały z zadowolenia. Wielomiesięczny trening został doceniony, są teraz ważni, potrzebni w służbie dla dobra Polski i Wielkiej Brytanii. Zadowolony był również premier, już nie słyszał słów „szatan” ani „morderca”, wyłącznie brawa i wiwaty. To znał i lubił. Przecież po to tu przyjechał. Spektakl z rycerzami się przeciągał, ciężkozbrojni ustawiali się hałaśliwie, a on miał zaraz wystąpić z przemówieniem. Trzeba się szykować. To dobry moment, ludzie są zaciekawieni i przyjaźni. Bronson szepnął mu, że toaleta jest za drzwiami i może z niej skorzystać w drodze na mównicę. Zniknie jedynie na kilkadziesiąt sekund. Premier kiwnął głową. Ruszył. Przeciął pusty korytarz, wszedł do łazienki. Puścił do umywalki wodę zimnym strumieniem.

- Co za burdel! - mruknął, obmywając twarz i ręce. Robił to, co zawsze, o czym wiedział każdy organizator jego wizyt: w połowie spotkania się mył, oczyszczając po dotknięciu dziesiątek dłoni. Uśmiech rozjaśnił jego twarz. - Ale daliśmy radę. Dobry pomysł z tymi idiotycznymi rycerzami. Muszę się spytać Johna, kto ich tu sprowadził. Może to nowe koncepcje biura promocji rządu?

Wtedy zauważył kątem oka dziwną scenę. Jedne z trojga drzwi do kabin z ubikacjami otworzyły się i wyleciał z nich wielki betonowy blok, jakby wyrwany kawał krawężnika. Towarzyszyły temu jakieś szurania i tłumione głosy.

- Kto tu? - zapytał przestraszony. Beton wylądował koło drzwi, blokując wyjście. Usłyszał sapanie. Czuł, że coś idzie w jego stronę. Niczego nie widział, ale spodziewał się najgorszego. Powietrze wypełnił zapach zła i nienawiści. W drzwiach toalety stał ktoś jeszcze. Po chwili wyskoczył na środek łazienki.

Wojsław postępował krok za krokiem, trzymając w ręce nóż. Drzwi skutecznie tarasował kawał krawężnika, który funkcjonariusze Bronsona rzekomo usunęli. Droga ucieczki - lub dla pomocy z zewnątrz

– była zamknięta. Postać stojąca koło umywalki skamieniała ze zdumienia i trwogi. Darek wiedział, że zaraz rozpocznie się tu krwawa jatka. Teraz musiał zrobić to, do czego się zobowiązał i od kilku dni przygotowywał. Wyszarpnął z torby obły kształt – worek wypełniony czymś miękkim – dopadł do Wojsława od tyłu i z impetem uderzył go w głowę. Worek pękł, głowę, oczy i ramiona demona zaalała fala cieczy. W łazience rozniósł się zapach spirytusu.

– Aaa! – ryczał Wojsław jak opętany. Nie spodziewał się ataku z tej strony. Machał rękoma, jakby chciał coś z siebie zedrzeć, jakby go coś dusiło i więziło. Tarł oczy i pluł, daremnie próbując pozbyć się alkoholu. Miotał się na oślep. Darek wykorzystał tę chwilę, przypadł do Wojsława. Sięgnął do jego szyi i gwałtownym szarpnięciem zerwał – znany mu z wycieczek w ciche, zimne zaświaty – łańcuszek z medalikiem. Wojsław poczuł brak medalionu, zastygł na moment, a następnie jeszcze wścieklej zaczął się miotać po całej łazience, usiłując złapać Darka. Ten jednakże sprytnie wykorzystywał chwilową niedyspozycję potężnego demona i uskakiwał przed jego rozczapierzonymi dłońmi. Dziki ryk słyszalny był chyba na kilka kilometrów. Premier stał jak zaczarowany, patrząc na tę szarpaninę człowieka z kimś niewidzialnym, i powtarzał w kółko: „Bronson. Gdzie jest, kurwa, Bronson?”.

Naraz zaroilo się wokół od postaci. Wszystkie rzuciły się na Wojsława. Stwór się wyrывał, ale nic już go nie mogło uratować. Stawili się również Godson i Marshall, zaraz za nimi pojawiły się Forewind i Mustain. Wojsław znieruchomiał, nie miał szansy na ucieczkę, ani na jakikolwiek ruch, przez tyle rąk był przytrzymywany.

– Koniec gry, Walls. Znudzilo mi się za tobą ganiać. – Godson rozpoczął przemowę *à la* Clint Eastwood nad schwytanym złoczyńcą. – Za dużo wódeczki się wypilo i cudowny medalionik zgubiło. Zaraz pójdziesz w płomień. A wy tu czego, niebiaki?! Kaźcie swoim go puścić! Walls jest nasz, dziękujemy za pomocną dłoń, ale sami już sobie poradzimy – warczał w kierunku Forewind i Mustain. Te uśmiechnęły się grzecznie.

- Spytaj Marshalla. Może on coś wie? - Forewind odpowiedziała pytaniem na pytanie.

Godson wlepił zdziwiony wzrok w kolegę. Szczęka z gumą w środku pracowała na najwyższych obrotach. Marshall zaczął się tłumaczyć:

- Bo on, szefie, bo on tak prosił i mówił, że chciałby, że to ważne, że Walls i tak będzie nasz, choćby teraz poszedł, a on... on za niego. Wszystko podpisał jak trzeba, wszystko, wszyściutko. O, papiery, oryginały. Żadnych machlojek, czarów-marów... Jest nasz, sam się zgłosił i... On oddałby wszystko, żeby tylko Wallsa unieszkodliwić, choćby i pójść za niego do nas.

- Oddałeś Wallsa? - Cichy szept Godsona zmroził całe pomieszczenie.

- Ale ja... ale on... będą nasi obaj... tylko szansa... każdy może mieć szansę... nawet Walls. Tak mówił, ale my wiemy, he, he, gównie nie szansa... Walls to morderca, chodzący worek z grzechami, nigdy nam nie zwieje, a on... on też jest już nasz...

- Oddałeś Wallsa bez mojej zgody? - zapytał jeszcze ciszej i jeszcze straszniej Godson. Wszyscy patrzyli na Marshalla, który wydawał się maleć i niknąć. Szczęka drżała mu nerwowo. Zrozumiał, że popełnił błąd, niezależnie, czy Wojsław będzie tu, czy gdzie indziej. Godsona się nie pomija.

- Mamy jego. Jeden do jednego. A tamten i tak nie przejdzie sądu i wróci... - Wskazał na Wojsława. Zamilkł jednak w pół słowa na widok miny Godsona. Wojsław doszedł już do siebie i wlepił pełen zdumienia wzrok w swojego młodego przyjaciela.

- Ty... ty za mnie? Tak na zawsze? Z podpisem. Ja przecież... Zginiesz marnie, będziesz żałował... - Nie wiedział, co powiedzieć. Nie wiedział, czy powinien się cieszyć. Na pewno był to dla niego szok. - Darek, zginiesz na wieki, odwołaj to. Przecież ja... ja chciałem ciebie zabić... a ty... Uwolnijcie go, to ja jestem wszystkim winny. Ja zasługuję na karę, nie on! - wykrzyczał, a twarz wykrzywił mu wyraz niedowierzania i wzruszenia postawą swego młodego towarzysza. Zaszlochał.

W tym momencie rozległ się strzał, Darek padł z krwawą dziurą w głowie. W drzwiach środkowej toalety, skąd kilkanaście sekund wcześniej wychynęli Wojsław i Darek, stał człowiek w garniturze, w obu rękach trzymał po pistolecie.

- A to, kurwa, kto? - jęknął zaskoczony Marshall.

- Bronson - wyjaśnił zimnym tonem Godson. - Zresztą zgodnie z planem centrali, który ty swoimi samowolnymi akcjami właśnie naruszyłeś. Co mamy teraz za Wallsa, którego oddałeś, ot tak, bez zastanowienia? Zdołałeś dopełnić warunki cyrografu wobec tego tu? Gdzie nasz zysk? Przecież on już jest po tamtej stronie. - Kopnął leżące ciało Darka i westchnął najwyraźniej zafrasowany tym, jak wybryki podwładnego odbijają się na jego karierze - Oj, da mi teraz Bob popalić.

Po chwili dodał z sadyistycznym uśmieszkiem:

- Mój szef mnie, a ja tobie, Marshall, jeszcze pożałujesz tej samowolki.

Podczas gdy pomiędzy pozaziemskimi istotami trwała nerwowa konwersacja, postać z pistoletami obróciła się w kierunku przestraszonego premiera.

- Chwała Bogu, Bronson! Ileż można czekać? - Polityk uradował się na widok swojej ochrony. Bronson również uśmiechnął się przyjaźnie, wycelował drugi pistolet w stronę premiera i nacisnął spust. Polityk zamarł z uśmiechem na ustach, następnie padł na kafelki z rozoraną klatką piersiową. Bronson kucnął koło ciała Darka, wcisnął mu pistolet w dłoń. Drugi wsadził do kabury. Otworzył lekko okno, ściągnął lateksowe rękawiczki i wepchnął je do kieszeni. Zarówno diabły, jak i anioły obserwowały te działania w niemym zdumieniu. Bronson odciągnął z wysiłkiem kawał betonu blokujący wejście. Nacisnął jakiś przycisk na kabelku przy uchu, mrugnął porozumiewawczo do Godsona i powiedział do mikrofoniku:

- Od jeden do trzy, Smith i Liver, strzały w łazience w strefie A. Proszę o wsparcie.

- Chodu! – wrzasnął Godson, widząc, co się święci. Wszyscy, poza Bronsonem i dwoma zabitymi, ulotnili się w mgnieniu oka.

W sekundę później wpadło do toalety trzech jego ludzi oraz Smith z Liverem. Bronson smutno zwiesił głowę. Na błyszczącej glazurze podłogi leżały dwa ciała. Poza tym było pusto. Otwarte okno stukalo o framugę. Woda z kranu lała się nieprzerwanie.

- Spóźniłem się. Zdołał go dopaść, wszedł przez okno. Jestem skończony – wyszeptał szef ochrony i oparł się o ścianę, oczy szklily mu się w nieutulonym żalu po stracie męża stanu, jak również dodatku do emerytury za nienaganną służbę. Po chwili się ożywił. – Słuchajcie, może jeszcze żyje? Może ta rana nie jest śmiertelna? Wezwałem już helikopter medyczny, powinien być za jakieś pół godziny. Trzeba go ratować. Może jest jeszcze szansa? Może jeszcze oddycha?

Smith otaksował wzrokiem martwego premiera, pochylił się nad nim, zbadał puls i pokręcił głową.

- Według mnie nie ma żadnych szans na przeżycie. Ale skąd ten helikopter leci, że będzie za pół godziny?

- Miał jakieś manewry nad Niemcami – wyjaśnił Bronson. – Słuchajcie, ja zostaję tutaj. Nie opuszczę mojego premiera. Mam tę resztkę nadziei, że żyje. To ja zawiniłem i pozostanę mu wierny do końca. Będę przy nim, choćby w ostatniej drodze. Pomóżcie mi, proszę, zakończyć to spotkanie bez sensacji. Trzeba coś powiedzieć, wytłumaczyć... Nie wiem co. Pomożecie? Może ty, Liver? Gadasz po polsku.

Liver skinął głową. Bronson mu podziękował i otarł łzę wzruszenia. Liver wyszedł. Ludzie Bronsona położyli premiera i zabitego Darka na przyniesionych skądś noszach. Smith wzdychał ciężko i obserwował podejrzliwie Bronsona.

- Pół godziny, pół godziny. Skąd on wytrzasnął angielski transport medyczny w pół godziny? Cudotwórca? – mruczał pod nosem, patrząc, jak agent ze smutną miną waruje przy ciałach. – Będzie wierny do

końca albo dłużej. A ja tak sobie myślę, że wezwał ten helikopter wcześniej.

Smith wyszedł przed budynek, żeby zapalić papierosa. Od wczoraj palił jak smok, wyglądało na to, że wpadł w nałóg. Po drugiej stronie budynku stały karetki i radiowóz policyjny; Wątroba i jego ludzie ustalali szczegóły dotyczące znalezionych w jadalni ciał. Pechowi brydzyści składali zeznania, chwilowo bezużyteczne karty leżały rozrzucone na stole. Lekarz badał zwłoki, a początkujący stażysta-sanitariusz rzygał do zlewu. Właściwie powinni ich skierować na drugą stronę budynku. Tam też były dwa trupy. Chociaż premier Wielkiej Brytanii i jego zabójca to zupełnie inna historia, inny kaliber problemów. Kto inny się tym zajmie, byle uniknąć rozgłosu i sensacji. Poza tym Wątrobie znowu by skoczyły statystyki, mogłyby nie przeżyć takiego wysypu zabójstw na swoim terenie. Przez uchylone drzwi hali dochodził wzmocniony głośnikami dźwięk głosu Livera, który na prośbę Bronsona przejął inicjatywę na spotkaniu z załogą. Mówił coś po polsku, sala co rusz wybuchała śmiechem i oklaskami. Liver nie zamierzał szybko kończyć, wyraźnie się rozkręcał. Słowa płynęły, śmiechy i brawa rozbrzmiewały co chwila. Smith zapalił papierosa, wlepił wzrok w niebo, wypatrując helikoptera medycznego. W tym momencie huknęły drzwi i na zewnątrz budynku wypadł zdenerwowany ambasador.

– Co za idiota! – sapnął po angielsku. – Pan Anglik? Z ochrony?

Smith skinął głową.

– Może wiesz pan, co za dureń wlaź na mównicę? Znasz go pan? Przecież to podchodzi pod zdradę stanu! Takie dowcipy o angielskich szefach sadzić! A w ogóle gdzie jest premier? Miał przemawiać. Gdzie zniknął?

W tym momencie wyszedł Bronson, Smith kiwnął na niego głową.

– Może on coś wie.

Bronson nic nie wiedział, wytłumaczył tylko, że premier źle się poczuł i musiał szybko wyjechać. Nad ich głowami pojawił się ciemny,

ryczący silnikami kształt helikoptera. Bronson, przekrzykując hałas, zapędził ambasadora z powrotem do hali. Wszystkie przejścia były obsadzone agentami, nikt nie mógł wyjść na zewnątrz. I nikt, oprócz zdenerwowanego ambasadora, nie chciał. Ten Liver tak śmiesznie i barwnie opowiadał o dziwactwach Anglików, że hala aż trzęsa się od wybuchów śmiechu, a salwy wesołości wzmacniane były łoskotem zakutych w zbroje rycerzy ze straży lorda Wiliamsona tarzających się po podłodze ze śmiechu.

Wyrazy współczucia z powodu pańskiej śmierci

Balantine Street była małą uliczką, której spokój burzyły sporadycznie sygnał samochodu z lodami i mrożonkami oraz szum pociągów mknących po nieodległych torach kolejowych. Przed drzwiami jednego z domów zaparkował grafitowy ford. Kierowca wysiadł, rozejrzał się, uśmiechnął pogodnie, poczuwszy niemal letnie promienie słońca; po krótkim namyśle wrzucił płaszcz do samochodu i w samej marynarce podszedł do drzwi wejściowych, lekko pogwizdując.

Dźwięk gongu zabrzmiał donośnie w pograżonym w sennej ciszy domu. Mężczyzna przysiadł na murku, tak jakby wiedział z góry, że nie otworzą mu od razu i trzeba swoje odczekać. Po kilkadziesiąt sekundach szcęknęły zamki i przez szparę wyjrzała młoda, ładna brunetka. Widać było, że wyrwano ją z łóżka; atłasową koszulkę nocną koloru *écru*, obszytą koronkową tasiemką, przykrywał biały szlafrok, na tyle jednak niedbale zawiązany, że wielbiciel niewieścigo piękna na niejednym mógłby zawiesić oko. Przybysz nie zawieszał na niczym swoich oczu, nawet wystające powabnie kolano nie wzbudziło jego zainteresowania. Przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Uśmiechnął się przyjaźnie w odpowiedzi na pytające spojrzenie słane przez szparę drzwi, powstał z murku.

– Pana premiera zastałem?

Sploszony wzrok brunetki mówił jasno, że tak. Słowa zaprzeczyły mowie ciała:

– Nie wiem, o co panu chodzi. Proszę odejść, bo wezwę policję.

Mężczyzna uśmiechnął się ponownie i mruknął z udawaną skruchą w głosie:

- Przepraszam, rzeczywiście musiała zająć pomyłka. Bardzo przepraszam. Jakby co, to ja idę wolno do samochodu, a pani powie w środku, że przyszedł Bob z wywiadu i ma pilną wiadomość w sprawie zamachu w Polsce. - Mężczyzna uklonił się grzecznie i spacerowym krokiem ruszył w kierunku forda. Oparł się o maskę i wystawił uśmiechniętą twarz ku słońcu.

Po chwili z drzwi domu przy Balantine Street wypadł mężczyzna. Miał na sobie elegancki szlafrok, podobnie jak otwierająca drzwi pani, jednakże elementy jego ciała, wystające tu i ówdzie przy bardziej energicznych ruchach, były już dużo mniej interesujące dla wielbicieli ludzkiego piękna. Na głowie pyszniła się czerwona czapka z pomponem naciągnięta głęboko na oczy, twarz zasłaniał szalik jak u chuligana stadionowego. Starszy jegomość przechodzący obok, z ratlerkiem na drżących nóżkach, przystanął z otwartymi ze zdumienia ustami na widok dziwaka, niemal żywcem przeniesionego z oddziału zamkniętego w szpitalu psychiatrycznym.

- Wejdz, wejdz, szybko! - syknął człowiek w czapce i szlafroku. Machnął zapraszająco ręką, a następnie popędził z powrotem, oglądając się nerwowo za siebie i sprawdzając, czy poza emerytem i ratlerkiem nikt nie widział tego specyficznego pokazu mody. Bob spacerowym krokiem ruszył ku otwartym drzwiom.

- O co chodzi? Jak mnie tu znalazłeś? - Premier szarpał się z czapką i szalikiem, rzucając gniewne spojrzenia na agenta.

- Zadzwoiłem do pańskiej żony - wyjaśnił Bob. Następnie zarechotał ze swojego dowcipu.

Premier nie podchwycił żartobliwego tonu.

- Zakładam, że masz mocne wytłumaczenie swojego najścia. Inaczej możesz się liczyć z przykrymi konsekwencjami.

Uśmiech Boba powoli zamierał na jego twarzy, aż zniknął zupełnie. Za premierem w otworze drzwi przemknęła ładna pani. Po chwili

usłyszeli szum prysznic z łazienki. Przybysz wbił wyzywające spojrzenie w polityka i oznajmił dobitnie:

– Dziś o dziesiątej trzydzieści pięć został pan zamordowany. Postrzał w pierś z małej odległości. Było to tuż przed oficjalnym wystąpieniem podczas zwiedzania fabryki w Polsce. Zamachowiec został zabity na miejscu. Nasze służby zrobiły wszystko, żeby sprawie nie nadawać rozgłosu. Zarówno pańskie zwłoki, jak i zamachowca są właśnie transportowane przez brytyjski śmigłowiec medyczny do kliniki rządowej w Londynie. Na miejscu nikt, oprócz zaufanych agentów naszych służb, nie był świadkiem zdarzenia. Media nie zostały poinformowane, choć tajemnicy takiego kalibru nie da się utrzymać dłużej niż kilka godzin. Służba dyplomatyczna i reszta pańskiej delegacji otrzymały już odpowiednie instrukcje odnośnie sposobu zachowania i informowania innych o przebiegu wizyty. Bardzo mi przykro, panie premierze. Proszę przyjąć wyrazy współczucia z powodu pańskiej śmierci.

Człowiek w szlafroku zastygł w zdumieniu. Czapka i szalik, z którymi sobie wreszcie poradził, zawisły w opuszczonych dłoniach.

– Co pan za brednie wygadujesz, Bob? Ja żyję.

– Przecież strzelano do pana. Ma pan dziurę na wylot, prosto przez serce. Jak pan może żyć?

– Przestań mi tu opowiadać jakieś duby smalone! Pojechał mój sobowtór Kerry. Zawsze go wysyłam na wyjazdy o niskiej randze. Przecież ja bym oszalał, gdybym musiał codziennie przemawiać i ścisnąć te tysiące brudnych, spoconych łap. Cholera, Kerry zginął...

– I co teraz? – Bob był ciekaw planów premiera.

– Jak to co? Pojedzie się, wyjaśni, może jakiś komunikat prasowy... – Premier nagle zamilkł, groza sytuacji właśnie do niego dotarła.

– Rozumiem. Czyli wszystko w porządku? Poradzi pan sobie? Radzę się jednak ubrać. Z moich informacji wynika, że The Sun dostanie za dziesięć minut maila z informacją, gdzie pan przebywa. Myślę, że będą tu za jakieś dwadzieścia.

– Jak to: przyjadą? Skąd się dowiedzą? – Premier wyglądał jak rażony gromem. Twarz mu pobraźla z przerażenia.

– Proszę się szybko ubrać, nie powinni pana zobaczyć półnagiego, w cudzym domu, z kobietą nieprzypominającą pańskiej żony, choć równie piękną. Chyba że zamierza pan znowu nałożyć ten szalik i czapkę maskującą. Jest pan w tym nie do poznania. Może nawet dzięki temu przebraniu uda się panu zmylić pogoń. – Bob udzielał dobrych rad z kpiącym uśmiechem.

Premier dalej wyglądał jak sparaliżowany. Zamach, prasa, telewizja, pytania? W jego głowie zapanowała totalna kotłowanina myśli. Jak wyjaśni swoje nagłe zmartwychwstanie? I to gdzie? U kochanki! Ten Bob też jakoś tak dziwnie gada. Może to prowokacja?

– Bob, dzięki za ostrzeżenie. Musi mi pan pomóc. Jedziemy szybko do kliniki. Tam się ukryjemy, a jak przywiozą ciała, lekarze zrobią akcję reanimacyjną. I jakimś cudem premier przeżyje. – Polityk po chwili osłupienia zaczął myśleć i działać jak prawdziwy mąż stanu.

– Taki też jest mój plan – odparł Bob. Premier uśmiechnął się zadowolony. Sprawdzało się porzekadło, że prawdziwych przyjaciół poznaje się w biedzie. – Ale najpierw formalności – dodał agent.

– Jakie formalności? – Premier nie wiedział, o co chodzi. Po chwili się uśmiechnął i mrugnął okiem. – Awans? No, pewnie! Już jesteś dwa szczebelki wyżej. Masz to u mnie jak w banku. Papiery podpiszemy jutro.

– Nie. Inne formalności. – Ton Boba był lodowaty. W jego dłoni pojawiła się kartka papieru, którą podał premierowi. Ten zaczął czytać ze zmarszczonym czołem. Po chwili zmiął kartkę w kulę papieru i gniewnym ruchem rzucił na ziemię.

– Cóż to ma znaczyć? Żarty sobie stroisz? Sytuacja jest krytyczna. Ja muszę ratować wizerunek rządu, urzędu premiera, ba, Wielkiej Brytanii, a ty jakieś zabawy wymyślasz?

– To jest nasza propozycja. Pan podpisze, a nikt się nie dowie, gdzie pan bywasz i z kim, rana się cudem zagoi, żona utuli swojego

odratowanego bohatera, a naród entuzjastycznie poprze w najbliższych wyborach męczennika w słusznej sprawie.

– Ale kim wy jesteście? Chyba nie pracujesz dla obcego wywiadu?

– Ależ skąd, jestem lojalnym poddanym Jej Królewskiej Mości. Ale również funkcjonariuszem sił, które potrzebują takich jak ty. I umięją się odwdziżyć. Usłać życie różami. Pomóc, gdzie i kiedy trzeba. Działamy wszędzie i nie interesują nas wasze tymczasowe ziemskie kłótnie i podziały. Niech sobie tu rządzą królowie, szejkowie lub premierzy. Nas interesuje to, co najważniejsze: ludzie, a szczególnie ich dusze. Dzięki tobie będziemy mieli ich więcej, będą nam bardziej posłuszni, dadzą się łatwiej kontrolować. Wam zależy na pieniądzach i władzy, a my to dajemy. W zamian będziesz lojalny. Wierny aż do końca.

– A więc ty jesteś... – premier zaczynał rozumieć, z kim rozmawia. Następnie poblądł, przełknął głośno ślinę i spytał zaszepiony: – A jak nie podpiszę?

– Po prostu odejdę z kwitkiem. Nic na siłę. Zostanie, jak jest.

– Czyli tam, w klinice...

– Tam trup, żona w domu, tu pan... i dziennikarze. Ja nie naciskam. Nie dogadamy się? Trudno. Przecież to jeszcze nie koniec świata! Przynajmniej nie dla mnie.

Premier wbił ponury wzrok w ziemię. Chwilę się zastanawiał. Następnie podniósł pomięty papier z podłogi. Rozprostował go i ponownie rozpoczął lekturę umowy.

Kilka minut później redaktor dyżurny gazety The Sun dostał maila o tajemniczo brzmiącym tytule: „Gdzie jest teraz premier?”. Czym prędzej go otworzył. Wszyscy pracownicy byli szkoleni w natychmiastowej reakcji na wszelkie sygnały dotyczące członków rządu i rodziny królewskiej. Każda informacja i każde zdjęcie, jakie pojawiały się poza oficjalnym obiegiem biura prasowego rządu lub pałacu Buckingham, były na wagę złota. Zbyt krótka spódniczka księżnej Kate, premier poprawiający koszulę w spodniach, królowa wycierająca nos – oto newsy dnia. A jeżeli informacja dotyczyła jakichkolwiek nieznanych

faktów z życia prywatnego brytyjskich celebrytów, informator mógł liczyć na tysiące funtów zapłaty i natychmiastowy szturm paparazzi we wskazane miejsce. Redaktor kliknął w wiadomość. Pojawił się komiksowy obrazek z premierem za mównicą, który deklamuje pierwsze słowa hymnu. Dziennikarz westchnął, kolejny dowcip. Komu się chce przysyłać takie głupoty? W tym momencie ekran zrobił się czerwony, maszyna przestała reagować na jakiegokolwiek naciśnięcia na klawiaturze.

- Rany, wirus! - wrzasnął dziennikarz. Wyrwał kabel z gniazdka i z przerażeniem obserwował proces degradacji swojego komputera. Z biurka obok wychylił się John.

- O co chodzi z tym premierem?

- Nie otwierać, nie otwierać! To wirus! - darł się dyżurny, ale było już za późno. Wszyscy dziennikarze zaczęli krzyczeć i jęczeć. Cała obsada redakcji wpatrywała się w czerwone ekrany. Powstał chaos, krzyki i przekleństwa mieszały się z biadoleniem nad straconymi tekstami. Ludzie biegali, kilku zaradniejszych wyciągnęło prywatne laptopy i kontynuowało pracę bez podłączenia do firmowej sieci. Czerwony wirus niszczył komputer za komputerem. Do automatu z kawą ustawiała się już długa kolejka pozbawionych narzędzia pracy dziennikarzy. Ten dzień zostanie zapamiętany w niejednej redakcji jako dzień czerwony, gdyż sceny z The Sun powtórzyły się w wielu innych gazetach i portalach informacyjnych.

W tym samym czasie premier nie niepokojony przez nikogo wchodził bocznym wejściem do rządowej kliniki na przedmieściach miasta.

Słodki, pluszowy John

Liver i Smith czekali na lotnisku w kolejce do odprawy. Pożegnanie z polskimi kolegami było serdeczne, ale okraszone dużą dawką żalu. Premier nie żył, Wątroba miał już trzy ciała w kostnicy i średnią zabójstw w powiecie dużo wyższą niż średnia wojewódzka, wszyscy polscy policjanci pozostali bez autoryzacji, za to z potężnym bałaganem w dokumentacji wygenerowanym przez PX-a. Angielscy goście dostali na pożegnanie po kubku z podobizną Jana Pawła II i rysunkiem łopoczącej flagi biało-czerwonej z podpisem „Boże, coś Polskę...”. Polacy nie dostali nic.

Gdy Smith i Liver stali przy kontuarze odprawy bagażu, podeszła do Livera piękna pani w kostiumie linii lotniczych i czystą angielszczyzną oświadczyła:

- Gratuluję panu, jest pan milionowym klientem naszej linii na trasie do Londynu. Z przyjemnością wręcę panu prezent ufundowany przez...

- To jest skandal! - Smith nie dał dokończyć miłej pani. Furia wywracała mu białka oczu, ręce trzęsły się ze zdenerwowania. - Ten tłuścioch jest faworyzowany przez wasze pieprzone, faszystowskie przedsiębiorstwo. Tu gratis pierwsza klasa, tu rączki całują i życzą miłej podróży! Cóż za idiotyczne kumoterstwo! To ja jestem milionowym, tylko byłem się odlać i ten kałdun wlaźł na moje miejsce! Spadaj, Liver, na milion pierwsze miejsce!

Liver westchnął, rzeczywiście, nie dalej jak minutę temu zamienili się miejscami w kolejce. Ale żeby tak psioczyć przy pięknej kobiecie...?

- On ma rację. Był na moim miejscu. Proszę dać prezent panu Smithowi. - Liver ustąpił. Trudno, leciał do Polski wygodnie, niech

teraz Smith trochę użyje.

Blondyneczka zmarszczyła czoło, tak jakby się zastanawiała, czy taki cham zasługuje na podarunki. Po chwili poprosiła Smitha, żeby poszedł za nią. Agent powrócił za kilka minut. Można to było poznać jedynie po butach i nogawkach spodni, bo całą resztę zasłaniał wielki, pluszowy miś w koszulce z logo linii lotniczych.

- O, przytulak! - Liver nie mógł przeboleć straconej okazji. - Zajerąbistyczny! Niewiele mniejszy od ciebie.

Smith stanął w kolejce, sapnął wściekle, ale powstrzymał się od jakichkolwiek komentarzy. Maskotkę dzierżył dzielnie, jak na milionowego przystało. Nadeszła ich kolej na odprawę bagażu.

- Proszę, o tak, wszystko się zgadza. Pan Liver. Witamy w naszych liniach. Proszę dalej. Pan Smith... - Człowiek w uniformie sprawnie przyjmował bagaże i oklejał na czas lotu. - A to... to będzie nadbagaż, hm, odprawa jeszcze niezrobiona, będzie płatne na miejscu. Z obsługą. - Wskazał na trofeum milionowego pasażera.

Zarówno Smith, jak i pluszowy miś zrobili zdziwione miny.

- Jak to: płatne? Przecież przed chwilą dostałem to od państwa. Jako nagrodę, że jestem milionowym pasażerem.

- Gratuluję, ale bagaż podręczny to przedmiot o wymiarach... - Jegomość z pamięci poinformował o wszystkich wymaganiach, których śliczny misiek nie spełniał. - Razem z opłatą za obsługę na lotnisku daje to 496 złotych - podsumował koszt lotu zwierzaczka.

- Co?! - Smith pomyślał, że się przesłyszał, ale pan potwierdził sumę. - Sto funtów? Chyba cię pogięło, ty... ty...

- Przepraszam za kolegę. - Liver tonował sytuację, widząc, jak twarz obsługującego zmienia się w maskę typu „srogi policjant z mandatem za wykroczenie”. - Trochę za dużo wczoraj wypił, przegrał całą pensję i dom w karty. Proszę mu wybaczyć. Nie ma żadnych możliwości tańszego załatwienia przelotu?

Smith zmartwiał z wściekłości, słysząc te brednie na swój temat, ale metoda na litość podziałała: pan zaczął myśleć, jak pomóc bankrutowi

w legalnym przewozie pluszowego olbrzyma. Zaczęli cisnąć zabawkę do ramki wyznaczającej maksymalne wymiary bagażu, ale była to syzyfowa praca; mieścili się co najwyżej dwie kończyny i kawałek brzucha. Twarz misia wyrażała niebywałe cierpienie. Ludzie patrzyli z pogardą i oburzeniem na ludzi znęcających się nad sympatycznym zwierzęciem. Jakieś dziecko zaczęło spazmatycznie płakać, matki pohukiwały, że nie polecą ze zbrojeńcami i brutalami w jednym samolocie. Zbiegowisko rosło. Przedstawiciel linii lotniczej spostrzegł, że przyczynia się do czarnego PR swojego pracodawcy, a co gorsza, wstrzymuje odprawę. Wskoczył za kontuar i nerwowo kartkował jakiś dokument, prawdopodobnie przepisy o wymiarach bagażu. Liver wodził po zebranych głupowatym spojrzeniem, tak jakby mówił: „To nie ja”. Natomiast Smith nie zważał na nic, tylko cisnął i cisnął, cały czas powtarzając:

– Sto funtów. Zwariował.

Krąg pełnych potępienia twarzy zacieśniał się, ktoś pstryknął zdjęcie, ktoś chciał wzywać policję. Po dłuższej chwili pracownik linii wyskoczył zza swojej bariery, przedarł się przez tłum i z rozradowanym wyrazem twarzy odciągnął Livera i Smitha z wymiętoszonym, obolałym misiem na bok.

– Panowie. Jest wyjście.

– No, nareszcie! – huknął Smith. – Ładne porządki tutaj...

– Pan mówi, a ty słuchaj – Liver brutalnie wszedł Smithowi w słowo.

– To będzie pańskie dziecko. – Pan wskazał na misia. – Nadamy mu imię, nazwisko, bilet jest do dwóch lat gratis. Za odprawę zapłaci pan najniższą taryfę.

Ludzie przysłuchujący się tej rozmowie parsknęli śmiechem. Smith spurpurowiał. Cóż za niedorzeczność? Pluszak jego dzieckiem? Już miał odmówić i powrócić do wpychania misia w metalową ramę, ale spojrzał na wrogi tłum blokujący mu drogę do miejsca kaźni. Już go tam nie dopuszczą. O, nie! Smith westchnął. Sytuacja była jasna: albo zrezygnuje z wywalzonego gratisu i dostanie go ktoś inny, albo płaci

stowę, albo... zostanie tatusiem. Spojrzał na miłą mordkę, przycisnął do piersi syntetyczne futerko i wyszeptał:

- Dobrze, to mój synek John Smith.

Pan wydrukował szybko dokument, Smith rzeczywiście zapłacił wielokrotnie niższą sumę w porównaniu do wyliczonej poprzednio. Dwójka agentów z pluszowym dzieckiem na rękach udała się w stronę bramki wejściowej na płytę lotniska. Co się dalej działo, tego Smith nie przewidziałby w najgorszych snach. Pasażerowie i pracownicy linii lotniczych jakby się umówili, żeby raz na zawsze zniechęcić milionowego do niegrzecznych zachowań. Smith został rozdzielony z Liverem i posadzony w rzędzie dla rodziców z małymi dziećmi. Były tam dostępne rozkładane kojce. Wszystkie dzieci dostały grzechotki. Smith musiał przyjąć do wiadomości, że najbliższe trzy godziny spędzi wśród wrzeszczących i grzechoczących na potęgę bachorów. Co chwilę ktoś podchodził i pytał, jak synek ma na imię i czy wszystko w porządku, czym doprowadzał Smitha do białej gorączki. Przed startem stewardessa rozdała wszystkim rodzicom miniaturowe pasy. Każdy przypiął nimi dziecko do swoich pasów i trzymał na kolanach. Smith beztrąsko odłożył zestaw na bok i czekał na start. Stewardessa grzecznie, acz stanowczo zażądała zapięcia dziecka. A kiedy Smith zamarł z zaskoczenia, sama się wzięła do roboty. Zatrząskiwiała pasy, głaszcząc przy tym misia po głowie i mrucząc:

- Już dobrze, malutki, już dobrze. Pomożemy tatusiowi. Będziesz bezpieczny. Nie każdy ma zmysł techniczny.

Nie trzeba chyba opisywać, jak się poczuł Smith, oskarżony o stwarzanie zagrożenia dla dziecka i brak zmysłu technicznego. Podczas lotu nie było lepiej. Jakaś pani obok ciągle opowiadała o diecie i kupkach swojej pociechy, w końcu spytała o wiek Johna. Smith, pamiętając o informacji, że lot jest gratis dla dzieci wyłącznie do lat dwóch, uparcie twierdził, że misiek ma rok i osiem miesięcy. Pani, patrząc na owłosioną postać wzrostu metr czterdzieści, zrobiła wielkie oczy, a następnie wnikliwie wypytała o sposób żywienia i chowania

syna przez Smitha. Wykończony pytaniami policjant udał, że zapada w drzemkę, która po chwili zamieniła się w rzeczywistą senność. Głowa mu opadła, szum samolotu tworzył łagodne tło, wszystko zaczęło odpływać...

- E, panie! Ostrożnie. Dziecko pan zgniatasz. - Jakiś oburzony jegomość szarpał go za ramię i wskazywał na przygniecionego Johna.

- A, tak, tak. Dziękuję - wymamrotał Smith i w duchu zaczął się modlić o szybki koniec tej surrealistycznej wycieczki. Miał dość idiotycznych uwag i pytań. Jednakże rosło w nim również inne odczucie; powoli, pod wpływem otoczenia, zaczynał wierzyć, że John to ktoś prawie żywy i ważny dla niego. Przy lądowaniu cała procedura z pasami się powtórzyła, pani informująca o wszystkich sposobach wchłaniania i wydalania przez swoją pociechę wreszcie zamilkła, a za oknami pojawił się swojski budynek londyńskiego lotniska.

Wysiedli. Kolejka do wyjścia poruszała się szybko; w dzisiejszych podróżach wewnątrz Unii Europejskiej pojęcia „odprawa” albo „kontrola” zostały zredukowane do pobieżnego spojrzenia celnika i krótkiego „dziękuję”. Odprawa nie trwa długo nawet przy wjeździe do Wielkiej Brytanii, choć nie jest ona w strefie Schengen. Założyli, że tak będzie i tym razem. Liver i Smith ze swoim synkiem na rękach już byli prawie przy bramce wyjściowej, kiedy podeszło do nich trzech jegomościów w mundurach i z psem. Zwierzę skakało do puszystego Johna, warczało i nawet próbowało capnąć go zębami za owłosioną łapę.

- Pan pozwoli z nami. - Funkcjonariusze zrobili mu miejsce między sobą. Smith niepewnie się rozejrzał. Liver miną dał do zrozumienia, że nie ma pojęcia, o co chodzi.

- Ale ja... - zaczął Smith. Pies ciągle skakał i warczał coraz głośniej, funkcjonariusze czekali z ponurymi minami. Nie było dyskusji. Poszli. Smith odwrócił się jeszcze do Livera, tak jakby tamten mógł coś zmienić. Ale nie mógł.

Czwórka ludzi, pies i wielki pluszak zniknęli za rogiem.

Liver odebrał bagaż swój i Smitha. Stał kilkanaście minut, jednakże Smith nie wracał. Tłum przy ich bramce powoli rzedniał, jeszcze tylko kilka osób przeciągało powitania. Z pewnością zaraz ruszy nowa fala wysiadających pasażerów. Wtedy do uszu Livera doszły strzępy rozmowy:

- Sadyści... dziecko tak gnieść.
- Się dobrali: grubas i chuderlak...
- Pewnie zboczeńcy niezaspokojeni...
- Ja bym im dała...

Liver obrócił się i rzucił gniewne spojrzenie w stronę, skąd dolatywały głosy. Dwie panie plotkowały w najlepsze. Wtem spostrzegły go i poznały; na ich twarzach wykwił strach. Jeden z obgadywanych zboczeńców chyba coś usłyszał i być może zechce się mścić. Dwie paniusie natychmiast zamilkły i szybkim krokiem poszły w stronę głównej hali. Liver został sam. Smitha nie wypuszczali. Policjant westchnął z rezygnacją i powlókł się w kierunku wyjścia.

Panie komisarzu, jak to w końcu jest z tym premierem?

– Panie komisarzu, jak to w końcu jest z tym premierem? Pan mówi, że zginął, a wszędzie w prasie informują, że przeżył. Tylko jest lekko postrzelony. Nawet nie wiadomo w jakich okolicznościach.

Liver spojrział zdumiony na Shakera; otworzył portal informacyjny i chwilę czytał ze zmarszczonym czołem. Potem z namysłem odparł:

– Widać się pomyliłem. Nie jesteśmy ze Smithem lekarzami. Ja bym nie żył po takim strzale na wylot przez klatkę piersiową, ale widać nasz premier to chłop z żelaza. Kule się go nie imają.

Podumał jeszcze chwilę nad sensacyjnymi doniesieniami. Shaker stwierdził, że właśnie kończy pisać wszelkie protokoły oraz notatki dotyczące tej sprawy, i spytał, czy Liver chce to przejrzeć. Liver nie chciał.

– Powiem wam jeszcze jedno, Shaker. W każdej chwili możemy się tu spodziewać smutnych, dociekliwych panów zainteresowanych naszym udziałem w ochronie i ataku na premiera. Im lepiej nie pokazywać za dużo.

– O, to szkoda. Bo widzi pan, zrobiłem mapę myślową naszego dochodzenia. Kto, z kim, dlaczego, po co, kto miał motyw...

– I kto tu ma motyw? – przerwał mu Liver. – Albo lepiej, kto z tych zmotywowanych nie jest z kręgów rządowych, arystokratycznych, niebiańskich, diabelskich, upiornych albo złodziejskich?

– Eee... – Shaker studiował przez chwilę swoje mapy myślowe i analizował osoby wraz z ich motywami postępowania. – Nikt, oprócz...

– Oprócz Krzyżowskiego, który nie żyje – dokończył za niego Liver. – Dlatego błagam, żadnych własnych przemyśleń i opowieści z dreszczykiem. Odpowiadamy tylko na pytania. Najlepiej „tak” albo „nie”.

– A można „nie wiem”? – Shaker wiedział, że nie zdoła na wszystko odpowiedzieć stanowczo.

– Hm, można, ale na własną odpowiedzialność. Nie wiedzieć oznacza czasem być winnym.

Shaker przyjął rady do wiadomości, następnie się odmeldował, aby wszystkie dokumenty zakończyć, opisać i porządnie zeskanować do archiwum elektronicznego. Słowo „porządnie” było tak mocno zaakcentowane, że Liver nie miał wątpliwości, iż został właśnie skarcony za swoje złe skanowanie, które niszczy pracę innych. Porządny Shaker poszedł. W plastikowym boksie zapadła cisza. Liver dumiał nad nieuchronnością rzeczy nieuchronnych, nad wszechwiedzą wszechwiedzącego oraz marnością nad marnościami. Innymi słowy popadł w melancholię, co zewnętrzny obserwator mógłby poznać po melodii ledwo słyszalnie nuconej pod nosem:

– Góralu, czy ci nie żal...

Po kilku minutach coś trzasnęło i w drzwiach pojawił się Smith. Uśmiechnięty, wesoły, bez śladów tortur lub pobicia podczas przesłuchań. Liver zerwał się, jakby ducha zobaczył.

– Milionowy! Ty żyjesz?! Cóż oni ci tam robili?

Smith na wspomnienie wyróżnienia skrzywił się kwaśno. Potem usiadł.

– Daj mi kawy, ale tej nielegalnej, z prywatnych zasobów. – Smith zażądał gościnności, a nie pytań i docinków.

– Się robi, szefie! O co chodziło z tymi smutnymi na lotnisku?

– Pies wyczuł coś, myśleli, że narkotyki. Szarpał Johna. Trochę się biedaczek uszkodził od tego, ale najgorsze przyszło potem...

Liver nalał kawy.

- ...rozpruli Johna i... - Smith łyknął podanego napoju. - Hm, niezła. Dużo lepsza od mieszanki z automatu.

- I co dalej? Gadaj! - poganiał go Liver.

- I znaleźli pomięte chińskie gazety. Skośni używają tego jako taniego wypełnienia w zabawkach. I to one tak kundłowi śmierdziały, a mnie skradły trzy cenne godziny życia. Masz moją walizkę?

Liver skinął głową.

- Zwolnili mnie, przeprosili, poszedłem do domu. Pozszywałem Johna, włożyłem mu lepsze bebechy. Trochę umyłem, bo się ubrudził przy pruciu. Koszulkę też naddarli, dranie. Pozszywałem. Znowu zrobiłem z niego miśka na schwał. Potem zawiozłem go wnuczce, jako prezent z dalekiego kraju od dziadka.

- I co? Ucieszyła się?

- A gdzie tam! Takie pluszaki teraz w ogóle nie są trendy. Ona by chciała misia-zombie. Najlepiej zgniłozielonego, z pustymi oczodołami i ropiejącymi ranami. Koszmar. Nie zostawię Johna z kimś takim, jeszcze go przemaluje i uszkodzi.

- Każde pokolenie ma swoje mody i dziwactwa. Pamiętasz czasy punków i popersów w latach osiemdziesiątych? - Liver powrócił do swojej melancholijnej nuty.

- Tak, ale nie żałuję. Zostanie na razie u mnie.

- Fajnie się zasypia z takim miśkiem, co? - Liver zanęcił z delikatnym uśmieszkiem.

- Super... - rozmarzył się Smith, ale zaraz potem zrozumiał, że dał się naciągnąć na intymne zwierzenia. - No co ty?! Ja bym miał zasypiać z misiem? Ja jestem poważnym człowiekiem, agentem trzeciego stopnia! - wrzeszczał, jakby go dźgali widłami.

- Spokojnie. U mnie masz gwarantowaną dyskrecję. Rozumiem cię. Każdy ma swoje preferencje i orientację seksualną. Ja co prawda wolę inną lalę do zasypiania, ma futerko tylko w jednym miejscu. I jest dorosłą kobietą. Trochę plastikową, ale mnie się podoba. Ma na imię Peggy. Kiedyś was zapoznam...

- Liver! Licz się ze słowami! To, co gadasz, jest ohydne. Ja i John? Chyba cię... - Smith przez chwilę szukał odpowiedniego słowa na określenie odchylenia komisarza. Jednak nie znalazł nic odpowiednio mocnego. Sapnął jedynie wściekle i napił się kawy.

- Byłem rano w firmie - zmienił temat. - Plotki mówią, że Bronson z pozycji „do odstrzału” został w tej grze nieoczekiwanie przesunięty na pole „bohater narodowy i obrońca ojczyzny”, a decyzja o awansie za zasługi została już podpisana. Fortuna kołem się toczy, a korona cierniowa łatwo zmienia się w wieniec laurowy, choć zazwyczaj dzieje się na odwrót. Ten Bronson to niezły cwaniak. Tak się wywinąć od odpowiedzialności... to godne podziwu.

- Ciekawe jak to sobie załatwił? Może podpisał jakiś pakt z diabłem? - zadumał się Liver.

- Coś ty! Przecież diabły i piekło to tylko legendy opowiadane dla postrachu przez księży i pastorów, by trzymać w ryzach ciemny lud - zachnął się Smith, który pomimo wielu racjonalnie niewytłumaczalnych zdarzeń z ostatnich dni nie zamierzał zmieniać swojego światopoglądu.

- Cóż, mniejsza o to. A do Bronsona trzeba będzie wysłać gratulacje.

- Ty możesz na razie oczekiwać wizyty moich kolegów z kontroli wewnętrznej.

- Będzie mi miło - ucieszył się Liver.

- Tak? To byłby pierwszy przypadek w historii Wielkiej Brytanii, że komuś jest miło z powodu kontroli wewnętrznej.

- Jak to jest w końcu z tym premierem? Był nieżywy czy tylko ranny? Sam go przecież badałeś.

- Moja oficjalna odpowiedź brzmi: „Nie jestem lekarzem. Rana wyglądała groźnie. Gratuluje panu premierowi końskiego zdrowia i życzę szybkiego powrotu do sprawności”.

- Mogę cię zacytować w razie pytań?

- Sądzę, że nawet powinieneś. Każde inne sformułowanie podpada pod dalsze badania odnośnie tego, co, jak i z kim. A ty masz

dodatkowego minusa...

- Ja? Dlaczego?

- Występ dla załogi zakładu. Podobno założyłeś antybrytyjski kabaret. Publika cię uwielbia, ale czynnik oficjalny mniej.

- Ja? Ależ skąd! Te kilka anegdot dla Polaków o Anglikach i ich dziwactwach? Widziałeś ich wzajemny dystans? Ci ludzie muszą przełamać lody kulturowe, zrozumieć się nawzajem, nabrać dystansu do własnej śmieszności.

- Ambasador ma inne zdanie. Może nie posiada dystansu do własnej śmieszności? Przesłał oficjalną skargę do samego ministra.

- Na mnie? - Twarz Livera zastygła w przerażeniu. Już wyobrażał sobie scenę aresztowania, jak wyprowadzają go z wygodnego plastikowego boks w ciężkich, brzęczących kajdanach na rękach i nogach, a przed nim maszeruje dobosz, wykrzykując jego winy, i nikt mu nie współczuje, bo zbecześcił dobre imię Wielkiej Brytanii.

- Jednak inna plotka mówi, że oficjalnie wizyty premiera w polskim zakładzie nie było i jakiegokolwiek pogłoski o zamachu, trupach, zaniedbaniach służb i zabawnych występach przed polską publiką to jedynie wyssane z palca brednie. A premier postrzelił się na polowaniu. Co prawda ciężko ukryć plotki o wizycie premiera dużego kraju w zagranicznej fabryce, z udziałem setek gości i nieoczekiwanym najazdem grupy inscenizacji średniowiecznych walk, ale media nie takich cudów już dokonywały.

- Uf! Kamień z serca - westchnął Liver. - Dzięki, milionowy.

- Jeszcze raz nazwiesz mnie milionowym, a doniosę, że dalej opowiadasz te wywrotowe polskie dowcipy.

- Dobra, dobra. Dzięki, Smith. Można na ciebie liczyć.

- Zawsze, Liver, zawsze. Aha, mam nowy temat. Słyszałeś coś o klanie urugwajskich grabarzy? Mam tu dla ciebie i Shakera...

Smith po chwili uciekał policyjnymi korytarzami, goniony wrzaskami Livera, że nie zamierza uczestniczyć w kolejnej awanturze z zagmatwanymi sprawami przynoszonymi przez nieudaczników z

wywiadu. Po wypędzeniu Smitha za administracyjne granice komisariatu wrócił do biura, sapiąc wściekle i złorzecząc na idiotyczną robotę zlecaną przez kolegę. Chwilę posiedział, mrużąc przekleństwa, następnie włączył przeglądarkę internetową, wpisał hasła ze słowami „Urugwaj”, „grabarz” oraz „klan” i pogrążył się w lekturze.

– Przepraszam, zastałam pana Shakera? – W drzwiach stała siwa, starsza pani w popielatym palcie i eleganckim toczku na głowie.

– Tak, to znaczy nie. Wyszedł i chwilowo go nie ma.

– A czy mógłby mu pan przekazać ten zeszyt? Jego córka zostawiła go u mnie wczoraj, a powinna mieć do ćwiczeń domowych.

Pani położyła na stole zeszyt z trąbą na okładce i dumnym napisem „Lisa Shaker. Pianino – lekcje”.

– Tak, tak. Oczywiście. Pani Schwarzenbrot, prawda?

– Pan Shaker panu coś o mnie opowiadał?

Liver pomyślał, że właśnie nie opowiadał. Ale przecież nie wyzna tej starszej damie, jakie myśli rodziły się w jego głowie na dźwięk jej nazwiska.

– Nie, nie. Raz kiedyś wspomniał, że uczy pani jego córkę.

Pani się pożegnała. Liver westchnął, żalując takiego zakończenia swoich erotycznych wizji. Nie będzie przecież fantazjował o osiemdziesięcioletnich kobietach, choćby bardzo eleganckich. Wolał już swoją Peggy. Podumał jeszcze chwilę nad idiotyczną konstrukcją męskiego mózgu, następnie wrócił do świata urugwajskich grabarzy.

Shaker pojawił się pół godziny później, po wykonaniu zadania, i z zapalem godnym wielkich dziewiętnastowiecznych detektywów systematyzował wiadomości z ostatnich kilku dni.

– Szeffie. – Konstabl oderwał się w pewnym momencie od analizy swojej mapy myślowej zakończonego śledztwa.

– Co tam, Shaker? – Liver ocknął się wreszcie ze swojego stanu osłupienia spowodowanego wyglądem i wiekiem pani Schwarzenbrot.

– Jednego nie rozumiem z tej całej układanki...

- Czego?

- Kto to jest ten Falx vel Pricks?

Liver wyduł wargi, wyrażając niewiedzę i brak zainteresowania.

- Może jakiś kumpel naszych anielic? Może jakaś szycha tam na górze?

- Może...

Cisza

Darek szedł przez ciszę pozaziemskiego świata, którą poznał już wcześniej dzięki medalionowi Wojysława. Jednakże teraz się jej nie bał. Przecież nie żyje i to, co go otacza, to jego nowa rzeczywistość. Nowe życie. Oglądał przez jakiś czas swoje skrwawione zwłoki rozciągnięte na jasnej posadzce, ale widok ten szybko go znudził. Stare, niepotrzebne ciało, pełne brudu i lęków. Czuł się tak, jakby zatrzasnął zakurzony album ze zdjęciami dzieciństwa. To już zamknięty rozdział. Niezbyt chwalebny, ale i niezmarnowany do końca. Czuł, że podjął słuszną decyzję, pomagając Wojysławowi.

Długo walczył ze sobą, w końcu pokonał lęk i egoizm. Wszystko dzięki tajemniczemu sprzymierzeńcowi, który pomimo gąszczu przeszkód i problemów znalazł do niego drogę. To on doradził mu, żeby podpisał cyrograf z Marshalllem, i obiecał, że nie poniesie za to kary. Zapewnił, że jego życie ma sens, a śmierć nie pójdzie na marne.

Kim jest? Kazał mówić na siebie Falx. Darek domyślił się, że to nie jest jego prawdziwe imię. Raczej jedno z bardzo wielu. Każdy może go nazywać, jak chce, to obojętne, byle odnalazł ślad tego niezwykłego sprzymierzeńca w swoim życiu. A teraz, choć czekająca Darka droga była jeszcze długa, wiedział, że ma szansę na szczęśliwe zakończenie.

Przypisy:

1 Tube – Londyńczycy mówią tak zwykle na metro. Subway – słowo używane w Stanach Zjednoczonych.

2 Brytyjska Służba Bezpieczeństwa, znana również jako MI5.

3 Pani zdrowie, Pani Forewind

Jezus kocha Panią bardziej niż Pani myśli (Ło, ło, ło)

Niech Bóg błogosławi Cię, Pani Forewind

W niebie jest zawsze miejsce dla tych, którzy się modlą

(Hej, hej, hej...hej, hej, hej)

Trochę więcej w naszych aktach chcemy mieć o pani

Chcielibyśmy pomóc Pani nauczyć się pomagać samej sobie

Proszę zobaczyć ile jest współczucia, spojrzeń ciepłych wokół

Pospaceruj wokół aż poczujesz się jak w domu

4 Fragment hymnu Wielkiej Brytanii.

5 Angielski i Walijski Związek Krykieta.